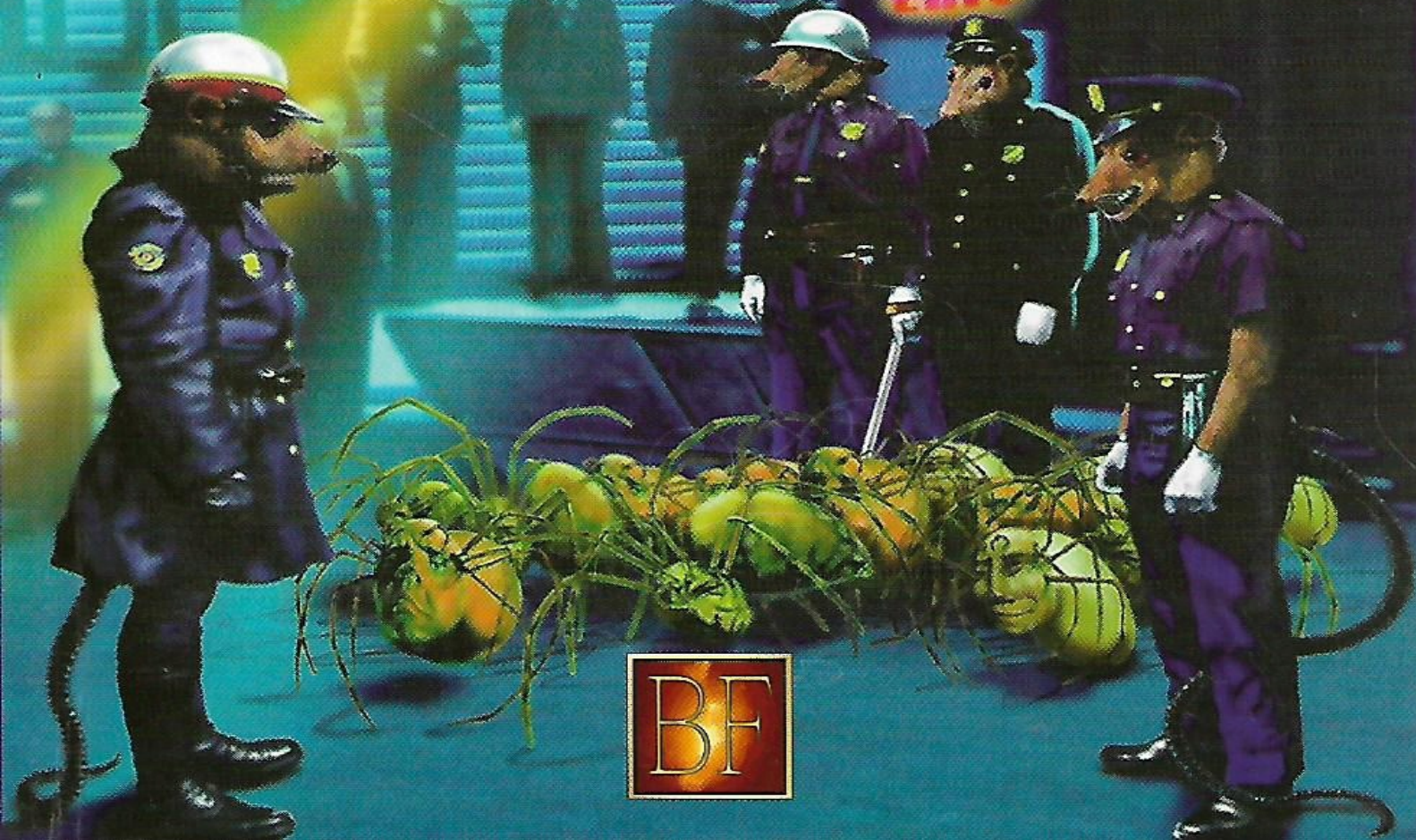


Clifford D. Simak

# PROJEKT PAPIEŻ



BF



# Spis treści

- [Karta tytułowa](#)
- [PROLOG](#)
  - [ROZDZIAŁ 1](#)
  - [ROZDZIAŁ 2](#)
  - [ROZDZIAŁ 3](#)
  - [ROZDZIAŁ 4](#)
  - [ROZDZIAŁ 5](#)
  - [ROZDZIAŁ 6](#)
  - [ROZDZIAŁ 7](#)
  - [ROZDZIAŁ 8](#)
  - [ROZDZIAŁ 9](#)
  - [ROZDZIAŁ 10](#)
  - [ROZDZIAŁ 11](#)
  - [ROZDZIAŁ 12](#)
  - [ROZDZIAŁ 13](#)
  - [ROZDZIAŁ 14](#)
  - [ROZDZIAŁ 15](#)
  - [ROZDZIAŁ 16](#)
  - [ROZDZIAŁ 17](#)
  - [ROZDZIAŁ 18](#)
  - [ROZDZIAŁ 19](#)
  - [ROZDZIAŁ 20](#)
  - [ROZDZIAŁ 21](#)
  - [ROZDZIAŁ 22](#)
  - [ROZDZIAŁ 23](#)
  - [ROZDZIAŁ 24](#)
  - [ROZDZIAŁ 25](#)
  - [ROZDZIAŁ 26](#)

- [ROZDZIAŁ 27](#)
- [ROZDZIAŁ 28](#)
- [ROZDZIAŁ 29](#)
- [ROZDZIAŁ 30](#)
- [ROZDZIAŁ 31](#)
- [ROZDZIAŁ 32](#)
- [ROZDZIAŁ 33](#)
- [ROZDZIAŁ 34](#)
- [ROZDZIAŁ 35](#)
- [ROZDZIAŁ 36](#)
- [ROZDZIAŁ 37](#)
- [ROZDZIAŁ 38](#)
- [ROZDZIAŁ 39](#)
- [ROZDZIAŁ 40](#)
- [ROZDZIAŁ 41](#)
- [ROZDZIAŁ 42](#)
- [ROZDZIAŁ 43](#)
- [ROZDZIAŁ 44](#)
- [ROZDZIAŁ 45](#)
- [ROZDZIAŁ 46](#)
- [ROZDZIAŁ 47](#)
- [ROZDZIAŁ 48](#)
- [ROZDZIAŁ 49](#)
- [ROZDZIAŁ 50](#)
- [ROZDZIAŁ 51](#)
- [ROZDZIAŁ 52](#)
- [ROZDZIAŁ 53](#)
- [ROZDZIAŁ 54](#)
- [ROZDZIAŁ 55](#)
- [ROZDZIAŁ 56](#)
- [ROZDZIAŁ 57](#)
- [ROZDZIAŁ 58](#)

- [ROZDZIAŁ 59](#)
- [ROZDZIAŁ 60](#)
- [ROZDZIAŁ 61](#)

**Clifford D. Simak**

**PROJEKT  
PAPIEŻ**

Przełożył  
Jarosław Józwiak

**ALFA**

1997

## PROLOG

Szeptacz zatrzymał Thomasa Deckera o pół godziny drogi od domu.

Decker — powiedział Szeptacz, a jego głos rozbrzmiewał w umyśle Deckera. — Decker, wreszcie cię dostanę. Tym razem będziesz mój.

Decker obrócił się na szlaku gry, którym podążał już od dłuższego czasu. Podniósł strzelbę przytrzymując ją z dala od ciała, gotów przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa momentalnie przyłożyć ją do ramienia.

W polu widzenia nie działo się jednak nic niepokojącego. Gąszcz nieruchomych drzew i zarośli ograniczał szlak z obu stron. Wiał lekki wiatr, nie słychać było ptaków. Całkowity spokój. Wszystko wydawało się zamrożone w bezruchu, jakby utrwalone w ten sposób na wieki. Decker!

Słowo to zabrzmiało w jego mózgu. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Jedynym źródłem głosu był jego umysł i jak dotąd, w czasie wszystkich swoich wcześniejszych spotkań z Szeptaczem, nie był w stanie stwierdzić, czy w jego umyśle rzeczywiście pojawił się jakiś dźwięk. Rozpoznawał po prostu słowa, umieszczone przez kogoś w określonym obszarze jego mózgu — w okolicy czołowej, tuż ponad oczami.

Nie tym razem, Szeptaczu odparł nie otwierając ust, formułując jedynie myśli i słowa wewnątrz swego umysłu, tak aby Szeptacz mógł je odczytać. — Dziś nie zagram w twoją grę. Skończyłem z tym.

Tchórz, odrzekł Szeptacz. Tchórz, tchórz, tchórz!

Do diabła z twoimi gierkami, odparł Decker. Tylko wyjdź i pokaż się, to zobaczymy, czy jestem tchórzem. Mam cię dość, Szeptaczu. Mam cię już potąd.

Jesteś tchórzem, powtórzył Szeptacz. Ostatnim razem miałeś mnie w zasięgu strzału i nie pociągnąłeś za spust. Jesteś tchórzem, Decker, tchórzem.

Nie mam żadnego powodu, żeby cię zabijać, Szeptaczu. Prawdę mówiąc nie mam nawet na to ochoty. Ale, tak mi dopomóż Bóg, wpakuję ci kulę tylko po to, żeby mieć cię wreszcie z głowy.

Chyba że ja dopadnę cię pierwszy.

Miałeś już swoją szansę — odparł Decker. — Musiałeś mieć już wiele sposobności. Skończmy więc te pogaduszki. Nie chcesz mnie zabić tak samo, jak ja nie chcę zabić ciebie. Jedyne czego pragniesz, to kontynuować grę. A ja mam już dość twoich głupich gier. Jestem głodny, zmęczony i chcę wreszcie iść do domu. Nie mam zamiaru bawić się w chowanego, ganiając za tobą po lesie.

W trakcie rozmowy zdążył się już zorientować, gdzie schował się Szeptacz i powoli ruszył szlakiem w kierunku miejsca, gdzie tamten siedział ukryty w zaroślach.

Tym razem ci się poszczęściło, powiedział Szeptacz. Znalazłeś kupę kamieni. Może nawet diamenty. Cholernie dobrze wiesz, że to nieprawda. Byłeś tam ze mną. Cały czas mi się przyglądałeś. Wyczułem cię. Ciężko pracujesz, kontynuował niezrażony Szeptacz. Powinieneś był znaleźć diamenty i przedtem, i teraz.

Nie szukałem diamentów.

Co robisz z kamieniami, które znajdziesz?

Po co zadajesz głupie pytania? Wiesz dobrze, co z nimi robię. Oddajesz kapitanowi statku, który je sprzedaje w Gutshot. Robi z ciebie głupka. Dostaje za nie trzy razy więcej, niż mówi. Tak mi

się też wydawało, powiedział Decker. Ale co mi tam! Potrzebuje pieniędzy bardziej niż ja. Zbiera fundusze na kupno działki na planecie nazywanej Kwiatem Jabłoni. Skąd to nagle zainteresowanie?

*Nie sprzedajesz mu chyba wszystkiego?*

*Rzeczywiście, zatrzymuję sobie lepsze sztuki.*

*Mógłbym się nimi zająć.*

*Ty, Szeptaczu? I co byś z nimi zrobił?*

*Wyszlifował. Wypolerował. Okroił.*

*Umiesz szlifować kamienie, Szeptaczu?*

Cóż, nie kończyłem żadnej szkoły, jeśli o to ci chodzi, Decker. Jestem tylko amatorem. Teraz wiedział już dokładnie, gdzie schował się Szeptacz. Gdyby poruszył się odrobinę, Decker wpakowałby mu kulkę. Nie dał się ogłupić gadką o kamieniach i szlifowaniu. Wiedział, że Szeptacz podtrzymywał rozmowę tylko po to, żeby zamydlić mu oczy. Rzeczywiście powinien już z tym skończyć. Ten ukryty kłown od miesiący dawał mu się we znaki, śledził go i wszędzie za nim podążał, straszył, zmuszał do uczestniczenia w tej idiotycznej grze, robiąc z niego kompletnego głupca.

Mógłbym pokazać ci w strumieniu niedaleko stąd, powiedział Szeptacz, miejsce, gdzie znajdziesz masę kamieni. Jest tam taki jeden, wielki samorodek nefrytu, który chciałbym dostać. Jeśli wydobędziesz dla mnie nefryt, możesz zatrzymać sobie całą resztę. Sam go sobie wydobądź, odparł Decker. Jeśli wiesz, gdzie jest, to na co czekasz?

Ależ ja nie mogę, odrzekł Szeptacz. Nie mam ramion, które mógłbym wyciągnąć, dłoni, którymi mógłbym go objąć, ani siły, aby go unieść. Ty musisz to dla mnie zrobić. Chyba nie masz nic



przeciwko temu? Przecież jesteśmy kumplami. Tak długo prowadzimy już tę grę, że właściwie jesteśmy starymi przyjaciółmi. Niech ja cię tylko dorwę, mruknął Decker. Znajdź się tylko w zasięgu strzału...

To nie mnie miałeś w zasięgu strzału, odparł Szeptacz. To był tylko mój cień, kształt, który dzięki mnie uznałeś za moją osobę. Kiedy zobaczyłeś kształt i nie strzeliłeś, zrozumiałem, że jesteś moim przyjacielem. Wszystko jedno, powiedział Decker. Nawet jeśli to był cień, następnym razem pociągnę za spust.

Moglibyśmy być przyjaciółmi, ciągnął Szeptacz. Spędziliśmy razem dzieciństwo. Razem baraszkowaliśmy i bawiliśmy się. Dorastaliśmy poznając siebie nawzajem, więc teraz, kiedy już dojrzeliliśmy...

Dojrzeliliśmy?

Tak, Decker. Nasza przyjaźń dojrzała. Nie musimy już więcej grać. Taki był porządek rzeczy. Być może zachowałem się głupio narzucając ci ten rytuał, ale tego właśnie wymagała nasza przyjaźń.

Rytuał? Zwariowałeś, Szeptaczu.

Rytuał, którego nie poznałeś, nie zrozumiałeś, a mimo to grałeś ze mną. Nie zawsze robiłeś to z ochotą, nie zawsze wprawiało cię to w dobry humor. Często przeklinałeś mnie, wściekałeś się i byłeś żądny mojej krwi, ale jednak grałeś ze mną. A teraz, kiedy rytuał został zakończony, możemy razem iść do domu. Po moim trupie! Nie będziesz mi się pętał po mieszkaniu.

Nie będę się pętał. Zajmę mało miejsca. Mógłbym po prostu wcisnąć się w jakiś kąt. Nawet byś mnie nie zauważył. Tak bardzo potrzebuję przyjaciela, ale muszę wybrać go starannie. Musimy do siebie pasować. Szeptaczu, odparł Decker, tracisz czas. Nie mam bladego pojęcia, o co ci chodzi, ale tracisz czas.

Moglibyśmy być dla siebie mili. Szlifowałbym twoje kamienie, rozmawiałbym z tobą w samotne noce i siedziałbym z tobą przed kominkiem. Mamy sobie do opowiedzenia tyle ciekawych historii. A ty, być może mógłbyś mi pomóc z Watykanem.

Z Watykanem?! oburzył się Decker. Co do cholery masz wspólnego z Watykanem?

# ROZDZIAŁ 1

Uciekając Jason Tennyson dotarł do stromego pasma górskiego leżącego na zachód od Gutshot. Gdy tylko dojrzał światła miasta, nacisnął przycisk katapulty i poczuł, że podrywa go w górę siła, której się nie spodziewał. Na moment ogarnęła go ciemność, lecz już po chwili, kiedy obrócił się, ponownie ujrzał miasto. Wydawało mu się, że zauważył przelatującą lotnię, ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Lotnia kontynuowała swój lot nad Gutshot, lekko obniżając pułap nad oceanem otaczającym małe miasteczko i port kosmiczny od strony przeciwnej niż góry. Zgodnie z jego obliczeniami, około osiemdziesięciu kilometrów w głąb morza, lotnia uderzy w wodę i zostanie zniszczona. Miał nadzieję, że razem z nią zginie dr Jason Tennyson, ostatnimi czasy nadworny lekarz margrabiego Daventry. Radar w bazie lotniczej Gutshot niewątpliwie wyłapał lotnię i już śledził jej kurs nad wodą, ale mała wysokość, na jakiej się znajdowała, uniemożliwiała utrzymanie dłuższego kontaktu.

Tempo spadania zmniejszyło się, lecz w pewnej chwili, gdy spadochron otworzył się całkowicie, Tennyson wyrzucony został w bok i zaczął się huśtać wychylając daleko na boki. Wpadł w komin wznoszącego się powietrza i poczuł, że spadochron spychany jest w kierunku majaczących w oddali szczytów, a kołysanie ustaje. Po chwili jednak wyrwał się i zaczął powoli opadać w dół. Zwisając na końcach lin próbował zgadnąć, gdzie wyląduje. Wyglądało na to, że będzie to południowy kraniec portu kosmicznego. Wstrzymał oddech i zacisnął kciuki. Przesunął ręce między linkami spadochronu i chwycił torbę

lekarską, przyciągając ją do klatki piersiowej. Oby tak dalej, modlił się. Oby tylko tak dalej. Jak dotąd szło mu nadspodziewanie dobrze. Przez cały czas ucieczki udawało mu się utrzymywać lotnię na małej wysokości. Mknął przez noc, omijając bazy, których radary przeszukiwały niebo. W tych pełnych nienawiści czasach rywalizujących ze sobą lenn utrzymywano stałą kontrolę przestrzeni powietrznej. Nikt nie wiedział kiedy i z której strony nadejdą pikujący w ataku wojownicy.

Spoglądając w dół, próbował ocenić odległość od ziemi, ale panujące ciemności sprawiały, że nie mógł nic dojrzeć. Czuł, że jest spięty, więc postanowił się odprężyć. Kiedy spadnie, powinien być rozluźniony.

Skupisko świateł miasta znajdowało się w niewielkiej odległości na północ. Błyszcząca plama portu kosmicznego leżała na wprost, tuż przed nim. W pewnym momencie światła portu znikły i Tennyson na uginających się nogach opadł wreszcie na ziemię. Rzucił się w bok, przyciskając do siebie torbę. Spadochron opadł tuż koło niego i Tennyson próbował teraz wyswobodzić się z płataniny linek i sznurów.

Jak zauważył, wylądował blisko skupiska dużych magazynów, na południowym brzegu portu i to właśnie one zasłoniły go przed światłami. Szczęście najwyraźniej go nie opuszczało. Nawet gdyby miał możliwość zaplanowania tego wcześniej, nie mógłby wybrać lepszego miejsca na lądowanie.

Jego wzrok z wolna przyzwyczajał się do nocnych ciemności. Po chwili rozpoznał, że znajduje się tuż obok alei przebiegającej pomiędzy dwoma magazynami. Zauważył też, że magazyny ustawione zostały na palach wysokości około trzydziestu centymetrów, zostawiających wolną przestrzeń między ziemią a



podłogą budynku. Było to idealne miejsce na ukrycie spadochronu. Mógł złożyć go w kostkę i wepchnąć jak najgłębiej. Gdyby znalazł jakiś patyk, mógłby go wetknąć jeszcze dalej. Musiał wsunąć spadochron na taką odległość, aby nie zauważyła go przechodząca tędy osoba. Oszczędziłoby mu to dużo czasu. Wcześniej obawiał się, że będzie musiał wykopać dziurę lub znaleźć zarośla, gdzie mógłby ukryć spadochron. Chodziło tylko o to, aby nie odnaleziono go w ciągu kilku następnych dni. Ukryty pod magazynem mógł spokojnie przeleżeć niedostrzeżony kilka ładnych lat.

Teraz miał tylko jeden cel — znaleźć statek i dostać się na jego pokład. Być może będzie musiał przekupić członka załogi, ale to nie powinno być trudne. Przebywające tu statki, w większości frachtowce, odwiedzały Gutshot dosyć często. Dla niektórych była to jednak zapewne pierwsza i ostatnia wizyta w tym miejscu. Kiedy tylko dostanie się na statek, będzie bezpieczny. Jeśli nikt nie znajdzie spadochronu, nie odgadną, że katapultował się z lotni.

Po schowaniu spadochronu i odwiązaniu torby, którą opasał się wcześniej w talii, ruszył drogą między magazynami. Na końcu alei zatrzymał się. W porcie, dokładnie naprzeciw miejsca, w którym stał w tej chwili, znajdował się statek. Kładka służąca za trap opuszczona była na brzeg, a długa kolejka oczekujących — różnej maści obcych — kierowana była na pokład przez małą grupkę szczuropodobnych stworzeń. Kolejka ciągnęła się na pewną odległość od statku, a szczuropodobni strażnicy pokrzykiwali na stojących w niej obcych, ponagając i niedwuznacznie machając trzymanymi maczugami.

Tennyson domyślił się, że statek miał wkrótce odlecieć, zastanawiał się tylko, dokąd zmierzał. W porcie stało kilka

jednostek pasażerskich innego typu. Była to pękata stara balia, pomalowana na czarno i mocno” podejrzana. Nazwa wymalowana była w widocznym miejscu, ale zajęło mu trochę czasu, zanim zdołał odczytać Wędrownik, bo farba odpadała płatami, a kadłub pokrywała warstwa rdzy. Statek nie prezentował się elegancko. Z pewnością nie był to środek lokomocji, który wybrałby jakikolwiek szanujący się podróżnik. Ale gdy tak patrzył na niego z rosnącym niesmakiem, przypomniało mu się, że nie znajduje się obecnie w sytuacji pozwalającej na wybrzydzenie. Statek miał wkrótce odlecieć i było to zdecydowanie ważniejsze niż cel, do którego zmierzał. Gdyby tylko udało mu się dostać na pokład, byłby zadowolony. Miał nadzieję, że szczęście go nie opuści...

Tennyson wynurzył się spomiędzy magazynów. Po jego prawej stronie, przed magazynem, silny strumień światła padał na drózkę biegnącą równolegle do skraju portu. Posuwając się ostrożnie kilka metrów dalej spostrzegł, że światło dochodziło z małego baru.

Na dole, przy kładce, ktoś wszczął kłótnię. Podobna do pająka istota, na pierwszy rzut oka składająca się jedynie z rąk i nóg, kłóciła się z jednym ze szczeropodobnych strażników nadzorujących załadunek. Po chwili obcy został wypchnięty z kolejki przez jednego ze strażników, który zaczął okładać go maczugą.

Przednia ściana magazynu pogrążona była w głębokiej ciemności. Wykorzystując ten fakt, Tennyson przesuwał się wzdłuż niej w szybkim tempie. Dotarł wreszcie do jej końca i znieruchomiał patrząc na bar. Oceniał, że najlepiej byłoby ominąć budynek i zbliżyć się do statku od strony dzioba. Chowając się w cieniu mógłby następnie dotrzeć do trapu i poczekać na

odpowiednią chwilę.

Ostatni pasażerowie w kolejce tłoczyli się przy trapie. W ciągu kilku minut oni również mieli znaleźć się na pokładzie. Być może statek nie odleci natychmiast, ale przeczucie podpowiadało Tennysonowi, że jeśli chce się dostać na pokład, musi działać szybko.

Uznał, że aby ominąć bar, powinien po prostu przejść koło niego, sprawiając wrażenie człowieka, który właśnie idzie zamustrować się na statku. Nawet jeśli go ktoś zauważy, nie zwróci na niego uwagi. W chwili gdy zastanawiał się nad sposobem niepostrzeżonego dotarcia do statku, strażnik zajęty dotąd okładaniem pająkowego pasażera ponownie zajął pozycję przy trapie.

Wynurzywszy się z cienia magazynu, Tennyson wszedł na ścieżkę prowadzącą koło wejścia do baru. Za barem stał kolejny magazyn pograżony w głębokim mroku. Gdyby tylko udało się dotrzeć do niego nie będąc zauważonym, dalszą drogę pokonałby prawdopodobnie bez przeszkód. W drugorzędnym porcie, takim jak ten, środki bezpieczeństwa nie były zbyt rygorystyczne.

Ruszył w kierunku baru. Patrząc w jedno z trzech oświetlonych okien, zauważył wieszak na płaszcze stojący za drzwiami. Przystanął, zaskoczony ujrzanym widokiem. Na drążku wisiała niebieska kurtka z wyszytą na piersi złotymi nićmi nazwą statku Wędrownik. Powyżej spoczywała czapka do kompletu.

Wiedziony impulsem, Tennyson otworzył drzwi i wszedł do baru. Grupa ludzi i obcych zajmowała miejsca za stołami w głębi pomieszczenia. Kilkoro siedziało również przy barze. Barman uwijał się jak w ukropie. Parę osób podniosło głowy i spojrzało na przybysza, ale po chwili wrócili do swych poprzednich zajęć.

Nie czekając, Tennyson schwycił kombinezon i czapkę i wyszedł na zewnątrz starając się ukryć zdobycz przed wzrokiem obcych. Nałożył czapkę i z pewnym trudem wcisnął się w kurtkę.

Kolejka na statek znikła. Najwyraźniej wszyscy zdążyli się już zaokrętować. U stóp trapu pozostał tylko jeden szczuropodobny strażnik. Tennyson natychmiast podążył zdecydowanym krokiem w kierunku statku.

Strażnik mógł go zatrzymać, ale Tennysonowi wydawało się, że nowe przebranie będzie odpowiednią przepustką. Było raczej pewne, że nie zostanie rozpoznany jako intruz. Ludzie bardzo rzadko potrafili rozpoznać któregoś z obcych, najczęściej dla nich wszyscy wyglądali podobnie. To samo tyczyło się obcych, którzy nie potrafili odróżnić jednego człowieka od drugiego. Dotarł do trapu. Szczuropodobny strażnik niedbale zasalutował.

— Witam, Sir — wymamrotał. — Kapitan pytał już o pana.



## ROZDZIAŁ 2

Po pewnym czasie, jeden ze szczuropodobnych członków załogi odnalazł go w małym, przypominającym szafę schowku, gdzie wcisnął się po wejściu na statek. Został stamtąd wywleczony i zaprowadzony do kapitana, siedzącego samotnie w sterowni i oddającego się słodkiemu nieróbstwu. Statek leciał zgodnie z kursem i w danej chwili nie było nic do roboty.

— Kto to jest? — spytał kapitan.

— Pasażer na gapę — odpowiedział obcy. — Wyciągnąłem go ze schowka na rufie.

— W porządku — kapitan kiwnął głową. — Zostaw go tu. Możesz odejść.

Gryzoń ruszył do drzwi.

— Proszę o zwrot mojej torby — rzucił za nim Tennyson.

Szczur zatrzymał się i odwrócił, ale nie puścił torby. Kapitan nie wytrzymał.

— Daj mi tę torbę i spływaj. Nie chcę cię tu widzieć.

Szczur posłusznie oddał torbę i w pośpiechu opuścił sterownię.

Kapitan przyjrzał się w zamyśleniu torbie, po czym podniósł głowę.

— A więc pan Jason Tennyson, prawda? Lekarz? — spytał.

Tennyson kiwnął głową.

— Tak, jestem lekarzem.

Kapitan położył torbę na podłodze, za krzesłem, na którym siedział.

— W mojej karierze zdarzyło mi się już kilku pasażerów na

gapę. Ale jeszcze nigdy lekarz. Niech mi pan powie, doktorze, o co tu chodzi?

— To długa opowieść — odparł Tennyson — ale wolałbym jej teraz nie zaczynać.

— Siedział pan tam przez parę godzin — ciągnął kapitan. — Pewnie udało się panu wejść w Gutshot. Dlaczego pan tak długo czekał?

— Właśnie miałem zamiar wyjść, kiedy pański przyjaciel wywlókł mnie stamtąd siłą.

— To nie był mój przyjaciel.

— Przepraszam.

— Na tym statku, poza nami nie ma — ani jednego człowieka — kontynuował kapitan. — Nikt nie chce latać tak daleko. Żeby skompletować załogę muszę przyjmować różne szumowiny. Latam z nimi rozwożąc ładunki innych szumowin aż na Koniec Wszechświata i...

— Koniec czego?

— Koniec Wszechświata. Tam właśnie zmierzamy. Niech mi pan nie mówi, że nie tam chciał pan się dostać?

— Do tej chwili nie — odparł lekko zaskoczony Tennyson. — Nigdy nie słyszałem o takim miejscu.

— W takim razie zapewne chciał pan po prostu opuścić Gutshot.

— Tym razem, Kapitanie, pańskie domysły są trafne.

— Jakież problemy?

— Ratowałem swoje życie.

— I wpadł pan na pierwszy statek, który odlatywał?

Tennyson potwierdził skinieniem głowy.

— Usiądź człowieku — powiedział kapitan. — Nie stój tak. Chcesz coś do picia?

— Chętnie — zgodził się Tennyson.

— Powiedz mi — spytał kapitan — czy ktoś widział, jak wkradałeś się na statek?

— Raczej nie.

— Na pewno?

— Poszedłem wcześniej do baru. Wie pan, do jednej z tych portowych knajp. Kiedy wychodziłem, przypadkiem wziąłem czyjaś kurtkę i czapkę. O ile pamiętam, bardzo się spieszyłem...

— Teraz już wiemy, co stało się z ubraniem Jenkinsa. Jenkins to mój pierwszy mat.

— Oczywiście zaraz oddam kurtkę i czapkę — szybko odparł Tennyson. — Zostawiłem je w kryjówce.

— To dziwne — ciągnął kapitan. — Nie zadałeś sobie nawet trudu, żeby sprawdzić dokąd leci ten statek. Najwyraźniej nie chciałeś lecieć na Koniec Wszechświata.

— To akurat było mi obojętne. Chciałem polecieć w każde miejsce, które nie nazywało się Gutshot — odrzekł Tennyson. — Byli bardzo blisko. Prawie mnie już mieli. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Kapitan wyciągnął rękę po butelkę znajdującą się na stole za nim i podał ją Tennysonowi.

— A teraz do konkretów. Jestem związany przepisami i muszę przytoczyć panu zasady regulaminu. Artykuł trzydzieści dziewięć paragraf dziewięć mówi, że pasażer bez ważnego biletu musi zostać zatrzymany w areszcie i odstawiony przy najbliższej okazji do portu, w którym dostał się na statek. W porcie tym powinien zostać oddany w ręce władz. Zanim to nastąpi, w czasie podróży pasażer ten zobowiązany jest do wykonywania prac wyznaczonych mu przez kapitana, co powinno przyczynić się do obniżenia kosztów jego pobytu na statku. Czy zrozumiał pan te

przepisy?

— Tak — potwierdził Tennyson. — Wiem, że przejazd bez ważnego biletu jest nielegalny, ale muszę panu powiedzieć...

— Tym niemniej jest jeszcze jedna sprawa, jaką muszę rozważyć — kontynuował kapitan. — Jako że na co dzień przebywam wśród obcych szumowin, w głębi duszy mam poczucie, że ludzie w każdych okolicznościach powinni trzymać się razem. Na statku takim jak ten nasze akcje stoją bardzo nisko, więc powinniśmy wspierać się nawzajem i przymykać oko na pewne fakty, jeśli tylko jest to możliwe...

— To bardzo miło, że pan tak uważa — odparł Tennyson — ale od dłuższego czasu bezskutecznie usiłuję panu powiedzieć coś, co całkowicie zmienia postać rzeczy. Widzi pan, ja nie jestem pasażerem na gapę.

Kapitan spojrzał na niego podejrzliwie.

— Kim w takim razie pan jest, jeśli nie pasażerem na gapę?

— Powiedzmy, że po prostu bardzo się spieszyłem. Nie miałem czasu, żeby zorganizować wyjazd oficjalnie, a ponieważ z pewnych powodów musiałem wsiąść na pański statek, dostałem się tutaj w sposób nieformalny, oszukując strażnika, który wziął mnie za pańskiego mata...

— Ale ukrył się pan.

— To akurat jest proste do wytłumaczenia. Bałem się, że mógłby pan nie dać mi czasu na wyjaśnienia i, będąc pryncypialnym, wyrzucić mnie ze statku. Dlatego ukryłem się czekając na chwilę, kiedy wydawało mi się, że nie będzie pan już mógł zawrócić i, chcąc nie chcąc, będzie pan musiał kontynuować podróż.

— Z tego, co pan mówi, rozumiem, że jest pan gotów zapłacić za przejazd?



— Oczywiście. Proszę tylko podać cenę.

— Cóż, w takim razie pozwolę panu zapłacić za podróż zgodnie z normalną stawką, bez doliczenia ewentualnej kary.

— To bardzo miłe z pana strony.

— Doktorze Tennyson — kapitan zmienił temat — proszę się wreszcie napić. Nie przytknął pan nawet butelki do ust. Kiedy widzę, jak ktoś siedzi i bawi się pełną butelką zamiast pić, zaczynam się denerwować.

— Przepraszam, Kapitanie. Nie chciałem pana denerwować — Tennyson uniósł butelkę, pociągnął potężny łyk i opuścił ją.

— Wyborne — zachwycił się. — Cóż to takiego?

— To mikstura nazywana Szkocką. Pierwszy raz zrobiono ją na Matce Ziemi.

— Na Starej Ziemi?

— Dokładnie tak — przytaknął kapitan. — Rodzinnej planecie ludzi.

— Bardzo jestem ciekaw, jak wygląda Stara Ziemia. Był pan tam kiedykolwiek?

Kapitan skinął głową.

— Niewielu z nas postawiło nogę na jej świętej ziemi. Jesteśmy rozsiani po kosmosie i tylko nieliczni odważają się ponownie wybrać się tam, gdzie wszyscy pragniemy pewnego dnia wrócić.

— Tak to jest — mruknął Tennyson i ponownie pociągnął łyk z butelki.

— Ale wracając do naszych spraw — zreflektował się kapitan. — Obawiam się, że nie mam dla pana miejsca. Nieliczne, znajdujące się na tym statku kabiny są przepełnione. Nawet moje pokoje zostały wynajęte hordzie łuskowatych obrzydliwców pielgrzymujących na Koniec Wszechświata. Przed końcem podróży będę musiał zdezynfekować wszystkie pomieszczenia,

zanim wprowadzę się do nich z powrotem, a i tak zapewne upłyną lata, zanim pozbędę się smrodu, jaki pozostanie po nich.

— Czemu w takim razie wynajął im pan miejsca?

— Oczywiście z powodu pieniędzy — odparł kapitan. — Ta hałastra jest cholernie bogata i chcieli mieć najlepsze miejsca na statku, niezależnie od kosztów. Zgodziłem się. Każdy z nich zapłacił trzykrotnie więcej, niż wynosi normalna opłata za przejazd. Mimo to wydaje mi się, że pewnego dnia będę tego żałował. Przyszło mi sypiać na zmianę w jednej kabynie z matem. A muszę panu powiedzieć, że mat jest wiernym wyznawcą diety czosnkowej. Wydaje mu się, że to go utrzymuje w formie. Jedynie skrajna konieczność zmusza mnie do wczolgiwania się na jego koję.

— Poza panem mat jest jedynym człowiekiem?

— Niestety, tak. Jest nas tylko dwóch. Załoga składa się ze szcurków takich jak ten, który pana znalazł, i innych, podobnych mu, śmierdzących obcych. Pomieszczenia dla pasażerów i kabiny są zajęte przez przyprawiających mnie o mdłości pielgrzymów.

— Jeśli tak pan nie cierpi obcych, czemu zajmuje się pan ich przewozem? Założę się, że z równym powodzeniem mógłby pan kierować frachtowcami.

— Muszę przetrwać jeszcze pięć lat tego piekła — odparł kapitan. — Jeszcze tylko pięć lat. Na frachtowcach nie zarabia się prawdziwych pieniędzy. Za to przewożenie tych cholernych pielgrzymów jest bardzo opłacalne, jeśli tylko jest się w stanie to wytrzymać. A ja jestem wytrzymały i dlatego będę to robił jeszcze kolejne pięć lat. Do tego czasu zarobię wystarczająco dużo, żeby przejść na emeryturę. Wtedy wreszcie wrócę na różową planetę nazywaną Kwiatem Jabłoni. Głupia nazwa, ale idealnie pasuje do tego miejsca. Czy był pan kiedykolwiek na

jakiejś różowej planecie, doktorze? Nie ma ich zbyt wielu.

— Nie, nigdy.

— Szkoda — westchnął kapitan.

Od strony otwartych drzwi dało się słyszeć skrzypnięcie.

Kapitan odwrócił się na krześle.

— A, to ty, kochanie — powiedział wyraźnie uradowany.

Tennyson również obrócił się. W drzwiach stała jakaś kobieta. Miała imponującą figurę, szerokie ramiona i biodra, piękne oczy osadzone w pełnej wyrazu twarzy, duże, kształtne usta i błyszczące jak złoto włosy.

— Wejdz, proszę — powiedział kapitan. — Jak widzisz, mamy jeszcze jednego pasażera. Czwooro ludzi na pokładzie w czasie jednego tylko rejsu. To chyba nasz rekord.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — rzekła kobieta.

— Ależ skąd — odparł kapitan. — Bardzo się cieszymy, że zechciałaś nas odwiedzić. Jill Roberts, a to doktor Tennyson. Doktor Jason Tennyson.

Wyciągnęła rękę do Tennysona.

— Miło mi spotkać kolejnego człowieka. Gdzie się pan ukrywał?

Tennyson momentalnie zamarł. Obracając się, kobieta stanęła tak, że ujrzał jej zasłonięty dotąd drugi policzek. Przez całą jego długość, od szczęki aż po skroń biegła wyraźna, czerwona szrama.

— Przykro mi, doktorze — powiedziała. — Tak już wyglądam. Od lat straszę tym wszystkich przyjaciół.

— Proszę mi wybaczyć — odrzekł wyraźnie speszony Tennyson. — Moje zachowanie jest naganne. Jako lekarz...

— Jako lekarz nie może pan nic na to poradzić. Zamaskowanie tego w jakikolwiek sposób jest niemożliwe. Nawet operacja

plastyczna jest niewykonalna. Tak już po prostu musi zostać. Muszę z tym żyć. Zresztą, już się nauczyłam z tym żyć.

— Panna Roberts jest pisarką — wyjaśnił kapitan. Artykuły do czasopism, długa półka książek.

— Jeśli butelka nie przyrosła jeszcze do pańskiej ręki, to czy mógłby pan pozwolić mi zniejszyć nieco jej zawartość? — spytała Jill Roberts.

— Oczywiście — odpowiedział szybko Tennyson. — Pozwoli pani, że wytrę. — Dokładnie przetarł szyjkę butelki końcem rękawa koszuli.

— Wygląda na to, że na tej puszcze po konserwach nie ma ani jednej szklanki — ciągnęła Jill Roberts. — Ale, prawdę mówiąc, specjalnie mi to nie przeszkadza. Picie z kimś z jednej butelki to tylko jeden ze sposobów wymiany zarazków.

Wzięła butelkę i usiadła na jednym wolnym krześle.

— Gdzie też pan śpi? — spytała Tennysona. — Kapitan wspominał mi, że wszystkie kabiny są zajęte. Nie upchnął chyba pana razem z tym obcym bydłem w czwartej klasie?

— Doktor Tennyson — powiedział kapitan z uśmiechem — trochę się spóźnił. Szczerze powiedziawszy, nie mam go gdzie umieścić. Pojawił się dość niespodziewanie.

Kobieta podniosła butelkę do ust, opuściła i spojrzała podejrzliwie na Tennysona.

— To prawda? — spytała. Tennyson uśmiechnął się szeroko.

— Kapitan stara się być uprzejmy. Tak naprawdę jestem pasażerem na gapę. A co do kabiny, nie powinniście się państwo tym martwić, ułożę się gdziekolwiek. I tak jestem szczęśliwy, że udało mi się dostać na pokład.

— Jeśli już mamy być skrupulatni, to prawda wygląda jeszcze inaczej. — Kapitan poczuł się zobowiązany wyjaśnić sprawę do



końca. — Doktor rzeczywiście jest pasażerem na gapę, ale pragnie zapłacić za podróż. Dlatego, z praktycznego punktu widzenia, od tej chwili nie jest już pasażerem na gapę.

— Ależ pan musi być głodny — zauważyła Jill. — Pewnie nie wziął pan ze sobą jedzenia.

— Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym — odparł Tennyson. — Prawdę mówiąc, zbyt się spieszyłem. Ale wystarczyłby mi jakiś stek.

— Na tej konserwie nie ujrzy pan steków — uśmiechnęła się Jill. — Ale na pewno znajdzie się coś do wypełnienia żołądka. Prawda, Kapitanie?

— Oczywiście — zgodził się kapitan. — Nie powinno z tym być większych problemów. Jestem pewien, że coś się znajdzie.

Jill wstała i wetknęła sobie butelkę pod pachę.

— Proszę przysłać jedzenie do mojej kabiny — rzuciła w stronę kapitana, a następnie zwróciła się do Tennysona: — Proszę ze mną. Umyjemy pana, uczeszymy i zobaczymy, jak pan naprawdę wygląda.

## ROZDZIAŁ 3

Najpierw wyjaśnijmy sobie parę spraw — zaczęła Jill. — Po tak krótkiej znajomości, nie mam zamiaru wskakiwać z tobą do łóżka, a właściwie do koi, bo łóżkiem nazwać się tego nie da. Będziemy spać na zmianę, tak jak kapitan i mat. Będziemy razem jadać posiłki, rozmawiać i grać na moich muzycznych kryształach. Ponieważ z natury jestem ugodowa, będę starała się wytrzymać z tobą, ale jeśli staniesz się nie do zniesienia, wyrzucę cię bez ogródek.

— Postaram się dobrze zachowywać — odparł Tennyson — chociaż wydaje mi się, że będę wystawiony na pokuszenie. Czuję się jak bezdomny pies, którego ktoś wreszcie zechciał przygarnąć.

Połówką kromki chleba wyczyścił talerz zbierając resztę sosu z gulaszu.

— Przy moim wilczym głodzie, nawet ten posiłek był smaczny, ale i tak wyraźnie wyczułem, że zalatywał czymś dziwnym — zastanawiał się na głos Tennyson. — To chyba gulasz, ale z czego on był właściwie zrobiony?

— Lepiej nie pytaj — odpowiedziała Jill. — Po prostu zamknij oczy i jedz. Zatykanie sobie nosa również pomaga, jeśli tylko człowiek się nie udusi. Istnieje pewne podejrzenie, że kiedy umiera któryś z pielgrzymów, a trochę ich tam umiera, bo jak wiadomo warunki w czwartej klasie nie są najlepsze...

— 26 Chttora u.

Tennyson machnął szybko ręką.

— Proszę, przestań — przerwał jej. — Mój organizm potrzebuje pożywienia, a poza tym chciałbym, żeby zostało ono

tam, gdzie znajdzie się teraz.

— Nigdy bym nie pomyślała, że lekarz może być tak wyczulony na tym punkcie.

— Lekarze, moja droga, nie są wielkimi brutalami.

— Odstaw talerz — zakończyła dyskusję Jill. — Wytarłeś go tak, że aż się świeci. Zapomniałeś, że nadal mam butelkę od kapitana.

— Zauważyłem. Przezornie nie wypuściłaś jej z ręki ani na chwilę.

— Tak naprawdę, to ta butelka nie należy do kapitana. Buchnął ją z ładunku, który przewozi. W czasie każdego kursu dostaje do transportu kilka skrzynek w ramach dostaw specjalnych dla gnomów biorących udział w Projekcie Papież.

— Gnomów biorących udział w Projekcie Papież? Co do diabła ma to wspólnego z gnomami i co to jest Projekt Papież?

— Chcesz mi powiedzieć, że nic nie wiesz?

— Nic a nic — potwierdził Tennyson.

— Cóż, chyba jednak to nie są gnomy, chociaż często tak się ich nazywa. Niektórzy to ludzie, ale zdecydowaną większość stanowią roboty.

— Nic z tego nie rozumiem — wtrącił Tennyson. — Może zacznij od początku. Muszę przyznać, że brzmi to tajemniczo i...

— Zaraz, zaraz, ale ja też tu czegoś nie rozumiem — przerwała Jill. — Kapitan powiedział, że jesteś pasażerem na gapę, ale zgodziłeś się zapłacić za swój przejazd. Jeśli nie wiesz nic o Projekcie Papież, to dlaczego chcesz dotrzeć na Koniec Wszechświata? Jedynym powodem, dla którego się tam leci, jest Projekt Papież.

— Dobrze więc — odparł Tennyson. — Przyznaję, że zanim moja noga stanęła na tym statku, nigdy nie słyszałem o Końcu

Wszechświata ani o Projekcie Papież. A w ogóle, to co to jest ten Koniec Wszechświata?

— W odpowiednim czasie będę pierwszą osobą, która z przyjemnością podzieli się z tobą wszystkimi posiadanymi informacjami. Ale to chyba ty pierwszy powinienes zacząć wyjaśnienia. Pamiętaj, że przyjechałam cię do swojej kabiny. Dzielę z tobą koję. Napijmy się, a potem opowiedz mi całą historię.

Jill pociągnęła duży łyk. Tennyson wziął od niej butelkę, napił się i oddał z powrotem.

— Wiesz — powiedział — to draństwo jest mocne.

— Mów — odpowiedziała.

— Cóż, po pierwsze, naprawdę jestem lekarzem.

— W to akurat nigdy nie wątpiałam. Rzuciłam okiem do wnętrza twojej torby.

— Co wiesz o Gutshot, planecie, z której wylecieliśmy?

Jill wstrząsnął dreszcz.

— Okropne miejsce, chociaż cieszyłam się, kiedy tam doleciałam. To ostatni przystanek w drodze na Koniec Wszechświata, a ja miałam już dość przesiadek. Oczywiście nigdy, nawet w najśmielszych snach, nie myślałam, że będę musiała lecieć na tak obrzydliwym statku jak ten, jednak kiedy się rozglądałam za jakimś środkiem lokomocji powiedzieli mi, że to jedyny statek, jaki kursuje między Gutshot i Końcem Wszechświata. Nasz kapitan, chcąc nie chcąc, zawsze przewozi jedynie pielgrzymów.

— A co do pielgrzymów...

— Poczekaj. Najpierw opowiedz mi o Gutshot, a potem ja opowiem ci o gnomach, papieżach i pielgrzymach.

— Historia jest prosta — zaczął Tennyson. — Gutshot, jak być może wiesz, to planeta feudalna. Wiele małych lenn

kierowanych przez brudnych zarządców. Niektórzy z nich to ludzie, jednak większość to obcy. Byłem nadwornym lekarzem margrabiego Daventry. Człowieka, jak łatwo się domyślić. Człowiek-lekarz uczony w medycynie ludzkiej nie byłby zbyt przydatny obcym. Nie była to praca, jaką sobie wymarzyłem, ale i tak uważałem się za szczęściarza. Młody lekarz, który dopiero co opuścił akademię medyczną, zazwyczaj nie jest w stanie znaleźć pracy, chyba że ma jakieś pieniądze. Ja jednak nie miałem pieniędzy, a w okolicy jakoś nie roiło się od szpitali poszukujących świeżych talentów. Poza tym, żeby założyć własną praktykę, trzeba mieć naprawdę kupę forsy, a i tak przez pierwsze kilka lat, dopóki ludzie nie poznają cię i nie zaczną do ciebie przychodzić się głoduje. Po pierwszym szoku związanym z Gutshot przyzwyczailem się do nowych warunków, tak jak można się z czasem przyzwyczać do bólu zęba. W ten sposób zostałem. Pensję miałem dobrą, a nawet bardzo dobrą. Margrabia nie był złym człowiekiem. To nie znaczy, żeby był dobry, ale zły też nie. Jakoś nam szło. I kiedy wszystko się jako tako ułożyło, pewnego dnia zmarł. Nic mu nie dolegało. Po prostu przewrócił się i już. Zawał serca, jak podejrzewam, chociaż nic wcześniej na to nie wskazywało. Prawdę mówiąc, nawet nie miałem okazji stwierdzić przyczyny zgonu i...

— Nikt nie może ci nic zarzucić. To nie twoja...

— Nie rozumiesz — przerwał jej Tennyson. — System feudalny rządzi się swoimi własnymi prawami. Zgraję wilków trzyma na odległość jeden człowiek. Kiedy się popuści smycz, rzucają się sobie do gardeł. Nigdy świadomie nie mieszałem się do polityki, ale nieoficjalnie byłem doradcą i giermkim margrabiego. Dlatego walka skierowana była również przeciw mnie — prawie natychmiast rozeszła się plotka, że margrabia został otruty, ale

ma szczęście, jeszcze zanim walka zaczęła się na dobre, mnie już tam nie było. Nie miałem żadnego zaplecza wojskowego i wiedziałem o tym. Dla każdego z pretendentów byłem łatwym celem. Zgarnąłem wszystkie oszczędności, jakie przez długi czas gromadziłem, ukradłem lotnię i wziąłem nogi za pas tak szybko, jak to tylko było możliwe. Nadchodziła noc. Musiałem lecieć nisko, tak aby nie wyłapały mnie radary. Wiedziałem, że na tej planecie nie znajdę bezpiecznego miejsca...

— Więc kierowałeś się do portu.

— Tak. Wiedziałem, że zostało mi już niewiele czasu. Pościg znajdował się tuż za mną. Dlatego też musiałem znaleźć jakiś statek i to szybko. Statek, który znajdzie się w przestrzeni kosmicznej, jeszcze zanim obława dotrze do portu.

— Więc tak wygląda twoja historia?

— Właśnie tak — potwierdził. — Jedyne, co mnie w tej chwili martwi, to fakt, że musiałem zdradzić część mojej tajemnicy kapitanowi. Powinienem był skłamać, jednak miałem za mało czasu, żeby wymyślić coś sensownego.

Potrząsnęła głową.

— Nie musisz się martwić o naszego drogiego kapitana. Jeśli ktoś go o coś spyta, przysięgnie, że nic o tobie nie wie. Ma dosyć problemów. Monopol na Koniec Wszechświata bardzo mu przypadł do gustu i nie ma zamiaru go stracić. To jak żyła złota. Pakuje towary i pielgrzymów na pokład, wyrzuca ich i znów pakuje tych, których transportował w czasie poprzedniego lotu z Gutshot.

— Wszyscy przylatują z Gutshot? Nigdy nie słyszałem o pielgrzymach na Gutshot.

— Żaden z nich pewnie nie pochodzi z Gutshot. Po prostu jest to jedyna stacja wylotowa na Koniec Wszechświata. Przylatują z

całego obszaru galaktyki, zbierają się tu i czekają na statek zmierzający na Koniec Wszechświata. Następnie nasz kapitan zabiera ich na pokład i zawozi na miejsce, gdzie prowadzony jest Projekt Papież.

— Ale ty nie jesteś pielgrzymem?

— Czy ja wyglądam na pielgrzymka?

— Prawdę mówiąc, nie. Mogłabyś na chwilę dać mi potrzymać tę butelkę?

Jill podała mu trunek.

— Nie znam całej historii — zaczęła z kolei swoją opowieść. — Jadę, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Mam nadzieję, że będzie to dobry materiał na kilka artykułów. Może nawet na książkę.

— Ale masz przynajmniej o tym jakieś pojęcie, a to już i tak więcej, niż ja wiem.

— Właściwie znam tylko plotki. Opowieści, które ktoś usłyszał i przekazał dalej. Niektórzy sądzą, że te plotki to cała historia, chociaż ja uważam, że tam musi być coś więcej. Pomyśl tylko o tłumach pielgrzymów. Najpierw próbowałam wysledzić, skąd oni wszyscy przybywają, ale nie udało mi się znaleźć takiego miejsca. Prawie każdy pochodzi z innej planety. Żaden z nich nie jest człowiekiem. Być może należą do jakiegoś specyficznego rodzaju obcych, chociaż tego nie jestem pewna. Najwyraźniej są to członkowie różnego rodzaju ciemnych kultów i sekt. Może każda sekta oznacza inną wiarę, jeśli można to w ogóle nazwać wiarą. Tak czy inaczej, każdy z nich związany jest z projektem. Nie świadczy to bynajmniej, iż wiedzą o nim cokolwiek. Prawdopodobnie jest on czymś, na czym opierają swoją dziwną wiarę. Wszyscy oni pragną wiary, potrzebują czegoś, co będzie tajemnicze lub spektakularne, a najlepiej żeby było i tajemnicze, i spektakularne. Jedyłą rzeczą, która jest w tym wszystkim

interesująca, jest fakt, że w całą tę sprawę wplątani są ludzie. Miejsce, gdzie prowadzony jest Projekt Papież nazywa się Watykan-17...

— Zaraz, zaraz — przerwał jej Tennyson. To rzeczywiście ma coś wspólnego z ludźmi. Watykan, to przecież miejsce, które istniało kiedyś na Ziemi...

— Mylisz się. Ono dalej istnieje. Centrum wiary rzymskokatolickiej, która nadal wyznawana jest na Ziemi i kilku zamieszkiwanych przez ludzi planetach. Głową kościoła nadal jest Papież. Ale wątpię, czy Watykan-17 ma coś wspólnego z tym na Starej Ziemi. Wygląda to raczej na parodię. Po pierwsze, wszystkim kierują roboty...

— A co one mają wspólnego z religią Starej Ziemi?

— Nie wiem, lecz wydaje mi się, że to nie jest ta sama religia. Ktoś zapożyczył jedynie terminologię... prawdopodobnie roboty...

— Roboty?

— Wiem, że to dziwne, ale to właśnie usiłuję wytłumaczyć.

— A Koniec Wszechświata?

— Koniec Wszechświata znajduje się w galaktyce Wieniec. Jest jedną z niewielu planet tej galaktyki. Jediną rzeczą, jakiej tam nie brakuje, jest pusta przestrzeń. To już zresztą sam kraniec międzygalaktycznej przestrzeni. Jeśli chodzi o planetę jako taką, nie wiem o niej chyba nic oprócz tego, że jest podobna do Ziemi. W każdym razie ludzie mogą tam żyć bez przeszkód. Jak mi powiedziano, statek powinien dotrzeć tam w ciągu miesiąca, a nawet wcześniej. Nie pytaj mnie, ile razy przekroczyliśmy prędkość światłą, bo nie mam zielonego pojęcia. Ta stara łajba wyposażona jest w naPCd inercyjny, o co nie można by jej nawet podejrzewać. Ale bez obaw. Na swojej trasie zazwyczaj nie



spotyka żadnych innych statków i bez problemu dociera na miejsce. Każdego roku sześć razy przebywa trasę tam i z powrotem, dzięki czemu przewozi mrowie pielgrzymów. Kapitan jest dość tajemniczy. Z powodzeniem mógłby dowodzić jednym z najnowocześniejszych liniowców międzygwiazdnych, zdolności na pewno mu nie brakuje. Mimo to niańczy pielgrzymów, których nie cierpi.

— Ale zbija na tym fortunę — dorzucił Tennyson. — Powiedział mi, że jeśli tak dalej pójdzie, to za pięć lat będzie mógł przejść na emeryturę na planecie zwanej Kwiat Jabłoni.

— Tak, mnie też to powiedział. Najwyraźniej mówi o tym wszystkim. Nie wiem, czy to rzeczywiście prawda.

— Myślę, że tak — powiedział Tennyson. — Ludzie robią różne dziwne rzeczy, żeby tylko móc zrealizować swoje marzenia.

— Jason — rzekła nagle Jill. — Lubię cię. A wiesz dlaczego?

— Bo jestem szczery i godny zaufania — zgadywał Tennyson. — Jestem człowiekiem, potrafię wczuć się w twoją sytuację, jestem uczciwy...

— Eee tam. Gadanie. Lubię cię, bo potrafisz patrzeć na mnie bez wzdragania się. Nie odwracasz oczu. Ludzie, z którymi zaczynam rozmawiać, zawsze odwracają wzrok. Pogodziłam się już ze swoim wyglądem i chciałabym, żeby ludzie również się z nim pogodzili.

— To dlatego, że prawie tego nie zauważam.

— ... a poza tym jesteś uroczym łgarzem. Tej blizny po prostu nie można nie zauważyć.

— Szok, którego się doznaje patrząc na ciebie po raz pierwszy, wynika stąd, że gdyby nie ta blizna byłabyś po prostu piękna. Posiadasz klasyczny typ urody. Jedna strona twarzy nieodparcie przyciąga pięknem, druga odrzuca szpetotą.

— Proszę. Potrafisz w dodatku opowiadać o tym — uśmiechnęła się Jill — i to w taki sposób, że brzmi to zupełnie naturalnie. Żadnej litości. Nawet współczucia. Tak, jakby to było zupełnie normalne. Muszę przyznać, że to pomaga. Miło, że akceptujesz mnie taką, jaką jestem. Na początku było mi trudno. Odwiedzałam wielu różnych lekarzy, a za każdym razem i tak diagnoza była taka sama. Naczyniak włóśniczkowy. Nic nie można poradzić. Jeden ze specjalistów poradził mi nawet, żebym nosiła maskę zakrywającą połowę twarzy. Zapewniał mnie, że można by było wykonać taką maskę bez problemów...

— Jeśli potrzebujesz maski — odparł Tennyson — to masz do wyboru najlepszą, jaką tylko można sobie wyobrazić. Samoakceptacja.

— Naprawdę tak myślisz?

— Oczywiście.

— W takim razie podaj mi proszę butelkę i wypijmy za to.

Pociągnęli na zmianę z butelki.

— Jedno pytanie — rzekł Tennyson. — Nie to, żebym chciał zmienić temat, ale jest to dla mnie kwestia podstawowa. Kiedy dolecimy wreszcie na Koniec Wszechświata, czy znajdziemy tam jakieś warunki do egzystencji? Jest tam gdzie mieszkać?

— Mam rezerwację — uspokoiła go Jill. — Miejsce nazywa się Dom dla Ludzi. Tym niemniej nie wiem o nim nic prócz tego, że jest drogi, jeśli jest to w ogóle jakaś informacja.

— Kiedy tam dotrzemy, czy będę mógł pierwszego wieczoru zaprosić cię na kolację? Trzeba jak najszybciej usunąć ten smak z naszych ust.

— Cóż, oczywiście proszę pana — roześmiała się Jill. — Będzie mi bardzo miło.

## ROZDZIAŁ 4

Usiedli w sterówce, rozkładając się wygodnie w fotelach. — Pamiętajcie, nie wolno wam zrobić tego błędu i myśleć o robotach Projektu Papież jako o małych, wesołych lokajach — ostrzegął kapitan. — Są wysokoenergetycznymi urządzeniami elektronicznymi. Niektórzy ludzie uważają, że udało im się skonstruować posłuszne organiczne mózgi, chociaż osobiście w to wątpię. Oczywiście, być może mój pogląd jest krzywdzący i wynika z ograniczeń myślenia istoty biologicznej. Jeśli pomyśli się o tym realistycznie, nie ma podstaw sądzić, że myślenie technologiczne oraz aparat logiczny, przy obecnym stanie nauki, są choćby odrobinę gorsze od mózgu ludzkiego czy jakiegokolwiek innego mózgu. Roboty te przez wieki podnosiły swoje umiejętności, ulepszając się na wiele różnych sposobów, tak jak mechanik, który ulepsza silnik, żeby działał sprawniej.

— Jak dobrze je pan zna? — spytał Tennyson.

— Utrzymuję z nimi jedynie zwykłe kontakty — odparł kapitan. — Kontakty konieczne dla prowadzenia interesów. W każdym razie nie mam wśród nich przyjaciół, jeśli o to ci chodzi.

— Przepraszam, jeśli zadaję zbyt osobiste pytania — odrzekł ze skruchą Tennyson. — Po prostu był ciekaw. Wygląda na to, że znalazłem się w sytuacji, w której zupełnie się nie orientuję. Dlatego chciałbym uzyskać jak najwięcej informacji.

— Powiedziano mi, że wśród robotów są pracujący dla nich ludzie — przerwała mu Jill.

— Nie wiem, czy oni rzeczywiście pracują dla robotów. Być może pracują razem. Jest tam dość duży korpus ludzi. Ale nigdy nie miałem z nimi kontaktu. Widzę tylko roboty i to też jedynie w

przypadku, kiedy one chcą widzieć mnie. Projekt Papież to wielka operacja. Nikt poza Watykanem nie wie tak naprawdę, co się tam dzieje. Według jednej z plotek, roboty próbują skonstruować idealnego papieża, papieża elektronicznego, komputer. Wygląda na to, że Projekt Papież jest czymś w rodzaju przeinaczonego chrześcijaństwa, starej ziemskiej religii.

— Wiemy, co to chrześcijaństwo — przerwała mu Jill. — Nadal jest wielu chrześcijan, może nawet więcej niż kiedykolwiek przedtem. Mimo to chrześcijaństwo nie odgrywa już takiej roli jak w czasach, kiedy nie potrafiliśmy jeszcze podróżować w przestworzach. Zresztą wszystko jest względne. Ta religia jest wciąż bardzo ważna, ale jej znaczenie zostało rozmyte przez wiele innych religii istniejących w galaktyce. A swoją drogą, czy to nie dziwne, że wiara jest czymś tak uniwersalnym? Nawet najbardziej ohydni obcy mają swoją religię.

— Nie wszyscy — zauważył kapitan. — Na pewno nie wszyscy. Zdarzyło mi się dotrzeć do miejsc zamieszkałych przez obcych, do planet, gdzie nikt nigdy nie pomyślał o religii ani wierze. I szczerze powiedziawszy, nie zauważyłem, żeby miało to jakiś negatywny wpływ na ich egzystencję. Wręcz przeciwnie.

— Skonstruowanie papieża to bardzo dziwne zadanie — rzekł w zamyśleniu Tennyson. — Ciekawe, skąd roboty wzięły ten pomysł i jakich rezultatów oczekują.

— Z robotami nigdy nic nie wiadomo — stwierdził kapitan. — Spędź trochę czasu na podróżach kosmicznych, a przestaniesz się dziwić i przejmować tym, co kto robi i dlaczego. Żaden z tych dziwnych obcych nie myśli w ten sam sposób co my. Są po prostu zgrają półgłówków. W porównaniu z większością z nich, roboty są w pełni ludźmi.

— Powinny być — wtrąciła Jill. — To my ich stworzyliśmy.

Żadna inna kultura, tylko my. Niektórzy mówią nawet, że roboty to ulepszani ludzie.

— Może to po części prawda — zgodził się kapitan. — Mimo że czasami doprowadzają mnie do białej gorączki, i tak stoją kilka pięter wyżej od wszystkich obcych, których dotąd spotkałem.

— Nie lubi pan obcych — rzekł Tennyson z uśmiechem.

— Zgadza się. Znasz kogoś, kto ich lubi?

— A przecież włącza ich pan do swojej załogi.

— Tylko dlatego, że nie mogę skompletować załogi z ludzi. Na tym pustkowiu nie ma nas zbyt wielu.

— A poza tym przewozi pan obcych na Koniec Wszechświata i z powrotem na Gutshot.

— Ktoś musi ich przewozić — bronił się kapitan. — Zresztą, za tę cenę... Przewożę ich, ale to nie znaczy, że muszę się z nimi kumać. Nie chodzi tylko o to, że ich nie lubię, chociaż to prawda. My, ludzie, po prostu musimy się trzymać razem. W przeciwnym wypadku te potworki zaleją nas jak szarańcza.

Tennyson przyglądał się kapitanowi. Nie wyglądał na fanatyka czy bigota. Był w trudnym do określenia wieku, młody-stary człowiek z ostrą, pociągłą twarzą. Nie posiadał ani krztyny poczucia humoru. Chodząca powaga. Dziwny człowiek, pomyślał Tennyson, jeden z tych, którzy najczęściej mieszkają na uboczu, z dala od cywilizacji. Przez długie lata przewoził obcych pielgrzymów pomiędzy Gutshot a Końcem Wszechświata, a jego samotny krzyk za drugim człowiekiem, jego odraza i strach przed pasażerami urosły do ogromnych rozmiarów i stały się treścią jego życia.

— Czy mógłby nam pan opowiedzieć o Końcu Wszechświata?  
— przerwała milczenie Jill. Poruszaliśmy ten temat kilkakrotnie od czasu, kiedy weszłam na pokład, a mimo to nadal nie

powiedział mi pan, jaka to właściwie planeta, uprawia się tam ziemię, czy...

— Nic z tych rzeczy — przerwał jej kapitan. — Co prawda projekt posiada kilka ogrodów i pól, gdzie roboty uprawiają pożywienie dla swoich biologicznych braci, ale poza tym ziemia jest nie uprawiana, środowisko nietknięte przez cywilizację, w stanie, w jakim trwa od stuleci. Planety nie eksploatuje się zbyt po prostu dlatego, że jest słabo zaludniona. Jedynym człowiekiem, który stara się wykorzystać jej zasoby naturalne jest facet o nazwisku Thomas Decker. To bardzo dziwna postać. Mieszka samotnie w chacie zbudowanej na krańcu osady.

— Jest pańskim przyjacielem?

— Bez przesady. Prowadzimy jedynie wspólne interesy. Za każdym razem, kiedy tam przylatuję, oddaje mi mały woreczek kamieni półszlachetnych — granatów, akwamaryn, ametystów, topazów. Nic szczególnego, rzadko zdarza się coś naprawdę cennego. Od czasu do czasu jakiś opal. Kiedyś przyniósł parę szmaragdów. Nie można powiedzieć, żebyśmy zbijali na tym fortunę. Zresztą wydaje mi się, że nie robi tego dla pieniędzy, choć może się myłę. Zagadkowy człowiek. Nikt nic o nim nie wie, chociaż mieszka tam już od lat. Czasami myślę, że zbiera te kamienie jedynie dla samej przyjemności ich znajdowania. Nasz układ jest taki, że on dostarcza mi kamienie, a ja sprzedaję je u znajomego na Gutshot. Dostaję z tego dziesięć procent.

— Skąd on je bierze? — spytał Tennyson.

— Znajduje je w sobie tylko znanych miejscach. Chodzi w góry i przeszukuje potoki przesiewając żwir.

— Powiedział pan, że nie wydaje się panu, aby robił to dla pieniędzy — powiedziała Jill. — Z jakiego więc powodu w takim razie odbywa te wędrówki?

— Nie jestem pewien — zamyślił się kapitan. — Może jest to jedynie jego hobby, zajęcie, dzięki któremu ma co robić. Chociaż nie powiedziałem wam jeszcze jednej rzeczy. Decker nie przynosi mi wszystkiego; lepsze sztuki zatrzymuje dla siebie. Niektóre z nich nawet szlifuje. Ma u siebie taki jeden wielki nefryt, który nawet w formie surowej byłby wart masę pieniędzy. Decker wypolerował go i teraz kamień wart jest fortunę. Ale nie chce go sprzedać. Upiera się, że nefryt nie należy do niego i nie może nim rozporządzać.

— A do kogo innego miałyby należeć? Kapitan wzruszył ramionami.

— A skąd mam to wiedzieć! Może do nikogo. Może tylko tak mówi. Bóg jeden wie, o co mu chodzi. Musicie wiedzieć, że jego zachowanie pod wieloma względami jest bardzo dziwne. — Trzyma się na uboczu, ma bardzo staroświeckie podejście do wielu rzeczy, zupełnie jakby pochodził z innej epoki. Śmieszne, że wam to mówię, bo nawet nie umiem powiedzieć, dlaczego tak uważam. Nie chodzi bynajmniej o to, co robi, ani co mówi, po prostu takie odnoszę wrażenie. Mówię wam, że jest dziwny i potrafię nawet powiedzieć w czym jest dziwny, ale nie mogę dać ani jednego przykładu jego zachowania, z którego by to wynikało.

— Chyba jednak jesteście dobrymi przyjaciółmi. Zna go pan dosyć dobrze.

— Nie jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. On nie ma przyjaciół. Nie chodzi o to, że jest odpychający, po prostu nie chce trzymać z innymi ludźmi na Końcu Wszechświata. To znaczy nie odrzuca ich ani nawet ich nie unika, wystarczy, że nie szuka ich towarzystwa. Nigdy nie przyłącza się do gawiedzi w barze w Domu dla Ludzi. Prawie nigdy nie wypuszcza się w miasto. Ma

stary, zużyty samochód, jeden z tych, które bez większych problemów pokonują największe przeszkody terenowe. Odkupił go od kogoś w osadzie. Nie pamiętam od kogo. Czasami przejeżdża nim przez miasto, ale zawsze jest sam. Kiedy wyrusza w góry, w poszukiwaniu nowych kamieni, nie bierze go ze sobą. Idzie na piechotę. Tak, jakby nikogo nie potrzebował, jakby wszystko, co jest mu potrzebne, można było znaleźć tam wysoko, w dzikich górach. Kiedyś będąc w jego chacie zobaczyłem kamienie, które zatrzymuje dla siebie. Nie byłem zaproszony, chociaż wydawało mi się, że ucieszył się na mój widok. Usiedliśmy przy ogniu i rozmawialiśmy. Czasami miałem wrażenie, że opuszcza mnie i myślami wędruje gdzieś daleko. Może to wyda się dziwne, ale wyglądało zupełnie tak, jakby, rozmawiając ze mną i słuchając mnie, równocześnie prowadził rozmowę z kimś innym. Znowu nie mogę przytoczyć wam żadnego przykładu, są to jedynie moje odczucia. Kiedy wychodziłem, powiedział, że sprawił mi wielką przyjemność swoją wizytą. Mimo to nigdy sam mnie nie zapraszał i nigdy więcej go już nie odwiedzałem. Wątpię, żebym jeszcze kiedyś poszedł.

— Powiedział pan, że Decker nie zadaje się z gawiedzią w barze — wtrącił Tennyson. — Domyślam się, że chodzą tam głównie ludzie.

— Oczywiście — odparł kapitan. — Obcy mają swoje miejsca, Dom dla Ludzi jest tylko dla nas. Żadnemu obcemu nie przyszłoby do głowy, żeby tam zawędrować.

— A ludzie w Watykanie? Odwiedzają Dom dla Ludzi?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, chociaż teraz, kiedy o tym wspomniałeś, rzeczywiście wydaje mi się, że nie. W ogóle prawie nie widuje się mieszkańców Watykanu, ani ludzi, ani



robotów. Większość czasu spędzają na swoim wzgórzu i raczej nie mieszają się z miejskim tłumem. Nie dotyczy to oczywiście ludzi żyjących w mieście. Tych z kolei nie ma zbyt wielu i zazwyczaj trzymają się razem. Większość wykonuje pracę związaną w ten albo inny sposób z Projektem. To znaczy, nie są stałymi pracownikami na Watykanie, ale to, co robią, najczęściej ściśle wiąże się z Watykanem. Jeśli się nad tym zastanowić, to właściwie należałoby stwierdzić, że Koniec Wszechświata to to samo co Watykan. Nie ma tam nic innego godnego uwagi. W mieście można znaleźć trochę obcych, którzy zaopatrują w żywność pielgrzymów. Jak wiecie, większość pielgrzymów to obcy. Jednak nigdy jak dotąd nie przewoziłem człowieka-pielgrzyma, a prawdę mówiąc, w ogóle kilka razy zdarzyło mi się transportować ludzi. Akurat w czasie poprzedniego lotu na Koniec Wszechświata przewoziłem człowieka, ale nie pielgrzyma. Był lekarzem. Coś mi się zdaje, że wkrótce dostanę licencję na przewóz lekarzy.

— Nie rozumiem — potrząsnął głową Tennyson.

— Lekarz, którego przewoziłem, został zatrudniony jako nowy członek załogi Watykanu. Nazywał się Anderson, młody człowiek, ale strasznie zarozumiały. Działał mi na nerwy i musiałem robić wszystko, żeby się z nim nie pożreć. Jechał na Koniec Wszechświata, żeby zastąpić starego doktora Eastona, który pracował w Watykanie przez lata kurując, rzecz jasna, ludzką część załogi. Roboty nie potrzebują lekarzy. A może też mają swoich, nie wiem. Tak czy inaczej, Easton zmarł i na Watykanie nie było ani jednego lekarza. Już od dłuższego czasu Watykan starał się dokooptować nowego medyka, wiedząc, że Easton nie będzie żył wiecznie. Chyba trudno im jednak było zwabić kogokolwiek na Koniec Wszechświata, bo między Bogiem

a prawdą, nie jest to miejsce, gdzie lekarz czy ktokolwiek inny chciałby spędzić całe życie. Kilka miesięcy po śmierci starego doktora rozeszły się plotki, że na Gutshot zjawiał się jakiś nowy medyk. Oczywiście zapewniłem mu transport, ale kiedy tylko zszedł z pokładu, poczułem się o tonę lżejszy. Był jedynym członkiem załogi Watykanu, który leciał moim statkiem. Z tego widać, że niewiele podróżują.

— Zastanawia mnie, dlaczego jedynie obcy są pielgrzymami — powiedziała w zamyśleniu Jill. — Przecież Watykan nastawiony jest na ludzką koncepcję religii. Projekt prowadzą roboty, które, jak wiadomo, stworzono na podobieństwo ludzi. Poza tym terminologia — Watykan i Papież. Wzięte prosto z Ziemi. Czyżby rzeczywiście był to rodzaj skarykaturowanego chrześcijaństwa?

— Być może takie były historyczne korzenie tej religii — potwierdził kapitan. — Nigdy nie udało mi się tego wyjaśnić. Prawdopodobnie jest to chrześcijaństwo przemieszane z pewną ilością innych wiar i zabobonów obcych, a wszystko to wyniesione poza możliwości poznawcze człowieka przez perwersyjne myślenie robotów.

— Ale nawet w takim przypadku — kontynuowała Jill — powinni istnieć jacyś pielgrzymi-ludzie, jakieś, choćby najmniejsze zainteresowanie ze strony ludzi.

— Może nie — wtrącił się Tennyson. — Cała masa ludzi, którzy opuścili Starą Ziemię tysiące lat temu, zostawiła również za sobą chrześcijaństwo i inne ziemskie religie. Mimo to, nawet po kilku stuleciach spędzonych w kosmosie, ludzie nadal posiadają jakieś instynktowne Wyczucie filozofii religii swoich przodków. Dlatego łatwo zauważyliby każde przekłamanie czy fałsz i nie chcieliby mieć z tym nic wspólnego.

— To prawda — odrzekł kapitan. — Tłumaczyło by to,

dlaczego obcych, nie posiadających żadnego rozeznania w koncepcji chrześcijaństwa, przyciąga tu jakiś magnes. Wydaje mi się, że to właśnie głównie oni wspierają rozwój Projektu. Niektórzy są bajecznie bogaci. Ta zgraja śmierdzieli mieszkających w mojej kabinie po prostu pławi się w forsie.

— A wracając do planety — przypomniała sobie Jill. — Niech pan nam wreszcie coś o niej powie.

— Planeta o warunkach klimatycznych zbliżonych do Ziemi. Różnice są naprawdę niewielkie. Kolonia watykańska to jedyna osada. Pozostały obszar jest nie zamieszkany, nawet nigdy nie został opisany na mapach, choć wystarczyłoby przecież parę zdjęć satelitarnych. Jak wiecie, fakt, że na planecie istnieje tylko jedna osada, nie jest czymś odosobnionym. Wiele okolicznych planet również posiada tylko jedno miasto leżące najczęściej w pobliżu portu kosmicznego. W takich wypadkach planeta i osada mają zazwyczaj tę samą nazwę. Gutshot na przykład, to oznaczenie planety i kolonii otaczającej port, podobnie zresztą jak Koniec Wszechświata. Niestety, jeśli nie liczyć Deckera, poznana część planety kończy się w odległości kilku kilometrów od osady. Zresztą myślę, że nawet Decker nie zapuszczał się daleko w góry. Gutshot znam oczywiście lepiej. Jak wiadomo, składa się ona z wielu feudalnych lenn, ale i tak duża część planety pozostaje nadal dzika i niezbadana.

Jeśli chodzi o Koniec Wszechświata, to większość nadal jest nie znana. Podejrzewa się, że nie istnieją na niej żadne inteligentne formy życia, chociaż jest to jedynie przypuszczenie. Nikt tak naprawdę ich nie szukał, więc może się zdarzyć, że pewnego dnia zostaną odkryte. Obficie występują za to formy zwierzęce, roślinożerne i mięsożerne. Jak mówi się w osadzie, niektóre z mięsożernych są wielkimi drapieżnikami. Spytałem o nie kiedyś

Deckera, ale zbył mnie wzruszeniem ramion. A teraz niech pan nam powie — tu kapitan szybko zmienił temat zwracając się do Tennysona — ile czasu spędził pan na Gutshot?

— Trzy lata — odpowiedział Tennyson po chwili namysłu. — Trochę mniej niż trzy lata.

— I popadł pan w tarapaty?

— Można to tak określić.

— Kapitanie — wtrąciła Jill. — Wydaje mi się, że nie powinniśmy wściubiać nosa w nie swoje sprawy. Nikt nie widział, jak Jason wchodził na statek. Nikt nic o tym nie wie i wątpię, żeby miał pan z tego powodu jakieś przykrości.

— Jeśli to panu pomoże — ciągnął Tennyson — mogę powiedzieć, że nie popełniłem żadnego przestępstwa. Byłem podejrzany. To wszystko. Na Gutshot podejrzenie wystarcza, aby klient został ścięty.

— Doktorze Tennyson — powiedział kapitan nagle przybierając formalny ton. — Kiedy wylądujemy na Końcu Wszechświata, będzie pan mógł opuścić statek zapominając, że kiedykolwiek mnie pan widział. Myślę, że tak będzie lepiej dla nas obu. Jak już powiedziałem wcześniej, my, ludzie, musimy się trzymać razem.

## ROZDZIAŁ 5

Decker doszedł do wniosku, że wieczór to jego ulubiona pora dnia. Zjadł kolację i pozmywał naczynia. W kominku płonął ogień dający miłe ciepło. Świat został za drzwiami chaty. Po drugiej stronie stołu Szeptacz pracował nad kawałkiem topazu, który znaleźli tydzień wcześniej. Decker rozsiadł się wygodnie w fotelu zrzucając mokasyny i opierając stopy na obmurowaniu paleniska. Jeden z grubych bali płonących w kominku złamał się i osunął na inne wzniecając fontannę iskier. Języki ognia zaczęły lizać kawałki suchego drewna. We wlocie do komina coś zabulgotało niewyraźnie, tak że zrozumiał to jedynie wiatr pojękujący w odpowiedzi na poddaszu.

Decker obracając się w fotelu spojrział na drugą stronę stołu tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się Szeptacz. Czasami widział Szeptacza, a czarni nie. Na stole leżał kunsztownie oszlifowany kawałek bladozielonego nefrytu. Dobra robota, pomyślał Decker. Spoglądając na kamień trudno było rozróżnić jego krawędzie, ale od razu zauważało się, że ta dziwna płatanina nie dających się ogarnąć ludzkim umysłem szlifów stworzona została przez mózg funkcjonujący na zupełnie innych zasadach. Przyglądając się bliżej i wpatrując w linię prostą, która na początku wydawała mu się dominująca, dostrzegł, że przeistaczała się ona w drobną i pełną niuansów sieć krzywych, a wzór, który zdawał się nie mieć żadnych tajemnic, po lekkim obróceniu przekształcał się w coś zupełnie nowego i nieodgadnionego. Można było długo siedzieć i wpatrywać się w kamień, próbując odgadnąć i przeniknąć całą jego złożoność, a i tak człowiek gubił się w końcu.

Tuż obok, na stole leżał duży topaz, który w czasie szlifowania powoli zmieniał swój kształt na coraz to piękniejszy i bliższy doskonałości. Decker nigdy nie potrafił przeniknąć sposobu, w jaki Szeptacz szlifował kamienie. Widział jedynie, że z dnia na dzień kamień zmienia kształt. Nie było to jednak mechaniczne szlifowanie, bo na stole nigdy nie zauważył odprysków ani pozostałości odcinanego materiału, które niechybnie powstawałyby przy takiej obróbce. W grę nie wchodziło również przetapianie, bo krawędzie kamieni były ostre, zupełnie jakby zostały okrojone. Szeptacz nie korzystał z żadnych narzędzi, zresztą nie miał nawet możliwości ich używania. Jego istnienie było tak bliskie niebytowi, że w pojęciu Deckera granica ta często zupełnie się zacierała. Mimo to Szeptacz potrafił wykonywać różne czynności. Przemawiał do podświadomości, zmieniał kształt kamieni, pojawiał się i znikał, będąc jednocześnie w wielu miejscach naraz.

Nagle Decker znów zauważył Szeptacza zawieszzonego nad kryształem topazu w postaci delikatnej poświaty diamentowego pyłu. Znowu się przede mną chowasz, powiedział w myślach do Szeptacza. Wiesz dobrze, że się nie chowam, tylko ty nie potrafisz mnie dostrzec. Nie mógłbyś od czasu do czasu poświecić trochę jaśniej? Zawsze się skradasz.

Nie drażnij się ze mną, odparł Szeptacz. Nigdy się nie skradam. Zawsze przecież potrafisz wyczuć moją obecność w podświadomości.

Tutaj Decker musiał przyznać mu rację. Kiedy tylko Szeptacz był w okolicy, natychmiast wyczuwał jego obecność. Nie wiedział jak, ale wyczuwał. Po prostu wiedział, że Szeptacz jest w pobliżu. Miał wrażenie, że mały obłoczek diamentowego pyłu (choć był więcej niż pewien, że Szeptacz to coś więcej niż tylko obłok pyłu)

znajduje się w pobliżu.

I zawsze to samo gnębiące go pytanie. Kim jest Szeptacz? Mógł go przecież o to zapytać, nawet w tej chwili, ale z jakiegoś powodu zawsze wydawało mu się to pytaniem nie na miejscu. Początkowo zastanawiał się, dlaczego Szeptacz nie odpowiada na nie, mimo że potrafił czytać w myślach Deckera. Z czasem jednak zauważył, że ta dziwna istota nie mogła lub nie chciała odczytać tego właśnie pytania. W celu przekazania Szeptaczowi informacji musiał w określonym segmencie stworzyć słowa, które następnie były odczytywane. W ten sposób rozmawiali. Największą zagadką był jednak dla Deckera sposób, w jaki on sam odczytuje informacje przekazywane przez Szeptacza. Nie istniało żadne rozsądne, przynajmniej z ludzkiego punktu widzenia, wytłumaczenie tego zjawiska.

Nie najgorzej nam poszło w czasie ostatniej wyprawy, powiedział Decker. Dla samego topazu warto się było pofatygować. A znaleźliśmy go tylko dzięki tobie. Trzeba przyznać, że to ty mi go wskazałeś, chociaż w żwirze nie było widać nic interesującego. Ani jednego świecącego kamyka, same wygładzone przez wodę otoczaki. Cholera, żebym wiedział jak ty to robisz...

Szczenie, odparł Szeptacz. Po prostu szczęście. Czasami dopisuje tobie, czasami mnie. Poprzednim razem ty znalazłeś rubin.

Nie był zbyt duży, zauważył Decker.

Ale najwyższej czystości.

Tak. Wiem. Rzeczywiście jest piękny. Mimo że niewielki, ma idealny kształt i kolor. Zdecydowałeś już, czy będziesz go szlifować?

Tak, ten kamień strasznie mnie kusi. Będę musiał dokładnie

przemyśleć szlif, bo kryształ jest na tyle mały, że aby zobaczyć jego piękno po okrojeniu musiałbyś użyć lupy.

Ja będę musiał użyć lupy? A ty?

Dla mnie, Decker, wymiary są względne, prawie bez znaczenia. W takim razie zatrzymamy go. I tak mam mnóstwo innych kamieni, które mogę oddać kapitanowi.

Znów przestał widzieć Szeptacza. Lekkie migotanie diamentowego pyłu rozplynęło się w powietrzu. Może było to związane jedynie z niewielkimi zmianami kąta i intensywności oświetlenia pokoju. Wiedział, że Szeptacz nadal jest w pokoju, bo jak zwykle wyczuwał go. A co tak naprawdę wyczuwał? Kim właściwie jest Szeptacz? Oczywiście był tutaj, w pokoju, ale czy mógł znajdować się równocześnie gdziekolwiek indziej? Jakiej był wielkości? Czy był tylko drobnym pyłkiem tańczącym w blasku kominka, czy raczej nieskończonym bytem rozprzestrzeniającym się na cały kosmos?

Istota nie posiadająca ciała, a nie zawsze niewidzialna — coś na granicy niebytu. Być może miało to coś wspólnego z tą planetą albo nawet tylko tą częścią planety. Jeśli jednak tak było, wiedział o tym jedynie Szeptacz. A on z jakiegoś powodu chciał tu być, chociaż prawdopodobnie nic nie mogłoby go powstrzymać przed przeniesieniem się w dowolne inne miejsce, do górnych warstw atmosfery lub ponad atmosferę, w przestrzeń kosmiczną, do wnętrza świecącej jaskrawo gwiazdy lub granitu stanowiącego skorupę planety, w kosmos, niezależnie od warunków panujących w określonym jego miejscu, stanowił naturalną siedzibę Szeptacza. A może Szeptacz, którego znał, był jedynie jednym z wcieleń nieogarnionej, nieskończonej istoty? Może Szeptacz tak naprawdę był wielkim, wszechobecnym bytem, istniejącym jednocześnie w każdym miejscu i czasie?



Tak czy inaczej, jest prawie pewne, że nigdy się tego nie dowie, a nawet gdyby, to i tak nigdy nic z tego nie pojmie. I zdaje się, że właśnie z tego powodu nigdy nie zdobył się na to, by zadać to pytanie. Po co miał pytać o coś, co i tak leżało poza granicami jego zrozumienia, coś, co do końca jego dni gnębiłoby go niczym nie rozwikłana zagadka, co budziłoby go w nocy, zlanego potem, co nigdy już nie dałoby mu spokoju.

Szeptacz znowu przerwał milczenie.

W lesie rozegrała się tragedia. Trzech członków załogi Watykanu nie żyje.< W lesie? Niemożliwe. Ludzie z Watykanu nigdy nie zapuszczają się w las. Wolą się trzymać blisko wzgórza.

Polowali na Nestora Lasu.

Nikt zdrowy na umyśle nie polowałby na Nestora. Kiedy jesteś w lesie, powinieneś modlić się, żeby Nestor nie zechciał zapolować na ciebie. Jeden z nich był nowy na Watykanie. Wielki chojrak. Miał broń, z pomocą której, jak mu się wydawało, potrafi poradzić sobie z każdym przeciwnikiem. Ale pomylił się.

Odnaleźli Nestora?

Nie. Nestor odnalazł ich. Wiedział, że na niego polują.

Więc nie żyją. Wszyscy trzej?

Tak. To była masakra.

Kiedy to się stało?

Kilka godzin temu. Nikt na Watykanie nie wie jeszcze o tym.

Może powinniśmy ich powiadomić?

Po co? spytał Szeptacz. Już i tak nic na to nie poradzimy — Po pewnym czasie zaczną ich szukać i wtedy znajdą ciała.

Ale Nestor będzie czekał.

Być może, odparł Szeptacz, ale nie zrobi nic złego członkom wyprawy ratunkowej. Oni nie będą na niego polować.

Więc zabija tylko tych, którzy na niego polują?

Tak. Nie wiedziałeś o tym? Przemierzasz ten las od lat.

Pewnie miałem szczęście. Nigdy nie spotkałem Nestora i nigdy nie musiałem stawić mu czoła.

Któryś z Nestorów na pewno cię widział, rzekł Szeptacz z pewnością w głosie. Nie zrobili ci nic złego, bo ty nie chciałeś im zrobić nic złego.

Rzeczywiście, uśmiechnął się Decker, to ostatnia rzecz, o jakiej marzę.

Nosisz ze sobą broń. To, co nazywasz ją strzelbą.

To prawda, ale używam jej bardzo rzadko. Czasami, gdy nie mam co włożyć do garnka, muszę coś upolować.

Ale nie zdarza się to zbyt często.

Właśnie, zgodził się Decker.

Uniósł pogrzebacz i wzruszył drwa wzniecając żywsze płomienie. Komin zabułgotał — w proteście. Wiatr bratersko przyłączył się do sprzeciwu, zawodząc na poddaszu. Skaczące płomienie wywołały paradę pojawiających się i znikających cieni.

Watykan jest mocno poruszony, powiedział Szeptacz.

Z powodu Nestora?

Nie. Nie znają go jeszcze. Wygląda na to, że Słuchacz coś znalazł.

Słuchacze cały czas coś znajdują.

Ale tym razem to coś innego.

W jakim sensie innego?

Jeszcze nie wiem. Wszyscy są poruszeni. Jedni triumfują, inni zachowują się sceptycznie, jeszcze inni są zszokowani. Jeśli to, co odbieram jest prawdą, będzie to przełom. Wskaźnik wiary podniesie się wyraźnie. Modlitwy zostaną zintensyfikowane. Czasami mają wzloty, czasami upadki, wtrącił Decker. Ciągłe coś

nowego.,

Triumfu odniesionego w tej chwili na pewno nie można nazwać małym, zaprzeczył Szeptacz. Istnieje ogromna nadzieja, wielu rozpoczęło już odmawianie pacierzy.

## ROZDZIAŁ 6

Dotarli na lądowisku gapiąc się bezmyślnie na skupisko budynków tworzących osadę na Końcu Wszechświata. Trochę wyżej, na pobliskim wzgórzu można było dostrzec rozległą strukturę, czy raczej grupę struktur, z tej odległości nie można tego było stwierdzić z całą pewnością, majestatycznie rozpostartą nad miastem. Jeszcze dalej, w tle wznosiły się purpurowe góry z ośnieżonymi szczytami, które wydawały się unosić w powietrzu nad krajobrazem.

Tennyson wskazał strukturę na wzgórzu.

— To pewnie jest Watykan.

— Tak mi się wydaje — odparła Jill.

— Widziałem kiedyś zdjęcia Watykanu na Starej Ziemi. Wyglądał zupełnie inaczej.

— Nie możesz ich porównywać — uśmiechnęła się Jill. — To tylko nazwa. Wątpię, żeby istniało między nimi jakiegokolwiek podobieństwo prócz nazwy.

— A papież?

— Dobrze. Może jest między nimi jakiś związek, ale wyłącznie pośredni. Nie sądzę, żeby to był związek oficjalny, coś, co Watykan na Starej Ziemi aprobejuje.

— I ty chcesz się wdrzeć na te szczyty?

— Jason, chyba przesadzasz. Nie mam zamiaru nigdzie się wdzierać. Gdzieś tutaj wyczuwam temat na artykuł i zamierzam go wybadać. Dostanę się tam zupełnie normalnie. Pójdę, przedstawię się i opowiem, czego tu szukam. Ciekawa tylko jestem, co ty będziesz w tym czasie robił.

— Nie mam zielonego pojęcia. Nawet się nad tym nie

zastanawiałem. Dotąd byłem zajęty ucieczką. Jedyne co wiem, to fakt, że na Gutshot wrócić nie mogę. Przynajmniej przez pewien czas.

— Brzmi to tak, jakbyś chciał uciekać dalej.

— Cóż, może nie od razu. Miejsce jak każde inne, warto się zatrzymać, odpocząć i rozejrzeć.

Długi sznur pielgrzymów wysiadających z Wędrownika ciągnął się przez lądowisko aż do punktu odpraw. Tennyson wskazał na nich skinieniem głowy.

— Czy my też musimy przechodzić przez tę procedurę?

— Chyba nie. W każdym razie nie musimy posiadać żadnych dokumentów. Koniec Wszechświata oficjalnie klasyfikowany jest jako planeta zamieszkała przez ludzi, w związku z czym posiadamy tu pewne przywileje. Podejrzewam, że kontakty między ludźmi są tutaj bardzo nieformalne. Być może już za parę dni jedząc obiad z komendantem policji albo szeryfem — nie wiem, jak to się tu nazywa — utniesz sobie z nim przyjacielską pogawędkę. Oczywiście nie jestem tego pewna, ale tak to zazwyczaj bywa w małych koloniach zamieszkałych głównie przez ludzi.

— Brzmi nieźle.

— Będziesz musiał wymyślić jakiś powód, dlaczego nie masz ze sobą żadnego bagażu. Ludzie w hotelu mogą być ciekawscy. Najlepiej, jeśli powiesz, że spiesząc się na statek w jakiś sposób zgubiłeś wszystkie walizki.

— O wszystkim pomyślisz — dziwił się Tennyson. — Trzeba przyznać, że jesteś cholernie przebiegła. Co ja bym bez ciebie zrobił?

— Cóż, ktoś musiał się tobą zaopiekować i tak się stało, że padło na mnie.

— Dziś wieczorem postaram ci się chociaż w części odwdziaczyć — obiecał Tennyson. — Kolacja w Domu dla Ludzi. Świece i czysty obrus na stole, porcelana, połyskujące kieliszki, srebra, wykwiłtne menu, butelka dobrego wina...

— Hola, hola. Wstrzymaj konie. Nie jestem pewna, czy w Domu dla Ludzi posiadają odpowiedni lokal.

— Každy lokal będzie lepszy od tej klitki, w której mieszkaliśmy na statku.

— Ta klitka była całkiem miła — zauważyła Jill. Tennyson nagle zmienił temat.

— Myślę, że ktoś wyszedł nam w końcu na spotkanie.

## ROZDZIAŁ 7

Jadalnia w Domu dla Ludzi wyglądała całkiem przyzwoicie. Na stole nakrytym białym, czystym obrusem stały połyskujące kieliszki i porcelanowa zastawa, menu składało się z pięciu dań, a wino dało się przełknąć.

— Kto by pomyślał, że będzie tak przyjemnie — westchnęła Jill. — Nie podejrzewałam, że tutejsze jedzenie może być wyśmienite. Inna sprawa, że po miesiącu spędzonym na statku każdy posiłek wydaje się ucztą.

— Jutro zaczynasz pracę — przerwał te zachwyty Tennyson. — Czy od czasu do czasu będziemy się spotykać?

— Tak często, jak to będzie możliwe. Podejrzewam, że każdego wieczora będę tu wracać. Chyba że Watykan wyrzuci mnie za drzwi albo po prostu nie wpuści do środka.

— Chcesz powiedzieć, że nie kontaktowałeś się z nimi wcześniej w tej sprawie?

— Próbowалам, ale nie udało mi się. Wysłałam parę listów, które pozostały bez żadnej odpowiedzi.

— Pewnie nie chcą reklamy.

— To się jeszcze zobaczy. Porozmawiam z nimi, a możesz mi wierzyć, że kiedy chcę, potrafię być bardzo przekonująca. A co z tobą?

— Rozejrzę się. Chcę najpierw zobaczyć, co to za miejsce. Jeśli nie ma tu żadnego innego lekarza, być może założę własną praktykę.

— Dobry pomysł — ucieszyła się Jill. — Ale czy jesteś pewien, że to właśnie chciałbyś robić?

— Nie wiem — odparł Tennyson. — Łatwo mi to mówić, ale

muszę przyznać, że nie zastanawiałem się nad tym. Przecież na Watykanie jest już jeden lekarz, który prawdopodobnie zajmuje się również chorymi w mieście. Gdybym założył praktykę, idę o zakład, że przez pewien czas nie wiodłoby mi się najlepiej. Miasteczko wygląda na osadę pionierską, ale chyba nią nie jest. Gdyby to, co mówił kapitan, okazało się prawdą, roboty musiałyby tu być już od prawie tysiąca lat.

— Wątpię, żeby miasto było aż tak stare — wtrąciła Jill. — Roboty były tu chyba na długo przed jego założeniem.

— Możliwe. Tak czy inaczej, osada na pewno pochodzi sprzed setek lat. Chociaż jak widać, niewiele się w niej zmieniło przez ten czas, pewnie dlatego, że zawsze była zdominowana przez Watykan. Wszyscy i wszystko obraca się tutaj wokół niego.

— To akurat nie jest chyba najgorsze — odparła Jill. — Zależy, jacy ludzie, a właściwie roboty i ludzie, tworzą Watykan. Może z radością przywitają kogoś, kto wniesie nowy punkt widzenia i świeże pomysły.

— Na pewno. Założę się, że już nie mogą się mnie doczekać — odburknął Tennyson. — Nie ma pośpiechu. Rozejrzę się i zobaczę, czy mam tu jakieś widoki na przyszłość. Za tydzień sprawa będzie jasna.

— Brzmi to tak, jakbyś miał jednak zamiar tu zostać. Przynajmniej przez pewien czas.

Tennyson wzruszył ramionami.

— Tego jeszcze nie wiem. Na razie muszę znaleźć Miejsce, gdzie będę mógł się ukryć i przeczekać obławę.

Nie wierzę, żeby ludzie w Daventry domyślili się, że udało mi się dostać na statek, który zawiózł mnie aż na Koniec Wszechświata.

— Miejmy nadzieję, że uważają cię za martwego. Radar w



Gutshot na pewno śledził twoją lotnię. Nie ma chyba możliwości wykrycia, że się z niej katapultowałeś, prawda?

— Jeśli nie znajdą spadochronu, na pewno nie. A chyba nie znajdą, bo wepchnąłem go pod budynek tak głęboko, jak tylko mogłem.

— Więc raczej jesteś bezpieczny. Chyba że są tak rozwścieczeni i żądni krwi, że przylecą sprawdzić, czy przypadkiem nie udało ci się w jakiś sposób dotrzeć na Koniec Wszechświata.

— Wątpię. Cała ta sprawa ma charakter polityczny. Chodzi o to, że niektórzy chcieliby mnie obarczyć śmiercią margrabiego. Pomogłoby to im w karierze.

— Szukają kozła ofiarnego?

— Właśnie — odparł Tennyson. — Moje zniknięcie będzie prawdopodobnie dla nich świetnym pretekstem, żeby mnie oskarżyć. W ten sposób wszyscy będą zadowoleni. Ale w tej chwili mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Powiedz lepiej, co chcesz dalej robić. Założę się, że w całą tę wyprawę wpakowałaś masę forsy.

— Zgadza się, ale w moim fachu jest to ryzyko, które trzeba podejmować codziennie. W żadnym wypadku jednak nie będę mogła powiedzieć, że wyrzuciłam pieniądze w błoto. Jeśli wydrę im ich tajemnicę, myślę, że będzie to coś naprawdę wielkiego. Jeśli nie uda mi się ugryźć Watykanu, nadal będę miała coś w zanadrzu. Nic wielkiego oczywiście, ale zawsze coś.

— Mogłabyś mówić jaśniej?

— Cóż, przeleciałam taki szmat drogi, ale założmy, że oni mnie nie wpuszczają. Nie chcą ze mną rozmawiać. Każą mi się wręcz odczepić. Jeśli czują się silni, — mogę nawet kazać mi opuścić planetę. Dlaczego? Dlatego nie chcą porozmawiać? Dlaczego

mnie wyrzucają? Co się tam dzieje? O co chodzi w tej wielkiej, tajemniczej, religijnej instytucji, która nie chce objawić się światu? Czy mają coś do ukrycia?

— Jasne — Tennyson pokiwał ze zrozumieniem głową. — Całkiem niezły artykuł.

— Artykuł? Tak się na nich przejadę, że wyjdzie z tego co najmniej książka!

— A w ogóle, jak to się wszystko zaczęło?

— Słyszałam różne opowieści tu i ówdzie. Przez dłuższy czas zresztą słuchałam jedynie tego, co mówili inni. Różne pogłoski. Żadna z nich nie była ważna, często w ogóle trudno było doszukać się w nich jakiejś informacji. Kiedy jednak poskładałam to wszystko do kupy, sprawa zaczęła nabierać kolorów.

— Czyli drążysz ten temat od lat.

— Uhm. Naprawdę ciężko nad tym pracowałam. Nie cały czas, oczywiście, ale zawsze, kiedy miałam okazję. Dużo myślałam. A im więcej myślałam, tym bardziej wydawało mi się, że temat wart jest kontynuacji. Chyba wręcz zahipnotyzowałam się tą myślą. Dlatego boję się trochę, żeby się nie okazało, że cała ta historia nie jest warta funta kłaków.

Na chwilę zapadła cisza, gdyż obydwójce zajęli się jedzeniem.

## ROZDZIAŁ 8

— Jak ci się podoba twój pokój? — spytała Jill. — Ja jestem zadowolona.

— Ja też — przytaknął Tennyson. — Nie można powiedzieć, żebym się pławił w luksusie, ale wygląda nieźle. Jedno z okien wychodzi na góry.

— Nie ma tu tylko telefonów — zauważyła Jill. — w recepcji powiedzieli mi, że tu w ogóle nie ma telefonów. Nigdy nie założono sieci telefonicznej. Na szczęście mają prąd elektryczny, nikt jednak nie wie,

— Wysoka temperatura utrzymuje się od trzech dni — przerwał mu Tennyson. — Nie spadła ani na chwilę?

— Nie, doktorze. Zmiany były niewielkie.

— A trudności z oddychaniem?

— Zdaje się, że jest coraz gorzej.

— Jaką terapię zastosowano?

— Wszystko jest w karcie, doktorze.

— Tak, widzę — rzekł Tennyson, w zamyśleniu przeglądając wręczone mu zapiski.

Po chwili podniósł chudy nadgarstek kobiety. Puls był wyraźnie przyspieszony i płytki. Przyłożony do piersi stetoskop ujawnił chrapliwą pracę płuc.

— Czy otrzymuje jakieś pożywienie?

— Już od paru dni podajemy środki odżywcze dożylnie. Przedtem piła trochę mleka i jadła bulion.

Tennyson spojrział na Ecuyera stojącego po drugiej stronie łóżka.

— Jaka jest pańska diagnoza? — spytał wysłannik Watykanu.

— Wydaje mi się, że to zapalenie płuc. Prawdopodobnie wirusowe. Czy macie jakieś urządzenia do przeprowadzania testów medycznych?

— Jest laboratorium, ale straciliśmy technika. Był razem z Andersonem i Aldrittem.

— Wszyscy trzej zginęli?

— Tak. Wszyscy trzej. Może pan mógłby...

— Nie mam w tym żadnego doświadczenia — zmartwił się Tennyson. — Mogę tylko podać odpowiednie leki. Mam nadzieję, że posiadacie zapasy leków?

— Na szczęście jesteśmy dobrze zabezpieczeni. Nigdy wcześniej nie brakowało nam personelu medycznego. Mieliśmy dwóch techników, ale jeden zrezygnował parę miesięcy temu. Dotąd nie udało się nam znaleźć nikogo, kto by go mógł zastąpić. Najwyraźniej Koniec Wszechświata nie jest miejscem przyciągającym odpowiednich ludzi.

— Jedyne, co mogę stwierdzić, to zapalenie płuc wywołane jakąś infekcją wirusową — ciągnął Tennyson., j)obrze by było, gdybyśmy mogli określić rodzaj wirusa, chociaż bez odpowiedniego personelu technicznego będzie to raczej niemożliwe. Istnieje tyle nowych wirusów przenoszonych z jednej planety na drugą, że ciężko będzie któregoś wyizolować. Tym niemniej jakiś rok albo dwa lata temu czytałem w czasopismach medycznych o nowym leku antywirusowym posiadającym szerokie spektrum działania.

— Ma pan na myśli białko X? — zapytała pielęgniarka.

— Otóż to. Macie ją?

— W czasie poprzedniego transportu Wędrownik przywiózł jej trochę.

— Miejmy nadzieję, że to przyniesie jakąś poprawę — rzekł

Tennyson do Ecuyera. — Lek jest jeszcze mało znany, że trudno cokolwiek rokować. Substancja aktywna atakuje otoczkę proteinową wirusa, co powoduje jego rozpad. Oczywiście istnieje pewne ryzyko, ale musimy je podjąć.

— Czy to znaczy, że nie może pan zagwarantować poprawy? — spytał Ecuyer.

— Żaden lekarz nie może nic gwarantować.

— W takim razie nie wiem — zawahał się Ecuyer. — My po prostu musimy ją uratować — powtórzył z naciskiem. — Jeśli nie użyjemy proteiny...

Oczywiście istnieje szansa, że przeżyje — dokończył Tennyson. — Organizm będzie musiał zwalczyć wirusa. Możemy ją wspierać w walce, ale nie możemy nic poradzić na wirusa.

— Nie jest już najmłodsza — zauważyła pielęgniarka. — Nie zostało jej wiele sił.

— Nawet używając proteiny nie będziemy mieli pewności, prawda? — upewnił się Ecuyer.

— Tak — potwierdził Tennyson.

— W takim razie decyzja należy do pana. Proszę tylko pamiętać, że nie mamy zbyt wiele czasu. Co pan sugeruje?

— Gdyby to zależało wyłącznie ode mnie, użyłbym proteiny. Być może nie przyniesie to żadnej poprawy, ale, o ile wiem, jest to jedyny specyfik pozwalający zniszczyć nieznane wirusy. Będę z panem szczery. Nie jest wykluczone, że proteina zabije pacjentkę, a nawet jeśli zadziała uszkadzając wirusa, zmiana może być zbyt mała — Tennyson zrobił krok w kierunku Ecuyera i położył mu rękę na ramieniu. — Czy ta kobieta jest dla pana kimś bardzo bliskim?

— Dla nas wszystkich — odparł Ecuyer. — Dla nas wszystkich — powtórzył. — I dla Watykanu.

— Bardzo chciałbym wam pomóc. Czy jest coś, co mógłbym zrobić albo wyjaśnić panu przed podjęciem decyzji?

Kobieta na łóżku poruszyła się. Podnosząc głowę i ramiona znad poduszki próbowała usiąść. Po chwili wysiłku opadła z powrotem na łóżko. Jej twarz wykrzywiła się, otwarte usta poruszyły.

— Wieże — jęknęła. — Wielkie świecące schody... chwała i pokój... latające anioły...

W chwilę potem straciła przytomność i jej ciało rozluźniło się.

Tennyson spojrział na pielęgniarkę, która jak zahipnotyzowana wpatrywała się w chorą.

Ecuyer schwycił Tennysona za łokieć.

— Użyjemy proteiny — powiedział drżącym głosem.

## ROZDZIAŁ 9

Apartament był duży i dobrze wyposażony. Na podłodze leżał gruby dywan, pod ścianami stały eleganckie meble. W wielkim kominku zajmującym połowę jednej ze ścian płonął ogień. Po jednej stronie pokoju znajdowała się jadalnia z drzwiami do kuchni i sypialni. Połączane lustra i piękne obrazy wisiały na wszystkich ścianach. Gzyms kominka zdobiły wspaniałe rzeźbione statuetki z kości słoniowej.

— Proszę usiąść i rozgościć się — powiedział Ecuyer do Tennysona. — Gwarantuję, że najlepiej będzie się pan czuł w tamtym krześle. Napije się pan czegoś?

— Ma pan Szkocką?

— Dobry wybór — uśmiechnął się Ecuyer. — Skąd pan zna Szkocką? W dzisiejszych czasach prawie nikt już nie pamięta o jej istnieniu. Pozostało tylko niewielu z nas, ludzi, którzy wiedzą...

— Zostaliśmy sobie przedstawieni przez kapitana na statku — odparł Tennyson. — Miłość od pierwszego tyku. Podobno jest to napój pochodzący ze Starej Ziemi.

Ach tak, kapitan. To dzięki niemu nasze zapasy wyglądają tak dobrze. Za każdym razem przywozi nam kilkadziesiąt skrzynek alkoholu. Sprowadzamy go z planety j Sundance. To jedyne miejsce w promieniu tysiąca lat świetlnych, gdzie można znaleźć Szkocką. Skrzynki zawsze docierają do nas w postaci nieco uszczuplonej, ale nie zwracamy na to uwagi. Uważamy to za słuszną zapłatę.

Ecuyer przyniósł drinki i podał jednego Tennysonowi, po czym usiadł naprzeciw niego.

— Do dna — powiedział wznosząc kieliszek. — Myślę, że

mamy za co pić.

— Miejmy nadzieję — odparł Tennyson. — Jak na' tak krótki okres podawania leku, pacjentka reaguje bardzo dobrze. Tak czy inaczej, będziemy musieli potrzymać ją jeszcze pod obserwacją.

— Niech mi pan powie, doktorze, czy zawsze tak się pan poświęca swoim pacjentom? Został pan przy łóżku Mary, póki jej stan się nie poprawił. Pewnie jest pan bardzo zmęczony. Nie będę pana dłużej męczył. Powinien pan wypocząć.

— Jeśli znalazłby mi pan jakieś łóżko...

— Łóżko? Doktorze Tennyson, jesteśmy w pana mieszkaniu. Będzie należało do pana tak długo, jak długo zostanie pan z nami.

— W moim mieszkaniu? Myślałem, że jesteśmy u pana?

— U mnie? O, nie. Mój apartament wygląda dość podobnie, ale ten akurat przeznaczony jest dla gości. Dlatego teraz należy do pana. Słyszeliśmy, że stracił pan bagaż, dlatego pozwoliliśmy sobie zamówić dla pana trochę odzieży. Powinna dotrzeć tu jutro rano. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw temu.

— To nie było konieczne — odpowiedział chłodno Tennyson.

— Nie rozumie pan — rzekł Ecuyer. — Nie możemy zrobić nic, co choć w części wyraziłoby naszą wdzięczność...

— Pańska radość jest zdecydowanie przedwczesna.

— z pomocą proteiny Mary może nie przeżyć do jutra.

Ale niewątpliwie zauważyliśmy poprawę.

Tak, tętno jest lepsze. Wydaje się, że organizm wzmocnił się, temperatura nieznacznie spadła, ale to wszystko nie oznacza jeszcze przełamania choroby.

— Wierzę w pana — upierał się Ecuyer. — Myślę, że uda się panu ją z tego wyciągnąć.

— Niech pan posłucha — Tennyson nagle zmienił temat —



bądźmy ze sobą szczerzy. Pan lub ktoś z pańskich ludzi rozmawiał z kapitanem. Wie pan cholernie dobrze, że nie zgubiłem bagażu. Nie miałem żadnego bagażu. Zwyczajnie nie miałem czasu na spakowanie moich rzeczy. Uciekałem.

— Wiem — potwierdził bez wahania Ecuyer. — Nie chcemy wtrącać się w pańskie sprawy. Nie obchodzi nas, co tak naprawdę wydarzyło się w pańskim życiu, i jeśli sam pan nie będzie chciał nam tego opowiedzieć, nie będziemy zadawać żadnych pytań. Zupełnie nas to nie interesuje. Wystarczy nam, że jest pan lekarzem. Na początku nie byłem pewien nawet tego, jednak ostatnio miałem okazję się przekonać. Dzięki pana obecności tutaj nadal mamy szansę, że Mary będzie żyć. Jakie szansę miałyby bez pana?

— Pewnie żadne — odparł Tennyson. — Chyba że pielęgniarka sama podjęłaby decyzję...

— Na pewno nie — rzekł z przekonaniem Ecuyer. — Nie odważyłaby się.

— A więc dobrze. Założmy, że ocaliłem pacjentkę. Do diabła, człowieku, taki mam zawód. Po to uczyłem się tyle lat. Ratować wszystkich, których można uratować. Nie macie wobec mnie żadnego długu. Drobną zapłatą, to wszystko czego oczekuję. Może i tego nie dostawiłem na Gutshot moje listy uwierzytelniające.

tej chwili, choćbym nie wiem jak chciał, nie mogę nawet udowodnić, że jestem lekarzem. Nie jestem pewien, czy w ogóle mam prawo rozpocząć tutaj praktykę. Istnieje jeszcze coś takiego jak licencja.

Ecuyer machnął ręką.

Niech pan się tym nie martwi. Jeśli mówi pan, że jest lekarzem, znaczy że pan nim jest. Jeżeli zezwolimy panu na

prowadzenie praktyki, to będzie pan miał prawo to robić.

— Tak — uśmiechnął się Tennyson. — Jeśli Watykan zezwoli...

— Na Końcu Wszechświata Watykan ustanawia prawa. Nikt nie dyskutuje. Bez nas nie byłoby Końca Wszechświata. My jesteśmy Końcem Wszechświata.

— Dobrze, dobrze — zgodził się Tennyson. -. Nie mam zamiaru sprzeczać się z panem. Jeden z pańskich ludzi jest chory, więc udzieliłem mu pomocy. Powtarzam panu, taki mam zawód. Nie róbmy z tego wielkiej afery.

— Wydawało mi się, doktorze, że zdołał pan już ocenić sytuację. Nie mamy lekarza, a bardzo go potrzebujemy. Chcielibyśmy, żeby został pan z nami jako nasz lekarz.

— Ot, tak?

— Ot, tak — potwierdził Ecuyer. — Nie rozumie pan? Mamy nóż na gardle. Sprowadzenie innego lekarza zajęłoby nam miesiące. A poza tym, co to by był za doktor?

— Tego akurat nie może pan wiedzieć.

— Wiem, że jest pan oddany swoim pacjentom. Poza tym jest pan uczciwy. Szczerze przyznał się pan do ucieczki z Gutshot, a kiedy spytałem o wynik leczenia Mary, uczciwie powiedział pan, że nie ma żadnych gwarancji. Podoba mi się pańska szczerłość.

— W każdej chwili może pojawić się tutaj ktoś z nakazem aresztowania mnie. Nie wydaje mi się, żeby tak się stało, ale...

— Nic im to nie da — przerwał Ecuyer. — Nauczyliśmy się chronić, co nasze. Jeśli rzeczywiście ma pan kłopoty, doktorze, tutaj mogę zagwarantować panu bezpieczeństwo. Nie obchodzi mnie, co pan zrobił. Daję panu moje słowo na to, że tutaj nikt pana nie aresztuje.

— Dobrze. Nie wydaje mi się, żebym potrzebował ochrony, ale zawsze miło wiedzieć, że jest taka możliwość. Bardziej martwią

mnie wasze układy. Nie mam pojęcia, w co się wplątuję. Nasłuchałem się wielu historii o Projekcie Papież i Watykanie. Podobno kieruje tym wszystkim banda robotów. Czy zechciałby mi pan to wyjaśnić? Ta starsza kobieta, Mary, majaczyła coś o aniołach. Może to jednak nie było majaczenie?

— Nie — rzekł Ecuyer nagle poważniejąc. — Mary odnalazła Niebo.

— Oho. Chyba będzie pan to musiał powiedzieć jeszcze raz i to powoli, bo zdaje się, że nie zrozumiałem. „Mary odnalazła Niebo”. Zabrzmiało to tak, że prawie uwierzyłem.

— To prawda. Ona rzeczywiście odnalazła Niebo. Wszystko na to wskazuje. Potrzebujemy jej wskazówek, abyśmy i my mogli je dostrzec. Oczywiście posiadamy jej klony — trzy z nich rosną zupełnie prawidłowo — tym niemniej nie możemy być pewni...

— Wszystko na to wskazuje? Klony? Co na to wskazuje? Jeśli dobrze sobie przypominam, Niebo nie jest bytem materialnym. Jest raczej stanem świadomości. Wiara...

— Doktorze, niech pan mnie posłucha. Widzę, że będę musiał wyjaśnić panu parę spraw.

— Całe szczęście, bo już zaczynałem się obawiać, że straciłem wątek.

— Najpierw odrobina historii — zaczął Ecuyer. — Watykan-17, czyli nasz Watykan, rozpoczął swoją misję prawie tysiąc lat temu z bandą robotów, jak pan to określił, które przyleciały z Ziemi. Na Ziemi roboty nie były wyznawcami, a raczej nie miały prawa być wyznawcami żadnej religii. Wydaje mi się, że gdzieś zmieniono już tę zasadę. Roboty mogą być komunikantami — nie wszędzie, ale na niektórych planetach na pewno. Tysiąc lat temu było to nie do pomyślenia. Roboty uznawano za maszyny niegodne wyznawania żadnej religii. Żeby być wyznawcą

jakiegokolwiek religii, trzeba przecież mieć duszę lub jakiś jej ekwiwalent. Roboty nie posiadają duszy, a przynajmniej tak uważano i dlatego ich dostęp do religii został ograniczony. Jak dobrze zna się pan na robotach, doktorze?

— Prawdę mówiąc, wcale. W życiu rozmawiałem zaledwie z kilkoma, a parę tylko oglądałem. Tam, skąd pochodzę, nie było ich zbyt wiele. Kilka poznałem na studiach, ale nie było to miejsce, gdzie ludzie i roboty żyli w zbyt dobrej komitywie. Tak czy inaczej, nigdy nie poznałem żadnego z nich z bliska. Nigdy zresztą nie czułem potrzeby...

— Tak właśnie odpowiada dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu zapytanych ludzi. Nie mają z nimi żadnego kontaktu, nie są w ogóle zainteresowani. Zazwyczaj myślą o nich jak o metalowych ludziach albo raczej maszynach próbujących naśladować ludzi. Ale muszę panu powiedzieć, że roboty to coś więcej. Kiedyś ich znaczenie nie było zbyt wielkie, lecz teraz, na Końcu Wszechświata odgrywają o wiele poważniejszą rolę. W ciągu ostatniego tysiąclecia roboty na naszej planecie ewoluowały, aby wreszcie stać się istotami znacznie różniącymi się od ludzi. Mimo to nigdy nie zapomniały, że zostały przez nich stworzone i nadal nie wypierają się tego. Powiem więcej, odczuwają wręcz bliskie pokrewieństwo z ludźmi. Mógłbym tak opowiadać panu przez całą noc, czym są roboty i co tutaj robią. Mówiąc skrócie, przyleciały na naszą planetę, ponieważ odmówiono im doznań religijnych gdzie indziej. Zostały pozbawione prawa do tej części życia ludzkiego, która wydawała się im bardzo fascynująca. Żeby zrozumieć, skąd wzięła się u nich instynktowna potrzeba doznań religijnych, trzeba je najpierw dobrze poznać. Mogłoby się zdawać, że chodzi tu jedynie o zachowanie równowagi, głęboki instynkt, każący im we wszystkim naśladować człowieka. Robot

nie może osiągnąć tylu rzeczy dostępnych człowiekowi. Ze względu na swoją naturę posiada mnóstwo ograniczeń. Robot nie może płakać ani śmiać się, nie czuje popędu płciowego, chociaż tworzy nowe roboty. Przynajmniej tutaj nasze roboty budują nowe, używając elementów, o których ich ludzcy konstruktorzy nigdy by nie pomyśleli, a nawet gdyby pomyśleli, nigdy nie odważyliby się ich użyć. Na Końcu Wszechświata powstała nowa generacja robotów. Nadaża pan?

— Rozumiem, że pociąg do religii jest próbą zachowania równowagi — powiedział Tennyson. — Religia jest dla nich zapewne tajemnicą, którą chciałyby dzielić z rasą ludzką.

— Zgadza się. Gdybym chciał opowiedzieć panu, jaka była filozofia robotów i przez jakie stadia ewoluowały poszukując swojej własnej religii, spędzilibyśmy tu całą noc. Ale myślę, że to nie czas i miejsce na taką opowieść. Będziemy jeszcze mieli wiele okazji, aby o tym podyskutować. Oczywiście, jeśli będzie pan chciał.

— Naturalnie. Jeśli tylko znajdzie pan odrobinę czasu.

— W każdym razie, roboty przyleciały na Koniec Wszechświata i założyły swój własny Watykan. Opierały się na ziemskiej religii, która wydawała im się bardzo ciekawa. Nie ze względu na nauki. Podejrzewam raczej, że chodziło o jej organizację, hierarchię, długą tradycję i dogmaty. W religii nowego Watykanu odnajdzie pan wiele z liturgii Watykanu Starej Ziemi, który służył za model. Mimo to roboty wcale nie starały się wiernie, ani nawet w przybliżeniu, odtworzyć ziemskiej wiary katolickiej. Roboty nigdy nie głosiły, że ich religia jest przeniesioną na koniec galaktyki ziemską religią. Gdyby ktoś bliżej przyjrzał się temu nowemu wyznaniu, zauważyłby, że jest to raczej synteza wielu religii, ponieważ

roboty zapożyczyły sporo aspektów z obcych wierzeń.

— Wygląda na to, że utworzyły nową religię, zbierając co się da z wszelkiego rodzaju wierzeń, które w jakiś sposób do nich przemawiały — podsumował Tennyson.

— Tak. Wiara robotów, co bynajmniej nie oznacza, że jest ona czymś gorszym. Wszystko zależy od definicji religii.

— Panie Ecuyer... Właściwie nawet nie wiem, jak mam się do pana zwracać. Czy zamiast „pan” nie powinienem używać jakiegoś tytułu?

— W porządku. Na imię mam Paul, może pan tak do mnie mówić. Będzie mi bardzo miło. Nie mam żadnego tytułu. Nie jestem członkiem hierarchii religijnej.

— Właśnie zamierzałem spytać, jaka jest pańska rola w tym wszystkim.

— Jestem koordynatorem tego, co w skrócie nazywa się Programem Poszukiwań.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Nie mówi się zbyt wiele na ten temat. Program stanowi część Projektu Papież. Czasami wydaje mi się, że Projekt Papież jest teraz jedynie pretekstem do kontynuacji Programu Poszukiwań. Wolałbym jednak, żeby nie wspominał pan o tym ojcom. Większość z nich jest nadal bardzo pobożna.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Sprawa wygląda dość prosto — rozpoczął wyjaśnienia Ecuyer. — W pewnym sensie to nawet logiczne. Koncepcja papieża, najwyższego arcykapłana, była bardzo pociągająca dla założycieli religii. Ale gdzie mogli znaleźć papieża? Mieli poczucie, że nazywanie papieżem robota byłoby świętokradztwem. A nie mogli przecież zwerbować papieża-człowieka, nawet gdyby chcieli. Poza tym człowiek na tym

stanowisku byłby nieodpowiedni przede wszystkim ze względu na swoje krótkie życie. Wyznawcy tej religii, roboty, żyją wiecznie, przynajmniej teoretycznie. Inną przeszkodą było to, że zgodnie z wyobrażeniem robotów idealny papież powinien być osobą nieśmiertelną, wszytkowiedzącą i co ważne — niezawodną, o wiele bardziej niż ułomny pod wieloma względami człowiek. Dlatego właśnie wymyśliły sobie, że stworzą papieża.

— Stworzą papieża?

— Tak jest. Papieża komputerowego.

— O Boże! — przeraził się Tennyson.

— Tak to sobie wykombinowały, doktorze Tennyson. Prace wciąż trwają. Co roku dobudowują nowe elementy i ulepszają konstrukcję. Może pan sobie wyobrazić, jak ewoluował przez te wszystkie stulecia. Prawie co roku jego pamięć zapełniana jest niezliczoną ilością nowych danych, dzięki czemu jego wiedza powiększa się w ogromnym tempie.

— Nie wierzę. To przecież...

— Nie musi pan w to wierzyć. Ja też zresztą nie muszę. Wystarczy, że roboty w to wierzą. Przecież to ich wiara. Jeśli usiądzie pan i zastanowi się nad tym spokojnie, zauważy pan, że jest to bardzo sensowne.

— Być może. Wiara bazuje na natychmiastowych i autorytatywnych — niepodważalnych — odpowiedziach. Rzeczywiście, kiedy się nad tym zastanowić, wydaje się to dość logiczne. Przypuszczam, że informacje dostarczane są przez Program Poszukiwań.

Ecuyer skinął głową.

— Zgadza się. Mimo, że opowiedziałem panu to wszystko w sposób tak obiektywny, może nawet zbyt ironiczny, niech pan

nie myśli, że jestem całkowitym przeciwnikiem tej wiary. Być może nie jestem jej prawdziwym wyznawcą, ale istnieją takie dogmaty, które i ja uznaję.

— Wstrzymam się od komentarza. Ale co do informacji, w jaki sposób działa pański Program Poszukiwań? Jesteście tutaj, a informacja rozprzestrzeniona jest przecież po kosmosie.

— Wykorzystujemy ludzi, których nazywamy Słuchaczami. Nie jest to najlepsze określenie, ale już się przyjęło.

— Ludzi wyczulonych na wszelkiego rodzaju bodźce?

— Właśnie. Przeczesujemy całą galaktykę, aby ich znaleźć. Wszędzie ich wytropimy. Nasi ludzie zajmujący się rekrutacją sprowadzają ich na Koniec Wszechświata. Roboty opracowały metody zwiększające jeszcze możliwości poznawcze takich ludzi. Dzięki temu osiągamy niewyobrażalne wyniki.

— Wszyscy z nich są ludźmi?

— Wszyscy, przynajmniej jak dotąd. Parę razy próbowaliśmy wykorzystać obcych, ale nigdy nie osiągnęliśmy pożądanego efektu. Może kiedyś znajdziemy sposób korzystania także z ich usług. Jest to zresztą jeden z obecnie prowadzonych projektów. Obcy mogliby nam prawdopodobnie dostarczyć informacji niedostępnych dla ludzi.

— Dobrze. Później te wszystkie dane wprowadzane są do papieża?

Lwia część. Ostatnimi czasy zaczęliśmy selekcjonować dane. Oceniamy po prostu przydatność niektórych z nich. Nie wprowadzamy już wszystkiego, co zbierzemy. Tym niemniej magazynujemy wszystko, co uda nam się zgromadzić. Mamy to wszystko na... chciałem powiedzieć na taśmach, ale to właśnie nie są taśmy. Tak czy inaczej, przechowujemy wszystko. Zbudowaliśmy bazę danych, która zdumiałaby całą galaktykę.



— Nie chcecie, aby informacje te były dostępne dla wszystkich?

— Doktorze Tennyson, któż chciałby, aby cała galaktyka zleciała mu się na głowę?

— A więc Mary jest Słuchaczem? Wydaje jej się, że odnalazła Niebo.

— Słusznie.

— A pan, jako osoba nie będąca pełnym wyznawcą religii, co pan o tym myśli?

— Na pewno nie będę temu zaprzeczał. Mary jest jednym z naszych najbardziej wydajnych i godnych zaufania Słuchaczy.

— Ale Niebo?

— Niech pan tylko pomyśli — rzekł Ecuyer. — Wiemy, że czterowymiarowa przestrzeń nie jest jedynym obszarem, po którym się poruszamy. Są chwile, kiedy nie wiemy nawet, jak określić swoje położenie. Pozwoli pan, że dam prosty przykład. Jest u nas jeden Słuchacz, który przez lata podróżował w czasie. Nie była to zwykła podróż przez czas, to znaczy, nie były to przypadkowe przesunięcia w czasie. Zawsze przenosił się w miejsca, gdzie spotykał swoich przodków. Nie wiadomo dlaczego. Być może kiedyś uda nam się to stwierdzić. W swoich wycieczkach odwiedzał coraz dalszych przodków, śledząc swoje pochodzenie przez tysiąclecia, aż do najbardziej zamierzchłych czasów. Na początku był trylobitem.

— Trylobitem?

— To taka pradawna forma życia ziemskiego, która wymarła jakieś trzysta milionów lat temu.

— Ale w jaki sposób człowiek mógł być trylobitem!?

— Plazma zarodkowa, doktorze. Siła natury. Jeśli cofniemy się wystarczająco daleko w czasie...

— Rozumiem — odparł Tennyson.

— To fascynujące, prawda? — rzekł Ecuyer.

— Dziwi mnie tylko jedno — powiedział w zamyśleniu Tennyson. — Opowiada mi pan to wszystko, chociaż nie chce pan, aby informacje te wydostały się poza Watykan. A przecież kiedy opuszczę Koniec Wszechświata...

— Jeśli go pan opuści...

— Nie rozumiem?

— Mam po prostu nadzieję, że zostanie pan z nami. Złożymy panu bardzo atrakcyjną ofertę, ale szczegóły omówimy później.

— W każdym razie, mogę nie zgodzić się zostać.

— Na naszą planetę przylatuje tylko jeden statek, z Gutshot. I jest to jedyne miejsce, gdzie może pan od nas uciec.

— I chce się pan założyć, że nie wrócę nigdy na Gutshot?

— Mam wrażenie, że nie będzie pan tego chciał. Jeśli jednak rzeczywiście chce pan odlecieć, nie będziemy starali się pana zatrzymać. Chociaż gdybyśmy tylko chcieli, moglibyśmy to zrobić. Wystarczy szepnąć jedno słówko kapitanowi i założę się, że nie znajdzie dla pana miejsca na swoim statku. Jednak myślę, że wypuszczenie pana nie przysporzyłoby nam kłopotów. Nawet gdyby rozpowiedział pan, to co dziś panu mówiłem, wątpię, aby ktokolwiek panu uwierzył. Powstanie po prostu jeszcze jedna plotka.

.— Wygląda na to, że jesteście dosyć pewni siebie.

— Mamy po temu swoje powody — odparł tajemniczo Ecuyer.

## ROZDZIAŁ 10

Kiedy Tennyson się obudził, było jeszcze ciemno. Przez dłuższą chwilę leżał w puszystym, spowijającym go ze wszystkich stron mroku błędząc na granicy jawy i snu, niezupełnie przytomny, nie pamiętając, co przydarzyło mu się poprzedniego dnia, i wciąż sądząc, że znajduje się na Gutshot. Pomieszczenie było nie oświetlone, ale gdzieś w pobliżu sączyła się strużka światła, dzięki której spod półprzymkniętych powiek dostrzegał zarysy znajdujących się w pokoju przedmiotów. Łóżko było wygodne i Tennyson nie mógł się oprzeć uczuciu senności. Ponownie zamknął oczy pragnąc pogрузić się jeszcze na chwilę we śnie, ale nagle przypomniał sobie, że nie jest już na Gutshot ani na statku kosmicznym.

Statek! Otrząsnąwszy się z resztek snu, momentalnie usiadł na łóżku. Statek, Jill, Koniec Wszechświata...

Boże drogi, Koniec Wszechświata! W tej chwili wszystkie ostatnie wydarzenia przeleciały mu przed oczami z szybkością błyskawicy. Wokół panowała straszliwa cisza. Tennyson usiadł wygodniej na łóżku.

Mary odnalazła Niebo!

Słaby błysk, który zauważył wcześniej, dochodził z za drzwi prowadzących do pokoju dziennego. Światło migotało zmieniając intensywność, to wzmagając, to tracąc na sile, sprawiało, że cienie tańczyły po pokoju.

Po chwili zorientował się, że jest to poświata rzucona urzez rozpalony kominek. Dziwne, pomyślał Tennyson, przecież już dawno temu powinien zgasnąć. W jednym ze spowitych ciemnościami kątów pokoju poruszył się cień wyraźnie

odcinający się od innych.

— Czy pan śpi, Sir? — spytał cień.

— Nie — odpowiedział Tennyson przez zaciśnięte usta. — A kim, do cholery, pan jest?

— Nazywam się Hubert — odparł grzecznie cień. — Zostałem wyznaczony na pańskiego ordynansa. Będę dla pana pracować...

— Zaraz, zaraz, to słowo obilo mi się już o uszy — przerwał mu Tennyson. — Zdaje się, że natknąłem się na nie parę lat temu, studiując historię Starej Ziemi. Ordynans... to miało coś wspólnego z wojskiem brytyjskim. Ten wyraz był tak dziwny, że zaintrygował mnie i zapamiętałem go.

— Doskonale — ucieszył się Hubert. — Gratuluję panu, Sir. Większość ludzi nie miałaby o tym pojęcia.

Ordynans wynurzył się z głębokich ciemności i teraz można było trochę wyraźniej dostrzec jego zarysy. Miał kanciastą, podobną do ludzkiej sylwetkę, sprawiał wrażenie silnego i usłużnego.

— Proszę odpoczywać, Sir — powiedział. — Jestem robotem, ale nie skrzywdzę pana. Moim jedynym zadaniem jest służenie. Czy mam włączyć światło? Jest pan gotów?

— Tak, proszę. Włącz światło — odparł Tennyson. Na stole po drugiej stronie pokoju zapaliła się lampa. Wystrój wnętrza podobny był do wystroju pokoju dziennego, stały tu ciężkie, drewniane meble zaopatrzone w metalowe gałki, na ścianach wisiały obrazy.

Tennyson odrzucił kołdrę i stwierdził, że jest nagi. Wysunął nogi z łóżka i postawił stopy na miękkim dywanie. Sięgnął w stronę stojącego obok krzesła, gdzie poprzedniego wieczora pozostawił ubranie. Ubrania nie było. Cofnął rękę, przecesał włosy i starł z twarzy resztki snu. Pod palcami poczuł szczecinę

wąsów.

— Pańska garderoba jeszcze nie dotarła — powiedział Hubert — ale zamówiłem już zmianę bielizny. Łazienka jest tam. W kuchni na stole stoi kawa.

— Najpierw kąpiel — mruknął Tennyson. — Macie tu prysznic?

— Prysznic i wanny. Jeśli woli pan wannę, zaraz napuszczę wody.

— Nie, nie. Wystarczy prysznic. Będzie szybciej. Mam mnóstwo pracy. Czy były jakieś wiadomości o Mary?

— Wiedząc, że zapewne będzie pan tego ciekaw, odwiedziłem ją przed jakąś godziną — odparł spokojnie Hubert. — Pielęgniarka powiedziała, że pacjentka czuje się dobrze, organizm we właściwy sposób reaguje na proteinę. Ręczniki, szczoteczkę do zębów i przyrządy do golenia znajdzie pan w łazience. Kiedy pan skończy, ubranie będzie już przygotowane.

— Dzięki. Muszę przyznać, że dobrze się spisujesz. Często zajmujesz się tą pracą?

— Należę do pana Ecuyera, Sir. Dwóch z nas służy u niego. Ja zostałem wypożyczony specjalnie dla pana.

Po zakończeniu toalety Tennyson wrócił do pokoju i zauważył, że łóżko zostało posłane, a na narzucie leżało przygotowane ubranie.

Dopiero w tej chwili dokładniej przyjrzał się robotowi. Hubert był zbudowany na wzór człowieka. Jediną różnicą była łysa głowa obłeczona wypolerowanym metalem. Nie nosił na sobie nic, ale korpus pomalowany był we wzór imitujący ubranie.

— Czy zechce pan teraz zjeść śniadanie? — spytał robot.

— Nie, wypiję tylko kawę. Śniadanie później. Rzucę tylko okiem na Mary i wracam.

— Podam kawę w pokoju dziennym — odparł Hubert — przed kominkiem. Dorzucę jeszcze do ognia.

## ROZDZIAŁ 11

Tennyson odnalazł ogród znajdujący się na tyłach budynku, w którym mieściła się klinika. Wschodziło słońce, na zachodzie rysowały się wyraźnie pobliskie góry, wydawały się o wiele bliższe niż w rzeczywistości. Wielka ściana niebieskiego półcienia o barwie zmieniającej się w tonie i charakterze, ciemniejsza u podstaw i jaśniejsza u wierzchołków, z lodowato białymi szczytami pobłyskującymi w promieniach wschodzącego słońca. Ogród był dobrze utrzymany. W godzinach wczesnorannych było tu bardzo spokojnie. Alejki wyłożono ceglami i obsadzono niskimi krzewami i grządkami kwiatów, spośród których większość akurat kwitła. Tennyson nie mógł znaleźć ani jednego kwiatka, który by znał. Daleko, po prawej stronie, na końcu ogrodu wolno spacerowały trzy postacie w ciemnobrązowych habitach.

Wraz ze wschodem słońca zniknął chłód nocy. W ogrodzie było cicho i spokojnie. Tennyson pomyślał, że spędzanie tutaj czasu musi być ogromną przyjemnością. W miejscu, gdzie zbiegały się trzy alejki, stała kamienna ławka, na której usiadł spoglądając na niebieski cień gór.

Siedząc tak pomyślał, że wreszcie odnalazł w sobie ciepłe i przyjemne poczucie spełnienia obowiązku, czego nie czuł od lat. Mary miała się coraz lepiej, może nawet była na drodze do całkowitego wyzdrowienia, choć jeszcze za wcześnie, by o tym mówić. Gorączka się obniżała, a puls stawał się mocniejszy. Teraz oddychała znacznie lżej. Widział nawet w jej oczach, tak mu się przynajmniej wydawało, słabą iskierkę powracającej świadomości. Mary była niemłoda, ale w jej biednym, steranym

organizmie wyczuwało się siłę i chęć walki o życie. Być może miała o co walczyć. Ecuyer mówił, że odnalazła Niebo, co było całkowitym nonsensem. Tym niemniej, jeśli je odnalazła, a tak właśnie myślała, prawdopodobnie zrodziła się w niej ogromna chęć poznania go bliżej. Tak przynajmniej można by wytłumaczyć sens słów Ecuyera, który powiedział, że Mary musi przeżyć, aby dowiedzieć się więcej o Niebie.

Przecież to zupełnie bez sensu, mówił do siebie Tennyson. Ktoś tu popełnia wielki błąd. A może był to jedynie tutejszy żart wymyślony w Watykanie lub Programie Poszukiwań. Chociaż nie, nie wyglądało na to, żeby Ecuyer żartował, kiedy mu to mówił. Tennyson powiedział Ecuyerowi, a teraz, siedząc na kamiennej ławce powtarzał sobie, że Niebo nie jest miejscem, które można fizycznie odnaleźć. Niebo to stan świadomości i Ecuyer również nie miał co do tego wątpliwości, chociaż wyglądało na to, że jako wolny strzelec i częściowy wyznawca wiary watykańskiej miał jednak nadzieję na odnalezienie Nieba.

Bzdura, zawyrokował Tennyson. W takim rozumowaniu nie ma przecież ani odrobiny logiki. Jest jednak więcej niż prawdopodobne, że historia z Niebem to nie jedyny nonsens w tutejszej filozofii, a raczej wypadkowa wszystkich popełnianych przez wieki błędów w myśleniu. Trudno było doszukać się w nim jakiegokolwiek logiki, a przecież cechą charakterystyczną wszelkiego rodzaju robotów było to, że zawsze działają logicznie. Już sama idea robotyki opierała się na logice. Ecuyer powiedział, że roboty pracowały nad samodoskonaleniem i dzięki temu są obecnie o wiele lepiej skonstruowane niż w momencie, gdy przyleciały na Koniec Wszechświata. W takim razie wydawało się niemożliwe, aby proces samodoskonalenia ograniczył lub zmniejszył ich zdolność do logicznego myślenia, która przecież



stanowiła kamień węgielny ich powstania.

Coś było nie tak. W całym tym nagromadzeniu oczywistych bezsensów musiał istnieć czynnik lub raczej cała grupa czynników, których Tennyson nie dostrzegał. Watykan-17 nie był instytucją, którą można by pominąć w tym rozumowaniu. Poświęcili dziesięć wieków ciężkiej pracy, a wszystko po to, żeby stworzyć naprawdę uniwersalną religię, skonstruować nieomylnego papieża oraz aby wyszukać i dopracować wszystkie elementy, jakie powinny składać się na uniwersalną wiarę.

Tennyson zbyt pośpiesznie starał się rozgryźć ten problem. Być może nawet nie starczyłoby całego życia ludziego, żeby osiągnąć stopień zrozumienia zawierający jakieś elementy prawdy. Na razie będzie musiał zostawić ten problem, przyglądać się, słuchać, zadawać pytania, starać się odkryć, co naprawdę się tutaj dzieje, i poznać osoby, które byłyby w stanie udzielić odpowiedzi.

Tennyson zdziwił się, że tak łatwo przyszło mu podjąć niezwykle ważną decyzję. Bo przecież, żeby przyglądać się, przysłuchiwać i zadawać pytania, musiał pozostać tutaj.

A czemu nie? — spytał sam siebie. Chcąc wydostać się z tej planety musiałby polecieć na Gutshot, a wcale tego nie pragnął. Na Końcu Wszechświata nie było przecież tak źle, sądząc z tego, co widział do tej pory. Pozostając tutaj miałby możliwość pracy w swoim zawodzie; sytuacja nie do pogardzenia. Troszczyłby się o zdrowie ludzi pracujących na Watykanie oraz prawdopodobnie tych, którzy żyją w mieście. Miałby niezłe mieszkanko, robota wypełniającego każdy jego rozkaz i spotykałby interesujących ludzi, z którymi spędzałby wolny czas. Uciekając z Gutshot szukał jedynie jakiegokolwiek azylu, a tutaj odnalazł najlepszy azyl, jaki tylko mógł sobie wyśnić. Miejsce wyglądało na dziwne, ale do

tego akurat mógł się przyzwyczaić. Planeta była pod wieloma względami prymitywna, ale na pewno nie tak prymitywna jak Gutshot.

Siedział na ławce i krawędzią jednego z butów szorował po szczelinie między cegłami, którymi wybrukowano alejkę. Podjął decyzję, która, jak mu się wydawało, będzie o wiele trudniejsza. Być może przyjąłby nawet ofertę Ecuyera, złożoną poprzedniej nocy, gdyby nie to, że Ecuyer niedwuznacznie dawał mu do zrozumienia, że Watykan posiada odpowiednie możliwości, aby zatrzymać go tu siłą. Groźba ta wypowiedziana była zupełnie bez uzasadnienia i Tennyson zastanawiał się, co Ecuyer chciał przez to osiągnąć. Tak czy inaczej, pozostanie tutaj miało zdecydowanie najwięcej sensu. Gdzie indziej mógłby się udać?

Wstał z ławki i powoli kontynuował spacer. Właśnie miał wracać do mieszkania, gdzie Hubert zapewne czekał już ze śniadaniem, kiedy zdał sobie sprawę, że poranne chwile spędzone w parku były czymś bezcennym. Gdy słońce wzejdzie już na dobre i zacznie się dzień, ogród będzie wyglądał zupełnie inaczej. Delikatna magia chwili ulotni się i być może już nigdy nie powróci, a w każdym razie nie dla niego. Znalazł moment, kiedy mógł spokojnie przemyśleć wszystkie piętrzące się dotychczas problemy i zdecydować wreszcie, bez żalu i poczucia winy, że zostanie w miejscu, jakie wyznaczył mu los.

Tuż przed nim alejka zakręcała szerokim łukiem w miejscu osłoniętym przez małe skupisko gęsto upstrzonych liliowymi kwiatkami krzewów, nieco wyższych niż reszta roślin. Tennyson zatrzymał się nagle w pół kroku. Na środku alejki siedział w kucki robot, przycinając sekatorem jeden z krzewów. Zarośla ozdobione były pięknymi czerwonymi kwiatami, których aksamitne płatki skrzyły się poranną rosą. Robot podniósł wzrok.

— Dzień dobry, Sir — powiedział. — Pan zapewne jest tym lekarzem, który przyleciał wczoraj wieczorem.

— Zgadza się — odpowiedział lekko zaskoczony Tennyson. — Ale skąd ty to wiesz?

Robot pokiwał głową.

— Nie tylko ja — odparł. — Wszyscy o panu słyszeli. Nie dzieje się tutaj nic, o czym wszyscy by od razu nie wiedzieli.

— Rozumiem. Słuchaj, czy to są róże?

— Tak. Kwiaty ze Starej Ziemi. Mamy ich tutaj bardzo dużo i cenimy je o wiele bardziej niż wszystkie inne. Niestety, w wielu miejscach nie chcą rosnąć. Skoro je pan rozpoznał, to musiał pan je już kiedyś widzieć?

— Tylko raz w życiu — odpowiedział w zamyśleniu Tennyson. — Bardzo dawno temu.

— Wie pan oczywiście, że przybyliśmy z Ziemi — upewnił się robot. — Nasze kontakty z Planetą Matką zostały zerwane już dawno temu, ale dumni jesteśmy z dziedzictwa, jakie otrzymaliśmy. Czy kiedykolwiek był pan na Ziemi, Sir?

— Niestety nie. Zresztą niewielu ludzi tam było.

— Cóż. Tak tylko spytałem.

Robot uciął jeden z kwiatów rosnących na długiej łodydze i wręczył go Tennysonowi.

— Proszę, Sir. Niech pan przyjmie ode mnie częśćkę starożytnej Ziemi.

## ROZDZIAŁ 12

Kardynał Enoch Theodosius był stosunkowo niewielkiego wzrostu. Ciężka purpurowa szata przytłaczała go, zasłaniając prawie całe ciało. Metaliczny odbłask twarzy pod szkarłatną piuską zdradzał, że jest robotem. Jill doszła do wniosku, że słowo „zdradzał” właściwie nie pasuje w tej sytuacji. Kardynał Theodosius, ani żaden z jego kolegów, nie próbowali nawet uchodzić za ludzi. Może byli wręcz dumni z tego, że są robotami. Zresztą jeśli to, co zrobili tutaj, na Końcu Wszechświata, wiernie oddawało ich możliwości i umiejętności, mieli powody do dumy.

Pracownik, który doprowadził ją do gabinetu kardynała, zamknął teraz za nią drzwi i oparł się o nie swoimi szerokimi plecami, stając w rozkroku ze splecionymi z tyłu rękami. Gabinet był słabo oświetlony przez jedną tylko świecę płonąca na biurku, przy którym siedział kardynał. Dlaczego używają świec? — pomyślała Jill. Mając do wyboru elektryczność nie musieli używać świec. Może był to zwyczajny rekwizyt. Jeden z wielu, jakie spotykała tutaj na każdym kroku.

Na ścianach wisiały czerwonozłote draperie i nawet jeśli były tu okna, musiały być nimi również zatonięte. Na podłodze leżały dywany, zdaje się, że czerwone, ale tego nie mogła przysiąc. W słabym świetle wydawały się czarne, ale kto by używał czarnych dywanów? Meble rozstawione były jakby w nieładzie, chociaż w tych ciemnościach nie widziała właściwie mebli, a jedynie ich zarysy, które sprawiały wrażenie potworów czyhających w mroku na moment, gdy wyciągną swoje łapy i powrócą do życia.

Jill powoli podeszła do kardynała, starając się postępować zgodnie z etykietą, jaką przedstawiono jej tego popołudnia.

Uklęknąć, pocałować pierścień i nie podnosić się, dopóki on się nie podniesie. Następnie stać do chwili, kiedy kardynał poprosi o zajęcie miejsca. Zwracać się do niego „Wasza Eminencjo”, chociaż po pierwszym powitaniu, można używać formy krótszej — „Eminencjo”. Nawet jeśli protokół obejmował coś jeszcze, to w tej chwili Jill za nic nie mogła sobie tego przypomnieć. Jakoś to będzie, starała się dodać sobie ducha. Przechodziła już przez gorsze próby, i to nie raz. A poza tym, co za różnica? Nawet jeśli zapomni jakiegoś punktu etykiety, na pewno jej wybaczą. I tak pewnie byli przekonani, że jest tylko głupią dziwką, która nie może wyrządzić im żadnej szkody.

Poruszała się z wolna, mając nadzieję, że to doda jej godności, chociaż, prawdę mówiąc, w tej kwestii miała pewne wątpliwości. Kardynał i tak prawdopodobnie uzna, że ze strachu trudno jej się nawet ruszać. A nie było to prawdą. Ten robot w zapomnianym świecie, na krańcu galaktyki znaczył dla niej bardzo mało. Kardynał siedział spokojnie, czekając na nią i starając się pewnie jej przyjrzeć, kiedy szła przez pokój.

Gdy dotarła wreszcie do miejsca oddalonego od niego o jakiś metr, zatrzymała się. Uklęknęła, a kardynał wyciągnął rękę. Oto i pierścień, pomyślała. Pocałowała dłoń. Ręka cofnęła się i wykonała gest nakazujący jej powstanie.

— Panna Roberts — powiedział kardynał niskim i głębokim głosem.

— Wasza Eminencjo — odpowiedziała Jill pamiętając o protokole.

— Proszę usiąść.

Przy biurku zauważyła krzesło, które zostało dla niej wcześniej przygotowane.

— Dziękuję — mruknęła niewyraźnie, zapadając się w

miękkim meblu.

Przez chwilę w pokoju panowała zupełna cisza, wreszcie kardynał odezwał się.

— Dobre maniery nakazują mi wyrazić nadzieję, że miała pani miłą podróż. Znając jednak statek, jestem pewien, że to niemożliwe. Dlatego ufam, że podróż nie była zbyt męcząca.

— Nie, Wasza Eminencjo. Kapitan to dobry człowiek. Robił, co w jego mocy, żeby przelot był jak najmniej uciążliwy.

Kardynał wyciągnął dłoń i podniósł z biurka zwinięty plik papierów. Kartki zaszeleściły w jego dłoniach.

— Panno Roberts — zaczął — muszę przyznać, że jest pani osobą dość upartą. Mam tu kilka pani listów.

— Tak, Wasza Eminencjo. Niestety, na żaden z nich nie otrzymałam odpowiedzi.

— Wszystko, co robimy, robimy z rozwagą. Odpowiadamy tylko na nieliczne listy. W każdym razie na pewno nie na takie, jak pani.

— Co oznacza, jeśli dobrze rozumiem, że nie jestem tu mile widziana.

O kurczę! pomyślała. Zaczęło się. Zapomniałam dodać „Wasza Eminencjo”.

Kardynał, nawet jeśli to spostrzegł, zdawał się nie zwracać na to żadnej uwagi.

— Nie wiem, jak mogę wyjaśnić nasze zasady, tak aby nie odniosła pani wrażenia, że jestem niegrzeczny — odpowiedział.

— W takim razie, Wasza Eminencjo — odparła Jill zdecydowanym tonem — proszę być niegrzecznym, bo muszę to wiedzieć.

— Nie mamy zamiaru się reklamować — powiedział spokojnie kardynał. — Nie chcemy, aby nasze istnienie i praca poddane

były osądowi opinii publicznej.

— Mógł mi pan to powiedzieć, zanim rozpoczęłam podróż, Wasza Eminencjo. Mógł pan napisać coś, co by mnie zniechęciło. Posłuchałabym, gdyby tylko wydawało się to sensowne. Może nawet zrozumiałabym i przyjęła wasz punkt widzenia. Ale wam wydawało się oczywiście, że jeśli zignorujecie moje listy, to będzie to wystarczająco zniechęcające.

— Taką właśnie mieliśmy nadzieję, panno Roberts.

— Pańska filozofia, Wasza Eminencjo, nie dała dobrych rezultatów. Uczciwe wyjawienie waszych zasad, jak pan to nazywa, byłoby znacznie lepszym wyjściem.

Kardynał westchnął.

— Czy przypadkiem nie przemawia przez panią przekora?

— Nie wiem — odparła Jill. — Zazwyczaj nie bywam przekorna w stosunku do władz. Nigdy w każdym razie nie miałam takiego zamiaru. Ale wydaje mi się, że zasługuję na lepsze traktowanie z waszej strony. Byłam szczera w moich listach. Napisałam o moich planach, o tym, co miałam nadzieję zrobić. Prosiłam jedynie o pomoc. Mógł pan, Wasza Eminencjo, odwieść mnie od zamiaru przybycia tutaj.

— Oczywiście, mogliśmy to zrobić — odparł kardynał. — Z całą pewnością byłoby to bardziej stosowne wobec pani. Jakkolwiek sądziliśmy, że taki krok z naszej strony niepotrzebnie zwróci uwagę na pracę, jaką tutaj wykonujemy. Odmowa pani prośbie mogłaby wywołać wrażenie, że pracujemy tutaj nad czymś w tajemnicy, co z kolei sprawiłoby, że stalibyśmy się dla pani czymś jeszcze ważniejszym, zaczątkiem sensacyjnych informacji. Działamy tutaj po cichu i chcielibyśmy, żeby tak nadal zostało. Przez ostatnie dziesięć stuleci pracowaliśmy bardzo ciężko i w tym czasie osiągnęliśmy cele, jakie postawiliśmy sobie na

początku. Tym niemniej, nie jesteśmy jeszcze całkowicie usatysfakcjonowani rezultatami. Być może będziemy pracować przez tysiąclecia starając się osiągnąć cel, a żeby to zrobić, musimy mieć możliwość działania bez żadnych przeszkód. Nie chcemy, żeby cała galaktyka nagle zwała nam się na głowę.

— Wasza Eminencjo, przecież każdego roku przybywają do was tysiące pielgrzymów.

— To prawda, ale te tysiące są stosunkowo łatwe do opanowania w porównaniu z hordami, które napłynęłyby do nas, gdyby dziennikarka o pani kompetencjach i reputacji opisała naszą planetę. Pielgrzymi przybywający z wielu różnych planet, są w większości wyznawcami jakichś ciemnych religii, którzy gdzieś przypadkiem usłyszeli o nas. Ale właśnie dlatego, że religie te są rozproszone po różnych planetach i niewielu pielgrzymów przylatuje z tego samego miejsca, znaczenie tych wier nie jest zbyt duże, a informacje o nas rozmywają się. My nikogo nie nawracamy, nie staramy się rozgłaszać naszej wiary po galaktyce, ponieważ na razie nie mamy jeszcze czego rozgłaszać. Kiedyś, może za parę wieków, będziemy głosić naszą wiarę, ale jeszcze nie dziś. Niemniej jednak nie możemy zamknąć naszych drzwi dla tych, którzy w dobrej wierze przybywają tutaj szukać światła swego życia. Czujemy, że powinniśmy im pomagać. I muszę szczerze przyznać, że z zadowoleniem witamy ich wkład finansowy w budowę nowej wiary, ponieważ nie mamy własnych źródeł utrzymania...

— Niech pan pozwoli, że napisze o waszej pracy, Eminencjo, a otrzymacie pomoc finansową. Dostaniecie znacznie więcej, niż wam potrzeba.

Kardynał wyciągnął ręce ze swej sukni i gwałtownie nimi zamachał.



— Koszt byłby zbyt wysoki — powiedział. — Droga przed nami wciąż jeszcze jest bardzo daleka i musimy ją przemierzyć na swój własny sposób. Presja galaktyki, którą na pewno odczulibyśmy, byłaby zbyt duża, abyśmy mogli w spokoju kontynuować nasze zadanie. A my ciągle musimy ciężko pracować, przykładając się jeszcze bardziej niż dotąd. Pozorny sukces, wywołujący różnego rodzaju pochlebstwa, działałby na naszą niekorzyść. Powinniśmy trzymać się naszego marzenia o religii uniwersalnej i nie szczędzić wysiłków ku jej stworzeniu. Popularność zniweczyłaby cały nasz trud. Rozumie to pani?

— Wydaje mi się, że tak, Wasza Eminencjo. Niemniej jednak, żeby osiągnąć cel nie musicie wcale pracować w zapomnieniu.

— Ależ, panno Roberts, tak właśnie musimy pracować. Jeśli rozgłosilibyśmy nasz zamiar, zaraz znalazłyby się rzesze ludzi, którzy chcieliby wnieść swój udział. Niektórzy na pewno robiliby to w dobrej wierze, ale znaleźliby się i tacy, których zamiary nie byłyby najczystsze. Nawet w tej chwili... — Przerwał przyglądając się jej zasepiony.

— Nawet teraz, Eminencjo? — podchwyciła Jill.

— Niech pani zauważy, że mamy coś, co galaktyka z chęcią wykorzystałaby, ale czego z całą świadomością następstw nie możemy ujawnić do momentu, gdy poznamy to całkowicie lub przynajmniej dojrzymy w całej rozległości zakres tego. Jestem pewien, że istnieją siły, które bez skrupułów spróbowałyby wykraść nam naszą wiedzę i użyć jej dla swoich własnych celów, zapominając o całej strukturze, jaką przez stulecia mozolnie budowaliśmy. Nie martwimy się o swoje dobro, lecz o dobro galaktyki, a może całego wszechświata. Nasze struktury muszą pozostać nie naruszone. Kiedy zakończymy pracę, muszą stać się monolitem zbudowanym na filozofii, której nie będzie można

odmówić racji, która będzie oczywista dla wszystkich zainteresowanych. Nie możemy pozwolić, żeby została rozszarpana na kawałki przez sępy, żeby podziurawiły ją egoistyczne glisty. Nie chcemy, żeby jej okruchy zostały wywiezione i były sprzedawane na straganach dla ograniczonych wartości, jakie sobą przedstawiają. Od samego początku obawialiśmy się takiej sytuacji. Przez lata niebezpieczeństwo ciągle wzrastało. Dlatego boimy się, że w każdej chwili, nawet teraz, gdy jesteśmy jeszcze dosyć mało znani, mogą pojawić się pasożyty, które uszczkną kęs naszej filozofii. Nie wiemy, kim są, skąd przybywają ani jaki cel im przyświeca, ale czujemy wyraźnie, że są już blisko. Gdybyśmy otworzyli swe podwoje dla wszystkich mieszkańców galaktyki, gdyby napisała pani o nas...

— Krótko mówiąc, chcecie, abym wyjechała — przerwała Jill.  
— Żebym zwinęła manatki i dała wam spokój.

— Chcemy być z panią szczerzy — odpowiedział wymijająco kardynał. — Staralem się panią przekonać. Być może nawet wyjawilem zbyt wiele. A mogliśmy przecież nie zgodzić się na audiencję, odmówić pani rozmowy. Mimo to wiedzieliśmy, że w głębi serca nie życzy nam pani źle, jedynie nie zna pani następstw poruszenia tego tematu przez panią w prasie. Przykro nam, że zmarnowała pani pieniądze i trud. Wolelibyśmy oczywiście, żeby pani nie przyjeżdżała, ale skoro już tu pani jest, czujemy się zobowiązani okazać uprzejmość, mimo że mogłaby się wydać chłodna. Mamy nadzieję, że przemyśli pani to, co powiedziałem. Zdaje mi się, że zatrzymała się pani w Domu dla Ludzi?

— Owszem — odparła Jill.

— Czy zechciałaby pani zostać naszym gościem? Wyznaczymy

apartament do pani dyspozycji na tak długo, jak długo będzie pani chciała zostać u nas. Oczywiście wszelkie koszty, jakie pani poniosła i poniesie w związku z przybyciem na naszą planetę, zostaną pani zwrócone w całości. Oprócz tego na poczet straconego czasu wyznaczmy paniienne kieszonkowe. Proszę przynajmniej to dla nas zrobić. Niech pani przyjmie moje zaproszenie i zostanie naszym gościem. Będzie miała tu pani czas na przemyślenie wszystkiego.

— Pańska oferta jest nadzwyczaj hojna, Wasza Eminencjo — odpowiedziała Jill — ale nie mam zamiaru godzić się na takie postawienie sprawy. Nie przyjmuję pańskiej odmowy. Z pewnością będziemy musieli porozmawiać jeszcze raz.

— Proszę bardzo, porozmawiajmy. Obawiam się jednak, że nic to nie da. Nasze punkty widzenia zbyt różnią się.

— Jestem przekonana, że są takie strony waszej działalności, o których bez obaw mogę napisać. Może nie całą prawdę, ale chociaż...

— Prawdę mówiąc, panno Roberts, przyszedł mi właśnie do głowy inny pomysł.

— Słucham, Eminencjo.

— Co by pani powiedziała na pracę dla nas? Możemy pani zaoferować bardzo intratną posadę.

— Posadę? Nie szukam posady.

— Proszę — kontynuował kardynał — zanim mi pani odmówi, niech pani przynajmniej wysłucha do końca. Przez wiele lat zastanawialiśmy się nad koniecznością spisania formalnej, prawdziwej historii Watykanu-17, która służyłaby nam samym. W ciągu tych wszystkich wieków zbieraliśmy informacje, jakie należałoby umieścić w takiej kronice. Wszystkie wydarzenia, poczynając od pierwszego dnia, kiedy dotarliśmy na tę planetę,

spis wykonanych przez nas prac, nadzieje, sukcesy i porażki. Wszystko czeka na spisanie, ale jakoś nigdy nie udało nam się zabrać do tego. Mieliśmy mnóstwo pracy i, prawdę powiedziawszy, nigdy nie było tu nikogo kompetentnego, kto mógłby podjąć się takiej misji. Dopiero teraz...

— Dopiero teraz wpadliście na pomysł, że zgodzę się zrobić to dla was, spisać tysiąc lat kroniki. Dostycь dokładnie, podejrzewam. Ilu tysięcy stron rękopisu pan oczekuje? Jak się panu zdaje, ile czasu na to potrzeba? Jedno życie ludzkie, dwa? I oczywiście dobrze byście mi za to zapłacili?

— Cóż, oczywiście. Zapłata byłaby niewątpliwie godziwa — rzekł z przekonaniem kardynał. — O wiele więcej niż zarobiłaby pani myszkując po galaktyce w poszukiwaniu pikantnych tematów dla swoich reportaży. I jeszcze coś. Znalazłaby tu pani optymalne warunki do pracy. Wszelką pomoc, jakiej by pani potrzebowała. Oprócz tego przyjazne otoczenie w pracy i życiu osobistym i żadnych nacisków odnośnie terminu zakończenia zadania.

— To miłe z waszej strony.

— Niech pani nie odpowiada od razu. Proszę tylko przyjąć naszą gościnę i rozważyć moją propozycję. Za chwilę ktoś pokaże pani wolne apartamenty. Wybór należy do pani. Nie musi pani również wracać do Domu dla Ludzi. Ktoś weźmie pani bagaż i przywiezie go tutaj.

— Muszę się najpierw zastanowić.

— Dobrze, ale proszę się zastanawiać u nas. Na pewno stwierdzi pani, że nasze apartamenty są o wiele wygodniejsze...

— O Boże, pomyślała. Miałabym dostęp do wszelkich informacji zgromadzonych w bankach danych i czekających tylko na mnie!

— Jaka jest pani odpowiedź?

— Pańska propozycja jest bardzo kusząca — odpowiedziała głośno. — Wygląda na to, że będę musiała przyjąć zaproszenie i postąpić zgodnie z pańską wolą. A co do pracy, muszę się jeszcze namyślić.

— Proszę się nie spieszyć — odparł z zadowoleniem w głosie kardynał. — Nie będziemy wywierać na panią żadnej presji. Porozmawiamy, gdy będzie pani gotowa. Chcę tylko jeszcze raz zaznaczyć, że naprawdę bardzo potrzebujemy pani doświadczenia i talentu. Kroniki muszą zostać spisane. Żeby jednak to zrobić, trzeba nam kogoś, kto posiada odpowiednie umiejętności — może nawet talent. Ludzki talent, którego my, roboty, nigdy nie byliśmy w stanie sobie przyswoić. Tutaj, na Końcu Wszechświata bardzo ciężko jest znaleźć kogoś z odpowiednimi kwalifikacjami. Planeta jest zbyt odległa od większych ośrodków cywilizacyjnych, aby mogła przyciągać ludzi. Kiedy wyjdzie pani na dwór w nocy i spojrzy w niebo, zauważy pani zaledwie kilka gwiazd. Cała galaktyka to jedynie biała poświata na naszym niebie. Tym niemniej istnieją pewne korzyści wypływające z takiej sytuacji. Mamy przestrzeń, mamy spokój. Pewnego rodzaju świeżość, jakiej nie znajdzie pani na innych planetach. A poza tym mamy góry. Dla naszych ludzi, góry są ciągłym źródłem zachwyty.

— O, to z pewnością — uśmiechnęła się Jill.

## ROZDZIAŁ 13

To są nasze archiwa — rzekł Ecuyer do Tennysona. — Tutaj opisujemy i indeksujemy informacje zbierane w czasie pracy Programu Poszukiwań.

Pomieszczenie było stosunkowo duże, ale nie posiadało okien. Błade światła lamp sufitowych tworzyły jedną linię biegnącą przez całą długość dachu. Rzędy wypełnionych informacjami szuflad zajmujących całą powierzchnię ścian, od podłogi do sufitu, ginęły w oddali.

Ecuyer szedł wolno wzdłuż jednego z rzędów szuflad przesuwając otwartą dłoń po metalowych rączkach. Tennyson podążał za nim, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie po wrażeniu jakie wywierał ogrom archiwum. Czuł się w wielkiej hali jak mała mróweczka, przytłoczona wielkością budynku i obawiająca się śmierci pod natłokiem otaczającej ją przestrzeni.

Po chwili Ecuyer zatrzymał się i wyciągnął jedną z szuflad, szukając czegoś wśród wielu znajdujących się tam kryształowych sześcianów.

— A, tutaj jesteś — powiedział z wyraźnym zadowoleniem wyjmując jeden z nich. — Przypadkiem udało mi się znaleźć to, czego szukałem.

Podał Tennysonowi sześcian o boku około dziesięciu centymetrów.

Chyba nie chce, żebym się tym zachwycał? — pomyślał Tennyson.

Ecuyer zamknął szufladę.

— A teraz — powiedział — wyświetlę go panu.

— Wyświetli pan?

— Tak, zobaczy pan co zostało zapisane w tym sześcianie, doświadczy pan uczuć, jakie były udziałem Słuchacza. Zobaczy pan wszystko, co przeżył, widział i myślał. Wprowadzimy pana do jego wnętrza...

Spojrzał uważnie na Tennysona.

— To nie będzie bolało. To nawet nie będzie nieprzyjemne. Nie poczuje pan bólu ani strachu.

— Chce pan powiedzieć, że spróbuje pan... że połączy mnie pan w jakiś sposób z tym sześcianem?

Ecuyer kiwnął potakująco głową.

— To bardzo proste — uśmiechnął się.

— Ale po co? — zdziwił się Tennyson. — Po co chce pan to zrobić?

— Bo mógłbym opowiadać o naszej pracy przez kolejne trzy dni — rzekł Ecuyer — a i tak nie zrozumiałby pan tego nawet w przybliżeniu tak dobrze, jak po kilku minutach projekcji tej kostki.

— Rozumiem, ale dlaczego ja, przecież jestem zupełnie obcy — dziwił się nadal Tennyson.

— Nawet jeśli jest pan obcy, bardzo chciałbym, aby zdecydował się pan z nami zostać i przyłączyć do zespołu. Potrzebujemy ciebie, Jason. Nie rozumiesz?

— Prawdę mówiąc, zdecydowałem już, że zostaję. Posiedziałem sobie dzisiaj rano na ławeczce w pięknym ogrodzie i udało mi się podjąć decyzję, nie zastanawiając się nawet nad tym specjalnie.

— To wspaniale — odpowiedział wyraźnie zadowolony Ecuyer. — Tylko dlaczego tak długo pan zwlekał? Dlaczego nie powiedział mi pan tego od razu?

— Bo pan wciąż próbował mnie przekonywać. Muszę

przyznać, że było to tak przyjemne, że nie chciałem sobie psuć zabawy.

— Należała mi się nauczka — zaśmiał się Ecuyer — Nie mam panu tego za złe. Nawet nie zdaje pan sobie sprawy, jak bardzo jestem szczęśliwy z powodu pańskiej decyzji. Ale wracając do tematu, chce pan spróbować? — Tu Ecuyer wskazał na kostkę.

— Trochę się boję, ale jeśli pan uważa, że powinienem, to czemu nie.

— Tak, myślę, że powinien pan spróbować — odparł Ecuyer. — To ważne dla mnie i chyba dla pana również, żeby wiedzieć dokładnie, co tutaj robimy.

— Dzięki temu zrozumieć lepiej tę sprawę z Niebem?

— Pewnie tak, ale chodzi nie tylko o to. Widzę, że nadal jest pan sceptykiem?

— Tak. Pan nie jest?

— Nie wiem — odparł Ecuyer. — Nie jestem pewien. Każda cząstka mego jestestwa krzyczy, że to niemożliwe, a jednak...

— Dobrze — przerwał mu Tennyson. — Zaczynamy.

— W porządku. Proszę za mną.

Wyszli z archiwum i znaleźli się w małym pokoiku wypełnionym po brzegi wszelkiego rodzaju urządzeniami elektronicznymi.

— Proszę tu usiąść — powiedział Ecuyer wskazując na jeden ze stojących foteli. — Niech się pan odpręży.

Nad fotelem wisiał zaopatrzony w płataninę kabli hełm. Tennyson przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Proszę, niech pan usiądzie — powtórzył Ecuyer. — Zaraz założę panu hełm, włożę kostkę do stacji i...

— Cóż — westchnął Tennyson. — Chyba będę musiał panu zaufać.



— Niech mi pan wierzy, wcale nie będzie bolało.

Tennyson powoli usiadł na fotelu i wygodnie oparł ręce na poręczach. Ecuyer opuścił hełm, starając się dopasować go do kształtu głowy Tennysona.

— W porządku? — spytał wreszcie.

— W porządku. Ciemno jak w czasie nocy polarnej.

— To dobrze. Nie ma pan problemów z oddychaniem?

— Nie, wszystko gra.

— W takim razie zaczynamy.

Jeszcze przez chwilę Tennyson wpatrywał się w egipskie ciemności, po czym nagle ujrzał przed oczyma światło. Zielonkawy blask, wraz z pojawieniem się którego poczuł, że znajduje się w wodzie. Uczucie było tak nieoczekiwane, że podświadomie zaczął nerwowo łapać powietrze, jak wyrzucona na brzeg ryba. Już po chwili jednak przyzwyczał się do nowych warunków.

Woda była ciepła, a muł na dnie miękki i drobny. Musiał niedawno coś jeść, bo czuł się wyraźnie ociężały. Z żadnej strony nie odczuwał niebezpieczeństwa. Przez chwilę wypełniało go uczucie pełnego zadowolenia i Tennyson pogrzyżył się głębiej w uginające się pod jego ciężarem podłoże. Kiedy muł nie poddawał się już więcej naciskowi, poruszył nogami, starając się wkopać jeszcze głębiej w ciepły szlam. Wysilek nie przyniósł większych rezultatów, chociaż kiedy zaprzestał, wyraźnie poczuł otulający go ciepły muł, zapewniający wygodę i bezpieczeństwo. Przysiadł tak głęboko i wygodnie jak tylko mógł, doznając zniewalającego uczucia zadowolenia i niemocy. Wiedział, że kiedy przykryje go szlam, niezależnie od tego, jaka by była jego grubość, osłonięty zostanie ze wszystkich stron i stanie się praktycznie niezauważalny. Było właściwie niemożliwe, żeby

grasujący w tych okolicach drapieżnik dostrzegł go w takiej kryjówce. Wystarczyło jedynie nie ruszać się, nie prowokować ataku. Miał wszystko, czego mu było trzeba. Najadł się wcześniej, tak że jeszcze przez dłuższy czas nie będzie odczuwał głodu. Było mu ciepło i bezpiecznie. Pozostawał w bezruchu, starając się nie wzburzać wody.

Gdy tylko jednak osiadł na dnie, w poczuciu pełnego zadowolenia i niemocy, pojawiło się w nim palące, wewnętrzne pytanie. Coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczył, ponieważ aż do tego momentu w jego umyśle nigdy nie powstało żadne pytanie. Po prostu istniał i było to wszystko, co potrzebował wiedzieć. Nigdy nie zastanawiał się, kim jest. Kwestia tożsamości jakoś nigdy się nie pojawiła.

Poruszył się niespokojnie, zdenerwowany i zły, że nagle staje przed nim zupełnie nie znane mu pytanie. Ale nie to było nawet najgorsze. Istniało jeszcze coś bardziej denerwującego. Miał wrażenie, że przestał być już sobą, jakby pytanie to nie zostało postawione przez niego, lecz nadeszło z zewnątrz. A przecież na zewnątrz nie było nic, nic oprócz ciepła, płytkiego morza i miękkości dennego mułu. Obawa, że przerażający cień połknie go za chwilę, znikła wreszcie i był pewien, że może nie obawiać się krążących drapieżników, czyhających na trylobity.

O, Boże! pomyślał nagle z przestrawieniem. Jestem trylobitem!!!

Kiedy wreszcie zdał sobie z tego sprawę, zapadła całkowita ciemność, którą po chwili rozjaśniło blade światło. Tennyson siedział w fotelu, a stojący nad nim Ecuyer trzymał hełm w wyciągniętych rękach. Doktor odetchnął głęboko i popatrzył niezupełnie jeszcze przytomnym wzrokiem na Ecuyera.

— Powiedział pan, że to przypadkowa kostka. W takim razie musiałby to być łut szczęścia.

Ecuyer uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Nie nazwałbym tak tego. Pamięta pan Słuchacza, o którym panu opowiadałem?

— Człowiek, który był wcześniej tryłobitem? Ale to było tak rzeczywiste!

— Może być pan pewien przyjacielu, że to, co pan widział i odczuwał, to nie gra świateł ani pokaz efektów specjalnych. Pan rzeczywiście przez moment był tryłobitem.

## ROZDZIAŁ 14

Kiedy Tennyson wrócił do swojego mieszkania, Jill siedziała już przed kominkiem. Jason prawie rzucił się na jej spotkanie.

— Cały czas zastanawiałem się, gdzie jesteś. Miałem cię już szukać.

— Hubert przygotowuje obiad — odpowiedziała Jill. — Powiedziałam mu, że zostanę. Nie masz nic przeciwko temu?

Pochylił się, żeby ją ucałować, potem usiadł obok niej.

— Też pytanie. Mów wreszcie, co u ciebie słychać.

Jill zrobiła niewyraźną minę.

— Niezbyt dobrze. Nie mają zamiaru wyrazić zgody na pisanie reportażu. Zamiast tego zaproponowali mi pracę.

— Mam nadzieję, że ją przyjąłeś?

— Nie. Przynajmniej na razie nie. I nie wydaje mi się, żebym zmieniła zdanie. Ale słyszałam, że ty już się zatrudniłeś.

— Na jakiś czas. To chyba dobre miejsce na przeczekanie.

Jill wskazała na stojącą na stole w wazoniku różę.

— Skąd ją wzięłeś?

— Dostałem od ogrodnika. Wyobraź sobie, że dziś rano znalazłem wspaniały ogród. Jeśli miałabyś ochotę, z przyjemnością cię po nim oprowadzę.

— Zaproponowali mi, żebym zamieszkała u nich i dziś rano przeniosłam się. Cztery mieszkania dalej. Robot, który przeniósł moje rzeczy, powiedział, że znajdę cię tutaj. Masz jakiegoś drinka?

— Chyba tak — odparł Tennyson. — Ale najpierw chciałbym pokazać ci ogród.

— Dobrze — zgodziła się Jill.

— Spodoba ci się — zapewniał ją Tennyson. Kiedy doszli do ogrodu, Jill odwróciła się nagle i spytała: — Po co ten cały szum z powodu ogrodu? Co w nim takiego niezwykłego?

— Nie chodzi o ogród — odpowiedział spokojnie Tennyson. — Podejrzewam, że Hubert pilnie nadstawia uszu i nawet będąc w kuchni wie, o czym rozmawiamy. Zrób coś w tym mieszkaniu, a po dziesięciu minutach wszyscy w mieście już będą o tym plotkować. Być może nawet w ogrodzie będą nas podsłuchiwać, ale tutaj przynajmniej mamy szansę. Musimy porozmawiać.

— Po Gutshot masz już manię prześladowczą — pokiwała głową Jill. — Wszyscy chcą cię zasztyletować albo otruć.

Tennyson wzruszył ramionami.

— Może. Może masz rację.

— Jeśli jednak podjąłeś decyzję o pozostaniu tutaj, to nie można chyba powiedzieć, że ci się tutaj nie podoba.

— Nie chodzi o to, że mi się nie podoba — odparł Tennyson. — Po prostu czuję się dziwnie. Cholernie dziwnie. Widziałem ostatnio kobietę, tę, do której byłem wzywany, kiedy Ecuyer przerwał nam kolację. Otóż ona twierdzi, że odnalazła Niebo.

— Niebo?

— Owszem. Niebo. Nie opowiadałem ci jeszcze o programie, jaki tutaj prowadzą. Ludzie podróżują w podświadomości do różnych miejsc i ściągają informacje, które następnie wprowadzane są do Papieża. Mam jednak dziwne wrażenie, że tak naprawdę informacje te służą innym celom. Z tego, co mówił mi wczoraj Ecuyer, między punktem widzenia Programu Poszukiwań i Watykanu istnieją pewne rozbieżności.

— Niebo? — powtórzyła zdziwiona Jill. — Chodzi ci o boskie, biblijne Niebo ze złotymi gwiazdkami, fanfarami i latającymi aniołkami?

— Coś w tym rodzaju.

— To chyba niemożliwe?

— Nie wiem. W każdym razie Mary uważa, że je odnalazła. Ecuyer jeszcze nie jest do końca przekonany, czy to prawda.

— Ecuyer to wariat.

— Nie przesadzajmy — Tennyson przerwał dyskusję i zmienił temat. — Słuchaj, czy grozili ci użyciem siły, jeśli nie zgodzisz się na ich propozycję?

— Co?

— Nie dziw się tak. Ecuyer powiedział, że jeśli nie będę chciał zostać, zawsze mogą zatrzymać mnie siłą.

— Na szczęście nikt mi nic takiego nie mówił. Rozmawiałam z kardynałem. Purpurowy habit i szkarłatna piuska. W tle jedna paląca się świeca. Zaraz, zaraz. Ale chyba nie dlatego zostajesz? Zmusili cię?

— Nie. Powiedzieli w końcu, że jeśli chcemy, to nas wypuszczą. Mimo to cały czas wyczuwam jakieś zagrożenie. Cała ta planeta znajduje się pod panowaniem Watykanu i to właśnie Watykan ustanawia tutaj prawa. Ale zostanę, bo tego chcę, przynajmniej na razie. I tak nie mam dokąd uciekać. Poza tym jest tu całkiem miło, a ta historia zaintrygowała mnie na dobre.

— Mnie też — odrzekła Jill. — Kardynał nie chciał słyszeć o pisaniu o nich artykułu ani, tym bardziej, książki. Nie wspominał jednak o tym, jakoby mieli zamiar zatrzymać mnie tutaj siłą. Wręcz przeciwnie, odniosłam wrażenie, że chciałby się mnie jak najszybciej pozbyć. A on nagle zaproponował mi pracę.

— Żelazna pięść w aksamitnej rękawicy.

— Tak to można nazwać. To całkiem miły... robot, już chciałam powiedzieć „starszy człowiek”. Sympatyczny, chociaż uparty. Dyskutowałam z nim zawzięcie, a on nie ustępował ani

na krok.

— Co to za praca?

— Chcą spisać historię Watykanu. Kardynał twierdzi, że nie mają nikogo, kto mógłby to zrobić. Sugerował wręcz, że robota nie można przyuczyć do takiego zajęcia. Czy dasz wiarę, że posiadają historię wszystkiego, co się tutaj wydarzyło i co zostało zrobione od momentu, kiedy dotarł na tę planetę pierwszy statek? Cała baza danych czeka tylko na moje skinienie. Oczywiście odmówiłam. To znaczy, nie powiedziałam „nie”. Właściwie rzuciłam tylko coś o tym, że muszę się zastanowić. Mam nadzieję, że odczytali to jako dyplomatyczną odmowę.

— A chciałabyś, żeby tak było?

— Prawdę mówiąc, Jason, już sama nie wiem. Pomyśl tylko! Cała ich tajemnica tkwi w bazie danych. Przez te wszystkie lata czekała spokojnie w zakurzonych nośnikach magnetycznych. Trzeba tylko kogoś, kto bez żadnych skrupułów ją odkryje.

— Ale jaki z tego pożytek, jeśli nie uda ci się jej odkryć?

— Właśnie. Żadnego. Jason, czy ja wyglądam jak podstępna zmija?

— Cóż, kiedy się nad tym dobrze zastanowić...

— Nie mogłabym żyć ze świadomością, że miałam okazję to zrobić i zrezygnowałam — ciągnęła Jill.

Coś tu nie gra. Najpierw nie pozwalają ci napisać nawet małej wzmianki o tym miejscu, a potem podtykają ci całą tajemnicę na tacy. Co prawda, istnieje jeszcze możliwość, że rzeczywiście potrzebują kogoś, kto spisze im tę historię, i są pewni, że potrafią cię tutaj zatrzymać.

— Jeśli tak jest naprawdę — zastanowiła się Jill — muszą być cholernie pewni siebie.

— Tak właśnie wyraził się Ecuyer. Że są „pewni siebie”.

— Jason, wygląda na to, że musieliśmy upaść na głowę przylatując tutaj. Jeśli Watykan nie chce, aby jakiegokolwiek informacje ujrzały światło dzienne, to jedynym sposobem jest upewnienie się, że nikt, kto przyleci tutaj, nie opuści już więcej planety.

— A pielgrzymi? Ciągłe przylatują i odlatują.

— Kardynał częściowo mi to wyjaśnił. To dlatego, że pielgrzymi się nie liczą. Przylatują z rozsianych po całym kosmosie planet, ale zawsze zaledwie kilku z tej samej. Są wyznawcami ciemnych kultów o niewielkim znaczeniu. Nikt nie zwraca uwagi na to, co mówi wyznawca takiego kultu tak długo, dopóki jest to zdanie pojedynczej osoby. Wszystko, co mówią pielgrzymi, uznaje się na ogół za religijne majaki.

— Watykan z pewnością ma wiele do ukrycia — powiedział w zamyśleniu Tennyson. — Weźmy na przykład Program Poszukiwań Ecuyera, o którym pielgrzymi nic nie wiedzą i nie podejrzewają nawet jego istnienia. Może to właśnie Program Poszukiwań jest tutaj najważniejszy, może Watykan to tylko przykrywką? Słuchacze doją kosmos z informacji, we wszystkich punktach czasu i przestrzeni, a może również i w innych miejscach, poza znanymi nam wymiarami. Jeśli takie miejsca gdzieś w ogóle istnieją.

— Na przykład Niebo. Jeśli ono istnieje.

— Chodzi o to, że nikt inny nie prowadził nigdy podobnych badań. Program Poszukiwań zgromadził tony informacji zebranych przez pracowników. Gromadzą dosłownie wszystko. I co zamierzają z tym zrobić?

— Może rzeczywiście wprowadzają te dane do Papieża?

— Eee tam, też mi Papież — odburknął Tennyson. — Nie, to niemożliwe. Tu musi chodzić o coś więcej. Ecuyer powiedział coś



na temat tego, że w ciągu tych stuleci Projekt Papież stał się jedynie pretekstem do kontynuacji Programu Poszukiwań. I chyba o to chodzi. Sugerował, że nie powinienem nigdy wspominać o tym w obecności ludzi z Watykanu, bo niektórzy z nich mogą się poczuć dotknięci.

— Watykan ma swoje obawy — zauważyła Jill — Kardynałowi również wypsnęło się to i owo. Wyglądało to tak, jakby chciał się komuś zwierzyć, chociaż nie podejrzewam, żeby przyznał się do tego, gdyby go wprost zapytać. On i być może inni kardynałowie mają wrażenie, że ktoś stara się wykraść ideę Watykanu. Określił to jako „rozszarpanie przez sępy”. Największym jego zmartwieniem jest to, że nikt nie wie, kto lub co jest tym sępem.

## ROZDZIAŁ 15

Kardynał Enoch Theodosius dogonił swojego kolegę kardynała Cecila Robertsa.

— Eminencjo — powiedział — wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać.

— Jest pan zdenerwowany — odparł Roberts. — O co chodzi?

— O nowych przybyszów. Ludzie. Mężczyzna i kobieta.

— Co pan o nich wie?

— O mężczyźnie prawie nic. Ecuyer zatrudnił go jako lekarza Watykanu. Z moich informacji wynika, że przybył tutaj uciekając przed wymiarem sprawiedliwości.

— Rozmawiał pan o nim z Ecuyerem?

— Nie, Wasza Eminencjo. Ostatnio bardzo trudno się z nim dogadać.

— Tak, wiem coś o tym — westchnął Roberts. — Czasem odnoszę wrażenie, że uważa on Program Poszukiwań za nasz najważniejszy cel. Moim zdaniem trzeba go po prostu sprowadzić na ziemię.

Theodosius w milczeniu pokiwał głową.

— Mimo całego naszego uwielbienia dla rasy ludzkiej, czasami trzeba przyznać, że są tacy, z którymi naprawdę trudno jest żyć.

— A co z tą kobietą, Eminencjo?

— Rozmawiałem z nią dziś rano. Jest pisarką. Niech pan tylko pomyśli, pisarka! To ona pisała te wszystkie listy. Opowiadałem chyba panu?

— Tak, coś sobie przypominam.

— Ubzdurzyła sobie, że napisze o nas.

— Napisze o nas?

— Tak, wspominała o tym w swoich listach. Przeczytał je pan chyba, prawda?

— Oczywiście. Ale jakoś wyleciało mi to z głowy. To przecież niemożliwe! Niech pan pomyśli o skutkach!

— Właśnie — zasępił się Theodosius.

— Odradził jej pan to, mam nadzieję?

— Tak, tak. Ale do niej to nie dotarło. Jest bardzo uparta. W końcu zaproponowałem jej pracę.

— Przepraszam, Eminencjo, czy ja dobrze słyszę? Przecież nie mamy żadnych etatów...

— Ależ oczywiście, że mamy — odparł szybko Theodosius. — Już od dłuższego czasu myśleliśmy o napisaniu historii Watykanu. Mówiliśmy nieraz, że dobrze byłoby mieć wszystko spisane na kawałku papieru, tak aby każdy mógł czytać i podziwiać. Rozważaliśmy nawet możliwość skonstruowania nowego gatunku robotów, które posiadałyby odpowiednie umiejętności. Ale wygląda na to, że my, roboty, nie jesteśmy do tego stworzone. Poza tym stracilibyśmy mnóstwo czasu nad projektowaniem i konstrukcją nowej rasy, która posiadałaby jedynie umiejętność pisania. I oto trafia nam się osoba, która przychodzi do nas dobrowolnie i jest w stanie wykonać dla nas to zadanie.

— I cóż ona na to?

— Mam wrażenie, że moja propozycja nie powaliła jej na kolana. Ale nie to jest najważniejsze.

— A mnie się wydawało, że to właśnie o nich chciał pan porozmawiać, nowej kobiecie i mężczyźnie.

— Tak... oczywiście. Ale nie tylko o nich. W ostatnich latach pojawiły się trzy czynniki ludzkie, które sprowadziły nam na głowę jedynie kłopoty.

— Trzy?

— Decker jest tym trzecim. On również jest dla nas wielką zagadką. Czy jest coś pewnego, co wiemy o nim?

— Cóż, owszem — odparł zaskoczony pytaniem Roberts — chociaż rzeczywiście niewiele. Nie wiemy na przykład, jak się tu dostał. Nie przybył na Wędrowcu, a nie mam pojęcia, w jaki inny sposób człowiek mógłby dotrzeć na naszą planetę. Być może pan, Wasza Eminencjo, wie o nim coś więcej? Przecież rozmawiał pan z nim osobiście?

— To było kilka lat temu — zauważył Theodosius. — Zaraz po tym, jak się pojawił. Wdziałem habit mnicha i wpadłem do niego pod pozorem przywitania go na naszej planecie. Wścibski, natarczywy, bezpośredni, mały klecha. Podejrzewałem, że będzie wolał rozmawiać z kimś takim niż z kardynałem. Mimo to niczego się dokładnie nie dowiedziałem. Miły, ale zamknięty w sobie człowiek. A teraz tych dwoje, kobieta i doktor. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, Eminencjo, do czego jest nam potrzebny lekarz? Przecież w krótkim czasie jesteśmy w stanie przeszkolić jednego z naszych robotów do pracy lekarza dla ludzi. Posiadałby dokładnie taką samą wiedzę, byłby równie wydajny i równie zdolny jak każdy lekarz-człowiek. Może nawet byłby w stanie zrobić coś wiele więcej, bo posiadamy przecież nową wiedzę medyczną, która prawdopodobnie mogłaby zostać zastosowana w przypadku ludzi.

— Tak — odparł Roberts. — Wiem. Często o tym rozmawialiśmy. Co jakiś czas jednak musimy sprowadzać z zewnątrz lekarza dla ludzi pracujących nad naszym projektem. Nie jest to na pewno pożądane.

W ogóle nie jest pożądane sprowadzanie z zewnątrz nowych ludzi. Stary lekarz, ten który umarł, tak jak zresztą, niestety,

umierają wszyscy ludzie, był całkiem w porządku. Chociaż, jak pan zapewne pamięta, na początku mieliśmy co do niego wątpliwości. Ten, który go zmienił, był za to od początku jedną wielką pomyłką. Ludzie w mieście i na Watykanie, z wyjątkiem Słuchaczy, których często sprowadzamy, są starymi mieszkańcami planety. Są potomkami tych, którzy przybyli tutaj wiele wieków temu. Nie musimy się ich obawiać. Stanowią z nami prawie jedność. Ale nowi przybysze nie czują do nas żadnego przywiązania. Nie są do nas przyzwyczajeni i myślę, że tak samo można określić nasz stosunek do nich.

— A mimo to — przerwał Theodosius — nasi własni ludzie, potomkowie tych, którzy mieszkali na planecie przez wieki prawdopodobnie nie zaakceptowałiby lekarza-roboty. I to mnie właśnie martwi. Wyraźnie widać przepaść kulturową, jaka ciągle istnieje między robotami a ludźmi. A miałem nadzieję, że po tych wszystkich latach przepaść ta już się zatarła. Oczywiście, istnieją pewne różnice między robotami i ludźmi, tym niemniej...

— Wydaje mi się, Wasza Eminencjo, że podświadomie kojarzymy się ludziom z kupą żelastwa. Gdyby o to spytać człowieka wprost, natychmiast zaprzeczyłby i co więcej, byłby przekonany, że mówi prawdę, ale niestety przyzwyczajenie jest zbyt silne. Jestem tego pewien. A co do lekarza-roboty, to oczywiście moglibyśmy stosunkowo szybko wyszkolić jednego z nas. Myślę jednak, że nie byłoby to najlepsze rozwiązanie. Na Końcu Wszechświata zawsze mogliśmy zapewnić naszym ludziom życie w luksusie, ale jedynym powodem, dla którego tego nie zrobiliśmy, była obawa, że ktoś stwierdzi, iż staramy się nimi zawładnąć. A do tego nie wolno nam dopuścić. Oczywiście, byłoby znacznie prościej, gdybyśmy uczynili z nich zwierzątka domowe, opiekowali się nimi, chronili przed

niebezpieczeństwami i zapewniali wszystko, czego potrzebują. Ale właśnie chodzi o to, że nie wolno nam tego robić. Nie powinniśmy starać się wpływać na nich w żaden sposób. Powinniśmy pozwalać im robić, co chcą, i chronić ich godność.

— Stoimy przed dylematem — powiedział smutno Theodosius. — Walczymy z sobą. Prześladowuje nas nasz szacunek, nasza troska i cześć, jaką oddajemy ludziom. Dlatego właśnie nie możemy się od nich uwolnić. Oczywiście, nie ja i pan. My zostaliśmy przez nich stworzeni. Stoimy zbyt blisko nich. Ale niektóre roboty drugiej i trzeciej generacji, skonstruowane przez inne maszyny, mogłyby wyzbyć się tego przywiązania. Pocieszamy się, że jesteśmy jedynie pomocnikami ludzi. I chyba chcielibyśmy tak naprawdę myśleć, bo powtarzamy to dosyć często prawie bez zastanowienia. Gorzka prawda jest jednak taka, że jesteśmy jedynie produktem przedsiębiorczości człowieka.

— Wasza Eminencjo — powiedział uprzejmie Roberts. — Jest pan dla siebie zbyt surowy, jest pan zbyt surowy dla nas wszystkich. Być może jesteśmy jedynie produktem, ale tysiąc lat wysiłków zmierzających do samodoskonalenia z pewnością wyniosło nas powyżej poziomu zwykłego produktu. Przeszkadza nam jedynie to, że nasze przywiązanie do ludzkości wymaga zbyt dużo poświęceń. Lecz jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, łatwo zauważyć fałszywość tego rozumowania. Przez całe wieki trudziliśmy się nad odkryciem uniwersalnej podstawy właściwej wszystkim, nie tylko robotom, ale każdemu rozumnemu istnieniu, każdej formie inteligencji. Eminencjo, spłaciliśmy już nasz dług. Zapracowaliśmy na prawo bycia sobą.

— Dlaczego w takim razie tak się przejmuję trojgiem ludzi? Czy przyjmuję postawę dziecka w stosunku do rodzica, surowego ojca, który przygląda mi się, gotów zganić, jeśli popełnię jakiś

błąd?

— Każdy z nas, nie tylko pan, wyraźnie odczuwa kompleks niższości — odparł Roberts. — To jarzmo, które musimy dźwigać, robiąc przy tym jak najlepszą minę. Jeszcze parę tysięcy lat i przejdzie nam.

— To wszystko prawda — westchnął Theodosius. — Kiedy się zastanowić, czuję na sobie ciężar tyłu win, że z trudem utrzymuję się na nogach. Czasami nawet, proszę mi wybaczyć Eminencjo, mam wrażenie, że zawiniliśmy, wymyślając Jego Świątobliwość. Często powtarzam sobie, że popełniliśmy okropne świętokradztwo, że przecież Jego Świątobliwość jest tylko jednym z nas i nie ma w sobie ani odrobiny świętości. To jeszcze jedna maszyna, wyjątkowo zmyślny robot, cybernetyczny cień, dzięki któremu możemy nadal się oszukiwać.

— Wasza Eminencjo! — krzyknął z przerażeniem Roberts. — Mam nadzieję, że nie ogłosił pan takich herezji w obecności innych osób. Jako stary przyjaciel, mogę zrozumieć pańskie poczucie winy, ale...

— Nikomu przedtem o tym nie wspominałem — przyznał się Theodosius. — Do tej pory zatrzymywałem to dla siebie. Tylko komuś takiemu jak pan, staremu przyjacielowi, mogłem się zwierzyć z moich trosk. I nawet teraz nie zaprzętałbym panu głowy tymi przemyśleniami, gdyby nie wydarzenia ostatnich dni. I to odnalezienie Nieba przez jednego ze Słuchaczy...

— Tak, to rzeczywiście przykra sprawa — odpowiedział Roberts. — Miało to zdecydowanie negatywny wpływ na naszych braci. Żywiłem nadzieję, że sprawa przycichnie i zostanie wkrótce zapomniana. Z tego co pamiętam, Słuchacz bliski był śmierci, która zakończyłaby całą błazenadę, i gdyby nie ten doktor...





## ROZDZIAŁ 16

Stan Mary poprawiał się z dnia na dzień. Gorączka spadała, a trudności z oddychaniem już dawno znikły. Jej oczy przestały być zamglone. Odzyskała przytomność i mogła już nawet siadać na łóżku.

Stała się stanowczą, opryskliwą i złośliwą starszą kobietą. Bez przerwy kłóciła się z Tennysonem, pokrzykiwała na pielęgniarkę i z całkowitym lekceważeniem ignorowała wydawane jej polecenia.

— To wszystko przez to cholerne Niebo — tłumaczył Ecuyer. — Dzięki niemu poczuła się lepsza od innych Słuchaczy, lepsza od wszystkich. Była jednym z naszych najlepszych pracowników. W ciągu tych wielu lat dostarczyła nam mnóstwa informacji. Żadna jednak nie była tak ważna jak Niebo. Oczywiście, niektóre z jej odkryć były bardzo interesujące, potencjalnie każda wiadomość może być źródłem wielkiego odkrycia, ale to, co zobaczyła ostatnio, miało dla nas ogromne znaczenie. Obawiam się jedynie, że będzie to oznaczało koniec jej pracy jako Słuchacza. Aby być dobrym Słuchaczem, trzeba wykazywać poświęcenie i posłuszeństwo. Zadania stawiane przed osobą na tym stanowisku muszą być wykonywane z oddaniem. Słuchacz musi umieć się podporządkować, zapomnieć o swojej osobowości i podchodzić do wszystkiego bez żadnych uprzedzeń. Szkoda, że klony Mary...

— Właśnie, wspomniał pan już wcześniej o klonach — wtrącił Tennyson. — Czy to znaczy, że udało wam się stworzyć kopię Mary?

— Tak — potwierdził Ecuyer. — Gdy widzimy, że jakiś

Słuchacz działa nadzwyczaj sprawnie, przeprowadzamy klonowanie. To jedna z nowszych sztuczek. Laboratorium badawcze procesów biologicznych Watykanu wynalazło najbardziej zaawansowane techniki klonowania w całej galaktyce. Są łatwe w obsłudze i bezbłędne. Jak dotąd nie zdarzyła nam się ani jedna pomyłka. Dobrych Słuchaczy jest naprawdę trudno znaleźć. Nawet nie zdaje pan sobie sprawy, ile czasu zajmuje nam wyszukanie odpowiedniej osoby. A odpowiedni nie znaczy jeszcze wydajny. Nie możemy pozwolić sobie na utratę takiej osoby jak Mary i dlatego powielamy ją, by mieć większą ilość Słuchaczy jej pokroju. Posiadamy jej trzy klony, ale są one jeszcze dziećmi. Jednak nawet kiedy dorosną, nie mamy żadnych gwarancji, że któreś z nich odnajdzie Niebo, tak jak ona. Mimo to mamy nadzieję, że będą miały większe szansę, niż Słuchacze nie spokrewnieni z Mary. Pewnego dnia klony te staną się wspaniałymi Słuchaczami, ale czy odnajdą Niebo, tego nikt nie wie.

— W takim razie Mary jest jedyną nadzieją.

— Taka niestety jest prawda — odparł smutno Ecuyer. — I ona wie o tym bardzo dobrze. Dlatego właśnie nagle zrobiła się taka ważna.

— Czy można na to coś poradzić? W jakiś sposób sprowadzić ją na ziemię?

— Trzeba zwyczajnie zostawić ją w spokoju. Nie zwracać uwagi. Postępować pamiętając o zasadzie: „Daj jej palec, a chwyci całą rękę”.

Jill przyjęła propozycję spisania historii Watykanu.

— Raz kozie śmierć! — rzekła do Tennysona, gdy przechadzali się alejkami w parku. Minie co najmniej pięć tygodni, zanim statek z Gutshot powróci na Koniec Wszechświata. Przez pięć

tygodni nie mogłabym nawet wyściubić nosa poza tę planetę. Chyba bym zwariowała. Przecież tu nie ma nic innego do roboty. Nie ma nawet czego zwiedzać.

— Mogłabyś chodzić po górach. Nie wiem, czy zauważyłaś, że ich wygląd zmienia się w zależności od padającego na nie światła. Nigdy nie są takie same. Mógłbym siedzieć i patrzeć na nie godzinami.

— To patrz — prychnęła Jill. — Czy ja wyglądam na wariatkę, która gania po górach?

— A jeśli na dobre zakopiesz się w historię Watykanu? Jeśli okaże się tak fascynująca, że nie będziesz mogła się od niej oderwać, nawet jeśli Watykan ci na to pozwoli? Co będzie, jeśli nadejdzie moment, kiedy będziesz wiedziała tyle, że nie będą cię mogli wypuścić?

— Zaryzykuję — odparła. — Patrzysz na kobietę, która już nie raz znajdowała się w ciężkich opałach, a jednak za każdym razem udawało jej się z nich wykaraskać. A poza tym, Boże, co ja bym dała za informacje, które tam spoczywają. Mówią, że posiadają kompletne archiwa, rozumiesz? Kompletne!

Już wkrótce Jill rzuciła się w wir pracy. Od czasu do czasu wpadała jedynie na obiad i przyjacielską pogawędkę.

— Nie wiem nawet, co ci opowiedzieć — powiedziała podnieconym głosem przy jednej z kolejnych wizyt. — Jest tego tyle, że starczyłoby na encyklopedię. Te archiwa są rzeczywiście kompletne. Wszystko, co planowali lub wykonali, wszystko, co kiedykolwiek pomyśleli.

— Wrdzę, że wciąga cię ta praca. Uważaj — ostrzegł ją Tennyson. — Jeśli tak dalej pójdzie, nigdy już stąd nie wyjedziesz. Zmienisz się w badacza, którego jedyną pasją w życiu jest praca.

— Gdzieś wewnątrz mnie pozostała jeszcze dawna Jill Roberts

— odparła. — Jill Roberts, demon wolnego pisarstwa przemierzający całą galaktykę w poszukiwaniu odpowiedniego tematu na następny felieton. Myślę, że będę jeszcze miała swoje pięć minut, ale dość już o mnie, mów lepiej, co u ciebie.

— Zaczynam się tutaj zadomawiać.

— Jesteś szczęśliwy?

— Szczęśliwy? Nie wiem. Czym jest szczęście? Zadowolony, na pewno. Oczywiście tylko na pewien czas. Praca lekarza jest niewątpliwie zawodem przynoszącym duże zadowolenie. Chociaż nigdy nie starałem się zostać jednym z tych, którzy chcą się wpisać na listę zasłużonych dla ludzkości. Dla mnie najważniejsze jest zdrowie pacjenta i wystarczy mi, jeśli on czuje się dobrze. Dlatego właśnie znajduję tutaj wszystko, czego mi potrzeba, aby mieć poczucie dobrze wypełnionego obowiązku. Poza tym współpraca z Ecuyerem i całą resztą jest całkiem miła.

— A jak się miewa nasza odkrywczyni Nieba?

— Odkrywczyni Nieba? Cholera wie. To znaczy fizycznie czuje się nieźle...

— ...Ale?

— Zmieniła się dość mocno. Jest dumna jak paw. Odgrywa wielką panią. Cały świat powinien klęczeć u jej stóp. Wyraźnie coś jej się zdrowo pochrzało pod sufitem.

— Musisz ją zrozumieć. Pomyśl, co znaczyło dla niej odkrycie Nieba. Niezależnie od tego, co odkryła, wierzy, że jest to Niebo, i dlatego jest to dla niej najważniejsza rzecz na świecie. Być może jest to nawet pierwszy dzień w jej życiu, kiedy poczuła, że przydarzyło jej się coś naprawdę istotnego.

— Wszystko jedno, co mówią inni. Ona jest pewna, że odnalazła Niebo.

— Tak jak zresztą połowa Watykanu.

— Połowa? Myślałem, że cały Watykan?

— Nie jestem pewna. Nikt nie chce powiedzieć mi niczego wprost, ale słyszę to i owo. Co prawda niewiele z tego rozumiem, ale jestem pewna, że nie wszyscy cieszą się z odkrycia Nieba.

— A to czemu? Niebo! Jezu Chryste, przecież oni powinni z radości wyskakiwać z siebie!

— Watykan jest w rzeczywistości czymś innym, niż się wydaje. Nam w każdym razie. Z powodu terminologii: Watykan, Papież, kardynałowie i cała reszta, kojarzymy to przede wszystkim z religią chrześcijańską. A przecież to nieprawda, chrześcijaństwo to tylko jeden ze składników tego melanzu. Nie pytaj mnie, jakie są pozostałe, nie mam pojęcia, tym niemniej jestem przekonana, że jest ich całe mnóstwo. Prawdopodobnie kiedyś religia ta bazowała głównie na chrześcijaństwie, było ono przecież jedyną wiarą, jaką przywieźli tu ze sobą z Ziemi. Ale wkrótce roboty odkryły tak wiele nowych, interesujących kultów, że już od dawna chrześcijaństwo przestało odgrywać wiodącą rolę. A poza tym...

Przez chwilę wahała się. Tennyson czekał spokojnie, nic nie mówiąc. Po chwili Jill na nowo podjęła wątek.

— Na Watykanie są dwie grupy robotów nie różniące się zbyt wiele między sobą. Pierwsza grupa to starsze roboty, te które przybyły z Ziemi. Posiadają nadal potrzebę bliskiej identyfikacji z człowiekiem. Wydaje im się, że ludzie i roboty powinni zawsze trzymać się razem. Inaczej myślą młodsze roboty kolejnych generacji, które zostały zaprojektowane zbudowane już tutaj przez swoich starszych braci, a nie przez ludzi. W ich zachowaniu wyczuwa się odrazę, jaką żywią — może nawet nie tyle do ludzi, co do szacunku, jakim starsze roboty darzą ludzi. Roboty nowych generacji chcą zerwać wszelkie kontakty z

ludzkością. Oczywiście nadal oddają ludziom cześć jako twórcom swoich dalekich przodków, ale mimo to chcą zerwać z nimi wszelkie więzy. Pragną przez to zwyczajnie wzmocnić swój wizerunek. Niebo odkryte przez Mary jest dla nich bardzo podejrzane, ponieważ zbyt silnie wiąże się z ludzkością. Mary jest człowiekiem, a odkryte przez nią Niebo to stara chrześcijańska koncepcja.

— Nic z tego nie rozumiem — zmarszczył czoło Tennyson. — Przecież nie wszyscy ludzie są chrześcijanami. Właściwie jest ich jedynie mały procent. Nie wydaje mi się, abym ja był chrześcijaninem. Ty też chyba nie. Być może dawno temu nasi przodkowie wyznawali tę wiarę, chociaż i to nie jest pewne. Mogli przecież równie dobrze być wyznania mojżeszowego albo...

— Bez wątpienia jednak, niezależnie od tego, czy my sami czujemy się chrześcijanami, wielu z nas posiada przodków, którzy wyznawali tę wiarę. Dlatego też chrześcijańska ideologia najczęściej narzuca nam pewien sposób myślenia. Nie trzeba daleko szukać, przecież co chwila używamy wykrzykników pochodzących z tej właśnie religii. „Do diabła!”, „Chryste!” czy „O Boże!”.

Tennyson ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Teraz już wiem, dlaczego roboty uważają, że w głębi duszy nadal jesteśmy chrześcijanami. Nie zrozum mnie źle, nie mam nic przeciwko byciu chrześcijaninem...

— Nie musisz się tłumaczyć — machnęła ręką Jill. — Kiedy ludzie rozpoczęli zasiedlanie kosmosu, po drodze zagubili całą swoją wiarę. Dziś mało kto z nas wie, kim jest.

Przez pewien czas siedzieli w zamyśleniu, po czym Jill odezwała się cicho i miękko.

— Jason, nie zwracasz już uwagi na moją twarz. Właściwie nie twarz tylko bliznę, tę cholerną szramę. Zupełnie jakby dla ciebie nie istniała. Jesteś pierwszym mężczyzną, który jej nie dostrzega.

— Moja droga, czemu miałbym zwracać na nią uwagę?

— Bo mnie oszpeca. Bo sprawia, że jestem brzydka jak noc.

— Widzę w tobie tak wiele piękna — odparł Tennyson. — I wewnątrz, i na zewnątrz, które całkowicie rekompensuje tę małą ułomność. I masz rację, jeśli nie zwracasz na nią uwagi, nie zauważam jej.

Jill pochyliła się ku niemu, a Tennyson objął ją ramionami.

— Przytul mnie — powiedziała. — Przytul mnie mocno. Tak bardzo tego potrzebuję.

Był to tylko jeden z wyjątkowych wieczorów, w czasie których mogli się spotkać. Zazwyczaj Jill pracowała do późna, przekopując się przez sterty dokumentów, wyciągając je z archiwum i kompletując. Próbując zrozumieć, czego dotyczą rozmyślała nad fanatycznym poświęceniem, jakie przez lata pchało roboty do jeszcze bardziej wyętej pracy. Czasami wydawało jej się, że prawdziwym powodem nie była religia, że musiało istnieć coś jeszcze, coś, o czym nie wiedziała i nie mogła wiedzieć. Tak czy inaczej, już wkrótce w jej umyśle pojawiło się dręczące pytanie: czym jest religia?

Czasami kardynał Theodosius przychodził odwiedzić ją w pracy; kiedy przysiadł na krześle obok, opatulony w całe metry atlasowej szaty, swoim wyglądem bardzo przypominał mumię.

— Czy daje pani sobie radę? — pytał najczęściej. — Jeśli nie, bez trudu znajdziemy kilku pomocników.

— Jest pan dla mnie bardzo uprzejmy, Wasza Eminencjo — odpowiadała wówczas Jill. — Mam wszystko, czego potrzebuję.

I była to prawda. Dwa pracujące z nią roboty wydawały się

równie zainteresowane tematem, jak ona. Za każdym razem, gdy pojawiała się jakaś nieścisłość w dokumentach, gdy znajdowali jakiś temat do dyskusji teologicznej, kiedy wreszcie starali się zrozumieć i wyjaśnić punkt widzenia oraz myśli zawarte w dokumentach spisanych parę wieków wcześniej, we troje siadali przy wielkim stole i pracowali wyężdżając wszystkie siły.

Pewnego dnia, w czasie jednej z wizyt kardynał powiedział bez żadnych wstępów.

— Powoli staje się pani jedną z nas, panno Roberts.

— Nie wiem, Wasza Eminencjo — uśmiechnęła się Jill.

— Nie chodzi mi o to, co pani sobie pomyślała — wyjaśnił kardynał. — Mówiłem o pani sposobie myślenia, entuzjazmie i oddaniu pracy.

— Jeśli chodzi panu o prawdę, Wasza Eminencjo, to zawsze byłam jej entuzjastką.

— Nie tyle chodzi o prawdę, co o zrozumienie nas — odparł robot. — Wydaje mi się, że zaczyna pani pojmować cele naszego pobytu tutaj.

Jill odsunęła papiery, nad którymi ślęczała.

— Nie, Eminencjo, tego nadal nie rozumiem. Być może uda się panu mnie oświecić. Nie widzę wielu elementów, bez których zrozumienie was jest niemożliwe. Podstawową sprawą jest, dlaczego właściwie opuściliście Ziemię i przybyliście na Koniec Wszechświata. Mówi się, że byliście niezadowoleni z sytuacji, w której robot nie mógł stać się komunikantem żadnej wiary, czyli innymi słowy, nie mógł być uznany za wyznawcę żadnej religii. Tak w każdym razie bez zająknięcia odpowiadają wszystkie roboty na Watykanie. Brzmi to jak jedno z dziesięciu przykazań, nad którymi nigdy się nie zastanawiają. Jednak w dokumentach nie znalazłam potwierdzenia takiej właśnie hipotezy.



— Nic, co wydarzyło się przed naszym przybyciem tutaj, nie zostało zapisane w archiwach — odparł kardynał. — Nie było takiej potrzeby. Wszyscy doskonale wiedzieli, dlaczego się tutaj znaleźliśmy.

Jill nie odpowiadała. Nie chciała dyskutować z kardynałem, nawet jeśli był on jedynie robotem.

Theodosius natomiast wydawał się nie zwracać uwagi na milczenie Jill. Może wydawało mu się, że przekonał ją swoim wyjaśnieniem. W każdym razie rozmowa urwała się. Kardynał siedział zgarbiony na krześle jeszcze przez kilka minut. Potem podniósł się i po cichu odszedł.

Tennyson miał pełne ręce roboty. Przemierzał Watykan wzdłuż i wszerz, obserwując, ucząc się i rozmawiając z napotkanymi robotami. Odwiedzał Słuchaczy, z kilkoma nawet się zaprzyjaźnił. Szczególnie dobrze układały się jego stosunki z Jamesem Henrym, człowiekiem, który w jednym z poprzednich wcieleń był trylobitem.

— A więc skanował pan kostkę z trylobitem? — spytał Henry. — I co, jak wrażenia?

— Muszę przyznać, że tak dziwnie nie czułem się jeszcze nigdy — odparł Tennyson dostając dreszczy na samo wspomnienie tego przeżycia.

— To jest nas dwóch — klepnął go w ramię Henry. — Od tamtej pory nie słuchałem. Prawdę powiedziawszy — dodał ścisząc głos — boję się. Wciąż powtarzam sobie, że trylobit to już najdalej, dokąd mogę zawędrować. I na pewno bardzo blisko całkowitej utraty wrażliwości na bodźce zewnętrzne. Jeśli posunę się o krok dalej, stanę się zapewne masą bezmyślnej protoplazmy, znającej jedynie instynktowną pogoń za pożywieniem i ucieczkę przed niebezpieczeństwem. Zresztą już

będąc trylobitem, wyraźnie odczuwałem te dwa popędy. Jedynie mój własny umysł uczynił z tego trylobita istotę odczuwającą coś więcej. Jeśli cofnę się dalej, mogę na zawsze utknąć w masie żyjącej, bezmyślnej galarety. To by dopiero była śmierć!

— Mógłby pan spróbować podróży w inne miejsca.

— Nie rozumie pan, doktorze — zachnął się Henry. — Pewnie, że mogę spróbować. Wielu Słuchaczy wybiera sobie określone obszary czasoprzestrzeni i do nich podróżuje. Czasami im się udaje, ale najczęściej nie mają tyle szczęścia. Z tym nigdy nie wiadomo. Słuchanie to naprawdę niebezpieczna zabawa. Niczego nie można tutaj przewidzieć. Niech pan na przykład weźmie Mary. Pewnie znowu spróbuje podróży do Nieba i przy jej zdolnościach zapewne jej się to uda. Ale nawet ona nie może być niczego pewna. Nikt nie może być pewien. Przecież ja też nie starałem się podróżować po linii bakteria-plazma. Tak po prostu wyszło.

— Dlaczego w takim razie chce pan jeszcze słuchać? Przecież może zdarzyć się tak, że nie uda się panu...

— Doktorze — odparł Henry — jak już panu mówiłem, nie wiem, dlaczego w ogóle rozpocząłem te podróże i dlaczego je kontynuowałem. Wiem jednak, że po kilku razach czułem, jakbym zjeżdżał po dobrze nasmarowanej zjeżdżalni. Obawiam się, że zjeżdżalnia ta nadal na mnie czeka. Początek był zresztą bardzo przyjemny. Przednia zabawa. I można było nauczyć się wielu rzeczy. Byłem na przykład parokrotnie człowiekiem pierwotnym i nawet nie wyobraża pan sobie, jakie to fascynujące. Oczywiście, miałem wielu wrogów i najczęściej ratując skórę musiałem uciekać. Musi pan wiedzieć, że nie od początku byliśmy wielkimi władcami Ziemi. Co gorsza, nasze akcje nie stały zbyt wysoko. Byliśmy po prostu jednym z

ochłapów mięsa biegającym pomiędzy innymi ochłapami mięsa. Mięsożercy mieli gdzieś, czy zjedzą człowieka czy jakieś inne bydło. Byliśmy dla nich tylko mieszaniną białka i tłuszczu. Kiedy nie musiałem nawiewać, szukałem pożywienia: padliny pozostawionej przez duże koty i innych drapieżników, gryzoni, które mogłem schwytać, owoców, korzeni, owadów. Gdy teraz o tym myślę, chce mi się rzygać, ale wtedy byłem szczęśliwy, jeśli tylko udało mi się coś wtrząchnąć. Czasami w snach, kiedy widzę duży kamień leżący przy drodze, podnoszę go i wybieram żyjące pod nim białe robaki. Wiją się, próbują uciec, ale trzymam je mocno i wrzucam do szeroko otwartych ust. Kiedy przełykam, czuję miłe drażnienie w przełyku. Są lekko słodkie. W tym momencie budzę się zlany zimnym potem, a żołądek wywraca mi się do góry nogami. Gdyby nie te komplikacje, nie miałbym powodów do narzekań. Nawet wtedy, gdy uciekałem, nie było mi źle. Oczywiście bałem się, ale w strachu jest coś ożywczego. I niech pan pomyśli o uczuciu ogromnej satysfakcji, jakiego się doznaje, kiedy uda się wystrychnąć na dudka gnającego za panem wielkiego skurczybyka. Śmiałem mu się prosto w pysk i czułem się diablo dumny. Jedynym moim zmartwieniem było wypełnienie żołądka i znalezienie miłego miejsca do wygrzewania w słońcu. Od czasu do czasu uganiałem się też za jakąś kobietką.

Ale powiem panu, co było najciekawsze ze wszystkich moich podróży. Wcale nie ludzie, ich przodkowie, ani nawet zwierzę bliżej spokrewnione z człowiekiem. Zresztą co do niektórych istot, w jakie wcielałem się, to nie wiem nawet, jak je sklasyfikować. W każdym razie najbardziej interesujące było, kiedy stałem się czymś w rodzaju jaszczurki. Tak naprawdę, to nikt nie wie dokładnie, co to było za zwierzę. Ecuyer spędził

kupę czasu, usiłując ustalić pochodzenie tej istoty. Zamówił nawet jakieś książki, które miały pomóc mu w badaniach, ale niestety wyszły z tego nici. Zresztą mnie to nie obchodzi. Wydaje mi się, że była to nie znana ludziom forma życia, której szkieletu nigdy nie odnalazł żaden paleontolog. Z naszych ustaleń wynika, że żyła w triasie. Ach prawda, powiedziałem, że to była jaszczurka, ale zgodnie z klasyfikacją trzeba by ją prawdopodobnie nazwać inaczej. Nie była duża, ale bardzo zwinna, jedna z najszybszych istot, jakie zamieszkiwały wtedy Ziemię. A jaka zła! Chryste, jaka ona była zła! Nienawidziła innych zwierząt i walczyła ze wszystkimi. Żarła wszystko, co się poruszało. Nigdy wcześniej nie wiedziałem, że tak miło jest być złym i okrutnym. Złym aż do szpiku kości. Najprawdziwszym potworem. W porównaniu z życiem trylobita pod postacią jaszczurki spędziłem mnóstwo czasu. Zresztą nie wiem dokładnie jak długo, bo nie znałem pojęcia czasu. Egzystowałem po prostu gdzieś w nieskończoności. Może dlatego trwało to tak długo, bo spodobało mi się takie życie. Niech pan poprosi Ecuyera, żeby odszukał panu kostkę z jaszczurką. Ubawi się pan jak nigdy.

— Może kiedyś rzeczywiście spróbuję — odparł niepewnie Tennyson.

Nie skanował jednak kostki z jaszczurką. Było zbyt wiele innych, bardziej fascynujących sześcianów. Ecuyer nigdy nie bronił Tennysonowi oglądania żadnego z nich. Wydał nawet robotowi pilnującemu kostek nakaz wyświetlenia Tennysonowi wszelkich interesujących go podróży. Poza tym dał mu długą listę ciekawych, jego zdaniem, projekcji.

Tennyson czuł się bardzo dziwnie. Znalazł się tutaj jako zupełnie obcy człowiek, a mimo to umożliwiono mu dostęp do

całych zbiorów gromadzonych przez lata. Traktowano go tak, jakby był człowiekiem projektu. W tym momencie przypomniał sobie, że w bibliotece Watykanu Jill udostępniono kompletne archiwa projektu. Zupełnie nie zgadzało się to z tym, co mówił kardynał w czasie audiencji z Jill, jakoby Watykan nieugięcie utrzymywał swoje istnienie i pracę w tajemnicy przed opinią publiczną. Istniało tylko jedno wyjaśnienie takiego stanu rzeczy. Watykan był pewien, że nikt, kto poznał jego tajemnice, nie będzie mógł już nigdy opuścić planety.

Być może wierzyli również, że odsłaniając swoje sekrety przed nim i Jill przekonają dwoje niewiernych do swojej idei. Watykan składał się przecież z grupy oddanych fanatyków izolujących się od otaczającej galaktyki. Galaktyki, w której oprócz Końca Wszechświata nie było dla nich miejsca. Właśnie z powodu tego fanatyzmu i izolacji w ich oczach Watykan i jego cele wydawały się zdecydowanie ważniejsze, niż były w rzeczywistości. W ten sposób Watykan padał ofiarą swego własnego egocentryzmu, a idea stawała się tak wzniosła, święta i oczywista, że nikt, kto został z nią odpowiednio zaznajomiony, nie miał innego wyjścia jak tylko przyłączyć się do projektu. Wystarczyło jedynie otworzyć dostęp do informacji, a każdy natychmiast wstępował do szeregu walczących.

Tennyson potrząsnął głową. Sposób myślenia Watykanu był dla niego zupełnie nielogiczny. Przecież gdyby zechcieli, mogli odesłać jego i Jill z powrotem na Gutshot, zaraz gdy tylko Wędrownik wyładował cały przywieziony tu ekwipunek. Z pewnością dzięki kilkunastu dniom spędzonym tutaj oboje wiedzieliby o Watykanie więcej, ale nadal nie mieliby zielonego pojęcia o tym, co się tutaj naprawdę dzieje. Jill napisałaby swój artykuł rozwodząc się nad tym, dlaczego usunięto ją z planety.

Nie miałyby to oczywiście żadnych następstw, bo w natłoku zdarzeń, toczących się krucjat, wojen i innych problemów galaktyki artykuł taki można by porównać do plusku małego kamyczka wpadającego do wzburzonego sztormem oceanu.

Najprostszą odpowiedzią — w co jednak trudno mu było uwierzyć — był fakt, że obydwój z Jill byli tu potrzebni. Rzeczywiście, żyjący tu ludzie potrzebowali lekarza, być może również potrzeba spisania historii Watykanu była na tyle nagląca, że zdecydowano się na zatrudnienie Jill. A poza tym w takim miejscu jak to, oddalonym o wiele tygodni lotu od najbliższej zamieszkałej planety, trudno było znaleźć kogoś kompetentnego. Dlatego właśnie, kiedy dwoje wykwalifikowanych potencjalnych pracowników wpadło z niezapowiedzianą wizytą, Watykan rzucił się na nich jak na długo oczekiwaną zdobycz. Był to jakiś powód, ale Tennyson nie był skłonny uwierzyć w tak szczególny rozwój wypadków. Nie mógł zaakceptować myśli, że on i Jill są dla nich tak ważni. Chyba że — ta myśl uporczywie powracała do niego co chwila — Watykan nie miał wcale zamiaru zezwolić im na odejście.

Jedna z kostek, jakie obejrzał, wzbudzała w nim mieszane uczucia. Nawet znajdujące się wewnątrz umysłu jednego z mieszkańców świata, w którym przebywał, nie potrafił pojąć sensu swego istnienia. Wszystko było zupełnie niezrozumiałe. To, co widział, chociaż później zdał sobie sprawę, że właściwie nie można nazwać tego widzeniem, stanowiło świat wykresów i równań, a przynajmniej tak mu się wydawało, bo nie zauważył ani jednego znaku czy symbolu w jakikolwiek sposób przypominającego symbole używane przez ludzi. Miał wrażenie, że umieszczono go wewnątrz ogromnej, trójwymiarowej tablicy ze znakami i symbolami, wykresami i równaniami zebranych ze

wszystkich stron wokół niego, sięgającymi daleko aż po sam horyzont. W pewnych chwilach wydawało mu się również, aczkolwiek nie mógł tego stwierdzić na pewno, że on sam albo raczej to coś, czym był, było także jednym z równań.

Na próżno szukał odpowiedzi, wyjaśnienia, starając się przeniknąć umysł swego gospodarza. Nie osiągnął w ten sposób żadnych wyników. Istota którą był, najwyraźniej nie miała pojęcia o jego obecności. A ona sama nie potrzebowała żadnych odpowiedzi czy wyjaśnień. Rozumiała wszystko, co ją otaczało. Być może co najwyżej interpretowała to, co postrzegała, przekazując mu wyniki swojej współzależności z innymi wykresami i równaniami. Ale nawet jeśli tak rzeczywiście było, Tennyson nie dostrzegał tego. Gubił się w bezkresie niewiedzy.

Mimo to nie poddawał się. Z wielkim wysiłkiem walczył o zrozumienie czegokolwiek, odgadnięcie choćby ułamka zagadki, wydarcie jednego małego skrawka tajemnicy, którego mógłby później użyć jako klucza do dalszego poznania. Niestety, nie udało się. Kiedy po skończonej projekcji wrócił do świata rzeczywistego, wiedział równie wiele, jak w momencie, gdy rozpoczynał oglądanie kostki.

Siedział w fotelu, poruszony tym, co zobaczył.

— To dopiero była projekcja, prawda, Sir? — zaszczębiotał radośnie pomagający mu robot.

Tennyson otarł twarz dłonią, próbując otrząsnąć się z zamyślenia.

— Tak — odparł. — Co to było takiego?

— Tego nie wiemy, Sir.

— Po co w takim razie trzymać to i oglądać?

— Być może Watykan będzie wiedział. Oni mają swoje sposoby — odparł robot.

— Cóż, spodziewam się, że masz rację — westchnął Tennyson wstając z fotela. — Już dość na dziś. Mogę wpaść jutro?

— Oczywiście, Sir. Jutro albo kiedy tylko pan zechce.

Następnego dnia podczas projekcji Tennyson oglądał jesienny park.

Właściwie nie było to nic nadzwyczajnego. Tym razem jednak czuł wyraźnie, że nie znajduje się wewnątrz istoty rozumnej. Po prostu istniał. Kiedy później zastanawiał się nad tym, nie dałby głowy, że był w jednym, określonym miejscu, chociaż z pewnością znajdował się w świecie rzeczywistym. Pod stopami wyraźnie słyszał trzeszczenie i szelest opadłych na ziemię jesiennych liści. Oddychał ostrym, świeżym powietrzem o woni przypominającej zapach palonych liści, dojrzałych jabłek wiszących na uginających się pod ich ciężarem gałęziach drzew, lekki aromat późno zakwitłych kwiatów i zasypiającej przed zimą roślinności. Słyszał lub wydawało mu się, że słyszał, szelest wyschłych łodyg kukurydzy, stukot spadających z drzew orzechów, nagły furkot skrzydeł kuropatw i delikatny, spokojny szmer łagodnego strumyka, którym płynęły jak małe łódeczki jesienne liście. Poza tym był pewien, że rozpoznaje kolory. Żółte drzewa orzechowe, czerwono-fioletowe jesiony, krzyczące, słoneczno żółte osiki, jasnoczerwone klony i brązowe dęby. Ponad wszystkim unosił się gorzkosłodki smak jesieni, głoszącej chwałę umierającego roku, w którym cała praca została już wykonana i można było pozwolić sobie na zasłużony odpoczynek.

Tennyson wyraźnie wczuł się w panującą dookoła atmosferę. Przenikał go spokój i zadowolenie z samego siebie. Przeszedł wzgórze i podążał dalej kierując się z biegiem strumienia. W pewnej chwili stanął i spojrzał na drugi brzeg, gdzie



rozpościerało się spustoszone jesienią bagno. Usłyszał krzyczące na tle nieba drzewa, pomalowane na złoto, czerwono i żółto. Poczuł wewnątrz dziwne odprężenie. Ulgę, jaka nadchodzi po długo oczekiwanym końcu lata, spokój i ciszę, które przychodzą mroźną zimą. Był to' dla niego czas wytchnienia, czas przemyśleń i odpoczynku, czas na wyleczenie i zapomnienie krzywd wyrządzonych przez kapryśny los.

Kiedy później o tym myślał, stwierdził, że to musiało być Niebo. Jego własne, osobiste Niebo. Nie to z wysokimi świecącymi wieżyczkami, szerokimi, potężnymi schodami ze złota, grzmiącymi trębami zastępów niebieskich, jakie widziała Mary. To było Niebo rzeczywiste, spokojne jesienne popołudnie, które zapadło nad ziemią po upalnym letnim dniu.

Po wymianie grzeczności z radosnym jak zwykle robotem, Tennyson wrócił do swojego mieszkania wciąż jeszcze zastanawiając się nad ujrzaną dopiero co wizją. Przez cały czas starał się ponownie wejść w ten nastrój, zobaczyć i poczuć wszystko to, czego doświadczył w czasie projekcji. Stać się częścią niebytu, efemerycznym ogniwem jesiennej aury, zawieszonym gdzieś daleko w kosmosie.

Tego wieczora powiedział Jill:

— Czułem się, jakbym wrócił na moją macierzystą planetę. Wspominałem lata dzieciństwa i wczesnej młodości, jeszcze zanim wyjechałem do szkoły medycznej. Mieszkałem na planecie podobnej do Ziemi. Podobieństwo było zresztą uderzające. Osobiście nie mogę tego ocenić, bo nigdy nie byłem na Ziemi, ale tak mi powiedziano. Osiedlili się na niej Anglicy. Nazywała się Paddington, na cześć ich miasta. Mieszkańcom bardzo się to podobało. Anglicy nigdy nie mieli poczucia humoru. Wszyscy byliśmy do cna angielscy czy może brytyjscy, nigdy nie

pamiętałem, który termin jest właściwy. Dużo rozmawiało się o Starej Ziemi i o tym, jak bardzo była podobna do Paddington, czego nie mogłem zrozumieć, bo z tego, co przeczytałem później, nasza planeta posiadała raczej klimat i wielkość Ameryki Północnej. W dzieciństwie miałem fioła na punkcie Anglii i legend z nią związanych. Czytałem bardzo dużo na temat historii Anglii. Biblioteka w naszym mieście posiadała osobny, sporej wielkości dział...

— Już dawno miałam ci powiedzieć, ale zawsze zapominam — wtrąciła Jill. — W bibliotece watykańskiej jest wiele książek przywiezionych ze Starej Ziemi. Książek, a nie taśm. Kartki zamknięte w okładkach. Każdy może z nich korzystać. Gdybyś chciał, mógłbyś którąś pożyczyć.

— Kiedyś na pewno to zrobię — odparł Tennyson. — Ale mówiłem ci o Paddington. Opowiadano mi, że nasza planeta jest nieomal kopią Starej Ziemi. Ludzie zawsze powtarzali, iż są bardzo szczęśliwi, że udało im się znaleźć takie miejsce. Istnieje przecież dużo planet, na których można mieszkać, jednak niewiele z nich przypomina choćby w minimalnym stopniu Starą Ziemię. NaPaddington dużo drzew i kwiatów miało swoje ziemskie odpowiedniki, rosnące najczęściej w Ameryce Północnej a nie Anglii, chociaż obie posiadały częściowo tę samą roślinność. I pory roku były takie same jak na Ziemi. W moim rodzinnym mieście mieliśmy wspaniałą jesień. Drzewa pokrywały się kolorowymi liśćmi, nad ziemią unosiła się lekka mgła. Prawie już zapomniałem ten widok i dopiero dzisiaj ujrzałem go ponownie. Przynajmniej tak mi się wydaje. Czuję zapach jesieni, słyszałem jej odgłosy i znów chodziłem po jesiennym parku.

— Jason, jesteś zmęczony. Postaraj się zapomnieć. Chodźmy do

łóżka.

Tennyson dyskutował z Ecuyerem.

— Świat równań był przecież zupełnie bezsensowny — mówił.

— Czy ten Słuchacz powrócił tam jeszcze?

— Nawet kilka razy — odpowiedział Ecuyer.

— I...?

— Wciąż to samo. Nie udało nam się nic odszyfrować.

— Czy często zdarzają się takie wizje?

— Może nie zawsze równania. Rzadko mamy do czynienia z tym, żeby dana wizja powtórzyła się u dwóch Słuchaczy. We wszechświecie, w którym wszystko, dosłownie wszystko zdarza się statystycznie przynajmniej raz, czyli innymi słowy, gdzie wszystko, co możliwe, zdarza się przynajmniej raz, szansę na powtórzenie są niewielkie. Oczywiście, zdarzają się takie przypadki, ale raczej sporadycznie. Tym niemniej wizje takie jak ta, kiedy nie potrafimy wyjaśnić najmniejszego szczegółu, przytrafiają nam się czasami.

— W takim razie po co je trzymać? Jaki z nich pożytek?

— Być może Watykan będzie w stanie wyciągnąć coś z tego dla siebie.

— Chce pan powiedzieć, że przekazujecie to wszystko Watykanowi?

— Oczywiście. Po to przecież się tym zajmujemy. Dla Watykanu. Mają prawo obejrzenia wszystkiego, czego zapragną. Oglądają i oceniają, a potem przesyłają kostki z powrotem do nas. Czasami idą za tropem, czasem nie. Mają swoje własne sposoby.

— Ale żeby pójść za tropem tego równania, ktoś musiałby znów się tam wybrać. To znaczy fizycznie, osobiście. Żeby zobaczyć to z własnego punktu widzenia, a nie oczyma

mieszkańca danego świata. Jestem tego pewien.

— Cóż, czasami Watykan potrafi dostać się do miejsca, które my znajdujemy.

— Podróżują w takie miejsca? Naprawdę tam docierają?

— Zgadza się — potwierdził Ecuyer. — Myślałem, że pan o tym wie.

— Nie, słyszę o tym pierwszy raz — odparł w zamyśleniu Tennyson. — Nikt mi nic nie powiedział. A więc to nie zawsze jest podglądanie przez dziurkę od klucza?

— Czasami to rzeczywiście coś więcej. Czasami nie. Musimy wtedy zadowolić się naszą dziurką.

— Dlaczego w takim razie Watykan nie zbada widzenia Nieba? Przecież...

— Może nie mogą — przerwał mu Ecuyer. — Być może nie wiedzą, gdzie jest. Nie mają współrzędnych.

— Nie rozumiem. Czy Słuchacze nie określają współrzędnych?

— Nie. Ale są na to inne sposoby. Ludzie z Watykanu znają różne sztuczki. Jednym z najprostszych sposobów jest określenie konfiguracji gwiazd.

— I co, w kostce z wizją Nieba nie da się tego zrobić? Cóż, gdyby to rzeczywiście było Niebo, to nie powinno być widać gwiazd. Niebo znajduje się poza czasem i przestrzenią. Ale gdyby Watykanowi udało się je namierzyć, co by zrobił? Wysłał kogoś do Nieba?!

— Tego nie wiem — odparł Ecuyer. — Nie mogę ręczyć za to, co zrobiłby Watykan.

Tennysonowi wydawało się to wszystko bardzo dziwne. Odnalezienie Nieba było tak ważne z punktu widzenia filozofii i teologii, że sama myśl o tym powinna budzić dreszcze u tych, którzy mają możliwość sprawdzenia takiego odkrycia.

Przypomniął sobie, co Jill mówiła mu na temat podziału zdań robotów w Watykanie, dotyczącego spostrzeżeń Mary.

— Istnienie Nieba udowodniłoby również możliwość życia po śmierci — powiedział Tennyson. — Czy Słuchacze odkryli coś, co choćby w przybliżeniu można by uznać za trop prowadzący do udowodnienia takiej hipotezy?

— Nie wiem. Naprawdę, nie wiem. Nikt nie może być tego pewien...

— Co to znaczy, że nikt nie może być pewien?

— Zastanów się. Istnieje tyle form życia. Wygląda na to, że wszechświat składa się z życia biologicznego i niebiologicznego. Życie niebiologiczne z kolei może być sklasyfikowane w kilka oddzielnych kategorii. Dlatego nigdy nie będziemy pewni.

— Tak. Oczywiście... — mruknął Tennyson — na przykład roboty...

— Cholera, Jason! Nie mówię o żadnych robotach! Pewnie, że są to formy niebiologiczne. Niebiologiczne i stworzone syntetycznie. Ale istnieje przecież życie naturalne, czy też to, co wydaje nam się życiem a mimo to nie jest formą biologiczną. Weź na przykład chmurę pyłu i gazu w gwiazdozbiorze Oriona, to znaczy przestrzeni, którą na Ziemi nazywano gwiazdozbiorem Oriona. Odrobina pyłu i gazu. Nawet największy teleskop nie byłby w stanie osiągnąć jej z Końca Wszechświata. Kłębowisko pól magnetycznych o podwyższonej gęstości gazów, wysokiej jonizacji, dużych przesunięciach pyłu kosmicznego. Przecież to też jest coś żywego. Może sam gaz i pył. Może coś innego. Cokolwiek by to było, na pewno żyje. Wyraźnie czuje się pulsowanie życia, rytm egzystencji. Poza tym, to coś mówi. Zresztą „mówi” to chyba nie jest najwłaściwszy termin. „Komunikuje się” byłoby bardziej adekwatne. Można to coś

usłyszeć, wyczuć, ale nie można tego zrozumieć. Nikt nie jest w stanie rozszyfrować, co mówi. Formy życia istniejące wewnątrz tego czegoś mogą cały czas próbować się z nami skontaktować. A może jedynie rozmawiają ze sobą...

— Ale co to ma wspólnego z życiem po śmierci?

— Czy ja powiedziałem, że to ma coś wspólnego z życiem po śmierci?

— Nie, chyba nie — odparł z rezygnacją Tennyson.

Od czasu do czasu Tennyson zwiedzał tereny znajdujące się poza osadą. Chodził po słabo zaznaczonych ścieżkach, wędrując wąskimi, zielonymi kotlinami. Wspinał się na strome wzgórza z kanapkami i butelką wina w plecaku przewieszonym przez ramię. Góry zawsze znajdowały się w polu widzenia, rzucając ogromny, niebieskofioletowy cień, nieodmiennie majestatyczne i fascynujące. Cienie szczytów przesuwwały się wraz z wędrującym słońcem, a światło odbijało się od oblodzonych stoków. Tennyson spędzał długie godziny, siedząc na urwistych zboczach i wpatrując się w góry, jakby nie mógł się nimi nasycić. Niezależnie od tego, jak długo patrzył, ich tajemniczość i piękno wabiły go z równą siłą.

Później, kiedy miał już dość, znajdował jedną z paru szerszych ścieżek, które prowadziły go do Watykanu. Wracił cały szczęśliwy, jego kroki wzniecały małe obłoczki kurzu, ciepłe słońce ogrzewało mu plecy, a spokój gór wyraźnie wpływał kojąco na jego umysł. Po kilku dniach znowu wyruszał na przechadzkę, zmieniając nieco szlak, przemierzając okolicę i ciągle podziwiając góry.

Pewnego popołudnia, kiedy wracał w stronę Watykanu, usłyszał za sobą zbliżające się odgłosy. Odwrócił się i zauważył jadący za nim pojazd, kierowany przez nieznanego mu

mężczyznę. Tennyson był dość zdziwiony, ponieważ pierwszy raz w czasie swoich wypadów za miasto spotkał kogokolwiek. Zszedł z drogi, aby umożliwić samochodowi przejazd, ale maszyna wyraźnie nie miała zamiaru go wyprzedzić. Kiedy samochód dotarł do miejsca, w którym stał Tennyson, zatrzymał się, a jadący w nim mężczyzna zwrócił się do doktora.

— Czy lubi pan chodzić tak bardzo, że odrzuci pan moje zaproszenie na przejażdżkę?

Mężczyzna miał regularne, łagodne rysy twarzy i inteligentne, niebieskie oczy.

— Czemu nie. Chętnie przejadę się z panem — odparł Tennyson.

— Podejrzewam, że jest pan nowym lekarzem na Watykanie — powiedział mężczyzna, gdy Tennyson usadowił się już we wnętrzu pojazdu. — Doktor Tennyson, prawda?

— Zgadza się. A pan?

— Nazywam się Decker. Thomas Decker, do pańskich usług, Sir.

— Już od paru tygodni włóczę się po okolicznych szlakach — ciągnął Tennyson — a jest pan pierwszym człowiekiem, jakiego spotkałem w czasie moich wędrówek.

— I prawdopodobnie jedynym, jakiego kiedykolwiek pan tu ujrzy — dodał Decker. — Wszyscy inni siedzą w domach, przy kominkach. Nie są ciekawi i nie doceniają walorów tego, co leży poza miastem. Każdego dnia swego życia spoglądają na góry i widzą jedynie usypane z kamienia kopce. Pan widzi więcej, prawda, doktorze?

— O wiele więcej — przytaknął gorliwie Tennyson.

— Chciałby pan obejrzeć tutejszą okolicę w całej okazałości? Jeśli pan pozwoli, zostanę pańskim przewodnikiem.

— W takim razie ma pan pierwszego klienta — zaśmiał się Tennyson.

— Cóż, akumulator jest naładowany, mamy więc przed sobą parę ładnych godzin jazdy. Najpierw pojedziemy zobaczyć farmy.

— Farmy?

— Pewnie, że farmy. Je pan chyba chleb, prawda? A mięso, mleko, jajka?

— Oczywiście.

— W takim razie skąd, jeśli nie z farm, ma to wszystko pochodzić?

— Rzeczywiście, nigdy po prostu nie zastanawiałem się nad tym.

— Roboty myślą o wszystkim — zapewnił go Decker. — Muszą przecież wyżywić swoich ludzi, dlatego niektóre spośród nich są farmerami. Potrzebowały energii elektrycznej, więc zbudowały tamę i założyły elektrownię. Wykorzystują również energię słoneczną, ale w niewielkim stopniu. Jednak w każdej chwili mogą postawić dodatkowe baterie słoneczne. Mają nawet tartak, ale w tej chwili nie działa on pełną mocą, bo niewielkie jest zapotrzebowanie na drewno. Parę wieków temu, kiedy wszystko tutaj wyglądało jak jeden wielki plac budowy, drewno było podstawowym budulcem. — Tu Decker zaśmiał się: — Nikt nie pobije robotów pod względem wydajności. Do obsługi tartaku używają prymitywnego silnika parowego, napędzanego odpadkami drewnianymi i trocinami powstałymi przy obróbce drewna.

— Są samowystarczalne — zauważył Tennyson.

— Muszą. Są tutaj na własnych śmieciach. Coś takiego jak import w ogóle nie istnieje, może z wyjątkiem jakichś drobnych



narzędzi, które zamawiają od czasu do czasu. Narzędzia takie przywozi Wędrownik. Transport jest dość kosztowny, więc roboty starają się ograniczyć swoje zapotrzebowanie do minimum. Jeśli ma się małe wymagania, pieniądze nie są tak bardzo potrzebne. A one nie mają za dużo pieniędzy. To, co uda się im wycisnąć z pielgrzymów, ledwo starcza na utrzymanie całego interesu. Mają małą grupę robotów, które przez okrągły rok nie robią nic innego, tylko wycinają drzewa na opał do kominków, bo przecież wszyscy tutaj ogrzewają domy w ten sposób. Podaż równa popytowi, idealna równowaga. Tak to sobie wykombinowały. Mają młyn, w którym mielą ziarno pszenicy i innych zbóż na mąkę. Również w tym przypadku podaż dorównuje popytowi. Istnieje jedynie mała rezerwa na wypadek kiepskiego roku. Ale jak dotąd, kiepski rok nie zdarzył się jeszcze ani razu. Cały system jest bardzo prymitywny, ale funkcjonuje i to jest najważniejsze.

Przez chwilę jechali trochę lepszą drogą niż ta, na której Decker spotkał Tennysona. Wiodła ona przez pola uprawne. Po obu jej stronach ciągnęły się hektary dojrzewających zbóż o łodygach uginających się przy lekkim powiewie wiatru pod ciężarem ziaren.

— Już niedługo żniwa — rzekł Decker. — Nawet ludzie z Watykanu porzucą wszystkie swoje dotychczasowe zajęcia i wyjdą na pola, żeby zbierać zboże. Kardynałowie w czerwono-fioletowych szatach ochraniających ich od wszechobecnego kurzu i ubrani w brązowe habity mnisi uganijający się wokół starają się raz w roku być przydatni. Ścinają i zbierają pszenicę, pracując jak mrówki. Zmontowali młockarnię, która działa całkiem nieźle i przez tygodnie obrabia całe zebrane plony. Nawiasem mówiąc, również do tego celu

wykorzystali silnik parowy. Żeby utrzymać odpowiednie zapasy paliwa, dużo wcześniej zaczynają gromadzić sagi drzewa.

Co pewien czas pomiędzy polami pszenicy zieleniały pastwiska, porośnięte trawą, zapełnione bydłem, końmi, owcami i kozami. Zagrody dla świń mieściły tysiące chrząkających wieprzy. Stada kur kłębiły się w wydzielonych kurnikach.

Decker wskazał na horyzont.

— Pola kukurydzy — powiedział — dla tuczników. A to małe poletko na wprost nas to gryka. Tak jak mówiłem, dbają o wszystko. Tam, na wzgórzach mają pasiekę z setkami uli pszczelich. A gdzieś tu w okolicy, o tutaj — widzi pan? — sorgo na ciastka, których spróbuje pan później.

— Zupełnie jak na mojej rodzimej planecie — zauważył Tennyson. — To była planeta rolnicza. Utrzymywaliśmy się z uprawy ziemi.

Dojechali do sadów. Rosły tam jabłka, gruszki, brzoskwinie, morele i inne rodzaje owoców.

— Sad wiśniowy — rzekł Decker ponownie wskazując na pole. — Wiśnie dojrzewają wcześniej, więc wszystkie już zostały zebrane.

— Ma pan rację — przyznał Tennyson. — Roboty myślą absolutnie o wszystkim.

— Mieli na to sporo czasu — mruknął w odpowiedzi Decker. — Prawie tysiąc lat. Może nawet trochę dłużej, nie wiem dokładnie. Gdyby nie ludzie, nie potrzebowaliby tego. Ale zależy im na nas. Pański robot to głupi kawałek blachy. Potrzebuje człowieka. Nie wiem, kiedy sprowadzono pierwszych ludzi, ale według mnie jakieś sto lat temu, może mniej. Zaraz po tym, jak roboty zaczęły wszystkie uprawy.

Gdy wracali, słońce już zachodziło.

— Cieszę się, że pokazał mi pan to wszystko — rzekł Tennyson.  
— Gdyby nie pan, jeszcze długo żyłbym w nieświadomości.

— Jak panu idzie na Watykanie? — spytał Decker.

— Całkiem dobrze. Już prawie się tam zadomowiłem. Muszę przyznać, że nawet mi się tam podoba.

— Co pan wie o wpadce z Niebem?

— Od czasu do czasu dochodzą do mnie jakieś strzępy informacji. Nie jestem pewien, o co w tym wszystkim chodzi. Jedyne, co wiem, to fakt, że jakaś kobieta twierdzi, iż odnalazła Niebo.

— A to prawda?

— Nie wiem. Śmiem w to wątpić.

— Decker pokiwał głową.

— Zawsze trafiają się jakieś wpadki. Jak nie Niebo, to co innego.

Kątem oka Tennyson zauważył błysk nad prawym ramieniem Deckera. Odwrócił wzrok i spojrzał ponownie. Połyskujący obłok nadal tam był, jak chmurka unoszącego się pyłu diamentowego. Tennyson przetarł oczy i poświata znikła.

— Coś panu wpadło do oka? — spytał Decker uśmiechając się.

— Nie, żaden problem — odparł Tennyson. — Trochę kurzu. Ale już jest w porządku.

— Chce pan, żebym się temu przyjrzał? Dla pewności?

— Nie, dziękuję, wszystko w porządku — powtórzył Tennyson.

Decker prowadził samochód krętą drogą, pnącą się po grzbiecie górskim, na którym znajdował się szkarłatny od zachodzącego słońca Watykan.

— Podwieźć pana do kliniki? — zapytał Decker. — Jeśli chce pan wysiąść gdzie indziej, nie ma problemu, mogę pana podzucić.

— Nie, do kliniki — odparł Tennyson. — I dziękuję panu za

przejażdżkę. Była to naprawdę ogromna przyjemność.

— Co jakiś czas wybieram się na polowanie na skałki — rzekł Decker. — Nie ma mnie wtedy przez kilka dni. Robię sobie wycieczki w góry. Jeśli znalazłby pan trochę wolnego czasu, może mógłby się pan do mnie przyłączyć?

— Bardzo bym chciał, Decker.

— Mów mi Tom.

— W porządku, Tom. Ja mam na imię Jason. Wydaje mi się, że mógłbym kiedyś wybrać się z tobą, ale muszę to najpierw sprawdzić.

— Jeśli się zdecydujesz, dostosujemy termin do twoich zajęć. Myślę, że ci się tam spodoba.

— Jestem tego pewien.

— W takim razie jesteśmy umówieni.

Kiedy Decker wysadzał go przy klinice, Tennyson stał jeszcze na drodze, patrząc na oddalający się pojazd do momentu, gdy zniknął z pola widzenia za zakrętem. Tennyson obrócił się i ruszył w kierunku swego mieszkania, jednak po chwili pod wpływem impulsu zmienił zdanie i wszedł na ścieżkę prowadzącą do ogrodu, który znalazł pierwszego dnia po przybyciu na Watykan.

Ogród leżał w lekkim półmroku. W powietrzu unosił się zapach świeżości zmieszany z dziwnym, słodkim aromatem kwiatów. Tennyson miał wrażenie, że znajduje się na słabo oświetlonej scenie ukrytej za purpurową kurtyną pobliskich gór. Kiedy rozejrzał się wkoło, wiedział już instynktownie, dlaczego postanowił tu przyjść. Było to odpowiednie miejsce, żeby pożegnać udany dzień. Chociaż aż do tego momentu nie zdawał sobie sprawy, że ten dzień był naprawdę udany. Nie wiedział, czy to z powodu Deckera. Człowiek ten był jego nowym

przyjacielem i, co ważne, przyjacielem nie związanym z Watykanem. To właśnie różniło go od innych. Ale było jeszcze coś, coś, czego nie potrafił wyrazić słowami.

Wyłożoną cegłami ścieżką nadszedł robot.

— Dobry wieczór, Sir — powiedział grzecznie.

— Dobry wieczór — odrzekł Tennyson. — Przepraszam, nie rozpoznałem cię w tym półmroku. Jesteś przecież ogrodnikiem. Jak tam róże?

— Bardzo dobrze — odpowiedział robot. — Większość, niestety, już przekwitła, jednak na szczęście będą jeszcze kwitnąć inne. Na kilku krzakach czerwonych róż właśnie rozwinęły się pączki. Za kilka dni będą kwitły. Powinien pan przyjść i to zobaczyć.

— Rzeczywiście, powinienem — zgodził się Tennyson.

Robot minął doktora kierując się do bramy, lecz nagle przystanął i odwrócił się.

Czy zna pan ostatnie wiadomości, Sir?

— Nie wiem — rzekł nieco zaskoczony Tennyson. — Zależy, jakie wiadomości masz na myśli.

— Cóż, chodzi mi oczywiście o planowaną kanonizację Służaczki Mary.

— Kanonizację? Chcą ją ogłosić świętą?

— Właśnie, Sir. Takie jest postanowienie Watykanu.

— Ale ludzi można kanonizować dopiero po śmierci. Zresztą, nawet kiedy umrą, musi jeszcze upłynąć sporo czasu.

— Tego nie wiem, Sir. Ona przecież odnalazła Niebo...

— Zaraz, zaraz. Może mi powiesz, skąd ty to wiesz? Czy o tym rozpowiada?

— Cóż, cała społeczność Watykanu. Mary będzie naszą pierwszą świętą. Wszyscy są przekonani, że to wyborny pomysł.

Nasza pierwszy święta — powtórzył robot z wyraźnym rozrzewnieniem. — Dotąd nie mieliśmy żadnych własnych świętych, nadszedł jednak czas...

— A kardynałowie? Co myśli o tym Jego Świątobliwość?

— Nie wiem, Sir. Nie ma dostępu do takich informacji. Tym niemniej, mówi się o tym wszędzie. Myślałem, że pan się ucieszy, kiedy mu to powiem.

W geście pożegnania podniósł dłoń, w której nadal trzymał sekator, po czym ruszył ścieżką i opuścił ogród wychodząc przez bramę. Tennyson nadal stał w tym samym miejscu.

Błąkający się wiatr od strony gór tchnął falą kwiatowego aromatu.

— Na miłość Boską — szepnął do siebie Tennyson — teraz z nią nie pogadasz.

## ROZDZIAŁ 17

Późno w nocy nad biurkiem Jill paliła się tylko jedna lampka. Jej dwóch pomocników było nieobecnych, jeden musiał wypełnić jakieś kościelne obowiązki, drugi przygotowywał w kuchni kanapki i szklanę mleka.

Jill odsunęła stos notatek, nad którymi właśnie pracowała i przeciągnęła się w krzesło, prostując ręce nad głową. Następnie objęła się mocno ramionami, przyciskając je do piersi.

Myślała o dalekich, dziwnych miejscach, poza czasem i przestrzenią. Gdzie to jest? Co znajduje się poza granicami przestrzeni i czasu? Jeszcze raz próbowała ogarnąć to wszystko rozumem, ale sprawiało jej to trudność. Zupełnie nie miała na czym oprzeć swojego rozumowania, a przeczytane przez nią notatki nie udzielały prawie żadnych wskazówek. Tym niemniej wynikało z nich jasno, że czasami roboty zapuszczały się w te nieokreślone rejony znajdujące się poza kontinuum czasoprzestrzeni, podróżując na statkach swojej własnej konstrukcji. Statkach napędzanych energią myśli, siłą świadomości? Jeszcze nie była pewna, ale tego właśnie mogła domyślać się z notatek. O Boże, zaniepokoiła się, w co ja się wpakowałam? Dlaczego pozwoliłam im się w to wrobić?

Jedno było jasne. Teraz, kiedy zaszła już tak daleko, nie wolno jej zaprzestać pracy, odwrócić się i odejść jak gdyby nigdy nic. Nie mogła zamknąć nie dokończonej książki. Musiała dowiedzieć się absolutnie wszystkiego, a w materiałach, jakie dostała, tkwiło wiele interesujących informacji. Jason ostrzegał ją, co może się zdarzyć i powinna była go posłuchać. „Wciągniesz się” — powiedział — „a potem nie będziesz już mogła się z tego

wyplątać”.

Pomocnicy protestowali przeciwko jej sposobowi pracy polegającemu na przerzucaniu materiałów. Nie w taki sposób należało to robić. Jeden z nich powiedział nawet w pewnym momencie: „Zaczynamy od początku i dochodzimy do końca. Nie przerzucamy informacji, tak jak nam się podoba”. Jill jednak odpowiadała w takich przypadkach, że musi sortować informacje, aby najpierw zyskać obraz całościowy, ogólną ideę. Inaczej nie mogłaby odnosić się do faktów, jakie nastąpią zaraz po tym, nad czym aktualnie pracuje. Twierdziła, że dopiero po uzyskaniu takiego obrazu będą mogli rozpocząć pracę od samego początku.

Inne „gdzieś” i inne „kiedyś”, powtarzała sobie. Ale nie miała racji. Miejsca takie nie istniały ani „gdzieś”, ani „kiedyś”. Znajdowały się w jakimś odległym zakątku umysłu, ale nie jej umysłu. Umysłu albo umysłów innej istoty. Czyżby ten daleki świat mógł być wymiarem ezoterycznym strumienia magnetycznego, w którym mieszkały istoty nie będące wytworem biologii, chociaż żywe i, co więcej, inteligentne, których egzystencji jak dotąd nie udało się nikomu wyjaśnić? Nie, chyba nie, odpowiedziała sobie. Niezależnie od tego jak były niezwykle, istniały we wspólnym i znanym obszarze czasu i przestrzeni, chociaż być może jedna z tych składowych wykraczała daleko poza ludzkie poznanie. W czasie i przestrzeni obowiązywać muszą prawa fizyczne znane nam z kosmosu. Istnieć musi energia i materia, przyczyna i rezultat, istnienie i niebyt, chociaż wśród tych parametrów musi być miejsce na świadomość, intelekt oraz myślenie, które prawdopodobnie jest doskonalsze od myślenia biologicznego. W to można uwierzyć, powtarzała sobie. Tak, takie wyjaśnienie, chociaż trudne do



przyjęcia, leżało przynajmniej w granicach ludzkiego rozsądku.

Nie mogła tylko zrozumieć pojęcia miejsca poza granicami znanej nam przestrzeni i czasu, krainy niebytu, jaka istniała bez obu tych czynników, oraz prawdopodobnie bez właściwych im, utrzymujących ją pod kontrolą praw fizyki. Tak właśnie było z siłą umysłu czy też energią myśli, chociaż właściwie słowo „energia” nie było tu odpowiednie, ponieważ energia to pojęcie ogólnie znane i dlatego prawdopodobnie nie istniejące w tamtym, innym wymiarze. To samo dotyczyło się również wykorzystywania przez roboty siły myśli do napędu statków, którymi podróżowały nie tylko po znanym wszystkim wszechświecie, ale również do miejsc znajdujących się poza nim.

Jeśli chodziło o pozostałą część historii Watykanu, została ona ułożona w sposób narracyjny. Pierwsze lądowanie statków na Ziemi, pierwsze, pionierskie dni, budowa Watykanu, trwająca po dziś dzień konstrukcja elektronicznego papieża, sprowadzenie ludzi, rozpoczęcie Programu Poszukiwań, odkrycie nowych możliwości zastosowań dla skonstruowanych po przylocie robotów.

Cały projekt został dobrze przemyślany już od samego początku. Jeszcze przed opuszczeniem Ziemi wiedzieli, że szukają oddalonej od wszelkiej cywilizacji planety, gdzie przypadkowi goście nie mogliby zakłócać ich pracy, gdzie zostawiono by ich w świętym spokoju i gdzie mieliby możliwość dokończenia swego dzieła. Oprócz tego planeta musiała nadawać się do zamieszkania przez ludzi. Roboty mogły żyć w prawie każdych warunkach i gdyby nie czynnik ludzki, poszukiwania odpowiedniego miejsca zabrałyby znacznie mniej czasu. Jednak nigdy, nawet przez chwilę roboty nie pomyślały o kontynuowaniu pracy bez pomocy ludzi. Z materiałów nie było

można wywnioskować, czy już na samym początku pojawił się pomysł prowadzenia Programu Poszukiwań bazującego głównie na ludziach, ale Jill przypuszczała, że tak właśnie było. Stare więzi z ludzkością były nadal podtrzymywane. Kontynuowano odwieczne partnerstwo.

Nie było napisane czarno na białym, ilu statków roboty użyły do transportu siebie i całego sprzętu na Koniec Wszechświata i skąd w ogóle wzięły te statki. Wyglądało jednak na to, że pojazdów było nie więcej niż trzy. Dokonano kilku wypraw na Ziemię i z powrotem, w czasie których przewieziono wszelkie potrzebne materiały niedostępne na Końcu Wszechświata. Podczas ostatniej podróży przywieziono tutaj ludzi, których potomkowie do dziś mieszkają w osadzie. Później statki zostały rozłożone na części, dzięki czemu uzyskano wiele cennych materiałów, które wykorzystywano potem przy budowie Watykanu. Również w tym wypadku nie określono momentu rozbiórki, ale Jill sądziła, że nastąpiło to natychmiast, gdy tylko wynaleziono statki napędzane myślą (jeśli rzeczywiście były one napędzane myślą).

Roboty dokonały znacznie więcej, niż można zrobić w ciągu tysiąca lat, jeśli nie brać pod uwagę faktu, że nie potrzebują one odpoczynku ani snu. Mogły pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez tygodnie, miesiące, może nawet lata. Nigdy nie czuły się zmęczone czy senne. Nie miały potrzeby relaksu ani zabawy. Jill uśmiechnęła się na myśl, co robot mógłby robić w chwili odpoczynku. Roboty nie marnowały czasu na jedzenie, nawet nie oddychały.

Zmiana konstrukcji robotów i zaprojektowanie nowych generacji było prostsze niż przebieg mutacji czy ewolucja formy biologicznej. Manipulacje genetyczne, których potrzeba do

stworzenia istotnie różniącego się nowego systemu biologicznego, pochłaniają mnóstwo czasu. Naturalna ewolucja biologiczna z kolei wymaga śmierci i narodzin wielu pokoleń przekazujących sobie mutacje genetyczne, co umożliwia długi, powolny proces przystosowania. W świecie robotów do wprowadzenia odpowiednich zmian i nowych możliwości wymagane jest jedynie zaprojektowanie nowych form i mechanizmów oraz myśli inżynierskiej, która tchnie życie w opracowane szkice.

Jill usłyszała za sobą kroki i obróciła się. Zobaczyła Asę niosącego kanapki i szklankę mleka. Robot postawił jedzenie, położył obok niej na biurku i odsunął się.

— Czy życzy pani sobie coś jeszcze? — spytał.

— Na razie nie — odpowiedziała. — Odpocznij. Klapnij sobie i pogadaj ze mną.

— Nie muszę odpoczywać — odparł Asa. — Nie muszę siedzieć.

— Ale nie jest to chyba zakazane, co?

— No... nie.

— Nawet kardynałowie siadają — powiedziała Jill. — Kiedy Jego Eminencja kardynał Theodosius przychodzi mnie odwiedzić, zawsze siada i rozmawiamy.

— Cóż, jeśli pani chce... — rzekł Asa sadowiąc się na tym samym krześle, na którym zwykł siadać kardynał w czasie swoich wizyt.

Jill wzięła kanapkę i odgryzła kęs. W kanapce tkwił plasterek pysznej pieczeni. Podniosła do ust szklankę z mlekiem.

— Asa, opowiedz mi coś o sobie — rzekła. — Zostałeś skonstruowany na Ziemi?

— Nie, pani.

- Tutaj?
- Tak, tutaj. Jestem robotem trzeciej generacji.
- Rozumiem. A ile generacji powstało dotychczas?
- Trudno powiedzieć. Zależy, jak się liczy. Jedni mówią, że pięć, inni, że siedem.
- Aż tyle?
- Tak. A powstanie jeszcze wiele nowych.
- Podróżowałaś kiedyś do miejsc, które odnaleźli Słuchacze?
- Tak, dwa razy.
- A poza czas i przestrzeń.
- Raz — odparł Asa. — Raz rzeczywiście znalazłem się poza czasem i przestrzenią.
- Potrafiłbyś opowiedzieć mi, jak się czułeś?
- Niestety, nie. Tego się nie da opowiedzieć. To coś zupełnie wyjątkowego.

## ROZDZIAŁ 18

Tennyson ponownie znalazł się w świecie równań i wykresów, ale tym razem trochę z tego rozumiał. Jednym z nich był Ecuyer. Wykres w pewnym sensie przypominał Ecuyera, a równania, jakie były mu przypisane, w jakiś niepojęty Tennysonowi sposób przywodziły na myśl jego pracodawcę. Nie był to chyba kolor, wykres i równania były szaro-różowe, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego taka właśnie kombinacja barw miała mu przypominać Ecuyera. Sprawiał to raczej kształt wykresów i składników równań. Przez chwilę Tennyson wyteżał umysł, pocąc się i łapiąc nerwowo powietrze, próbując rozwikłać równania, co jednak było niemożliwe do wykonania, gdy nie znał konwencji ich zapisu i pojawiających się znaków.

Po zastanowieniu zostawił Ecuyera, czy też to, co mu go przypominało. Uczynił to z rozważą, ale i z wielkim trudem. Muszę spojrzeć na to pod innym kątem, stwierdził, nabrać pewnego dystansu, przez chwilę zająć się czymś innym i wyrzucić to z mojego umysłu. Kiedy później powrócę do tego, jakiś wykres albo równanie musi w końcu stać się czytelne. Po prostu musiał znać prawdę. Bardzo chciał wiedzieć, czy był to rzeczywiście Ecuyer.

Całe otoczenie spowijała mgła, a w powietrzu dawały się wyczuć dziwne wibracje. Gdyby tylko znalazł coś stabilnego, coś, czemu będzie mógł lepiej się przyjrzeć. Niestety, mimo że otaczające Tennysona obiekty właściwie pozostawały nieruchome, wciąż wydawało mu się, że co chwila zmieniają swoje oblicze. Tak, najwyraźniej o to właśnie chodziło, o niestabilność.

Po chwili spędzonej na rozważaniach, powrócił do poprzedniego obiektu zainteresowań. Odwrócił szybko głowę, mając nadzieję, że może uda mu się wziąć diagramy i równania przez zaskoczenie.

Ecuyera już tam nie było. Szary i różowy kolor znikły. Na ich miejsce wszedł fiolet i złoto. Kolejny wykres i kolejny zestaw równań. Na ich widok Tennyson zamarł. Przerazenie zaparło mu dech w piersiach. Nie wytrzymał i krzyknął:

— Mary! Mary! Mary!

Próbował wydostać się z miejsca, w jakim się znalazł, chociaż nie wiedział jak to zrobić, a w dodatku ktoś najwyraźniej przytrzymał go, nie pozwalając uciec.

— Nie! Nie! Nie! — krzyknął ponownie, a ktoś odezwał się do niego szeptem.

— Już, już. Spokojnie.

W tym samym momencie poczuł na sobie czyjeś dłonie, a kiedy otworzył oczy, zobaczył jedynie ciemność, co było dla niego zaskoczeniem, bo nie wiedział, że jego oczy były zamknięte.

Ten sam głos powiedział:

— Nie, Hubercie. Wszystko w porządku. Miał po prostu koszmar.

— Jill? — spytał słabo Tennyson.

— Tak. Już wszystko w porządku. Jestem przy tobie.

Zauważył, że leży w łóżku. Jill pochylała się nad nim, a Hubert stał niezdecydowanie w oświetlonym przedpokoju.

— Pracowałam do późna — powiedziała Jill. — Myślałam, że pewnie już śpisz, ale wpadłam, a Hubert mnie wpuścił. Chciałam się z tobą zobaczyć. Mam ci tyle do opowiedzenia.

— Byłem w świecie równań — mówił jeszcze trochę

nieprzytomny Tennyson. — Znów mi się to śniło. Ecuyer też tam był. Szaro-różowy. Kiedy na chwilę się odwróciłem...

— Krzychałeś coś o Mary. Mary też tam była? Mary, ta od Nieba?

Kiwnął potakująco głową. Spróbował usiąść na łóżku, ciągle zamroczony snem.

— Była fioletowo-złota — powiedział cicho. — To było straszne.

## ROZDZIAŁ 19

Był tu pierwszy raz po tym, jak dziesięć, nie, dwanaście lat temu pozostawił w tym miejscu kapsułę. Mimo to znalazł ją w stanie nie naruszonym, tak jak ją pamiętał. Leżała w małej, gęsto porośniętej trawą kotlinie pomiędzy dwoma stokami stromych wzgórz. Ze wszystkich stron zarośnięta była krzakami jeżyn, nie były one jednak tak gęste, ani tak wysokie, aby nie można jej było dojrzeć. Najwyraźniej nie odnalazł jej nikt inny, ponieważ leżała dokładnie tak, jak to sobie zapamiętał. Zastanawiał się nawet jak to możliwe, żeby odszukał ją tak szybko, maszerując u stóp wzgórza dokładnie do miejsca, gdzie się znajdowała.

Szeptaczu, jesteś tam? — spytał.

Wiedział przecież, że tak, ale mimo to chciał usłyszeć potwierdzenie. Tak, Decker. Oczywiście, że jestem tutaj. Jest tu również Nestor Lasu. Szedł za nami od wielu dni.

Czego od nas chce?

Jest jedynie ciekaw. Wydajesz mu się zagadką. Tak jak wszyscy ludzie. Dla mnie też zresztą jesteś niewiadomą. Czemu powróciłeś na miejsce swych narodzin? To nie były moje narodziny, odparł Decker. Urodziłem się daleko stąd.

Twoich narodzin na tej planecie.

Tak, rzeczywiście. Miejsce mego początku na tej planecie. Wiesz przecież, co tutaj leży. Powiedziałeś mi. Kapsuła ratunkowa. Ta, która przeniosła cię bezpiecznie przez przestrzeń do miejsca, gdzie mogłeś żyć. Ale nigdy nie dodałeś ani słowa więcej. Jesteś zamkniętym w sobie człowiekiem, Decker. Nie powiesz nawet najlepszemu przyjacielowi...

Myślisz, że jesteś moim najlepszym przyjacielem?



Jeśli nie ja, to kto?

Tak... Chyba masz rację, odparł smutno Decker. Kiedy ocknąłem się z zamroczenia, nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Na początku wydawało mi się, że jest to zupełnie prymitywna planeta, nie tknięta przez jakąkolwiek inteligentną cywilizację. Zacząłem to sprawdzać. Nie liczyłem spędzonego tu czasu, ale zapewne błąkałem się po okolicy tygodniami, może nawet miesiącami. Wszędzie spotykałem jedynie nieskażoną naturę, która pod wieloma względami wydawała mi się pociągająca. Później, po wielu dniach tułaczki z dala od kapsuły, idąc pewnego dnia dalej niż ktokolwiek wcześniej, wszedłem na grzbiet górski i dojrzałem Watykan połyskujący z daleka w słońcu. Wiedziałem już, że nie jestem sam, że są tu również jakieś istoty inteligentne, chociaż nie miałem pojęcia jakie.

Ale nie pobiegłeś się przedstawić.

Skąd wiesz?

Bo znam cię, Decker. Wiem, jakim człowiekiem jesteś. Zachowującym rezerwę, trzymającym się na uboczu, patologicznie niezdolnym do wykazania jakiejkolwiek słabości. Zawsze niezależny. Samotnik.

Znasz mnie o wiele za dobrze, zmartwił się Decker. Ty podstępny draniu. Jestem takim samym draniem jak ty, upierał się Szeptacz. No nie, przepraszam. Ty robisz to z większym dostojeństwem. Dlaczego godność jest dla ciebie tak ważna? Za cholerę nie mam pojęcia. Chyba zawsze już taki byłem.

Nestor zatrzymał się na skarpie nad nimi, ukryty w kępie drzew na skraju lasu przyglądał się im z uwagą. Decker bardzo silnie wyczuwał jego obecność. Bywały chwile, kiedy nie wiedział, czy Nestor kręci się gdzieś w okolicy, ale akurat teraz był tego pewien. Wiedział o tym o wiele wcześniej, nim Szeptacz

zechciał mu to wyjawic.

Nestor wciąż tu jest, powiedział Decker.

Nie zwracaj na niego uwagi, odparł Szeptacz. Chce nam się tylko przyjrzeć. Myśli, że nie jesteśmy świadomi jego obecności. Sprawia mu satysfakcję obserwowanie nas, kiedy o tym nie wiemy.

Stojąc na wzgórzu Decker przypomniał sobie dzień, w którym po raz pierwszy ujrzał Koniec Wszechświata i Watykan, a także zdał sobie sprawę, że nie został wyrzucony na nie zamieszkaną planetę. Powrócił do kapsuły i zabrał najbardziej potrzebne mu przedmioty. Narzędzia, naczynia do gotowania, jak również inne najbardziej podstawowe rzeczy. Później ruszył w kierunku osady, rzucając jeszcze ostatnie spojrzenie na wrak leżący w porośniętej trawą kotlinie.

Po dotarciu do Końca Wszechświata, wybrał sobie działkę na obrzeżach osady i zbudował chatę. Ściął odpowiedniej wielkości drzewa, pociął je na właściwej długości bale i przeniósł na swoją działkę. Naznosił kamieni, których użył do budowy dna paleniska i kominka. Poszedł do miasteczka kupić okna. Zatkął szpary między drewnianymi balami gliną i darnią. Narąbał odpowiednią ilość drewna na opał i trochę na zapas. Przekopał i oczyścił ogródek. Następnie jeszcze raz zszedł do miasta, żeby kupić nasiona, które potem zasiał w ogrodzie. Żył z ziemi. Żywił się tym, co znalazł i upolował. Szukał dzikich warzyw i owoców, łowił ryby w pobliskim strumieniu, aż do momentu gdy jego ogród wydał pierwsze plony.

Przychodzili do niego goście. Na początku było ich wielu. Każdy zadawał mnóstwo pytań. Pewnego dnia pojawił się mały, przyodziany w brązową szatę mnich z Watykanu. Był to robot, ale jak na robota całkiem miły. Deckerowi wydawało się jednak,

że nie jest to zwykły mnich. Pojawiający się każdego dnia goście dostarczyli mu mnóstwa pożytecznych informacji dotyczących Końca Wszechświata. Poza tym wręcz sypali radami. Informacje zatrzymywał, rady najczęściej ignorował. Później, po przekazaniu wiadomości i udzieleniu rad, goście (i to wszyscy, bez wyjątku) zaczęli powoli wściubiać nos w jego sprawy i życie. Nie od razu miał odwagę wprost im odmówić, starał się więc unikać odpowiedzi, jeśli to tylko było możliwe. Odchodzili zakłopotani. Niektórzy wracali jeszcze, nie zyskując jednak nic przy drugiej, trzeciej czy czwartej wizycie, w końcu dawali spokój i zostawiali go samemu sobie.

Decker nie miał nic przeciw temu. Tego właśnie oczekiwał. Czasami, co prawda, żałował swego postępowania, jednak za każdym razem, gdy tak myślał, przekonywał się coraz bardziej, że było to jedyne możliwe wyjście z sytuacji. Lepiej było pozostać tajemnicą, niż zastanawiać się, co by się stało, gdyby opowiedział swoją historię. W tej sytuacji pozostały im tylko plotki, które dla własnej przyjemności roznosili przez te wszystkie lata.

„Czemu powróciłeś na miejsce swoich narodzin”, spytał Szeptacz. „Narodzin na tej planecie”. Kto to wie? Sprawił to chyba instynkt. Przeczucie, którego nie można było uzasadnić w żaden sposób. Zresztą nawet gdyby można było je uzasadnić i tak nie mógłby nic na to poradzić. Musiał tu po prostu przyjść. Decker, pomyślał zwracając się do siebie samego, już ci zupełnie odbija. Decker, przerwał milczenie Szeptacz, ten Tennyson, muszę przyznać, że nawet mi się spodobał.

Tak, miły gość.

Widział mnie. Jestem tego pewien. A przecież bardzo niewiele osób może mnie zobaczyć. Z tym trzeba się już urodzić. Widział cię? Skąd wiesz? Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

Nie mówiłem, bo aż do tej chwili nie byłem pewien. Ale kiedy zastanawiałem się nad tym przez te parę dni, wiem już na pewno. Widział mnie, chociaż nie mógł w to uwierzyć, to znaczy nie mógł uwierzyć w to, co widział. Przecierał oczy, myśląc, że ma przywidzenia. Pamiętasz to, prawda? Spytałeś, czy wpadło mu coś do oka, a on odparł, że to tylko kurz. Później zapytałeś jeszcze raz. Zaproponowałeś, że zobaczysz, czy ma coś w oku, ale odpowiedział, że już wszystko w porządku.

Tak teraz pamiętam.

Właśnie. Ja też zresztą przez chwilę coś widziałem. Ale nie wiem, co to było.

Nie mówiłeś nic do niego? Nie próbowałeś?

Nie. Ale w tym człowieku tkwi coś bardzo dziwnego. Jestem tego pewien. Nie martw się. Będziemy jeszcze mieli okazję się z nim widzieć. Nie ma co do tego wątpliwości. Jeszcze będziesz miał szansę go rozgryźć.

Nestor Lasu poruszył się. Nie ukrywał się już w kępie drzew. Decker nie mógł go już wyczuć. Chodźmy, powiedział do Szeptacza. Zobaczymy, jak się trzyma kapsuła.

## ROZDZIAŁ 20

Ecuyer pojawił się pół godziny po tym, jak Jill wyszła do biblioteki. Tennyson męczył właśnie filiżankę kawy. Hubert wpuścił Ecuyera, wrócił do kuchni i zaczął hałasować garnkami. Hubert nie lubił ludzi, którzy marnowali czas siedząc przy stole.

— Już pan wstał? — spytał Tennyson Ecuyera. — Proszę usiąść i wypić ze mną filiżankę kawy.

— Tak, chyba rzeczywiście dobrze mi to zrobi, chociaż nie mamy przecież zbyt wiele czasu.

— Proszę mówić za siebie — odparł Tennyson. — Ja mam mnóstwo czasu. Nie jestem potrzebny w klinice przed...

— Dzisiejszego ranka nie ma pan czasu — powiedział Ecuyer z naciskiem. — Zostaliśmy wezwani na rozmowę.

Tennyson spojrzał na niego ze zdziwieniem, nie odzywając się jednak przy tym ani słowem.

— Ściślej biorąc, zostaliśmy wezwani na audiencję u Jego Świątobliwości.

— Słucham?

— To wszystko, co ma pan do powiedzenia?

— A czego pan oczekiwał? Że spadnę z krzesła? Zacznę się trząść ze strachu? Upadnę na kolana?

— Mógłby pan przynajmniej wykazać trochę więcej szacunku. To wielki zaszczyt, być wezwanym przez Papieża.

— Przepraszam — powiedział Tennyson ze skruchą. — Ma pan rację. Ale o co właściwie chodzi?

— Nie jestem pewien. Być może o incydent z Niebem. Będą tam z nami Theodosius i Roberts.

— Kardynałowie?

— Tak.

— Potrafię zrozumieć, dlaczego Papież zechciał rozmawiać z panem. Jeśli rzeczywiście chodzi o Niebo, to tkwi pan w tym po szyję. Ale ja...?

— Mary jest pańską pacjentką. Być może oczekuje informacji dotyczących jej stanu zdrowia. Ale przecież nie mamy pewności, że chodzi o Niebo. Może tylko chce pana zobaczyć. Czasami nowi członkowie załogi Watykanu zapraszani są na audiencję u Papieża. A już z pewnością zaproszono by nowego lekarza. Pewnie już dawno chciał pana wezwać, ale ostatnimi czasy dzieje się tak dużo...

— Mam wrażenie, że tutaj zawsze dzieje się bardzo dużo — odparł Tennyson ironicznie.

— Cóż, ma pan rację. Ale czasami doprawdy nie wiadomo, w co ręce włożyć.

Siedzieli popijając kawę. Hubert nadal tłukł naczyniami w kuchni.

— Hubert! — krzyknął Ecuyer podnosząc głos.

— Tak, Sir?

— Przestań już. Mamy prawo siedzieć tutaj i pić kawę.

— Ależ oczywiście — przytaknął Hubert. Brzęki ucichły.

— Jest kompletnie zepsuty — powiedział ciszej Ecuyer. — To ja go zepsułem. Nie wiem już, co mam z nim robić.

— jest coś, o co już od dawna chciałem pana spytać — przerwał mu Tennyson.

Niech pan wali. Prosto z mostu.

Oglądałem tę kostkę, wie pan, z wykresami i równaniami. Chyba już panu mówiłem. Skanował ją pan kiedyś?

Chyba tak. Dość dawno temu. Została zapisana już ładnych parę lat temu.

Powiedział mi pan, że Słuchacz wracał tam kilka razy, ale niczego nie mógł z tego zrozumieć.

— Zgadza się — przytaknął Ecuyer. — Utknął pan na niej? Tennyson kiwnął potakująco głową.

— W tym coś jest. Coś, czego nie rozumiem. Czasem wydaje mi się, że już to mam i wtedy właśnie mi się wymyka. Odnoszę wrażenie, że gdybym mógł sięgnąć umysłem odrobinę głębiej, rozgryzłbym ją.

— Ma pan jakieś podejrzenia, co to wszystko znaczy?

— Nie mam zielonego pojęcia. I to jest właśnie najgorsze. Wiem, że jest tam coś bardzo ważnego, ale nie mam pojęcia, gdzie tego szukać. Wyobrażam już sobie dosłownie wszystko, jednak nie mogę wpaść na odpowiedni trop.

— Niech pan się tym nie martwi — pocieszył go Ecuyer. — Mogę pokazać panu jeszcze gorsze kostki. Tak czy inaczej, niech pan pamięta, że ma pan dostęp do wszystkich. Kiedy tylko pan zechce.

— Mam swoje zajęcia. Poza tym, prawdę mówiąc, boję się trochę tego, co mogę tam zobaczyć. Najbardziej zastanawiają mnie te równania. Natomiast jesienny świat napawa mnie strachem. Chciałbym jeszcze raz się tam znaleźć, ale coś mnie powstrzymuje.

Ecuyer dopił swoją kawę.

— Chodźmy — rzekł spokojnie — Papież czeka.

## ROZDZIAŁ 21

Papież miał pokratkowaną, ludzką twarz. Właściwie była to jedynie imitacja twarzy, ale żeby to stwierdzić, należało przyjrzeć się jej bliżej i posiadać trochę wyobraźni, gdyż była płaska, metalowa płyta wmurowana w nagą kamienną ścianę. Przypominało to Tennysonowi zdjęcie jednej z pierwszych maszyn z dziewiętnastego wieku, które widział w książce znalezionej wiele lat temu w bibliotece, a także w pewien śmieszny sposób przywodziło na myśl pole do gry w kółko i krzyżyk. Twarz nie była widoczna pod każdym kątem i w każdym momencie, jednak Tennysonowi udało się od czasu do czasu uchwycić jej zarysy. Konstruktor nie starał się ukryć ponurej sztywności twarzy, nie dodał niczego, co mogłoby przydać jej odrobiny wyrazu. Być może chciał przez to osiągnąć obraz powagi i szczerości, które sprawiały, że twarz ta robiła duże wrażenie.

Mały pokój audiencyjny, w którym siedzieli, również urządzone bardzo prosto. Wyraźnie było widać, że został wyryty w masie granitu będącego sercem szczytu górującego nad budynkami Watykanu. Otaczały ich cztery nagie ściany. Tylko w jednej z nich widniała metalowa płyta przedstawiająca Papieża. Żeby dotrzeć do pokoju, musieli pokonać wiele setek wykutych w skale stopni z zagłębiającymi się w granit galeryjkami przed każdym odcinkiem schodów. Bez wątpienia komputerowy Papież był ukryty głęboko, w samym sercu wzgórza.

Prawdopodobnie istniało jeszcze wiele innych twarzy Papieża w pozostałych salach audiencyjnych, wśród których musiały być pomieszczenia większe od tego, gdyż zapewne zdarzały się



okoliczności, kiedy cały personel Watykanu gromadził się na audiencji u Papieża. Papież wielozadaniowy, mechanizm tak ogromny i przenikający wszystko, że mógł być w tym samym czasie w wielu miejscach rozwikłując skomplikowane problemy.

Nagle papież przemówił. Ton jego głosu nie wyrażał żadnych uczuć, był jednocześnie łagodny i zimny. Zupełnie niepodobny do głosu ludzkiego ani tego, którym mówiły roboty. Nie posiadały one ludzkiej intonacji, jednak czasami udawało im się zaszcześcić trochę ciepła słowom, które wypowiadały. Ten głos jednak nie wyrażał żadnych emocji, nie wyczuwało się w nim ani krztyny serdeczności. Nie był podobny do głosu ludzkiego ani wydawanego przez roboty, nie kojarzyło się go również ze sposobem mówienia innych maszyn wyposażonych w sztuczną inteligencję. Słowa były wypowiadane jasno i wyraźnie, a umysł formułujący je był bezwzględny i nieustępliwy. Umysł maszyny, komputera, elektronicznego mózgu.

— Doktorze Tennyson — odezwał się Papież. — Niech mi pan opowie o Słuchaczce Mary. Jaki jest jej stan psychiczny?

— Niewiele mogę na ten temat powiedzieć, Wasza Świątobliwość — odrzekł Tennyson. — Jedyne, co jestem w stanie zbadać do końca, to jej stan fizyczny. Nie mam niestety wglądu w jej umysł. Nie jestem specjalistą od chorób psychicznych.

— Do czego w takim razie może nam się pan przydać? — spytał Papież. — Gdybyśmy wyszkolili robota na lekarza, co już wielokrotnie rozważaliśmy, z pewnością mógłby on diagnozować również umysł chorych.

— Cóż — odparł urażony Tennyson — w takim razie proszę bardzo. Niech pan zbuduje swojego lekarza-robotę.

— Wasza Świątobliwość wie — wtrącił szybko Theodosius — że ludzie na Watykanie nie zaufaliby lekarzowi-robotowi.

Zastanawialiśmy się nad tym przecież wiele razy...

— To wszystko nie należy do tematu naszej rozmowy — przerwał mu bez ogródek Papież. — Nie potrafi pan odpowiedzieć na moje pytanie. A pan, Ecuyer? Czy pan ma wgląd w jej umysł?

— Nie. Ja również nie zostałem przeszkolony pod względem oceny funkcjonowania ludzkiego mózgu — odparł Ecuyer. — Mogę jedynie opisać jej zachowanie. Jak do tej pory przez cały czas pobytu u nas była spokojna i oddana swojej pracy. Jednak od dnia odkrycia Nieba czy też tego, co uważa za Niebo, jej zachowanie diametralnie się zmieniło. Czuje się wywyższona, co sprawia, że praca z nią graniczy z niemożliwością.

— Czy nie wydaje się panu to dziwne? — spytał Papież. — Przecież to zaskakujące. Gdyby rzeczywiście znalazła Niebo, jak twierdzi, powinna raczej stać się wzorem oddania i pokory. Poczucie wyższości, o jakim pan mówi, nie powinno się pojawiać u osoby, która uzyskała dowody na istnienie Nieba. Jako dobry chrześcijanin powinien pan to wiedzieć.

— Za pozwoleniem Waszej Świątobliwości, nie jestem dobrym chrześcijaninem — wyznał cicho Ecuyer. — Nie wiem, czy w ogóle jestem wyznawcą jakiegokolwiek wiary. Dlaczego Wasza Świątobliwość to mówi, przecież każdy o tym wie.

— A Słuchaczka Mary? Czy ona jest chrześcijanką?

— Tak. Tego jestem pewien. Powinna jednak Wasza Świątobliwość zrozumieć, że Program Poszukiwań nie jest połączony w żaden sposób z kwestiami teologicznymi.

To dziwne. Przypuszczałbym raczej, że jest pan chrześcijaninem — odrzekł Papież nie zwracając uwagi na słowa Ecuyera albo przynajmniej starając się nadać taki ton swej wypowiedzi.

— Wasza Świątobliwość jest dzisiaj w bardzo złym nastroju — wtrącił kardynał Theodosius zwracając się do Papieża. — Zachowanie Waszej Świątobliwości nie przystoi osobie duchownej. Zasługi naszego przyjaciela z Programu Poszukiwań są nieocenione. W ciągu tych wielu lat swoim wkładem pracy przysłużył się znacznie naszej idei.

— Eminencjo — odparł kardynał Roberts kategorycznie. — Myślę, że posuwa się pan za daleko.

— Nie wydaje mi się — powiedział Theodosius z uporem. — W czasie spotkań i narad, takich jak ta, należy z uwagą wysłuchać wszystkich punktów widzenia. Każdy ze zgłoszonych problemów należy dokładnie przedyskutować.

— Dotychczas żaden z was nie starał się przedyskutować tego problemu — zauważył Papież kończąc sprzeczkę kardynałów. — Znalezienie Nieba albo raczej hipotetyczne znalezienie Nieba wymyka się spod kontroli. Czy wiecie, że wśród naszej społeczności szerzy się przekonanie, że Słuchaczka Mary powinna zostać Świętą? Jak na razie nikogo jeszcze nie kanonizowaliśmy. Nie mamy żadnego świętego. A jeśli już mielibyśmy to zrobić, należałoby poczekać, aż umrze.

— Wszyscy dobrze rozumiemy, co mówi Wasza Świątobliwość — powiedział Roberts. — Zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji i niebezpieczeństwa, jakie stoi przed nami. Oczywiście pomysł ten jest niewykonalny,

tym niemniej w chwili obecnej nie możemy jawnie mu się sprzeciwić. Nie wolno nam zapomnieć o tym, że wielu, jeśli nie wszyscy szeregowi członkowie załogi Watykanu, nawet po tych wszystkich latach służby nadal łapią się naiwnie na obietnice dawane im przez chrześcijaństwo.

— Jakie obietnice, kardynale? — spytał Papież. — Z pewnością

żaden robot, niezależnie od tego, jak głęboko by wierzył, nigdy nie będzie miał nadziei na znalezienie się w Niebie. Zresztą, jeśli właściwie o siebie dba, nigdy nie powinien mieć takiej potrzeby.

— Prawdopodobnie błąd leży w nas samych — odparł Theodosius. — Wielu z naszych ludzi znajdujących się na niższych szczeblach w hierarchii, rolników, ogrodników, drwali i innych ciężko pracujących braci, nawet wielu mnichów posiada niezbyt skomplikowane umysły. Dla nich, prosta idea chrześcijaństwa, chociaż nieco wypłowiała, pozostaje nadal jedną z najpotężniejszych sił. Oczywiście, nie w pełni ją rozumieją, ale przecież i na Ziemi ponad tysiąc lat temu wielu ludzi głoszących swoją przynależność do kościoła nie rozumiało jego nauki w większym stopniu. Nasi ludzie nie wiedzą tego, czego nauczyliśmy się my. Nie próbowaliśmy wcale im tego wytłumaczyć. Wiemy, że życie i inteligencja mogą pojawiać się w wielu formach, biologicznych, niebiologicznych oraz pod postacią tej dziwnej inteligentnej materii, jaką spotykamy w światach znajdujących się poza naszą czasoprzestrzeń. Wiemy na pewno, że istnieje co najmniej jeszcze jeden wszechświat. Może nawet dwa, trzy, chociaż co tego nie mamy pewności. Mamy poszlaki wskazujące na to, że może istnieć jakaś ogólna Zasada, bardziej skomplikowana niż reguły odnoszące się do naszego wszechświata. Dlatego wiemy, że jeśli jest jakieś Niebo (jeśli może ono istnieć w tego rodzaju układzie wielu wszechświatów), — to z pewnością jest ono czymś więcej, niż zwykle chrześcijańskie niebo, kraina wiecznych łowów, czy łono Abrahama, jakkolwiek by się go nie nazwało. Nie może to być nic tak oczywistego i banalnego jak szerokie, złote schody, grzmiące trąby i unoszące się powyżej anioły...

To wszystko prawda — rzekł Roberts — ale kwestia

podzielenia się naszą wiedzą z braćmi zawsze była przedmiotem dyskusji i za każdym razem zgadzaliśmy się co do tego, że taki krok byłby co najmniej nieodpowiedni. Czy Wasza Eminencja wyobraża sobie te wszystkie interpretacje poszczególnych fragmentów naszych informacji? Na Watykanie stworzyliśmy własną elitę i tylko my posiadamy całą wiedzę, która została dotychczas odkryta. Może postępujemy niesłusznie, chociaż wydaje mi się, że uzasadnione jest to ciągle istniejącym niebezpieczeństwem odkrycia prawdy. Przecież gdybyśmy im o tym powiedzieli, natychmiast zalałaby nas fala herezji. Nikt nie wykonywałby już swojej pracy, bo przecież każdy robot byłby przekonany, że najlepiej zrozumiał całe przesłanie i że zostało mu powierzone nawracanie błądzących braci. Dochodziłoby do sprzeczek, kłótni i animozji, co w prostej linii doprowadziłoby nas do zagłady. Dlatego też doszliśmy do przekonania, że z każdego punktu widzenia lepiej będzie, jeśli pozwolimy naszym nie wtajemniczonym braciom trzymać się chrześcijaństwa, jakkolwiek bezsensowne by ono było.

— Sprzeczek! — rzekł Papież zimnym, przejmującym grozą głosem. — A jak wam się wydaje, co wy teraz robicie? A co najgorsze, robicie to przed dwojgiem ludzi, którzy jak dotąd nie znali naszej tajemnicy.

— Wasza Świątobliwość — rzekł Ecuyer — już od dawna znam większą część z tego, co mówiły Ich Eminencje. Reszty i tak się domyślałem. A jeśli chodzi o mojego przyjaciela, doktora Tennysona...

— Właśnie, Tennyson — uciął niecierpliwie Papież — co z nim?

— Wasza Świątobliwość może być spokojna — wtrącił Tennyson. — Jeśli zastanawiacie się, czy przypadkiem nie

planuję krucjaty mającej na celu rozgłoszenie prawdy wszystkim członkom Watykanu, to mogę zapewnić, że nie leży to w moich zamiarach. Stoję z boku i przyglądam się z pewnym zainteresowaniem temu, co się tutaj dzieje.

— A co do świata zewnętrznego — wyjaśniał dalej Roberts — nie musimy się obawiać, że dwoje ludzi, którzy ostatnio się do nas przyłączyli, powie coś komukolwiek. Przecież oni nie wyjadą.

— Tego nie wiadomo — mruknął zgryźliwie Papież.

— Poza tym jest jeszcze jeden człowiek, Decker. Pojawił się nie wiadomo skąd. Czy któryś z was dowiedział się w końcu, skąd on się tu wziął?

— Niestety, Wasza Świątobliwość — rzekł ze skrucą Theodosius.

— Jeśli potrafią dostać się tutaj bez naszej wiedzy, to pewnie uda im się również opuścić planetę bez pytania nas o pozwolenie — zauważył Papież. — Ludzie to bardzo sprytna rasa. Musimy ich cały czas obserwować.

— Są naszymi braćmi, Wasza Świątobliwość — powiedział nieśmiało Theodosius. — Zawsze byli i pozostaną naszymi braćmi — powtórzył. — Między robotami i ludźmi istnieje niepisane przymierze. Przez wiele lat pomagaliśmy sobie wzajemnie.

— Wykorzystywali was — poprawił Papież.

— Dali nam wszystko, co mamy — ciągnął nie zwracając na niego uwagi Theodosius. — Bez ludzi roboty w ogóle by nie istniały. Stworzyli nas na swój wzór, żadna inna rasa nie zrobiła i nie robi czegoś podobnego. Inne rasy tworzyły maszyny, ale nie roboty.

A mimo to przed chwilą właśnie powiedzieliście mi że nie

mogę opuścić Watykanu — wpadł mu w słowo Tennyson. — Że nie odejdę ani ja, ani kobieta, która ze mną przybyła. Czy to ma być okazanie wdzięczności ludzkości? Nie chcę powiedzieć, że bym był zdziwiony, ale nie podejrzewałem czegoś takiego.

— Uciekał pan ratując swoje życie — zauważył Theodosius. — My daliśmy panu schronienie. Czego więcej można oczekiwać?

— A Jill?

— Jill — powiedział w zamyśleniu Theodosius — to zupełnie inna sprawa. Jestem przekonany, że nie ma zamiaru wyjeżdżać.

— Jeśli o to chodzi, to zapewniam Waszą Eminencję, że ja również nie planowałem wyjazdu. Jeśli jednak chciałbym to kiedyś uczynić, miło by mi było wiedzieć, że nic nie stoi temu na przeszkodzie.

— Doktorze Tennyson — rzekł Papież surowym tonem — kwestia tego, czy zamierza pan nas opuścić, czy nie, nie jest obecnie przedmiotem dyskusji. Zostawmy ten temat do następnego spotkania.

— Dobrze — zgodził się Tennyson. — Przypomnę o tym Waszej Świątobliwości.

— Tak będzie lepiej — przytaknął Ecuyer.

— Powróćmy więc teraz do tematu Nieba — rzekł Papież.

— Wydaje mi się, że problem jest całkiem prosty do rozwiązania — powiedział Ecuyer. — Nie wiemy jeszcze, czy Niebo rzeczywiście istnieje. Jeśli nie, cała nasza dyskusja jest zupełnie bezsensowna. Dlaczego tego nie sprawdzicie? Przecież Watykan ma środki pozwalające dotrzeć prawie wszędzie...

— To prawda, ale nie posiadamy współrzędnych — rzekł smutno Roberts. — Kostka Słuchaczki Mary nie podaje żadnych namiarów.

— Mary może złożyć jeszcze jedną wizytę — wtrącił Tennyson.

— To chyba możliwe, aby przy następnej podróży zarejestrowała współrzędne?

Ecuyer opuścił głowę i potrząsnął nią przecząco.

— Nie wydaje mi się, żeby zdołała tam dotrzeć jeszcze raz. Chyba nie chce. Zwyczajnie się boi.



## ROZDZIAŁ 22

Dzień był mglisty. Ciężkie, niskie chmury okrywały góry od połowy ich wysokości, rzucając na świat szarą poświatę. Ścieżka, którą podążał Tennyson, zaczęła się wspinać na wzgórze. Kiedy dotarł na miejsce, mgła na tyle się przerzedziła, że dojrzał przycupniętą opodal niewielką chatkę. Był pewien, że to chata Deckera. Zastanawiał się tylko, czy zastanie go w domu, czy też jego nowy znajomy wybrał się właśnie na jedną ze swoich wypraw po kamienie. Tennyson wzruszył ramionami. Nieważne. Jeśli Deckera nie ma w domu, wróci do Watykanu. Dzień zapowiadał się interesująco i istniała szansa, że zdąży jeszcze pospacerować po okolicy.

W momencie gdy zbliżał się właśnie ku domostwu, Decker wyszedł zza rogu. Niósł naręcze drewna na opał. Gdy tylko zobaczył doktora, pomachał w jego stronę wolną ręką w geście powitania i krzyknął coś, ale gęste, dżdżyste powietrze stłumiło jego głos.

Zostawił otwarte drzwi i kiedy Tennyson wszedł do chaty, Decker podniósł się znad kominka znajdującego się po przeciwnej stronie pokoju i wyciągnął rękę.

— Przepraszam, że do ciebie nie podszedłem — powiedział — ale nie mogłem unieść tego drewna. Ciężkie jak skurczybyk. Usiądźmy przed kominkiem. To chyba jedyne, co można zrobić w taki dzień.

Tennyson zdjął z ramienia torbę, otworzył ją i wyjął butelkę. Podał ją Deckerowi.

— Przypomniałem sobie, że mam jeszcze jedną — powiedział.  
Decker podniósł trunek trzymając go pod światło.

— Ocaliłeś mi życie — rzekł z uśmiechem na ustach. — Ostatnią wykończyłem tydzień temu. Od czasu do czasu Charlie przywozi mi parę. Niestety nie zawsze. Zdaje się, że on też tego potrzebuje. A musi przecież kraść, jak pewnie wiesz.

— Jeśli Charlie jest kapitanem Wędrownika, to rzeczywiście, słyszałem coś o tym — przytaknął Tennyson.

— Zgadza się. Dobrze się znacie? — spytał Decker.

— Nie powiedziałbym. Rozmawialiśmy trochę w czasie podróży. Wspominał mi często o Kwiecie Jabłoni.

— Wymarzonej planecie na spędzenie emerytury? Któż z nas takiej nie ma?

— Jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Proszę, siadaj przed kominkiem. Jeśli chcesz, możesz postawić stopy na obmurowaniu. I nie martw się. Niczego tutaj nie uda ci się zepsuć. Wszystko jest dla ludzi. Zaraz przyjdę, spróbuję tylko znaleźć jakieś dwie czyste szklaneczki. Lodu nie ma — rzucił na odchodnym.

— Kto by tam zawracał sobie głowę lodem — odparł Tennyson.

W środku chata wydawała się większa, niż gdy oglądało się ją z zewnątrz. Był tu tylko jeden pokój. W jednym z jego rogów urządzono kuchnię z małym piecem i wiszącymi na ścianach półkami. Na ogniu kipiał garnek. Pod jedną ze ścian stało łóżko, nad którym wisiała półka wypełniona szczelnie książkami. W rogu, obok kominka stał płaski stół z kolekcją małych rzeźb.

Tennysonowi przypomniało się, że kapitan Wędrownika wspominał coś o rzeźbach.

Decker wrócił niosąc dwie szklanki. Podał jedną z nich Tennysonowi i napełnił. Później postawił butelkę na obmurowaniu paleniska, tak aby w każdej chwili była pod ręką.

Siadając w swoim fotelu pociągnął duży łyk trunku.

— O Boże, ależ to dobre — powiedział wzdychając. — Za każdym razem, gdy zaczyna mi jej brakować, zapominam jaka jest wspaniała.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu popijając trunek ze swoich szklanek i spoglądając w ogień. W końcu Decker zapytał:

— Jak idą sprawy na Watykanie? Do miasteczka docierają tylko pogłoski. Zresztą już od paru dni osada i Watykan kipią od plotek. Nigdy nie wiadomo, co z nich jest prawdą. Najczęściej i tak puszczam je mimo uszu.

— Bardzo mądrze — pochwalił go Tennyson. — Mieszkam na Watykanie, a i tak w połowę tego, co słyszę trudno jest mi uwierzyć. Kiedy już się tutaj zadomowię, mam nadzieję, że będę potrafił rozróżniać fakty od zwykłego gadania. Parę dni temu spotkałem się z Jego Świątobliwością.

— I?

— W jakim sensie „i”?

— Jak wrażenia?

— Prawdę mówiąc jestem rozczarowany — rzekł Tennyson. — Wyglądał dosyć żałośnie. Może gdybyśmy zadawali mu jakieś skomplikowane i ważne pytania, okazałby się kwintesencją mądrości. Dyskusja toczyła się jednak wokół małych problemów i był równie zakłopotany jak my. Zdziwiło mnie, że przy całej swojej wiedzy, jaką mu podobno wprowadzili, był tak małostkowy.

— Tennyson zdjął z ramienia torbę, otworzył ją i wyjął butelkę. Podał ją Deckerowi.

— Przypomniałem sobie, że mam jeszcze jedną — powiedział. Decker podniósł trunek trzymając go pod światło.

— Ocaliłeś mi życie — rzekł z uśmiechem na ustach. —

Ostatnią wykończyłem tydzień temu. Od czasu do czasu Charlie przywozi mi parę. Niestety nie zawsze. Zdaje się, że on też tego potrzebuje. A musi przecież kraść, jak pewnie wiesz.

— Jeśli Charlie jest kapitanem Wędrownika, to rzeczywiście, słyszałem coś o tym — przytaknął Tennyson.

— Zgadza się. Dobrze się znacie? — spytał Decker.

— Nie powiedziałbym. Rozmawialiśmy trochę w czasie podróży. Wspominał mi często o Kwiecie Jabłoni.

— Wymarzonej planecie na spędzenie emerytury? Któż z nas takiej nie ma?

— Jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Proszę, siadaj przed kominkiem. Jeśli chcesz, możesz postawić stopy na obmurowaniu. I nie martw się. Niczego tutaj nie uda ci się zepsuć. Wszystko jest dla ludzi. Zaraz przyjdę, spróbuję tylko znaleźć jakieś dwie czyste szklaneczki. Lodu nie ma — rzucił na odchodnym.

— Kto by tam zawracał sobie głowę lodem — odparł Tennyson.

W środku chata wydawała się większa, niż gdy oglądało się ją z zewnątrz. Był tu tylko jeden pokój. W jednym z jego rogów urządzono kuchnię z małym piecem i wiszącymi na ścianach półkami. Na ogniu kipiał garnek. Pod jedną ze ścian stało łóżko, nad którym wisiała półka wypełniona szczelnie książkami. W rogu, obok kominka stał płaski stół z kolekcją małych rzeźb.

Tennysonowi przypomniało się, że kapitan Wędrownika wspominał coś o rzeźbach.

Decker wrócił niosąc dwie szklanki. Podał jedną z nich Tennysonowi i napełnił. Później postawił butelkę na obmurowaniu paleniska, tak aby w każdej chwili była pod ręką. Siadając w swoim fotelu pociągnął duży łyk trunku.

O Boże, ależ to dobre — powiedział wzdychając — Za każdym razem, gdy zaczyna mi jej brakować, zapominam jaka jest wspaniała. Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu popijając trunek ze swoich szklanek i spoglądając w ogień.

W końcu Decker zapytał:

— Jak idą sprawy na Watykanie? Do miasteczka docierają tylko pogłoski. Zresztą już od paru dni osada i Watykan kipią od plotek. Nigdy nie wiadomo, co z nich jest prawdą. Najczęściej i tak puszczam je mimo uszu.

— Bardzo mądrze — pochwalił go Tennyson. — Mieszkam na Watykanie, a i tak w połowę tego, co słyszę trudno jest mi uwierzyć. Kiedy już się tutaj zadomowię, mam nadzieję, że będę potrafił rozróżniać fakty od zwykłego gadania. Parę dni temu spotkałem się z Jego Świątobliwością.

— I?

— W jakim sensie „i”?

— Jak wrażenia?

— Prawdę mówiąc jestem rozczarowany — rzekł Tennyson. — Wyglądał dosyć żałośnie. Może gdybyśmy zadawali mu jakieś skomplikowane i ważne pytania, okazałby się kwintesencją mądrości. Dyskusja toczyła się jednak wokół małych problemów i był równie zakłopotany jak my. Zdziwiło mnie, że przy całej swojej wiedzy, jaką mu podobno wprowadzili, był tak małostkowy.

— Rozmawialiście o Niebie?

— Skąd wiesz?

— Chodzą takie wieści — uśmiechnął się Decker. — Powiedziałem ci, że od paru dni miasteczko wrze od plotek. Mówi się przede wszystkim o Niebie.

— To prawie tak samo jak na Watykanie — pokiwał głową

Tennyson. — Wiele gadania wokół kwestii, która mnie osobiście wydaje się dosyć prosta. Albo Mary znalazła Niebo, albo inne miejsce, które uważa za Niebo. Z tego, co wiem, Watykan ma możliwość sprawdzenia tego wysyłając tam swoich ludzi. Mimo to załamują ręce twierdząc, że nie mają współrzędnych. Mary mogłaby przecież wrócić tam i zebrać odpowiednie namiary, ale Ecuyer wątpi, czy uda się ją do tego przekonać. Wydaje mu się, że Mary się boi.

— A co ty o tym myślisz?

— Moja opinia jest w tym przypadku zupełnie bez znaczenia.

— Nie szkodzi, powiedz mi, co myślisz.

— Wydaje mi się, że Watykan, ten prawdziwy, oficjalny Watykan, chce umyć od tego ręce. To urzędnicy Watykanu boją się, a nie Mary. Zresztą być może Mary też się boi, ale najważniejszy jest tutaj Watykan. Nikt nie chce wiedzieć, jaka jest prawda. Prawdopodobnie przestraszyli się, że to rzeczywiście jest Niebo.

— Chyba masz rację. Kardynałowie i inne kościelne szczyh spędzili tysiąc lat, próbując wszystko jakoś poukładać. I musisz przyznać, wyszło im to całkiem nieźle. Zebrali tony informacji z całego wszechświata, cokolwiek by nim było, bo jak ostatnio zauważyłem, nasze pojęcie na ten temat jest dość blade. Wprowadzili te dane do Jego Świątobliwości, a on, podobnie jak każdy logicznie rozumujący komputer, stworzył teorię, która dawała im poczucie panowania nad światem. Niestety, w teorii tej istnieją różne nieścisłości, które jednak przy pewnym nagięciu faktów dają się wyjaśnić. Jestem pewien, że Watykan zaczynał wierzyć, że już w ciągu najbliższego tysiąclecia uda mu się zakończyć cały projekt. I w takim momencie ta wariatka znajduje Niebo. Autentyczne, chrześcijańskie Niebo, co sprawia,

że piękna, bardzo zmyślna i prawie dopracowana teoria nadaje się do wyrzucenia na śmietnik. Ten jeden kawałek nie pasuje zupełnie do układanki i, co więcej, niszczy ją jako całość.

— Nie byłbym tego taki pewien — przerwał mu Tennyson. — Może Watykan obawia się zwrócenia nieoficjalnego, niższego Watykanu w kierunku religii chrześcijańskiej, która niewątpliwie nadal posiada moc silnie przyciągającą roboty. Pamiętaj, że wiele z nich stworzonych zostało na Ziemi, dzięki czemu są bliższe człowiekowi niż te nowoczesne maszyny, które skonstruowano dopiero po eksodusie z Ziemi. A wśród ludzi chrześcijaństwo jest ciągle bardzo popularne. Pięć tysięcy lat po śmierci Jezusa jest ono nadal wiarą dającą wystarczające oparcie, aby mogła być wyznawaną przez wielkie masy ludzkości. Mimo że, ogólnie rzecz biorąc, Watykan nie ma nic przeciwko temu, aby jego członkowie nadal po części wyznawali chrześcijaństwo, to jednak gdyby religia ta stała się główną siłą na Końcu Wszechświata, prowadzone tu prace zostałyby na pewno wstrzymane lub co najmniej poważnie opóźnione. A do tego niewątpliwie mogłoby doprowadzić odkrycie Nieba.

— To prawda — zgodził się Decker. — Ale nadal uważam, że Watykan obawia się wszelkich czynników, które mogłyby zachwiać podstawami teorii kosmosu, nad którą pracują.

— Ale przecież wtedy chcieliby poznać prawdę. Co zyskują chowając głowę w piasek? Myślą, że Niebo przestanie istnieć jeśli je zignorują?

— Tak czy inaczej — odparł Decker — wkrótce znajdą jakieś wyjście z sytuacji. Co by o nich nie mówić, nie są głupcami. W tej chwili działają w szoku, jednak za parę dni z pewnością znów staną na nogi.

Sięgnął po butelkę i podniósł ją zapraszającym gestem.

Tennyson nadstawił szklaneczkę. Decker napełnił ją i postawił butelkę z powrotem na kominku.

— Pomyśl tylko — odezwał się — koncepcja budowana przez długie stulecia wielkim nakładem sił przez dość zwyczajną formę życia na dość zwyczajnej planecie krążącej wokół dość zwyczajnego słońca, przeistoczywszy się w końcu w wiarę, mogłaby zniweczyć tysiąc lat wielkiego wysiłku grupy tęgich myślicieli. Człowiek nie jest chyba najsprytniejszym zwierzęciem w galaktyce, a już na pewno nie najbardziej inteligentnym. Czy to możliwe, żeby dzięki swojej intuicji, tęsknocie i nadziei mógł odnaleźć prawdę, która...

— Nie wiem — odrzekł Tennyson. — Nikt tego nie wie.

— Ciekawe — dorzucił Decker.

— Raczej przerażające.

— Gdyby ludzie na Watykanie nie byli tak zapatrzeni w jeden cel, tak pioruńsko zaciekli w swoich dążeniach do odkrycia wiary ostatecznej i prawdy kosmosu, czy masz pojęcie, czego mogliby dokonać?

— Zielonego — odparł Tennyson. — Nie wiem nawet, czego się można po nich spodziewać.

— Jestem przekonany, że znają odpowiedzi na pytania, które inni bez rezultatów zadają sobie od wieków. Dokopali się do jądra wiedzy o wszechświata, głębiej niż się podejrzewa. Mają potęgę i chwałę, które swym blaskiem przysłoniłyby całą galaktykę, gdyby je tylko wykorzystali. Dzięki Bogu nie robią tego. Są tak bardzo zajęci swoimi sprawami, że nie mają już na to ani trochę czasu.

Decker postawił swoją szklanę na kominku i wstał z miejsca. Poszedł do kuchni, zdjął przykrywkę z garnka i zamieszał jego zawartość łyżką.



W rogu, kilkanaście centymetrów nad stołem, gdzie znajdowała się kolekcja statuetek, w świetle płomienia z kominka migotała lekka chmurka diamentowego pyłu. Tennyson wstał, gwałtownie rozlewając alkohol. Przypomniawszy sobie, że przy poprzednim spotkaniu z Deckerem również zauważył ten blask, zawieszony tuż nad ramieniem nowego przyjaciela. Kiedy odwrócił się na chwilę, tajemnicza chmurka znikła. Tym razem jednak migotanie nie ustąpiło, obłoczek wciąż unosił się nad stołem.

Decker wrócił do ognia, wziął swoją szklaneczkę i zajął miejsce w fotelu.

— Może zostaniesz na kolacji? — spytał. — Mam wielki gulasz. Wrzucę bochenek chleba do piekarnika. Nagrzeje się. Niestety, skończyła mi się kawa, ale mogę poczęstować cię herbatą.

— W porządku — odparł Tennyson.

— Później uruchomię starą Betsy i zawiozę cię do domu. Będzie ciemna noc. Mógłbyś nie trafić. Chyba że wolisz zostać u mnie. Możesz spać na łóżku, mam jakąś dodatkową pościel. Ja wyciągnę się na podłodze.

— Chyba jednak dziś w nocy powinienem wrócić.

— Nie ma problemu. Powiedz, kiedy będziesz chciał wyjść.

— Tom — rzekł Tennyson — słyszałem, że jesteś mało komunikatywny. Że trzymasz się na uboczu.

— Charlie ci to powiedział?

— Chyba tak. Z nikim innym o tobie nie rozmawiałem.

— Gdybyś rozmawiał z kimś innym, też by ci to powiedział — zaśmiał się Decker.

— Ale nie rozmawiałem.

— Właśnie — Decker nagle spoważniał. — W ogóle mnie o nic

nie pytasz. Kiedy tu przyjechałem? Jak tu dotarłem? Dlaczego tu przybyłem?

— Cóż, sam też niewiele powiedziałem ci o sobie — wyjaśnił Tennyson. — Chociaż nie ma nic przeciwko temu. To, co mówię czy robię, nigdy po prostu nie było zbyt ważne.

— W mieście gadają, że jesteś uciekinierem — rzucił Decker.

— To prawda. Chcesz znać szczegóły?

— Niekoniecznie — odparł Decker. — Daj, naleję ci jeszcze trochę.

Siedzieli w ciszy pociągając co chwila ze szklanek i wpatrując się w płomienie.

W pewnej chwili Decker poruszył się w fotelu.

— Żeby zrozumieć filozofię Watykanu, musisz zdać sobie sprawę, czym jest robot — powiedział. — Zbyt często popełniamy błąd, widząc w nim mechanicznego człowieka. A jest on czymś o wiele więcej i zarazem czymś o wiele mniej. Podejrzewam, że roboty często myślą o sobie jako o odmianie człowieka, co sprawia, że myślą się równie często jak my. Swoją drogą to dziwne, że ludzie i roboty popełniają ten sam błąd.

Musimy przede wszystkim zadać sobie pytanie, czy robot jest zdolny do miłości. Bo wiemy na pewno, że potrafi być lojalny, odpowiedzialny i logiczny. Ale czy potrafi kochać? Czy robot może kochać kogoś lub coś? Nie ma żony, dzieci, rodzeństwa ani krewnych. Miłość to uczucie biologiczne. Nie można oczekiwać jej od robota. Bo on rzeczywiście nie ma wokół siebie osób, które mógłby kochać, chronić czy o nie dbać. Nie musi nawet troszczyć się o samego siebie. Wykonując od czasu do czasu drobne naprawy i konserwacje, teoretycznie może żyć wiecznie. Nie martwi się, że kiedyś przeistoczy się w staruszkę. Nie musi gromadzić pieniędzy, dzięki którym utrzymywałby się w czasie

emerytury. Z punktu widzenia kontaktów osobistych jest właściwie biedakiem. To właśnie sprawia, że w jego życiu pojawia się dziura. Wielka, przerażająca pustka.

Ale chyba nie zdaje sobie z tego sprawy — wtrącił Tennyson. — Nie wie, że jest pusty.

— Gdyby roboty żyły same, w oddaleniu od istot biologicznych, na pewno byłoby tak, jak mówisz. Ale tak nie jest. Zresztą chyba nawet nie mogłoby być. Są zależne od ludzi, muszą ich mieć koło siebie. I przez te wszystkie lata obserwując ludzi, musiały zrozumieć, jak wiele tracą.

— Więc myślisz, że nie będąc w stanie kochać, zwróciły się w stronę religii, która powinna wypełnić im życiową pustkę? To przecież bez sensu. Religia bazuje na miłości.

— Zapominasz, że miłość nie jest jedynym czynnikiem tworzącym podwaliny religii — odparł Decker. — Jest jeszcze wiara. Czasami staje się ona głównym trzonem wyznania, a robot zbudowany jest ten w sposób, że potrafi działać przez bardzo długi czas będąc motywowany jedynie wiarą. Myślę, że robot może bardzo łatwo przeistoczyć się w fanatyka, który zawstydziłby wszystkich bigotów i dewotki razem wziętych.

— Ale czy to, nad czym pracuje Watykan, można nazwać religią? — spytał Tennyson. — Czasami wydaje mi się, że nie.

— Tak to się prawdopodobnie zaczęło — odpowiedział Decker. — Nawet w tej chwili, wielu szeregowych członków załogi Watykanu uważa, że religia to ich prawdziwe powołanie. Jednak przez lata cel Watykanu powoli ulegał metamorfozie. Jestem o tym przekonany. W tej chwili Poszukiwania mają na celu odkrycie prawideł uniwersalnych, czegoś, co prawdopodobnie każdy kardynał nazwałby prawdą uniwersalną. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, byłoby to o wiele bardziej atrakcyjne dla

mentalności robota niż jakakolwiek odmiana wiary. Jeśli u kresu drogi, jaką podążają, z pewnym zaskoczeniem stwierdzą, że odkryły uniwersalną teologię, z pewnością nie będą tym zmartwione.

— Jeśli odkryją jednak coś innego — dorzucił Tennyson — będą się cieszyć tym bardziej.

— Otóż to — uśmiechnął się Decker. — Trafiłeś w dziesiątkę.

Mały obłoczek diamentowego pyłu nadal unosił się nad stołem, wisząc jak tarcza ochronna nad grupką statuetek. Czasami iskrzył się, ale najczęściej po prostu trwał nieruchomo, jakby obserwując sytuację.

Tennyson już miał zadać pytanie, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Decker musiał widzieć obłok pyłu i wiedzieć, że Tennyson również go spostrzegł. Jeśli ktoś powinien rozpocząć rozmowę na ten temat, to z pewnością był to Decker. Ale on jak dotąd nie odezwał się słowem.

Decker przerwał milczenie.

— A wracając do Nieba. Widziałeś taśmę?

— To nie taśma — poprawił go Tennyson. — To kostka. Nie, oglądałem jej. Nie śmiałem prosić. Wydawało mi się, że jest to ich prywatna sprawa. Przeglądałem za to inne.

— Wiesz przecież, sam zresztą to mówiłeś, że Watykan ma możliwość sprawdzenia, czy to naprawdę Niebo.

— Tak — westchnął Tennyson — ale mówią, że nie mają współrzędnych.

— Mam pewne podejrzenia... — powiedział Decker i urwał. Tennyson odczekał chwilę.

— Tak? — zachęcił go w końcu do kontynuowania tematu.

— Czuję, że wiem, gdzie jest Niebo — rzekł Decker.

## ROZDZIAŁ 23

Nie wiem, co się stało — rzekł Ecuyer w zdenerwowaniu. — Nie mam bladego pojęcia. Nagle Mary uparła się, że musi jeszcze raz odwiedzić Niebo.

— Nie wiadomo, czy jej się to uda — wzruszył ramionami Tennyson.

— Myślę, że tak — odparł Ecuyer. — Jest naszą najlepszą Słuchaczką. Ma wystarczająco dużo umiejętności, żeby jeszcze raz się tam wybrać. Nie wiem, co prawda, jakie umiejętności trzeba mieć, żeby trafić ponownie w to samo miejsce, ale w ciągu wielu lat pracy, niektórzy z naszych Słuchaczy udowadniali, że jest to możliwe. Staraliśmy się ustalić, jak to robią, bo wiedza taka umożliwiłaby nauczanie tej sztuczki naszych ludzi. Ale nie to jest teraz najważniejsze. Najbardziej martwi mnie fakt, że Mary nagle, ni z tego ni z owego nabrała chęci, żeby to powtórzyć. Jeszcze parę dni temu nie chciała nawet o tym słyszeć.

— Może chce zrobić coś, co ponownie zwróci na nią uwagę wszystkich — zasugerowała Jill. — To przecież wy dwaj wmawialiście jej, że nie jest tak ważna, jak jej się wydaje.

— To była jedyna rzecz, jaką mogliśmy zrobić w tej sytuacji — odparł Ecuyer. — Przynajmniej tak mi się wydawało, a Jason zgodził się ze mną.

— Tak czy inaczej, najwyraźniej podziałało zauważyła Jill. — Teraz więc najważniejsze jest przekonanie jej, że kiedy już się tam znajdzie, powinna zarejestrować współrzędne. Czy może pan to zrobić?

— Mogę z nią porozmawiać — odpowiedział Ecuyer. —

Spróbować ją przekonać. Nie wiem tylko, czy będzie chciała mnie posłuchać. — Nagle zwrócił się do Jill. — Ale może pani by z nią porozmawiała. Jak kobieta z kobietą.

— To chyba nie jest najlepszy pomysł — stwierdziła Jill. — Nigdy wcześniej się nie widziałyśmy. Chyba mi nie zaufa. Będzie wyglądało na to, że wszyscy coś tu przeciw niej knują.

— Decker twierdzi, że wie, gdzie jest Niebo — wtrącił Tennyson. — Rozmawiałem z nim wczoraj.

— A skąd on miałby to wiedzieć? — spytał zaskoczony Ecuyer. — Jak on to w ogóle może wiedzieć?

— Nie wiem. Nie mówił nic więcej, a ja nie pytałem. Ma bzika na punkcie swojej prywatności. Nie powinno mu się zadawać żadnych pytań. Chociaż akurat w tym przypadku chyba nawet podejrzewał, że to zrobię. Ale gdy nie podjąłem tematu również o nim zapomniał.

— Powinieneś był spytać — zmartwiła się Jill. — Może właśnie na to czekał.

— Chyba nie. Może nie mam racji, ale czułem się tak, jakby mnie sprawdzał. Poruszył też parę innych tematów pozostawiając zawsze wiele niedomowień, ale ani razu nie dopytywałem się o nic, chociaż gryzłem się w język, tak że mi spuchł. To dziwny człowiek. Miło się z nim rozmawiało i nie chciałem, żeby atmosfera nagle stała się napięta.

— Przez cały czas Decker spisany był na straty — zauważył Ecuyer. — Uważaliśmy go za świra i samotnika, co zresztą jest prawdą. Człowieka stojącego na uboczu. Jasonowi pierwszemu udało się nawiązać z nim bliższy kontakt. To może być cenna znajomość. Nie chcielibyśmy, żebyś ją zaprzepaścił. Myślę, że człowiek ten kryje w sobie o wiele więcej tajemnic, niż moglibyśmy przypuszczać.

Do pokoju wszedł Hubert z dzbankiem świeżo zaparzonej kawy. Napełnił filiżanki i nie odzywając się ani słowem wrócił do kuchni.

— Nadal jest na mnie obrażony — wyjaśnił Ecuyer.

Trochę go zwymyślałem parę dni temu. Od czasu do czasu trzeba to robić. Trzymaj go w ryzach — powiedział zwracając się do Tennysona.

— Trzeba mu jednak przyznać — odrzekł Tennyson — że przyrządza wspaniałą kawę.

— Czy moglibyście mi odpowiedzieć na jedno pytanie? — odezwała się Jill. — Czy Mary jest człowiekiem? W ogóle, ilu Słuchaczy jest ludźmi?

— Oczywiście, że jest człowiekiem — zdziwił się Ecuyer. — Czemu pytasz?

— Słuchacze doświadczają tylu, jak wy to mówicie, pozaświatowych doznań, na przykład często wcielają się lub wydaje im się, że się wcielają w istoty z innego świata, że zastanawiam się, jak w obliczu tego wszystkiego udaje im się zachować swoje człowieczeństwo.

— Też się nad tym zastanawiałem — zasmucił się Ecuyer. — Nigdy jednak nie odważyłem się z żadnym z nich na ten temat porozmawiać. Bałem się. Z ludźmi tak wyczulonymi na wszelkie doznania zewnętrzne trzeba obchodzić się jak ze zgniłym jajkiem. Każdy z nich posiada silną osobowość. Może to właśnie ich ratuje. A może silna osobowość to warunek konieczny do tego, aby zostać Słuchaczem. Jednak mimo swojej silnej osobowości i charakteru częstokroć nie mogą pozbyć się wspomnień z jakiejś podróży. Czasami odmawiają powrotu do miejsca, które znaleźli. Zgadzą się na dalszą współpracę, ale pod warunkiem, że nie będą musieli jeszcze raz tam wracać.

Niezależnie od okoliczności, jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło się, aby Słuchacz się załamał.

Ecuyer dokończył swoją kawę.

— Chyba lepiej będzie, jeśli pójdę porozmawiać z Mary. Jason, nie chciałbyś się ze mną przejść?

— Nie, dziękuję. Nie należę chyba do jej ulubieńców.

— Ja też nie.

— Ale ty znasz ją od wielu lat. To zupełnie co innego.

— Zobaczymy — westchnął Ecuyer. — Dobra, to do zobaczenia.

Po jego odejściu Jill i Tennyson siedzieli jeszcze przez chwilę w ciszy. Wreszcie Jill odezwała się.

— Wydaje mi się, Jason, że jesteśmy już blisko. Czuję to przez skórę.

Tennyson kiwnął głową.

— Jeśli Mary wróci do Nieba i rzeczywiście potwierdzi jego istnienie lub znajdzie coś więcej niż poprzednim razem...

— Zupełnie nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi — rzekła Jill. — Załoga Watykanu podzieliła się w bardzo dziwny sposób na dwa obozy. Ale dlaczego? A najgorsze jest to, że nie mam pojęcia, czym jest Watykan. Religią czy grupą poszukujących filozofów. Co oni chcą osiągnąć?

— Wątpię, żeby sami to wiedzieli — wzruszył ramionami Tennyson.

— Myślałam o kardynale, jak mu tam było, Roberts, tak? Powiedział, że nie będziemy mogli opuścić Końca Wszechświata.

— Uhm. Mówił tak, jakby to było oczywiste.

— Ja i tak na razie nigdzie się nie wybieram — rzekła Jill. — Jestem już blisko dokopania się czegoś w tych dokumentach. Kiedy napiszę o tym książkę — Książkę? A ja myślałem, że miałaś



spisywać kroniki Watykanu?

— Książka będzie się sprzedawać w miliardach egzemplarzy — ciągnęła Jill. — Będę się pławić w luksusie i już nigdy nie będę musiała pracować.

— Jeżeli uda ci się stąd uciec... — zauważył Tennyson.

— Słuchaj, przyjacielu, Jill jeździ tam, gdzie jej się podoba i kiedy jej się podoba. Nie znalazło się jeszcze miejsce, w którym zatrzymano by ją dłużej. Nie spotkała tak małej dziury, z której nie mogłaby się wydostać.

— Wierzę ci — uśmiechnął się Tennyson. — Kiedy będziesz stąd uciekać, nie zapomnij zabrać mnie ze sobą.

— Pomyślę o tym...

## ROZDZIAŁ 24

Widok był podobny do tego, jaki ujrzała za pierwszym razem. Szeroka aleja świateł ciągnęła się przed nią i znikła na horyzoncie, prowadząc prosto do ogromu chwały leżącego daleko, daleko stąd. Unosiła się teraz nad alejką w przestrzeni krzyżującej pustką. Powoli zmierzała w kierunku, w którym prowadziła ją droga. Wysilała każdy nerw i mięsień swego ciała, aby przyspieszyć wędrówkę prowadzącą do chwały.

Postanowiła, że tym razem postara się lepiej rozejrzeć, zaznaczy miejsce jakimiś znakami rozpoznawczymi i ustali swoje położenie, dzięki czemu będzie później mogła powiedzieć im, gdzie dokładnie się znajdowała. Udowodni istnienie Nieba. Bo przecież nie uwierzyli jej. Teraz jednak zmienią zdanie. Nie będzie już żadnych wątpliwości ani niedomówień. „Potrzebujemy współrzędnych”, powiedział Ecuyer. A co to są współrzędne? W jaki sposób miała znaleźć współrzędne, które ich przekonają? Bo przecież mogą to być jedynie współrzędne wiary, w jakie można tylko wierzyć. Tym razem musiała przynieść im wiarę, która sprawi, że obdarzą ją bezgranicznym zaufaniem. Wtedy zobaczą, że jest tą, która odnalazła dla nich Niebo.

Widziała czego chcą. Mapy podróży. Uruchomią wtedy swoje śmieszne maszyny, żeby ją śledzić aż do Nieba. Głupcy! — pomyślała wściekła i jednocześnie zasmucona ich głupotą. Wierzą, że mogą w fizyczny sposób dostać się do Nieba. Nieba, które dla śmiertelników jest — jak to określił ten kretyn doktor? — „stanem świadomości”. On też się mylił, ten codziennie uśmiechnięty, bezrozumnie oddany pracy człowiek, pomyślała.

Niebo nie jest wcale stanem świadomości, ale stanem łaski. I tylko ja spośród nich wszystkich osiągnęłam stan łaski, który pozwolił mi je odnaleźć.

Akt łaski okupiony tak wielkim nakładem pracy. Właściwie może nie tyle pracy, bo nie o to tu chodziło. Ważniejszy był wysiłek, jaki włożyła w osiągnięcie głębokiego poczucia świętości połączonego z bezgranicznym poświęceniem i poddaniem się jego słodkiej władzy. Czasami udawało jej się dotknąć rąbka świętości, ale nigdy przedtem nie chwyciła się go tak mocno. Musiała wyzbyć się swojej osobowości i często w jej umyśle pojawiała się myśl, że zostanie już tak na wieki, skazana na błąkanie się w pustce. Nigdy przedtem nie osiągnęła swego celu, ale tym razem wystarczyło jedynie trzymać się drogi chwały, która rozciągała się tuż przed nią.

Wynurzyła się z pustej przestrzeni i wydawało się, że jej stopy nareszcie dotknęły alejki. Uczucie było niepodobne do niczego, co przeżyła wcześniej. Stąpała po gładkiej i lśniącej drodze, na której końcu leżał ogrom chwały. Obawia się, że droga może okazać się zbyt długa, żeby dojść tam na piechotę. A co zrobi, jeśli z powodu głupiego wyczerpania upadnie po drodze nie dotarłszy do wyniosłych, jaśniejących wieżyczek?

Wkrótce jednak problem rozwiązał się sam. Nie musiała iść piechotą. W magiczny sposób unosiła się nad alejką nie wkładając w to ani odrobiny wysiłku. Wokół rozbrzmiewała muzyka i śpiew. Zastanawiała się nawet, czy przypadkiem nie ten donośny śpiew, a raczej jego siła, niesie ją do celu.

Ogarniało ją znużenie. Nagle wokół podniosła się mgła, tak że widziała już tylko drogę i ogrom chwały na jej końcu. Znużenie miało pewne oznaki zniewalającego zadowolenia. Płynęła ponad drogą nie wykonując żadnego ruchu, czuła, że łagodny przypyływ

pochwycił ją i niesie w stronę dalekiego brzegu. Muzyka stała się bardziej dostojna a światło przybrało na sile. Przymknęła oczy w obliczu jaskrawej światłości, a jeden z aniołów pochwycił ją i przytrzymał.

Nagle, ni stąd ni zowąd muzyka ucichła. Zapadła głucha cisza i Mary, nie przytrzymywana już, opadła na nogi. Jej stopy twardo dotknęły podłoża. Zaskoczona otworzyła oczy. Blask ustąpił miejsca słabemu lśnieniu. Na jego tle dostrzegła wznoszące się nie opodal potężne, białe wieże sięgające błękitnego nieba. Było ich bardzo wiele, a w oddali dawał się słyszeć słaby pogłos muzyki przypominającej szum spadającej wody. Każda kropla wzbudzała inny dźwięk, który razem z innymi razem tworzył melodię.

Rozejrzała się w poszukiwaniu aniołów, ale żaden z nich nie pojawił się w polu widzenia. Pomyślała, że zapewne unoszą się tak wysoko, iż nie może ich dojrzeć oko zwykłego śmiertelnika.

Niedaleko rozpoczynały się schody. Szerokie i strome, wykute w szczerym złocie, prowadziły w kierunku wież. Perspektywa sprawiała, że w miarę wznoszenia się wyglądały na coraz węższe. Na samym szczycie, tuż przy wieżach miały szerokość złotej szpilki.

Wydawało jej się, że odległość jest bardzo duża, ale krok po kroku musiała przecież dotrzeć aż do wieżyczek. Tam, na samym szczycie czekają na nią trębacze, którzy powitają ją niebiańskimi fanfarami.

Kiedy przygotowywała się do rozpoczęcia wspinaczki, mgła, która wcześniej otoczyła ją ze wszystkich stron, zaczęła opadać. Po obu stronach drogi ujrzała mrowie obozujących ludzi. Znajdowały się tutaj namioty, sklecone na oczekaniu chatki i szałaszy. Od czasu do czasu dało się zauważyć górujące nad

slumsami świątynie. W tłumie dostrzegła istoty, jakich nie widziała nigdy przedtem. Z jakiegoś nieznanego jej powodu nie rozróżniała ich zbyt wyraźnie, ale miała wrażenie, że mają bardzo dziwaczne kształty i barwy. Coś jak tchnienie życia zamknięte w przerażającej, obrzydliwej masie.

Ze strachu zaczęła uciekać schodami w górę, jakby ją ktoś gonił. Osłabła i zdyszała się. Wreszcie potknęła się i upadła. Skulona przywarła do gładkiej powierzchni kamienia obawiając się, że mogłaby się stoczyć w dół, do piekła wypełnionego potworkami.

Stopniowo powracał jej równy rytm oddechu, a jej ciało przestało dygotać. Podniosła się ostrożnie i spojrzała za siebie. Mgła ponownie spowiła całą okolicę, przysłaniając tłum u stóp schodów.

Wstała i wznowiła wędrówkę po schodach. Muzyka stała się nieco głośniejsza, chociaż wciąż dochodziła jakby z oddali. Białe wieże wyraźnie odcinały się od błękitu nieba. Spłynął na nią spokój zmywając resztki przestachu związanego z kłębiącym się u stóp schodów tłumem.

Wieże nie stawały się ani trochę bliższe. Cała ta wspinaczka i bieg po schodach najwyraźniej nie przybliżyły jej ani trochę do celu. W pewnej chwili, będąc już wysoko na schodach, spostrzegła migoczący w złotej poświacie punkt. Zatrzymała się na moment, żeby mu się przyjrzeć. Z początku myślała, że to tylko złudzenie optyczne. Ale punkt trwał w jednym miejscu, tańcząc w świetle odbijającym się od złotych schodów. Ktoś idzie mi na spotkanie, pomyślała. Ktoś schodzi, żeby powitać mnie w Niebie!

Przyspieszyła kroku. Chciała jak najszybciej dotrzeć do osoby, która wyszła jej naprzeciw. Punkt powiększał się i przestał

migotać. Zauważyła, że przybrał ludzkie kształty i poruszał się na dwóch nogach. Nie widziała jednak skrzydeł. Nieco rozczarowana, przypomniała sobie jednak, że nie wszyscy w Niebie posiadają skrzydła. Zastanawiając się nad tym zdała sobie sprawę, jak niewiele właściwie wie o mieszkańcach Nieba. Wyobrażała je sobie zawsze jako miejsce pobytu aniołów, a przecież ta podobna do człowieka istota wychodząca jej na spotkanie, z pewnością nie była aniołem.

W miarę jak istota przybliżała się do niej, Mary przestała być pewna, że ma do czynienia z człowiekiem. Na pewno miał sylwetkę człowieka, ale raczej nim nie był. Chyba w ogóle nie pochodził z Nieba. Przede wszystkim był czarny.

Zaskoczona zwolniła kroku, a potem przerwała wspinaczkę. Stała wpatrując się w schodzącą ku niej postać. Miała ona długie, szpiczaste uszy, pociągłą, lisią twarz, cienkie i szerokie wargi. Do tego dochodziły skośne, przypominające kota żółte oczy, bez fragmentu białka. Stworzenie to było tak czarne, że świeciło jak wypastowany but.

Nie zauważyła nawet wyglądu reszty jego postaci ani ubrania, które miała na sobie. Tak była zafascynowana, wręcz zahipnotyzowana jej odrażającą twarzą, że nie była w stanie zwrócić uwagi na nic innego.

Stwór zatrzymał się dwa stopnie powyżej niej. Podniósł dłoń i pogroził jej palcem jak nauczyciel albo ojciec udzielający reprimendy. Jego głos zagrzmiął.

— Niegrzeczna! — krzyczał. — Niegrzeczna! Niegrzeczna!

Mary odwróciła się i uciekła, zbiegając w te pędy po schodach, a wypowiedziane przez niego słowo nadal rozbrzmiewało echem w jej umyśle. W końcu potknęła się i zaczęła spadać ze schodów. Starła się zatrzymać, odzyskać w jakiś sposób równowagę, ale

nie udało jej się to. Wciąż spadała objając się boleśnie o stopnie.

Nagle poczuła, że już się nie stacza. Usiadła w oszołomieniu. Dotarła do końca schodów i siedziała teraz na drodze prowadzącej do nich. Mgła znów znikła, tak że mogła widzieć motłoch kłębiący się po obu stronach alejki, ale nie przekraczający pewnej granicy, jakby istniał jakiś niewidzialny płot i oddzielający go od drogi. Gawiedź rechotała, gwizdała i szydząc robiła w jej kierunku niedwuznaczne gesty.

Podniosła się z trudem i odwróciła w kierunku schodów. Ten, który wyszedł jej na spotkanie, stał na ostatnim stopniu. Nadal groził jej palcem, wykrzykując:

— Niegrzeczna! Niegrzeczna!

## ROZDZIAŁ 25

Jill już dawno wyszła do biblioteki. Godzinę temu Hubert poszedł załatwiać jakieś swoje sprawy. Tennyson siedział przed kominkiem i wpatrywał się w buzujące płomienie. Za chwilę sam musiał wyjść do kliniki, chociaż wiedział, że prawdopodobnie jak zwykle nie będzie tam miał wiele do roboty. Ludzie z Watykanu i Końca Wszechświata byli wyjątkowo zdrową społecznością. Oprócz przypadku Mary, od momentu swego przybycia nie zanotował żadnych poważniejszych chorób. Spotykał się raczej z niegroźnymi dolegliwościami w rodzaju przeziębień, bolących zębów, łamana w krzyżu, niestrawności czy zwichniętych kostek.

Przypomniawszy sobie, że Mary właśnie wybrała się w swoją drugą podróż do Nieba. Nie miał zielonego pojęcia, co mogło ją skłonić do podjęcia takiej decyzji. Ostatnio przecież nie chciała w ogóle o tym słyszeć. Zastanawiał się, co przyniesie ta podróż. Przekonanie, że rzeczywiście odnalazła Niebo czy raczej wątpliwości. Nieeee... to nie może być Niebo, pomyślał. Cały ten pomysł był śmieszny i bardzo przypominał mu psychotycznie indukowane wizje i rewelacje tak liczne na Ziemi w okresie średniowiecza.

Usiadł głębiej na kanapie wpatrując się w płomienie. Przypomniało mu się, że za chwilę musi iść do kliniki. Jakiś pacjent może na niego czekać.

Poczuł nagłe zdenerwowanie. Ale dlaczego miałby się denerwować myślą, że ktoś czeka na niego w klinice? Usiadł ponownie w normalnej pozycji i rozejrzał się po pokoju. W mieszkaniu było pusto. Nie było w tym zresztą nic dziwnego.



Wiedział, że wszyscy wyszli. Siedział sam w pokoju, a jednocześnie był zupełnie pewien, że nie jest sam.

Wstał, odwracając się szybko plecami do płomienia, tak aby móc przyjrzeć się drugiej stronie pokoju w poszukiwaniu ukrywającego się tam cienia. Ale niczego nie zobaczył. Dałby za to głowę. Mimo to niepokój nie ustępował. Pustka mieszkania nie dawała mu spokoju. Wiedział, że coś czai się w pobliżu, coś lub ktoś najwyraźniej znajdował się w pokoju razem z nim. Odważył się odezwać na głos, skrzecząc raczej niż mówiąc:

— Jest tu kto?

W odpowiedzi na swoje pytanie, w rogu pokoju, tuż obok wysokiego, połączanego krzesła stojącego przy marmurowym stole zauważył słabą poświatę unoszącego się diamentowego pyłu.

— Ach, więc to ty? — powiedział Tennyson.

W tym samym momencie poświata znikła. Mimo to Tennyson nadal wyraźnie odczuwał czyjąś obecność. Blask rozproszył się, ale istota, która go emitowała, nie znikła na pewno.

W umyśle Tennysona mnożyły się pytania. Kim jesteś? Czym jesteś? Dlaczego jesteś tutaj? Nie był jednak w stanie wypowiedzieć ich na głos. Stał zmrożony w bezruchu, gapiąc się w miejsce, gdzie ostatnio widział poświatę.

Coś w środku niego przemówiło:

Tu jestem. Jestem wewnątrz ciebie. W twoim umyśle. Chcesz, abym odszedł?

Głos był łagodny, jeśli w ogóle można to było nazwać głosem. Łagodny i miły. Tennyson nie mógł poruszyć żadnym mięśniem swojego ciała. Paniczny strach trzymał go mocno w objęciach. Próbował przemówić, zacząć o czymś myśleć, a mimo to, nie sformułował ani jednego słowa, ani jednej myśli. Jego umysł

zamarł razem z ciałem.

Chciałbyś, żebym odszedł? — powtórzył głos.

Nie, odparł nie wypowiadając nadal ani jednego słowa, formułując je tylko w swoim mózgu. Nie odchodź, ale powiedz mi, kim jesteś. Zdaje się, że własnością Deckera. Czy przychodzisz z wiadomościami od niego?

Nie jestem własnością Deckera. Nie jestem niczyją własnością. Jestem istotą wolną i przyjacielem Deckera. Mogę z nim rozmawiać, ale nie jestem w stanie stać się jego częścią.

Ale możesz być częścią mnie. — Było to raczej twierdzenie niż pytanie. Dlaczego możesz być częścią mnie, a nie Deckera?

Jestem Szeptacz. Tak nazywa mnie Decker. Imię dobre jak każde inne.

Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Szeptaczu. Dlaczego możesz być częścią mnie, a nie Deckera?

Decker jest moim przyjacielem, powtórzył Szeptacz. Moim jedynym przyjacielem. Sprawdzałem go przez bardzo długi czas, żeby się upewnić, czy się nadaje. Próbowałem również z innymi. Oni także mogli zostać moimi przyjaciółmi, jednak nie potrafili mnie usłyszeć ani rozpoznać. Nie wiedzieli, że istnieję.

A teraz?

Próbowałem z Deckerem, ale do jego wnętrza nie można się dostać. Mogę z nim rozmawiać, ale nie jestem w stanie dostać się do jego umysłu. Kiedy spotkałem cię po raz pierwszy, wydawało mi się, że ty jesteś inny.

Więc opuścisz Deckera? Nie możesz mu tego przecież zrobić, Szeptaczu. Ja w każdym razie mu tego nie zrobię. Nie zabiorę mu jego przyjaciela.

Nie opuszczę go. Ale czy mogę zostać z tobą?

To znaczy, że mogę się nie zgodzić?

Oczywiście. Jeśli powiesz „odejdz”, odejdę. Jeśli powiesz „trzymaj się z dala”, będę się trzymać z dala. Ale tak bardzo cię proszę...

Tennyson miał nieodparte wrażenie, że zwariował. To przecież nie mogło dziać się naprawdę. Na pewno ma jakieś przywidzenia. Takie istoty nie istnieją.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich wzburzony czymś Ecuyer.

— Jason — krzyknął — musisz iść ze mną. Musisz iść natychmiast.

— Dobrze, oczywiście — odparł zaskoczony Tennyson. — O co chodzi?

— Mary wróciła z Nieba. Zupełnie postradała rozum.

## ROZDZIAŁ 26

Decker jeszcze raz przypomniał sobie tę chwilę. Przez lata o tym nie pamiętał, ale odkąd odnalazł kadłub kapsuły, często zdarzało mu się wracać myślami do tego momentu. Za każdym razem przypominał sobie nowe elementy, które już dawno zatarły się w pamięci.

Wyciągnął rękę i dotknął metalowej skrzynki stojącej na biurku, którą przyniósł wcześniej z kapsuły. Musiało tam być wszystko, co zostawił za sobą. Wahał się jednak, czy ma ją otworzyć i obejrzeć zapis podróży statku. Być może powinien był zostawić ją we wraku, tam, gdzie spoczywała zupełnie zapomniana przez dwanaście lat.

Dlaczego bał się wspomnień? Może nie chciał, żeby znów ogarnęło go tamto przerażenie? Czy statek mógł zarejestrować jego strach? Czy nadal tam jest, zachowany w tej samej postaci co tamtego dnia, wiele lat temu? Zmarszczył czoło usilnie starając się skoncentrować. Znał ten statek bardzo dobrze, poznał każdy jego centymetr, kochał go, był z niego dumny, nawet rozmawiał z nim w czasie długich, samotnych godzin spędzonych w przestrzeni kosmicznej. Czasami wydawało mu się nawet, że statek również próbuje z nim rozmawiać.

Właściwie była tylko jedna rzecz, jakiej nie był pewien. Nie wiedział, jak wiernie zapis czarnej skrzynki oddawał podróż statku. Był przekonany, że dane były dokładne i nieomyłne oraz że nie pominęły niczego znaczącego — Podawały punkty w przestrzeni i odległości między nimi, dokładne współrzędne, zanotowaną temperaturę, ciśnienie, zawartość substancji chemicznych, wartości grawitacji, rodzaj życia, jeśli istniało ono

w danym miejscu, oraz wskazywały na niewidoczne, czyhające zewsząd niebezpieczeństwa. Ale uczucia? Czy mogły rejestrować uczucia? Czy były w stanie zapisać przerażenie ogarniające w tamtej chwili całą jego odważną i doświadczoną załogę, która natychmiast rzuciła się w popłochu do kapsuł ratunkowych?

Siedział przy biurku dotykając wciąż palcami metalowej skrzynki. Zamknął oczy i usiłował po raz kolejny przypomnieć sobie coś, co uszło jego pamięci.

Lecieli właśnie do któregoś z odległych zakątków systemu Coonskina, kiedy zostali pochwyceni. To dziwne, ale ciągle wydawało mu się, że zostali schwytani przez tę legendarną, niewyjaśnioną jak dotąd szczelinę w kontinuum czasoprzestrzeni, która, jak się okazało, nie była jedynie legendą. Szczelinę, która wciągnęła ich statek do innego czasu i/lub przestrzeni. W każdym barze, na każdej planecie można było usłyszeć mrozące krew w żyłach opowieści opisujące podobne przypadki, ale sam fakt opowiadania ich przez osoby klnące się na wszystko, że opowieść jest prawdziwa, sprawiał, że nikt, nawet w najmniejszym stopniu nie wierzył w istnienie szczelin czasowych.

Tak czy inaczej, statek został wciągnięty. I jak to bywało zazwyczaj w przypadku lotów FTL, statek wisiał w czarnej nicości, jakby znieruchomiały, kiedy nagle coś szarpnęło i pojazd przechylił się na jedną burtę. Decker pamiętał, że sam stał właśnie przed jednym z przednich paneli wizyjnych wpatrzony w zupełną Pustkę otaczającą statek, zafascynowany jak zwykle brakiem jakichkolwiek cech, przy pomocy których można by ją opisać. Była czarna i pusta, to wszystko co przychodziło mu do głowy. Czerń jednak nie była tak zupełnie czarna. Można ją było tak nazwać tylko dlatego, że w polu widzenia nie znajdowało się

dosłownie nic. Pustka natomiast nie wynikała z tego, że przestrzeń została pozbawiona czegoś, co było tam wcześniej. Nie, chodziło właśnie o to, że nigdy wcześniej nic tam nie było i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Wiele razy zastanawiał się, co go tak pociągało w tej samotnej i jałowej próżni, ale jakoś nigdy nie doszedł do żadnych konkretnych wniosków.

Pokład pod jego stopami zaczął podskakiwać i Decker się przewrócił. Upadłszy boleśnie na podłogę zaczął się zsuwać po pokładzie razem z przechyłami statku. Próbował złapać się czegoś, jakichś mocno przytwierdzonych przedmiotów, jednak nie udawało mu się niczego dosięgnąć, a nawet jeśli zdołał już tego dokonać, palce ześlizgiwały się z nich pod wpływem ciężaru ciała. Uderzył o jakiś twardy przedmiot i odbił się w drugą stronę. Nagle stuknął głową w ciężki, metalowy obiekt i świat wypełnił się wybuchającymi gwiazdami. Prawdopodobnie na kilka chwil stracił przytomność, chociaż nie był tego pewien.

Następną rzeczą, jaką pamiętał, była próba podniesienia się i zajęcia jednego z miejsc pilotów przed panelami nawigacyjnymi. W głowie czuł zamęt. Mimo to wyraźnie słyszał dalekie, przerażone okrzyki jego ludzi. Ludzi panicznie przestraszonych, którzy nie kontrolowali już swoich odruchów.

Głupcy! — pomyślał. Zupełnie powariowali! Wiedział jednak, że mieli powody do paniki. Przerażenie zdzieliło go wprost między oczy. Wypełniło statek i przyszpiliło go do fotela, tak jakby było raczej zjawiskiem fizycznym niż emocjonalnym. Coś w środku niego krzyczało ełnym głosem, on jednak nie mógł wydobyć z siebie ani jednej sylaby.

Statek nie kołysał się już. Decker przytrzymał się fotela żeby nie upaść. Kiedy usiłował wstać, nogi ugięły się pod nim. Rzucił okiem na panele wizyjne i zauważył, że czarna pustka znikła.

Statek powrócił do zwykłej przestrzeni kosmicznej.

Przerażenie pojawiało się falami szturchając go i uderzając, jak przeciwnik zadający ciosy zaciśniętą pięścią. Zrobiło mu się niedobrze. Wciąż opierając się w fotelu, przechylił głowę bezskutecznie starając się zwymiotować.

Czuł obezwładniający go strach, choć nie widział nic, co mogłoby wskazywać miejsce, z którego pochodził. Nie wiedział, dlaczego właśnie on ma być przerażony. W tle przez cały czas słyszał głos, który na niego krzyczał. Właśnie na niego, a nie na kogoś innego albo całą załogę. W prz'erwach, między kolejnymi zatrważającymi okrzykami dawało się słyszeć coraz dalsze porykiwania uciekającej w panice załogi. Usłyszał jeszcze dwa wyraźne głucho uderzenia i wiedział, że pochodzą one z odpalanych kapsuł ratunkowych.

Stał już na nogach i wydawało mu się, że może się poruszyć. Położył rękę na czole i wyczuł na nim pasemko mokrych włosów. Spojrzał na dłoń. Była cała czerwona i ociekała krwią. Obrócił się w kierunku najbliższego panela wizyjnego. Słaniając się na nogach dotarł do ściany kabiny i uchwycił się jej mocno palcami, opierając jednocześnie czoło na twardym kryształ panela.

Pod statkiem zauważył jakąś planetę. Znajdował się zbyt blisko, żeby uniknąć katastrofy. Widział wyraźnie drogi zbiegające się jak szprychy koła w miejscu centralnym, leżącym na wprost jego oczu. Statek znalazł się w odległości mniejszej niż najbliższa orbita i szybko spadał. Zapewne zostało mu już tylko parę minut do rozbicia. Gdyby nie fale przerażenia, które nadal go nawiedzały, Decker z pewnością usłyszałby charakterystyczny świst powstały w wyniku przecinania atmosfery z ogromną szybkością.

Jego ciało starało się zapaść, usnąć, tak jak opadły liść usycha

przed zimną w trawie. Mocniej wpił się dłońmi w metalowy panel, chociaż nie było tam nic, czego mógłby się dobrze uchwycić. Mimo to bezrozumnie drapał paznokciami po gołym metalu, usiłując wbić weń palce. Spoglądając na zewnątrz widział teraz wyraźnie centrum, do którego zbiegały się wszystkie drogi. Była to wysoka, kamienna piramida górująca nad otaczającym ją płaskim krajobrazem. Drogi, które widział, nie kończyły się u stóp budowli, ale biegły pod górę spotykając się na samym jej szczycie.

Przez chwilę przyglądał się szczytowi piramidy, na którym dostrzegł grupę ostrych, wysokich struktur zdających się wyciągać ku niemu w oczekiwaniu, aż się na nie nadzieje. Kiedy je obserwował, instynktownie wiedział już, jakie było źródło przestרחu. Z jego gardła wydobył się krzyk. Na uginających się nogach odszedł parę kroków od panela. Przez chwilę się wahał. Potem nagle lata doświadczenia podświadomie wzięły górę i ruszył w kierunku pulpitu sterowniczego. Odbezpieczył z zapięć czarną skrzynkę, wziął ją pod pachę i wybiegł z pomieszczenia.

Przypomniał sobie, że słyszał tylko dwa głuchoe uderzenia. Jeśli miał rację, to pozostała jeszcze jedna kapsuła ratunkowa. Zimny pot oblewał mu ciało na samą myśl, że mógł nie usłyszeć jednego uderzenia i nie zauważyć, że wszystkie kapsuły zostały wykorzystane.

Pamięć jednak nie zawiodła go. Użyto dwóch kapsół. Trzecia nadal tkwiła na swoim miejscu.



## ROZDZIAŁ 27

Mary usiłowała usiąść na łóżku.

— Wyrzucili mnie! — krzyczała. — Wyrzucili mnie z Nieba!

Wysilek okazał się nadaremny i kobieta opadła na poduszkę. W kącikach ust miała pianę. Szeroko otwarte oczy wydawały się nie zauważać niczego.

Pielęgniarka podała Tennysonowi strzykawkę. Wbił igłę w ramię Mary i powoli wstrzyknął jej lek. Później oddał strzykawkę pielęgniarce.

Mary podniosła rękę i zacisnęła kilkakrotnie dłoń w powietrzu, tak jakby starała się coś schwycić. Zaczęła coś mamrotać. Po chwili dało się odróżnić poszczególne słowa:

— Duży i czarny... Pogroził mi palcem...

Jej głowa ciężko opadła na poduszkę. Powieki przesłoniły oczy, w których widniało szaleństwo. Usiłowała jeszcze raz podnieść dłoń, by chwycić coś w powietrzu, lecz ręka opadła na prześcieradło, a palce się rozluźniły.

Tennyson spojrział na Ecuyera stojącego po drugiej stronie łóżka.

— Niech mi pan powie, co się stało. I jak to się stało.

— Wróciła w tym stanie z ostatniej wyprawy. Majaczyła w przestkach.

— Przytrafiało się to już wcześniej? Jakimś innym Słuchaczom?

— Czasami, chociaż raczej rzadko — odparł Ecuyer. — Prawdę mówiąc, bardzo rzadko. Bywa, że wracają przestraszeni z miejsca, które niezbyt przypadło im do gustu, ale jest to jedynie chwilowy, szybko mijający strach. Kiedy orientują się, że są na

miejscu i nic im nie zagraża, wszystko wracało do normy. W przypadkach ekstremalnych przeżycia, jakich doznali, mogą mieć wpływ na ich psychikę. Mogą powracać w snach. Efekt jest jednak zawsze krótkotrwały, po niedługim czasie ustępuje. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego jak w przypadku Mary.

— Za chwilę się uspokoi — Tennyson spojrział z troską na pacjentkę. — Lek, który jej podałem, ma dość silne działanie uspokajające. Powinien wystarczyć na kilka godzin. Kiedy się ocknie, będzie dosyć skołowana. To przez spowolnienie przekazu impulsów w ośrodkach nerwowych. Nawet jeśli nadal będzie pamiętać, to i tak nie powinno to mieć większego znaczenia. A później zobaczymy.

— Wciąż jej się wydaje, że znalazła Niebo — powiedział cicho Ecuyer. — Została stamtąd wyrzucona, ale nadal myśli, że to Niebo. Dlatego właśnie jest tak wzburzona. Rozumiesz, jakie to ma dla niej znaczenie. Znalazła Niebo, z którego jednak została usunięta.

— Powiedziała coś więcej? Zanim przyszedłem? Ecuyer zaprzeczył kręcąc głową.

— Parę szczegółów, to wszystko. Mówiła coś o mężczyźnie, czarnym i wielkim. Zrzucił ją ze schodów. Ze Złotych Schodów. Staczała się po nich na sam dół. Jest przekonana, że całe jej ciało pokrywają siniaki.

— Przecież nie ma nawet śladu po jakimkolwiek upadku.

— Oczywiście, że nie, ale tak właśnie myśli. Nie zapominaj, że doznanie było dla niej bardzo rzeczywiste, Jason. Najsilniej odczuła jego okrucieństwo i odrzucenie.

Nie oglądał pan jeszcze sześcianu?

Nie. I, prawdę mówiąc, nie mam na to szczególnej ochoty. Nawet jeśli zdaję sobie sprawę, co można tam znaleźć...

— Rozumiem...

— Martwi mnie tylko to, że Niebo, jego mieszkańcy albo w każdym razie to, co tam jest, odkryło nasze podglądanie. Obawiam się, że mogli śledzić Mary i odnaleźć nas. Powinniśmy byli...

— Chyba pan przesadza — przerwał mu Tennyson. — Wątpię, żeby mogli iść za nią. Nie mam też pojęcia, w jaki sposób mogli odkryć jej obecność. Przecież ona tak naprawdę tam nie była, w każdym razie nie jako byt materialny.

— O Boże, już zupełnie nie wiem, co robić — westchnął Ecuyer. — Nie powinniśmy byli pozwolić jej na tę podróż. Trzeba było się zastanowić nad niebezpieczeństwem.

— Wątpię, żeby mogli ją wykryć. Żeby mogli wykryć wasz projekt — powtórzył Tennyson.

— Ten czarny mężczyzna, ten jej diabeł gonił ją po schodach.

— A więc dobrze — zdenerwował się Tennyson — założmy, że istotnie ją gonił. Chociaż nie wydaje mi się, żeby miał co gonić. Mówię panu, że przecież Mary tam nie było. Przypuśćmy, że w jakiś dziwny sposób wykryli]Q i ten mężczyzna rzeczywiście ją gonił. Nie może pan obwiniać siebie. Nie miał pan szans, żeby to przewidzieć.

— Prawie nigdy w światach, do których kierują się nasi Słuchacze, nie ma żadnej bezpośredniej reakcji na ich obecność — rzekł Ecuyer. — Zazwyczaj nasi ludzie są jedynie obserwatorami. Kiedy próbują być kimś więcej niż tylko obserwatorami, stają się częścią tego innego świata. W jakiś sposób rodzi się w nich poczucie przywiązania do nowego świata, coś programuje ich umysł tak, że czują się jego częścią. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale co ja mogę o tym wiedzieć. Nie mam zielonego pojęcia, co robią Słuchacze, kiedy dotrą w

jakieś miejsce albo jak sobie radzą w różnych sytuacjach. Nie mogę do tego dojść, a oni nie mogą mi pomóc. Twierdzą, że tego nie da się wytłumaczyć. W każdym jednak razie to, co zdarzyło się Mary, nie przydarzyło się jeszcze nikomu. Kiedy nasi ludzie za bardzo angażują się emocjonalnie, kiedy wczuwają się w fizyczne aspekty danego miejsca, stają się zupełnie innymi istotami. Ale Mary zaangażowała się jako Mary. Rzeczywiście była w Niebie i spotkała tego człowieka, który gonił ją po schodach...

— Tak tylko mówi.

— Coś ci powiem — Ecuyer zmarszczył brwi. — Tego akurat jestem pewien. To wszystko prawda. Zobaczysz, że sześcian potwierdzi moje słowa.

— Z pewnością — odparł ze zjadliwym uśmiechem Tennyson. — Jeśli ona w to wierzy, na pewno na kostce znajdzie się taki zapis. Przecież to właśnie rejestruje się na nich, prawda? Nie wydarzenia rzeczywiste, ale odczucia Słuchacza. Jednak nawet gdyby kostka pokazała to, co rzeczywiście się stało, nawet jeśli ta istota goniła ją po schodach, skąd może pan wiedzieć, że uda im się odnaleźć Mary w naszym świecie?

— Nie powiedziałem, że jestem tego pewien — odparł Ecuyer. — Mówiłem tylko, że istnieje takie prawdopodobieństwo. Istnieje możliwość, że, jak to się mówi, wydała nas. Nasi Słuchacze nigdy nie wiedzą, co przydarzy im się podczas kolejnej podróży. Człowiek,

— którego spotkała, może nie być istotą, jaką widziała. Ryc może być czymś zupełnie nieznanym, a jej ludzki umysł dokonał translacji jego istnienia do wymiarów zbliżonych człowiekowi, w byt, którego istnienie, niezależnie od tego jak potwornie wyglądał, mogło zostać przez nią zaakceptowane i zrozumiane.

Mary jest doświadczonym obserwatorem, jednym z naszych najcenniejszych pracowników. Jestem pewien, że wie dokładnie, co widziała, a jednocześnie daję głowę, że jeśli spotkała formę życia zbyt przerażającą, aby mogła na nią patrzeć, starała się podświadomie obronić przed nią właśnie poprzez translację.

— Nie rozumiem pańskich obaw — pokręcił głową Tennyson.  
— Roboty watykańskie też potrafią podróżować w swoich statkach napędzanych myślą, czy jak je tam nazywacie, do miejsc odkrytych przez pańskich ludzi.

— To prawda, ale istnieje pewna różnica. Roboty nie podróżują na chybił-trafił. Wiedzą dobrze, w co się pakują. Cel ich wędrówki jest zawsze starannie sprecyzowany.

Mary leżała spokojnie, najwyraźniej lek przyniósł jej ukojenie.

— Już wszystko w porządku — powiedział Tennyson patrząc na nią. — Najgorsze minęło. Kiedy się obudzi, będzie jeszcze coś pamiętała, ale szczególnie mocne doznania zostaną stępione. Jedyne, czego jej w tej chwili potrzeba, to odpoczynek. Byłoby lepiej, gdybyście później wysyłali ją do innych miejsc. Mam nadzieję, że to możliwe? Nie możemy ryzykować pozwalając jej dotrzeć do Nieba jeszcze raz. Jeśli nie będziemy mieć pewności, że już tam nie zawędruje, najlepiej całkowicie odsunąć ją od programu. Jednak obawiam się, że w takim przypadku będzie przez cały czas rozmyślać o swoich ostatnich przygodach. Dlatego wolałbym, żeby zajęła się podróżami w inne miejsca. Dzięki temu ostatnie wspomnienia zatrą się w jej pamięci. A wątpię, żeby jeszcze kiedyś trafiła na coś równie mrozącego krew w żyłach jak Niebo.

— Nie wiem — Ecuyer potarł ręką czoło. — Kiedy się ocknie i przyjdzie jako tako do siebie, będziemy musieli się wspólnie nad tym zastanowić.

Tennyson zrobił ruch w kierunku drzwi.

— Czekają na mnie pacjenci. Wpadnę jeszcze później — rzucił na odchodnym.

Pacjentów było zaledwie kilku. Kiedy skończył obchód, nie od razu wrócił do Mary. Wiedział, że prawdopodobnie nadal śpi po śrdkach uspokajających, a jeśli działałoby się coś złego, pielęgniarka z pewnością sprowadziłaby go na miejsce.

Było wczesne popołudnie, a dzień zapowiadał się świetnie. Ciemnoniebieskie góry kontrastowały z jasnobłękitnym niebem. Patrząc na nie Tennyson wiedział dobrze, że tam właśnie chciałby się znaleźć po to, aby w ciszy i spokoju móc bez przeszkód przemyśleć niedawne wydarzenia. W ciągu ostatnich kilku dni, a nawet kilku godzin wydarzyło się tak wiele, że musiał to sobie wszystko spokojnie poukładać. Góry wydały mu się idealnym miejscem na ten cel.

Ogród był opustoszały. Zazwyczaj spotykał tu mnichów z wolna przemierzających alejki, ale tym razem nikt nie pojawiał się w zasięgu wzroku. Tennyson skierował swoje kroki ku ławce stojącej obok krzewu różanego. Tylko jedna róża kwitła. Miała bładożółty kolor i od razu było widać, że już dawno minął okres jej największej urody. Opadające z kwiatu płatki porywał wiatr.

Siedząc na ławce ponownie spojrzął w kierunku gór. To dziwne, że tak bardzo go pociągały. Postanowił że pewnego dnia skorzysta z oferty Deckera i wypuści się z nim na zwiedzanie gór. Obawiał się jednak, że parodniowa wycieczka, taka jaką proponował Decker, nie pozwoli im dojść nigdzie daleko. Być może dotrą jedynie do najbliższego większego wzgórza.

Przypomniał sobie, że wkrótce będzie musiał spotkać się ze swoim nowym przyjacielem i porozmawiać o Szeptaczu. Szeptacz, pomyślał, co za głupie imię! A poza tym, kim tak

naprawdę był Szeptacz? Istotą, która mogła przedostać się do czyjegoś umysłu? Która mogła zespolić się z innym człowiekiem? „Jestem wewnątrz i mogę stać się częścią ciebie”. Chyba tak to ujął? A może to tylko wytwór jego wyobraźni?

Starał się zapomnieć o całej sprawie, gdyż nawet myślenie o niej niepokoiło go. Dowie się więcej, gdy porozmawia z Deckerem, więc nie ma sensu głowić się nad tym akurat teraz. Był pewien, że Decker posiada odpowiednie informacje o Szeptaczu.

Gdzieś niedaleko na ścieżce dał się słyszeć odgłos kroków. Tennyson odwrócił głowę. Tuż obok niego stał ogrodnik.

— Ach, to ty — rzekł Tennyson z uśmiechem.

— A któż inny miałby to być? — spytał robot. — Kto bywa tu częściej? Tu jest moje miejsce.

— Nie denerwuj się. Nie mam nic przeciwko twojej obecności. Chodzi tylko o to, że za każdym razem, kiedy tu przychodzę, wpadam na ciebie.

— Ogród jest dość mały — odparł ogrodnik, nie wyjaśniając jednak, o co mu chodzi.

— Kiedy znowu zakwitną róże? — spytał Tennyson. — Została już tylko jedna.

— Ale jaka piękna. Prawda?

— Tak, piękna.

— Dowiedziałem się z przykrością, że Mary znów jest chora.

— Niestety, to prawda.

— Słyszałem też, że znowu była w Niebie.

— Tego nie wiem — odpowiedział Tennyson łgając jak pies. — Wiem tylko, że jest chora.

Ogrodnik nie miał tu przecież nic do gadania.

## ROZDZIAŁ 28

Kiedy roboty przyleciały z Ziemi, przywiozły ze sobą myszy. Może nie uczyniły tego celowo, ale fakt pozostaje faktem. Myszy również dotarły na Koniec Wszechświata.

Pracując do późna w nocy Jill zobaczyła jedną z nich. Od czasu do czasu widywała też inne, ale ta pierwsza stała się dla niej kimś w rodzaju przyjaciela. Przychodziła odwiedzić Jill w długie, samotne godziny przyglądając się jej zza stosu taśm lub sześcianów. Nastawiała swoje miękkie okrągłe uszka, żeby usłyszeć choćby najmniejszy szmer oznaczający niebezpieczeństwo. Jej malutki różowy nosek wiercił się niecierpliwie w poszukiwaniu wszelkich obcych zapachów. Kiedy miała już pewność, że wszystko jest w porządku, powoli i ostrożnie wychodziła na otwarty teren, żeby dzielić się z Jill wieczornym posiłkiem. Podnosiła w swoich małych, przednich łapkach okruszynę chleba i siedząc z wysuniętym do przodu okazałym brzuszkiem niespokojnie jadła. Cały czas jednak przyglądała się dziennikarce swoimi świecącymi rubinowymi oczkami.

Jill przemawiała do myszki spokojnym głosem, nazywając ją małą uciekinierką z Ziemi. Czasami, kiedy myszka nie była zbyt zajęta spożywaniem pokarmu, Popiskując odpowiadała, że też ją lubi.

Na początku Jill obawiała się, że siejące spustoszenie myszy mogą zagrozić istnieniu biblioteki. Potem zdała sobie jednak sprawę, że przecież nie była to zwyczajna biblioteka. Cenne książki ze Starej Ziemi przechowywano tu w szklanych komodach, tak jak zresztą wszystkie inne dokumenty. Taśmy i



sześciiany schowane były w stalowych szafkach. Nawet zapasy papieru trzymano w metalowych pojemnikach. Niewiele było tu rzeczy, które mogłyby dostać się do pyszczka myszy.

Myszy też nie było dużo. Najwyżej kilkanaście, i starały się one trzymać na uboczu w przeciwieństwie do jej przyjaciółki, która regularnie pojawiała się na kolacji. Zresztą i ona opuszczała Jill, gdy tylko skończyła ucztę. To właśnie ją dziwiło. Myszka nie błądziła po okolicy, nie kręciła się po pomieszczeniu, lecz od razu umykała do swojej kryjówki. Zjadała okruchy chleba i sera, po czym zniknęła. Jill nie udało się ani razu wyśledzić, dokąd idzie jej przyjaciółka. Na początku nie zwracała na to uwagi. Nie obchodziło jej specjalnie, dokąd i którędy ucieka zwierzątko. Z czasem jednak podświadomie, z jakichś nieznanych powodów zaczęła się zastanawiać, gdzie też przepada jej przyjaciółka. Bywało, że strasznie się na siebie denerwowała, że marnuje czas myśląc o takich głupotach. Co za różnica? Co jej da wytropienie szlaku zwierzątka?

W takich chwilach robiła wszystko, żeby przestać zaprzętać sobie umysł takimi błahostkami. Tym niemniej od czasu do czasu znów zdarzało jej się rozmyślać nad tą kwestią. Wreszcie pewnej nocy, zupełnie przypadkiem zauważyła, dokąd ucieka jej mała przyjaciółka. Pobiegnęła wprost przez środek podłogi, między biurkiem i wyłożoną boazerią ścianą i zniknęła. Biegła po idealnie prostej linii, z podniesionym sztywno ogonkiem, jakby poruszała się po dobrze ubitej i dobrze widocznej drodze (choć nie było tam żadnej drogi, niczego, co wyróżniałoby ten szlak od innych miejsc na podłodze). Poruszała się bardzo szybko, nie zwalniając ani na chwilkę, a kiedy dotarła do ściany, nie zatrzymała się, lecz przeszła wprost przez nią.

Zaskoczona Jill wstała od biurka i nie odrywając oczu od

miejsca, gdzie znikło zwierzątko, przeszła przez cały pokój, dochodząc do ściany. Uklękła na kolanach i dotknęła jej. Żadnej dziurki. Boazeria zakrywała całą ścianę, aż do podłogi. Jill przesunęła dłoń po kawałku boazerii dotykającym podłogi. W pewnym momencie jeden z jej palców odnalazł szczelinę szeroką na jakieś dwa centymetry, dzięki której myszka mogła wymknąć się z pokoju, jeśli tylko wiedziała, gdzie jest wyjście, i mogła wystarczająco się spłaszczyć.

— Mała diablica! — powiedziała głośno Jill.

Szczelina miała długość kilkunastu centymetrów, gdyż po obu stronach kolejne listwy boazerii były już szczelnie przytwierdzone do ziemi. Prawdopodobnie w tym miejscu podłoga zapadła się lekko odrywając od drewnianego pokrycia ściany. Jill włożyła palce w otwór i zgięła je sprawdzając grubość ściany. Dziwne, pomyślała. Kiedy przesunęła dłoń po podłodze w pobliżu szczeliny, nie wyczuła żadnego zagłębienia w podłodze. W takim razie w jaki sposób powstała mysia norka?

Ponownie włożyła palce w szczelinę, zgięła je i pociągnęła. Po paru trzaśnięciach, skrzypiąc otworzyły się ukryte drzwi. Był to rodzaj szafki ściennej. Na wieszaku wisiał wyblakły fioletowy habit kardynalski. Na dole stała para sandałów. Obok nich znajdował się kosz na śmieci. To wszystko. Habit, sandały i kosz na śmieci. W powietrzu unosił się fetor mysich odchodów.

Jill weszła do schowka, wyniosła kosz i zamknęła drzwi. Wróciła do biurka i sprawdziła zawartość pojemnika. Wypełniony był zmiętymi kawałkami papieru. Na samym dnie znajdowało się ogromne mysie legowisko zbudowane z małych kawałków przeżutego papieru. Legowisko używane prawdopodobnie przez wiele pokoleń myszy. Po wyciągnięciu nadających się jeszcze do odczytania kartek i ułożeniu ich w

małą stertę na biurku, zaczęła nerwowo przerzucać kolejne kawałki papieru.

Rozczarowała się. Kilka kartek zawierało jedynie jakieś obliczenia matematyczne, które nie wydawały się jej zbyt interesujące. Oprócz tego znalazła również spis zadań do wykonania. Większość pozycji była poprzekreślana, co prawdopodobnie miało oznaczać, że zostały już zakończone. Na paru kartkach zanotowano w pośpiechu coś, czego Jill nie była w stanie odczytać. Jeden świstek okazał się być początkiem listu. Na zachowanym skrawku brak było daty i widniały na nim zaledwie dwie linijki:

Wasza Eminencjo. Przez ostatnich kilka dni rozmyślałem nad sprawą, którą omawialiśmy w ogrodzie. W końcu podjąłem decyzję...

Tak kończyła się wiadomość. Najwyraźniej w tym momencie kartka została zmięta i wyrzucona do śmietnika. Kolejny kawałek zatytułowany był Uwagi do rozważenia przez Jego Świątobliwość, jednak oprócz tytułu nie napisano na nim już nic więcej. Obok Jill znalazła tajemniczą listę: 500 worków mąki, 30 sągów dobrego, twardego drewna nadającego się do długiego podtrzymywania płomienia, 75 kg najlepszych ziemniaków, 7 ton miodu. Na pozostałych skrawkach papieru znajdowały się również jakieś intrygujące zapiski, które zapewne stanowiłyby źródło ciekawych informacji, gdyby ktoś miał czas na ich odszyfrowywanie oraz znał okoliczności, w jakich zostały sporządzone.

Pomimo że Jill nie znalazła żadnych ciekawych informacji, ułożyła wszystkie znalezione kartki jedna drugiej na stole i przesuwała po nich dłonią wygładzając ich pogięte krawędzie. Postanowiła sobie, że pewnego dnia przysiadzie nad nimi z

większą determinacją. Być może znajdowała się tu ukryta wskazówka stanowiąca istotną pomoc w zrozumieniu Watykanu.

Nagle, jakby rażona piorunem spojrzała na stos kartek. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie swoje zaangażowanie w pracę, której się podjęła. Zaangażowanie, które sprawiło, że wybiera ze śmietnika wyrzucone przez kogoś i zupełnie bezwartościowe kawałki papieru i składa je jak największą relikwię. Nie tak to sobie planowała. Nie takie miało być jej podejście do sprawy. Próbowwała jeszcze usprawiedliwić się przed sobą mówiąc, że jest to jedynie mała przerwa w pracy, pretekst do krótkiego odpoczynku, wiedziała jednak że to nieprawda. A przecież Jason uprzedzał ją: „Wciągnie cię. Zobaczysz, tak cię zaabsorbują prace, że nie zdołają cię nawet odciągnąć końmi”. Teraz Jill zdała sobie sprawę, że obydwie tkwią w tym po uszy. Tak samo ona, jak on, chociaż Jason nigdy nie ukrywał, że chce tutaj zostać, przynajmniej na razie. To ona cały czas twierdziła, że wyjedzie, jeśli nie pozwolą jej napisać reportażu, po który przyjechała. Ciekawe, czy gdybym miała teraz szansę opuścić Koniec Wszechświata zdobyłabym się na to? — pytała samą siebie. Nie umiała jednak udzielić sobie jednoznacznej odpowiedzi.

Przerzuciła jeszcze parę wyciągniętych z kosza kartek. Już prawie na samym końcu stosu odnalazła kilka spiętych razem stron zapisanych niechlujnym charakterem pisma, co utrudniało jej odczytanie poszczególnych wyrazów:

Ja, kardynał Enoch, piszę tę poufną notatkę wiedząc, że nie może ona być dołączona do oficjalnych akt, ponieważ wydarzenie, które chcę opisać, z pewnych powodów nie zostało w nich uwzględnione. Piszę tę notatkę jako ostrzeżenie dla samego siebie, głównie dla samego siebie, jak również dla

innych, którzy być może przeczytają ją kiedyś, chociaż w tej chwili nie chcę, aby ktokolwiek inny dowiedział się o tym. Nie piszę tego z obawy przed zapomnieniem (bo już od wielu wieków niczego nie zapomniałem), ale dlatego, że chciałbym przelać na papier moje spostrzeżenia dotyczące tej sprawy i uczucia (o ile mam jakieś uczucia) oraz strach (a może właśnie szczególnie strach i lęk), zanim czas zmieni już moje doznania.

Chciałbym to wydarzenie nazwać „drobnym incydem”, bo uważam, że nie było to nic bardziej znaczącego, chociaż zdecydowanie ważniejsze będą jego następstwa. Przez dłuższy czas czuliśmy się bezpiecznie w naszym małym, odizolowanym światku położonym na samym krańcu galaktyki, w regionie posiadającym zaledwie kilka gwiazd i to w dodatku tak nieatrakcyjnych, że nikt na nie nie zwraca uwagi. Ale teraz, po ostatnich wydarzeniach nie jestem już taki pewien naszego bezpieczeństwa. Żaden z moich kolegów nie dał mi do zrozumienia, że dręczą go podobne obawy, a ja z kolei nie chciałem dać po sobie poznać, co o tym myślę.

Z tego właśnie powodu — ponieważ nie chcę wtajemniczać nikogo w moje przemyślenia (właściwie nie wiem, dlaczego) oraz z obawy, że po pewnym czasie mógłbym podświadomie zacząć lekceważyć mój lęk (który uważam za nie pozbawiony podstaw) — piszę tę notatkę, aby przypomnieć, że sprawa ta jest poważna i jestem przekonany, iż moje obawy są uzasadnione i logiczne oraz muszą być rozważone z punktu widzenia naszej przyszłości.

Wczoraj ZŁOŻONO NAM WIZYTE. Goście niepodobni byli do żadnej z istot, jakie spotykali nasi Słuchacze. Jestem pewien, że wielu nie zauważyło nawet przybycia tych stworzeń, ponieważ wydawało im się, że widzą jedynie bańki mydlane. Tym niemniej udało mi się dostrzec parę razy istoty znajdujące się w środku

baniek i wiem, że był to jedynie ich środek transportu. I kiedy przyglądałem się dziwnemu pojazdowi, na kilka sekund stanąłem twarzą w twarz z istotą wyglądającą z bańki. Twarz, bo jestem pewien, że była to twarz, chociaż niepodobna do twarzy robota ani człowieka, była czymś w rodzaju unoszącego się obłoczka dymu. Wiem jednak, że była to twarz. Twarz zmienna, podobna do kawałka plasteliny, który można kształtować na różne sposoby. Nigdy nie zapomnę wyrazu tej twarzy, gdy przyglądała mi się z odległości zaledwie paru metrów. Zauważyłem na niej uśmiech pełen zadowolenia i pogardy, coś jakby Bóg spoglądał na chlew ze świniami. Widząc to bezgraniczne lekceważenie cały wewnątrz zadrżałem. Stałem się małym, strachliwym robaczkiem uzalającym się nad samym sobą i swoimi kolegami, nurzającym się w plugastwie swego upodlonego towarzystwa, czującym, że wszystko, co robiłem i robię, nie jest nic warte.

Baniek było kilkanaście, ale nikt nie próbował ich nawet liczyć. Pojawiły się równie nagle, jak znikły, nie zagrzewając u nas miejsca. Widzieliśmy je nie dłużej niż przez dziesięć minut, powiedziałbym nawet, że znacznie krócej. Zaledwie zorientowałem się, że wyjrzały z nicości, już ich nie było.

Goście poświęcili nam niewiele czasu, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że nie mają go zbyt wiele, by tracić go tutaj. Zapewne zresztą nie trzeba im było więcej czasu. Dam głowę, że dostrzegli znacznie więcej, niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Rzucili na nas okiem z rozbawieniem, wiedząc, kim jesteśmy i co robimy, po czym prawdopodobnie wykreślili nas ze swojej listy zainteresowań, jako punkt bez większego znaczenia.

Być może nie są dla nas niebezpieczni, ale wiemy już (a przynajmniej ja wiem), że wiedzą o naszym istnieniu (nawet jeśli

się nami nie zamierzają interesować) i dlatego nie czuję się już bezpieczny. Sam fakt, że nasza obecność została dostrzeżona, rodzi różnorakie niebezpieczeństwa. Jeśli potrafili nas przypadkowo znaleźć i przejrzeć nasze plany (nawet jeśli zdecydowali, iż nie jesteśmy warci marnowania ich cennego czasu) mogą pojawić się inni (bo przecież na pewno są także inni), którzy równie łatwo nas wytropią.

Szukaliśmy bezpieczeństwa w oddaleniu od centrów cywilizacyjnych. Używaliśmy rozmaitych forteli. Tolerowaliśmy, a nawet zachęcaliśmy pielgrzymów do wizyt, nie tyle może z powodu pieniędzy, którymi nas obdarowywują, co raczej dlatego, że jeśli zostaniemy zauważeni, obecność pielgrzymów uczyni z nas jeden z wielu niewartych uwagi, podrzędnych kultów. Ale mogliśmy się przeliczyć w naszych kalkulacjach, a w takim wypadku...”

Tutaj tekst urywał się. Jill próbowała wygładzić pomięte kartki. Później delikatnie złożyła je na czworo i schowała do kieszeni. Nigdy wcześniej nie wychodziła biblioteki z żadnymi dokumentami, ale tym razem zamierzała tak właśnie postąpić.

Kardynał Enoch Theodosius, ten uparty, stary robot. Jak on to mógł napisać? — pomyślała. Wewnątrz tej metalowej czaszki mieścił się najwyraźniej o wiele bardziej bystry i obdarzony wyobraźnią umysł, niż jej się wydawało.

## ROZDZIAŁ 29

Decker okopywał właśnie motyką grządki w ogrodzie. Tennyson zauważył, że działka utrzymana jest czysto i porządnie. Warzywa rosły w równych rzędach, a na całym poletku nie widać było ani jednego chwasta. Decker powolnymi ruchami wbijał motykę.

Tennyson podszedł do skraju ogródka i zaczekał. Po chwili Decker spostrzegł go, zarzucił motykę na ramię i podszedł do przyjaciela.

— Nie stójmy na słońcu — powiedział do Tennysona. — Można się usmażyć.

Podeszli do dwóch krzeseł stojących w cieniu obok wielkiego drewnianego stołu, na którym stało wiadro.

Decker zdjął wiadro ze stołu.

— Woda — wyjaśnił. — Ciepła, ale przynajmniej mokra.

Podał wiadro Tennysonowi, który jednak odmówił.

— Ty pierwszy. Cały czas pracowałeś.

Decker podziękował kiwnięciem głowy, uniósł wiadro i napił się z niego. Następnie podał naczynie Tennysonowi. Woda była letnia, ale, jak słusznie zauważył Decker, mokra. Tennyson odstawił wiadro na stół i usiadł naprzeciw Deckera.

— Kiedy pracuję w ogrodzie, zawsze trzymam tu wiadro z wodą — rzekł Decker. — Nie chce mi się chodzić do domu za każdym razem, kiedy mam ochotę się napić.

Nie przeszkadam ci? — zapytał Jason. — Jeżeli masz drugą motykę, to mogę ci pomóc. Niezły jestem w te klocki.

Nie, w porządku. Dzięki tobie mam dobrą wymówkę, żeby chwilę odpocząć. Właśnie odchwaszczałem ogród, chociaż,



prawdę mówiąc, roboty nie było zbyt wiele.

— Chciałem ci o czymś opowiedzieć — rzekł Tennyson. — Nie wiem właściwie, czy jesteśmy przyjaciółmi. Tak mi się wydaje, ale to chyba zależy od definicji przyjaźni.

— Załóżmy, że jesteśmy przyjaciółmi i kontynuuj. Zaczyna się ciekawie.

— Chcę pogadać o Szeptaczu.

— Aha... To znaczy, że rozmawiał z tobą?

— Tak. Domyślałeś się?

— Byłem tego prawie pewien. Zachwycił się tobą ostatnio. Wiedziałem więc, że będzie się starał cię upolować.

— Upolować to za mało powiedziane. On... cholera, jak by ci to powiedzieć... przeniknął do mojego mózgu, stał się częścią mnie. Tak przynajmniej mówił. Nie wiem, czy to prawda. Zresztą nie rozmawialiśmy długo.

— Wyrzuciłeś go?

— Nie. Powiedział, że odejdzie sam, jeśli wyrażę takie życzenie. Był bardzo uprzejmy.

— I co się stało?

— Akurat w tym momencie przyszedł Ecuyer. Mary wróciła z Nieba w dość kiepskim stanie i musiałem iść ją obejrzeć.

— W kiepskim stanie?

— Nie wiemy jeszcze, co dokładnie się stało.

— W każdym razie nieźle ją wystraszyli. Nie doszła jeszcze do siebie.

— W takim razie to chyba nie było Niebo. Tennyson wzruszył ramionami.

— Nie wiadomo. Nic z tego na razie nie możemy zrozumieć. Ale wracając do Szeptacza. Powiedziałem mu, że należy do ciebie i nie mam zamiaru ci go odbierać.

— Nie jestem wcale taki pewien, czy należy do mnie. Raczej wątpię. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi. To zresztą niezła historia. Na początku, przez długie lata wciąż mnie nachodził i nie dawał spokoju. Zabawiał się moim kosztem. Odnajdywał mnie i zastawiał na mnie pułapki, kiedy wychodziłem w góry. Sprawdzał mnie. Chciał, żebym na niego polował. Mówił do mnie nie na głos, lecz poprzez umieszczanie informacji w moim mózgu. Wiesz już chyba, o co mi chodzi.

— Tak. Ze mną rozmawiał tak samo.

— Myślałem, że jest jakąś wielką krwiożerczą bestią. Wygłodniałym łowcą ludzi z pochrzanionym poczuciem humoru. Parę razy miałem go na muszce, ale nigdy nie odważyłem się pociągnąć za spust. Właściwie nie wiem dlaczego. Chyba zdążyłem go już polubić. Chociaż bywały momenty, w których bez cienia wahania wpakowałbym mu kulkę tylko po to, żeby się go pozbyć i mieć wreszcie święty spokój. Ale kiedy przychodziło co do czego, nie mogłem się na to zdobyć. Szeptacz powiedział mi później, że robił to wszystko, aby sprawdzić, czy może mi zaufać jako przyjacielowi. Właśnie to, że nigdy nie pociągnąłem za spust, przekonało go ostatecznie, bo nareszcie ujawnił się i zamiast krwiożerczej bestii zobaczyłem znany ci obłoczek diamentowego pyłu.

— I jesteście przyjaciółmi?

— Tak. Widziałeś statuetki stojące na moim stole?

— Uhm.

— Szeptacz je rzeźbi. Nie wiem, jak on to robi. Mam wrażenie, że potrafi zmieniać konfigurację cząsteczek różnych substancji, umie je rozbijać i przemieszczać zgodnie ze swoim upodobaniem. Ale może się mylę. W każdym razie tak właśnie staram się wytłumaczyć sobie to, co widzę. Poza tym pomaga mi

w znajdowaniu kamieni, nie mam zielonego pojęcia, jak mu się udaje wygniuchać najpiękniejsze okazy. Kiedy już zbierzemy kamienie, mówi mi tylko, nad którymi chciałby popracować.

— Możesz z nim przecież porozmawiać. Dlaczego nigdy go nie spytałeś, w jaki sposób robi to wszystko?

— Wątpię, by mi powiedział. Nasze rozmowy nie są aż tak szczerze. Czasami mam dziwne wrażenie, że coś usiłuje sterować moim mózgiem. Po tym, co powiedziałaś, wiem już, co to takiego. Próbował dostać się do mojego umysłu, ale najwyraźniej mu się nie udało.

— Chyba masz rację — potaknął Tennyson. — Zresztą przypominam sobie teraz, jak mówił mi, że starał się to zrobić.

— Ale udało mu się z tobą.

— Nie jestem pewien. Powiedział, że przeniknął do mojego mózgu, ale ja nie dałbym za to głowy. Zresztą nawet jeśli mu się to udało, na pewno nie siedział tam zbyt długo. Parę minut później przyszedł Ecuyer. Nie wiem, czy chcę, żeby Szeptacz kombinował coś w moim umyśle. Chyba nie zmieści się tam nic więcej oprócz mojej osobowości.

— Nie masz się czego obawiać — uspokoił go Decker. — Jest łagodny jak baranek. Jedyne, czego potrzebuje, to przyjaźń. Ma fioła na punkcie samotności. Dlatego właśnie przykleił się do mnie. Jestem... a właściwie dotąd byłem wszystkim, co posiadał. To dziwne, że uważam go za przyjaciela. Jak człowiek może przyjaźnić się z chmurką kurzu. Jest mi zupełnie obcy, ale właściwie nie przeszkadza mi to. Nie wiem, kim jest... Tennyson wszedł mu w słowo:

— O to właśnie chciałem cię zapytać. Znacie się tak długo. Miałem nadzieję, że wiesz...

— Nigdy go o to nie pytałem. Wydawało mi się, że to nie moja

sprawa. A on sam jakoś nie kwapił się do rozwiewania moich wątpliwości. Raz był już chyba blisko tego, ale porzucił temat. Może to zbyt skomplikowane. Wiele razy się nad tym zastanawiałem, ale wątpię, żeby moje przemyślenia były coś warte.

— I nie będziesz miał nic przeciw temu, bym pozwolił mu przeniknąć do mego umysłu? Bo jeśli tak, to powiedz. Na pewno mnie posłucha i będzie się trzymał z daleka.

— Nie żartuj — uśmiechnął się Decker. — Jeśli tego chcesz i nie boisz się, myślę, że powinieneś spróbować. Może kiedy znajdzie się w twoim umyśle, powie ci rzeczy, o których obydwaj powinniśmy wiedzieć. Jest tu przecież o wiele dłużej od nas. Pewnie dłużej nawet niż Watykan. Może dzięki niemu uda nam się zrozumieć, co się tam tak naprawdę dzieje. Założę się, że wie coś o tym. Odkąd pamiętam, zawsze kręcił się w tamtych stronach, chociaż wydaje mi się, że dużo nie znalazł.

Decker wstał z krzesła.

— Napijesz się ze mną, jeśli znajdę butelkę?

— Pewnie.

— To poczekaj chwilę. Skoczę do chałupy poszukać. Za ładna pogoda, żeby siedzieć w domu.

— Uhm — potwierdził Tennyson.

Tennyson siedział na swoim krześle, podziwiając malujący się przed nim widok. Na wprost niego znajdował się ogród i otaczający go mały lasek. Wysoko ponad nim widniał niebieski cień gór. Powietrze przepełnione było spokojem i ciszą. Gdzieś daleko łagodnie nogwizdywał ptak, a od czasu do czasu lekki wiaterek delikatnie szeleścił liśćmi. Na niebie nie było widać ani jednej chmurki.

Po lewej stronie Tennyson zauważył białoszare zabudowania

Watykanu. Widziane z tej odległości zabudowania zlewały się z tłem i nie można było odróżnić poszczególnych elementów. Całe miasteczko było niepozorne i zdawało się niemal przeproszać za swoje istnienie. Cicha instytucja w cichym świecie. Całkiem miła perspektywa. Gdzieś tam w tej chwili Jill pracowała w bibliotece. Tennyson próbował rozpoznać poszczególne budynki, żeby znaleźć bibliotekę, ale nie udało mu się to, więc po chwili zaprzestał poszukiwań. Z tej odległości wszystko wydawało się takie małe.

Od dawna uważał, że Jill pracuje zbyt ciężko. Spędzała za dużo czasu przeglądając archiwa. To zajęcie stało się już właściwie obsesją i Jill już nie wspominała o zamiarze opuszczenia Końca Wszechświata. Siedząc na krześle Tennyson jeszcze raz przywołał w wyobraźni jej twarz z tamtego wieczora, kiedy opowiadała mu o swoich znaleziskach, przypuszczeniach i nowych pomysłach. W tym samym czasie przypomniał sobie również szramę przecinającą połowę jej twarzy, szramę, której prawie już nie zauważał, ale która nadal istniała.

Był tak głęboko pogrążony w myślach o Jill, że kiedy nadszedł Decker z butelką i dwiema szklankami, Tennyson aż podskoczył na krześle.

— Wypijmy do końca — rzekł Decker. — To już resztki tej butelki, którą mi przyniosłeś, ale Charlie powinien przylecieć za dzień albo dwa.

— Nie musisz być uzależniony od Charliego — odparł Tennyson. — Załatwię ci parę butelek. Ecuyer ma spory zapas. Więcej niż obydwaj wypilibyśmy w ciągu roku.

— Decker chrząknął znacząco.

— Powiedziałem, że Charlie przylatuje za parę dni, a ty nawet nie drgnąłeś. Czyżbyś nie miał zamiaru stąd uciekać?

— Jeszcze nie — uśmiechnął się Tennyson. — Na Gutshot wciąż o mnie pamiętają. Ktoś pewnie nadal czeka tam na mnie z niecierpliwością. Zresztą nawet gdyby tak nie było, nie chcę stąd uciekać. W każdym razie jeszcze nie.

— A Jill?

— Ona też pewnie zostanie na jakiś czas. To spisywanie dziejów Watykanu zupełnie ją pochłonęło.

— Widzę, że obydwoje uczycie się tego, czego i ja się nauczyłem — westchnął Decker. — Koniec Wszechświata jest całkiem w porządku. Niezły klimat, żyzna ziemia. Nikt nie stara się nikogo wyzyskać. I to jest chyba najlepsze. Nikt nikogo nie wyzyskuje.

— To dlatego tutaj zostałeś?

— Częściowo. Drugim powodem jest to, że znajduję się dwa wieki później, niż powinienem. Kiedyś opowiem ci całą tę historię. Na pewno bardzo się zdziwisz. Żeby nie wchodzić w szczegóły, powiem ci tylko, że musiałem opuścić mój statek. Załoga uciekła zostawiając mnie samego, ale w panice przeoczyła jedną z kapsuł ratunkowych. Nie zostawili jej dla mnie, tego jestem pewien, po prostu w pośpiechu zapewne o niej zapomnieli. Skorzystałem z okazji i znalazłem się w nie znanej sobie, pustej przestrzeni. Po pewnym czasie kapsuła przywiozła mnie tutaj, węsząc planetę o odpowiednich dla mnie warunkach fizycznych. Niestety, okazało się, że skoczyłem w czasie o dwieście lat do przodu. Jestem anachronizmem, człowiekiem należącym do innej epoki. A nie mogę wrócić. Nie wiem, jak to zrobić. Na szczęście na Końcu Wszechświata moje opóźnienie nie ma znaczenia. Prawdę mówiąc, większość ludzi w miasteczku ma jeszcze większe opóźnienie. A roboty? Bóg jeden wie, jak daleko naprawdę posunęły się w samodoskonaleniu. Pod

wieloma jednak względami nie posunęły się ani o krok do przodu poza stan, w jakim znajdowały się tysiąc lat temu. Chociaż z innego punktu widzenia być może wyprzedzają epokę o milion lat. Zbierają przecież informacje z całej galaktyki, może nawet z całego wszechświata.

— Wiesz może, o co im chodzi?

— Nie mam pojęcia. Cokolwiek by to było, utrzymują wszystko w głębokiej tajemnicy.

— A mimo to boją się. Jill znalazła notatkę, którą spisał jeden z kardynałów. Nie ma na niej daty, więc nie można stwierdzić, kiedy została sporządzona. Opowiada w każdym razie o odwiedzinach obcych, którzy przybyli w pojazdach mających kształt baniek mydlanych. Prawdopodobnie byli tu na przeszpiegach, ale bardzo krótko, mniej niż godzinę. Mimo to kardynał ze strachu robił pod siebie.

— Rzeczywiście, istnieje nawet legenda dotycząca tej wizyty — zastanowił się Decker. — To musiało być wiele lat temu. Dzień Nadejścia Baniek. Historyjka posiada wszystkie cechy przypowieści ludowej, ale notatka wskazuje, że nie została tak zupełnie wymyślona.

— Ale dlaczego roboty były tak zdenerwowane z tego powodu? Obcy nie mieli przecież zamiaru nikogo skrzywdzić.

— Powinieneś wiedzieć — odparł Decker — że robot nigdy nie jest typem poszukującym przygód. Zawsze wybiera życie w spokoju i jest bardzo ostrożny. Nigdy nie ryzykuje. Na tym polega prawdziwa różnica między robotem i człowiekiem. Ludzie stawiają wszystko na jedną kartę, rzucają swoje życie na jedną szalę, zdają się na szczęście. Robot nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Być może wynika to z jego kompleksu niższości. Dużo mówi, czasami robi dużo zamieszania wokół siebie, ale tak

naprawdę nie potrafi być wielkim przewodnikiem. Woli raczej unikać wyzwań i nie należy do najodważniejszych. Dotychczas roboty watykańskie odnosiły same sukcesy. Nie miały okazji poznać prawdziwego strachu.



## ROZDZIAŁ 30

John, ogrodnik, zszedł po wielu kondygnacjach kamiennych schodów prowadzących do wnętrza watykańskiego wzgórza i nareszcie znalazł się w pomieszczeniach papieskich. Przeszedł długi korytarz i dotarł do małych drzwi. Ze schowka znajdującego się w korpusie wyjął klucz i otworzył nim drzwi, które, jak się okazało, prowadziły do malutkiego pokoiku, gdzie stało tylko jedno krzesło. Kiedy zamknął drzwi za sobą, zamek się zatrzasnął. Na ścianie naprzeciw krzesła w litym kamieniu pobłyskiwała wmurowana tam metalowa płyta.

Ogrodnik usiadł na krześle.

— Wasza Świątobliwość — powiedział niepewnie. — Przyszedł John, żeby złożyć raport.

Pokratkowana twarz wyłoniła się powoli na metalowym monitorze.

— Miło cię widzieć, John — odezwał się Papież. — Co cię sprowadza tym razem?

— Wasza Świątobliwość — odparł robot — przyszedłem opowiedzieć o ostatnich wydarzeniach. Mam nadzieję, że tym razem Wasza Świątobliwość z uwagą Wysłucha moich słów. Nie po to robię z siebie idiotę odgrywając głupkowatego ogrodnika rozmawiającego ze swoimi różami, żeby moje raporty wyrzucane były na śmietnik. Wypełniam zadania wyznaczone mi osobiście przez Waszą Świątobliwość. Zadania, których nie można powierzyć tym kretynom kardynałom. Szpieguję, słucham, co ludzie mówią, zbieram informacje i wzniecam plotki. Dlatego proszę przynajmniej o to, żeby Wasza Świątobliwość wysłuchał mnie.

— Zawsze słucham, John.

— Nie zawsze — odparł hardo robot.

— Ale tym razem na pewno z uwagą wysłucham tego, co masz mi do powiedzenia.

— Chodzą plotki, chociaż są to na razie tylko plotki, że Słuchaczka Mary powróciła do Nieba i została stamtąd wyrzucona.

— Ciekawe. Jeszcze o tym nie słyszałem — zdziwił się Papież.

— Oczywiście, że nie. Kardynałowie przecież nie powiedzą tego Waszej Świątobliwości. Będą owijać w bawełnę...

— Z czasem na pewno coś by się im wypsnęło.

— Z czasem, tak. Kiedy wszyscy by już o tym wiedzieli i przedyskutowali sprawę do cna, spoglądając na problem ze wszystkich stron i zastanawiając się, jak najlepiej przedstawić to Waszej Świątobliwości.

— Są dobrymi i wiernymi sługami. Robią to, co robią, jedynie z powodu wielkiej troski o mnie.

— Robią to po to, żeby wypaczyć właściwy sens i cel istnienia Waszej Świątobliwości — odrzekł z zacięciem w głosie ogrodnik.

— Kiedy założono Watykan, jego celem było znalezienie prawdziwej religii. W przeciwieństwie do ludzi żyjących na Ziemi, mieliśmy odwagę cywilną przyznać, że szukamy lepszej wiary od wszystkich tych, które znane były na Ziemi. Czy Wasza Świątobliwość nadal szuka prawdziwej religii?

— Chyba tak — odparł niepewnie Papież — chociaż nie jest to mój jedyny cel.

Tak właśnie myślałem: „Nie jest to mój jedyny cel” Pojawiło się zbyt wiele niepotrzebnych celów. Systemy technologiczne, trendy filozoficzne, które nie mają wiele wspólnego z naszym celem nadrzędnym...

Ależ, John. Filozofia ma wiele wspólnego z tym, co nazywasz naszym celem nadrzędnym. Ty, jak widzę, chciałbyś odrzucić wszystko, co nie jest szalonym, zapamiętałym poszukiwaniem wiary, którą, jak nam się kiedyś wydawało, jesteśmy w stanie odnaleźć.

— Wasza Świątobliwość już tak nie myśli? — spytał John.

— Pytasz mnie, czy nadal wierzę w logiczność i celowość poszukiwań? Odpowiedź brzmi oczywiście: tak. Tym niemniej to, co wydawało się proste tysiąc lat temu, teraz już takie nie jest. Nie jest to tylko kwestia wiary, znalezienia właściwego boga, jeśli w ogóle stwierdzimy, że potrzebujemy boga. Jest to raczej problem związany z rozwikłaniem wielu systemów życiowych i ewolucyjnych, które zostały stworzone przez istoty odnajdywane przez naszych Słuchaczy. Jedynie poprzez analizę tych systemów oraz myślenia istot pojawiających się w takich układach możemy znaleźć odpowiedzi, które doprowadzą nas do tego, co nazywasz prawdziwą religią.

— Wasza Świątobliwość nabija się ze mnie!

— Dobrze wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił, John. Zbyt długo już pracujemy razem. Tym niemniej widzę, że przez te wszystkie lata nasze poglądy zaczęły się znacznie od siebie różnić.

— To Wasza Świątobliwość się zmienił. Ja nadal jestem prostym robotem, który przybył tutaj z Ziemi. Mój punkt widzenia jest znacznie bliższy pierwotnym założeniom. Pomagałem przy tworzeniu planu prac i konstruowaniu Waszej Świątobliwości jako istoty wielkiej, mądrej i świętej: Proszę mi wybaczyć, ale Wasza Świątobliwość nie jest już tym samym kapłanem, którego skonstruowaliśmy.

Papież wydał odgłos podobny do zduszonego chichotu.

— Nie, oczywiście, że nie jestem. A powinienem? Myślałeś, że

kiedy mnie skonstruujecie, będę już zawsze bezrozumnie wypełniał swoje obowiązki? Że w świetle nowych faktów i przemyśleń będę nadal kontynuował pracę tak, jak to zaplanowałeś ty i twoi towarzysze ponad tysiąc lat temu? Masz rację, nie jestem już tylko robotem. Utraciłem większość ludzkich cech, jakie mi zaimplantowaliście. Stałem się, jakby to powiedzieć... „bardziej obcy”. Wprowadzono mi tyle obcych elementów, że rzeczywiście powoli zacząłem przeistaczać się pod pewnymi względami w obcą istotę. Ale tego przecież mogliście się spodziewać, prędzej czy później. Nawet ty, John. To naturalna kolej rzeczy. Musiałem stać się po części obcym, żeby być w stanie przetwarzać wszystkie koncepcje obcych, które ciągle we mnie w takich ilościach wpychacie. Zmieniłem się. Nie da się ukryć. Nie jestem już instrumentem w waszych rękach i dziwię się, że tego nie rozumiecie. Tysiące zebranych informacji czekają tylko na wtłoczenie w jakąś istotę, która będzie w stanie zrobić z nich jakiś użytek. A zapewniam cię, że nie jest to łatwe. Z mojego smutnego doświadczenia wynika, że tryliony małych kawałków układanki często zupełnie do siebie nie pasują, nawet jeśli wam się wydaje, że wszystko jest proste. Dlatego niektóre z nich muszę czasowo odkładać na półkę do momentu, gdy pojawi się jakiś nowy kawałek, który stworzy z innymi sensowną całość. Nie jest przecież tajemnicą, że zapycham się na wpół ułożonymi układankami. Niektóre z nich potrzebują już tylko kilku elementów, inne, a jest ich zdecydowana większość, mogą nigdy nie zostać ułożone w całość. To jest właśnie problem z wami, robotami. Chcecie odpowiedzi, a ja nie ich wam udzielić. Jak ci już powiedziałem, wszechświat nie jest taki prosty, jak wam się kiedyś wydawało. Jestem projektem długoterminowym, a wy oczekujecie szybkich rezultatów...

Wasza Świątobliwość, tysiąc lat to nie jest mało czasu — zauważył ogrodnik.

Papież ponownie zachichotał.

Z punktu widzenia moich zadań, jest. Jeśli dacie mi milion lat...

— Jestem pewien, że Wasza Świątobliwość będzie jeszcze pracować przez milion lat.

— ...wtedy być może osiągniemy twój cel — dokończył Papież.

— „Mój cel”? Wasza Świątobliwość mówi to tak, jakby to nie był jej cel?

— Nie, oczywiście że jest to również mój cel. Tym niemniej inne aspekty naszych poszukiwań również nie mogą być ignorowane. Nigdy nie wiadomo, w jakim kierunku pójdzie dany segment poszukiwań. Już wielokrotnie zmieniały one całkowicie swe zadania.

— Wasza Świątobliwość pozwala na to, aby Watykan błędził po bocznych ścieżkach i plątał się w badania nad innymi kierunkami poszukiwań. Kardynałowie chcą tylko władzy...

— Nie zaprzeczam — przerwał mu Papież — że niektórzy z moich kardynałów okazali się być jedynie bezmyślnymi maszynami. Nie mogę im jednak zarzucić zupełnego sprzeniewierzenia się naszym celom. Z punktu widzenia prowadzenia administracji niektórzy z nich działają bardzo mądrze. Na przykład program pielgrzymów przebiega nadzwyczaj dobrze.

— Zadziwia mnie cynizm Waszej Świątobliwości. Przecież program pielgrzymów kontynuujemy jedynie dlatego, że jest dobrym źródłem zarobku. Wpajamy im ohydną papkę zmieszanych koncepcji religijnych, których nie rozumieją, ale przyjmują ze względu na pozytywny wydźwięk. Koncepcje te

odznaczają się bardzo małą zawartością prawdy i jeszcze mniejszą szczerości. Najgorsze jest to, że ponieważ nic z tego nie pojmują, wierzą we wszystko, co im powiemy.

— Mało prawdy? Mógłbym cię zapytać, co to jest prawda, ale tego nie zrobię, bo jeszcze zaczniesz odpowiadać i tylko bardziej mi namieszasz. Nie jestem taki pewien wszystkiego co mówisz, ale ogólnie rzecz biorąc zgadzam się. Nie zapominaj jednak, że program przynosi pokaźne zyski. Po pierwsze daje nam pieniądze, których bardzo potrzebujemy, a po drugie jest wymarzoną przykrywką dla naszej pracy. Jeśli ktoś głębiej zastanawia się nad naszą działalnością, myśli, że jesteśmy tygłem kultów.

— Zupełnie mi się to nie podoba — odparł ogrodnik. — Program służy jedynie do maskowania naszej działalności, a powinien być czymś więcej. Mógłby być czymś więcej. Powinniśmy nawracać każdą duszę, jaka zwraca się ku nam.

— To mi się właśnie tak bardzo w tobie podoba, John. Troska o duszę, mimo że sam jej nie posiadasz.

— Nie jestem wcale tego pewien. Myślę właśnie, że posiadam. Jest chyba logiczne, że każda inteligentna forma życia ma duszę.

— Niezależnie od tego, czym jest dusza — dorzucił Papież.

— Tak, niezależnie od tego.

— Nikt inny nie mógłby mi czegoś takiego powiedzieć — zastanowił się Papież. — Ja też zresztą nie powiedziałbym tego żadnemu z nich. Dlatego właśnie jesteś dla mnie tak cenny, prawie jak przyjaciel. Chociaż sposób, w jaki ze sobą rozmawiamy, nie przypomina przyjacielskiej pogawędki. W pewnym momencie myślałem nawet, że powinieneś zostać kardynałem, ale jesteś znacznie bardziej pomocny jako ogrodnik. Chciałbyś zostać kardynałem?

Robot prychnął.

Rozumiem — odparł Papież. — Jesteś niebezpieczny jako ogrodnik, a co dopiero jako kardynał. Powiedz, ale bez zastanowienia, bo nie chcę, żebyś miał czas na wydumanie jakiegoś kłamstwa. To ty wszcząłeś plotki o kanonizacji Mary?

— Tak, ja. Ale nie mam zamiaru za to przeproszać. My wszyscy, ludzie i roboty na Watykanie, potrzebujemy świętych. Nasza wiara słabnie, potrzebuje wzmocnienia. Wkrótce musi pojawić się coś, co utwierdzi nas w dążeniu do celu, jaki sobie wyznaczaliśmy przybywając tutaj. Chociaż, jeśli Mary została wykopana z Nieba...

— Czy wiesz o tym na pewno?

— Nie. Powiedziałem już, że to tylko plotki. Z pewnością jednak Mary znowu słuchała i odniosła jakieś obrażenia. Jakie, nie jestem pewien. Ecuyer odmówił przekazania sześcianu Watykanowi, a nasz pedantyczny doktor nie chce odpowiadać na moje pytania. Wie tyle, co Ecuyer. Są kumplami.

— Nie podoba mi się procedura ustanawiania świętych — odezwał się Papież. — Zbyt silnie odwołuje się do ziemskiego chrześcijaństwa. Nie chodzi zresztą o to, że chrześcijaństwo to coś złego, było po prostu czymś innym, niż uważano. Używam czasu przeszłego, chociaż wiem, że chrześcijaństwo nadal istnieje. Nie mam jednak pojęcia, jak wygląda w chwili obecnej.

— Wasza Świątobliwość może być pewien, że zmieniło się dość znacznie — odparł cierpko ogrodnik.

— Ale wracając do pomysłu kanonizacji: w świetle ostatnich wydarzeń, jeśli są one oczywiście prawdziwe, twój pomysł wydaje się być niezbyt trafny. Nie możemy kanonizować kobiety, którą kopniakami wyrzucono z Nieba.

— To właśnie starałem się od dłuższego czasu powiedzieć

Waszej Świątobliwości — rzekł John. — Potrzebujemy świętego lub jakiegoś innego symbolu, który na pewien czas umocni naszą wiarę. Długo czekałem na pojawienie się kogoś, kto mógłby zostać świętym, ale nic z tego. Dopiero kiedy wyszła na jaw cała sprawa z Mary, dostrzegłem promyk nadziei. Dlatego nie możemy dopuścić, żeby Mary w jakiś sposób nam się wywinęła. Watykan musi dotrzeć do kostki zawierającej ostatnią podróż do Nieba i albo ją zniszczyć, albo bardzo dobrze schować. Później wystarczy z całą stanowczością autorytatywnie zaprzeczyć temu, że Mary została wyrzucona z Nieba.

— Po pierwsze — zauważył Papież — to wcale nie jest Niebo.

— Oczywiście, że nie.

— A mimo to chcesz, żeby ludzie w to wierzyli?

— Wasza Świątobliwość, my naprawdę potrzebujemy świętego. Potrzebujemy również Nieba.

— Dosłownie przed chwilą rozmawialiśmy o prawdziwej i szczerzej religii, a tu proszę...

— Ależ, Wasza Świątobliwość...

— Jeśli rzeczywiście myślisz, że potrzebujemy świętego — przerwał mu Papież — to mam lepszego kandydata niż Mary. Inteligentnego, bardzo ambitnego robota, oddanego ludziom i przepełnionego nadzieją na ich zbawienie. Robota, który w imię pokornej pracy ogrodnika poświęcił możliwość zajęcia wysokiego stanowiska w Watykanie.

Robot po cichu zaklął.



## ROZDZIAŁ 31

Nestorowie Lasu często rozmawiali ze sobą podczas spotkań. Prowadzili długie, spokojne i mało konstruktywne konwersacje.

— Były czasy — rozpoczął jeden z nich, ten który najczęściej przebywał na zielonej równinie rozciągającej się na setki mil po drugiej stronie masywu górskiego otaczającego Watykan — kiedy bardzo martwiłem się obecnością metalowej rasy, która zadomowiła się na naszej planecie. Obawiałem się, że mogą się zacząć rozprzestrzeniać, zabierając nam nasze pola, nasze drzewa i bogactwa mineralne, marnując naszą wodę i ziemię. Przestraszyłem się jeszcze bardziej, kiedy się dowiedziałem, że metalowa rasa jest tworem istot organicznych wymyślonym po to, by im służyć. Ale po wielu latach obserwacji wydaje mi się, że nie ma już żadnego niebezpieczeństwa.

— Są bardzo rozsądni — odparł Nestor mieszkający na wzgórzach nad chatą Deckera, skąd mógł dokładnie obserwować Watykan. — Korzystają z naszych dóbr, ale robią to w sposób odpowiedzialny biorąc tylko to, czego potrzebują, i dbając o zachowanie płodności ziemi.

— Na samym początku martwiło mnie to, że wycinają tak wiele drzew — powiedział kolejny Nestor zamieszkujący wysokie szczyty na zachód od Watykanu.

— Cały czas potrzebują bardzo dużo drewna. Ale trzeba mu przyznać, że wycinają tylko tyle drzewa, ile potrzebują, i nigdy nie zdarzyło się, żeby zostały im jakieś resztki. Poza tym często sadzą młode drzewa, które za jakiś czas uzupełnią powstałe braki.

— Właściwie można powiedzieć, że ich zachowanie jest

poprawne — potwierdził ten, który żył nad brzegiem oceanu, po drugiej stronie planety. — Gdybyśmy mogli sobie wybrać jakichś mieszkańców, to chyba właśnie na nich padłby nasz wybór.

— A mimo to — westchnął opiekun równin — niedawno musieliśmy zabić...

— Ale to przecież nie byli metalowi — przerwał mu Nestor zamieszkujący wzgórza nad chatą Deckera — tylko przedstawiciele rasy organicznej, która ich stworzyła. Są tu również inni członkowie tej rasy, zresztą zawsze tu byli, odkąd tylko sprowadzili się metalowi. Ale ci, którzy są tutaj na stałe, muszą być jakimś wyjątkowym gatunkiem. Nie posiadają przecież żadnych planów dotyczących naszej planety ani nas samych. Powiedziałbym, że wręcz starają się nas unikać. Nie można powiedzieć, żebyśmy byli zadowoleni z takiej sytuacji, ale ciężko będzie ich przekonać, że nie mają się czego obawiać. Wśród tych, których zabiliśmy, był jeden nowo przybyły, zupełnie inny od mieszkających tu od dawna. Miał broń, która, jak mu się zdawało, mogła nas uśmiercić. Nie rozumiem jednak, dlaczego chciał to zrobić.

— Tego nie można mu było darować.

— Rzeczywiście, nie mogliśmy — przytaknął Nestor Deckera — chociaż zabiliśmy go z wielkim żalem. Szczególnie przykre było to, że musieliśmy również zabić pozostałe, towarzyszące mu istoty. Nie były tak złe jak on, ale mimo to poszły z nim.

— Było to jedyne słuszne wyjście z sytuacji — zauważył Nestor znad jeziora. — Dobrze zrobiliście.

W tym momencie konwersacja urwała się na chwilę. Nestorowie po cichu przekazywali sobie ostatnie wrażenia rozległa preria z dalekim horyzontem, trawa ugimająca się pod podmuchami wiatru jak fale na morzu, niekne kolory

pojawiających się od czasu do czasu w trawie kwiatów; duża, piaszczysta plaża rozciągająca się przez wiele kilometrów nad spienionym oceanem z ptakami, które wydawały się być jednocześnie czymś więcej i czymś mniej niż tylko żywymi istotami biegającymi po piasku i grupującymi się w grupki tańczących par; głęboki, wszechobecny spokój zacienionego i mrocznego lasu, z ciemnymi, tajemniczymi ścieżkami prowadzącymi do wieczności; głęboki, porośnięty drzewami i krzewami wąwóz ze stromymi stokami nagich skał po obu stronach, miejsce wykazujące oznaki życia jedynie dzięki małemu potokowi prześlizgującemu się po nieprzyjaznych kamieniach i złamanych, próchniejących pniach drzew i szemrzącemu cicho pieniającą się przy wszelkich załamaniach skalnych, krystalicznie czystą wodą.

— Mieliśmy szczęście — powiedział ten, który przycupnął nad wąwozem. — Bez większego wysiłku udało nam się zachować planetę w stanie prawie nie naruszonym. Jedyne, co robiliśmy jako strażnicy naszej ziemi, to obserwowanie i sprawdzanie, czy wszystko idzie po naszej myśli. Na szczęście nie pojawili się żadni najeźdźcy, którzy chcieliby korzystać z planety w niedozwolony sposób lub wyrządzić jej jakąś krzywdę. Gdyby jednak tak się stało, to nie wiem, czy udałoby się nam ich powstrzymać.

— Na pewno dobrze wywiązaliśmy się z naszych obowiązków — powiedział Nestor ze wzgórz nad Watykanem. — Instynkt podyktowałyby nam właściwe postępowanie.

— W jednej kwestii popełniliśmy jednak błąd — rzekł smutno Nestor od Deckera. — Pozwoliliśmy uwolnić się Pyłkowcom.

— Nie mogliśmy przecież nic na to poradzić — bronił się Nestor z równiny. — Nie byliśmy w stanie ich zatrzymać. Poza

tym nie mieliśmy chyba prawa. Są przecież istotami inteligentnymi i powinni mieć prawo do postępowania zgodnie ze swoją wolą.

— I mają — zauważył przybyły znad oceanu.

— Ale powstali i rozwijali się tutaj — powiedział Nestor żyjący na dalekiej pustyni. — Stanowili część naszej planety, a my pozwoliliśmy im odejść. Zubożyło to naszą ziemię. Często zresztą zastanawiałem się, jaką funkcję mogliby pełnić, gdyby zostali.

— Nasze rozważania są zupełnie bezproduktywne — przerwał rozmowę Nestor lasu. — Już dawno od nas odeszli. Nie wiemy i nigdy się nie dowiemy, czy z czasem ich obecność mogłaby nabrać jakiegoś znaczenia dla planety. Może zresztą nic na tym nie straciliśmy. Przecież mogli równie dobrze stać się naszymi wrogami. Dlaczego w ogóle roztrząsamy tę kwestię?

— Ponieważ jeden z nich pozostał — rzekł Nestor od Deckera. — Mieszka zjedna z istot organicznych podobną do tych, które stworzyły metalową rasę. Pozostał, mimo że wszyscy inni uciekli. Zawsze się nad tym zastanawiałem. Może zostawili go specjalnie. To przecież karzeł...

## ROZDZIAŁ 32

Poświata diamentowego pyłu unosiła się tuż nad wymyślnie rzeźbionym krzesłem ustawionym koło marmurowego stołu.

Więc wróciłeś, rzekł Tennyson.

— Proszę, jęknął Szeptacz, proszę!

Przestań już. Czas, żebyśmy porozmawiali.

Dobrze, zgodził się Szeptacz. Porozmawiam z chęcią. Powiem ci kim i czym jestem, a nikomu jeszcze tego nigdy nie powiedziałem. Odpowiem na wszystkie twoje pytania.

Kim w takim razie jesteś?

Nestorowie nazywają mnie Pyłkowcem, Decker nazywa mnie Szeptaczem, a... Nie obchodzi mnie, jak cię nazywają, przerwał mu Tennyson. Powiedz, kim jesteś. Jestem niematerialnym konglomeratem nie powiązanych ze sobą w żaden sposób molekuł, które tworzą moje ciało. Każda moja cząsteczka, być może nawet każdy atom, są inteligentne. Jestem istotą powstałą na tej planecie, chociaż nie pamiętam moich narodzin i nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miał zakończyć swoje istnienie. Prawdę mówiąc, odnoszę wrażenie, że jestem nieśmiertelny, chociaż nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Tak, raczej na pewno jestem nieśmiertelny. Nie można mnie w każdym razie zabić. Nawet gdybym został rozproszony tak, że jeden atom mojego jestestwa nigdy nie odnalazłby drugiego, każdy z moich atomów sam w sobie byłby inteligentną i czującą formą życia.

Wygląda na to, że wytrzymały z ciebie gość, zauważył Tennyson. Jesteś nieśmiertelny, inteligentny i nikt nie jest w stanie ci dołożyć. Masz wszystko, czego można chcieć.

Nie wszystko. To prawda, że zostałem obdarzony inteligencją, ale właśnie jako byt inteligentny posiadam pociąg do wiedzy i nauki. Moim zmartwieniem jest jednak to, że nie mam odpowiednich narzędzi do nauki i przyswajania wiedzy.

A więc szukasz narzędzia?

Jeśli koniecznie tak chcesz to nazwać...

Chcesz wykorzystać mnie jako narzędzie służące do zdobywania wiedzy. Ale jakiej wiedzy, jeśli wolno spytać?

Muszę dowiedzieć się wszystkiego o Watykanie i pracach tam prowadzonych. Muszę mieć dostęp do światów odnajdywanych przez Słuchaczy. Bardzo długo próbowałem tego dokonać, niestety, na próżno. Nie można przeniknąć procesów myślowych maszyn. To zupełnie inny rodzaj umysłu. Moje próby rozszyfrowania ich sprawiły, że są teraz bardzo podejrzliwi. Wiedzą już, że ktoś stara się dociec prawdy, chociaż jeszcze nie doszli do tego, kto to jest. Próbują mnie wytropić, lecz im się to nie udaje. Właściwie nie są nawet świadomi mojego istnienia. I myślisz, że ja mogę ci pomóc? Że będę chciał ci pomóc?

Na pewno możesz mi pomóc. Masz przecież dostęp do sześcianów. Jeśli tylko wpuścisz mnie do swego umysłu, tak abym mógł oglądać je razem z tobą, wtedy może... Ale, Szeptaczu, dlaczego właśnie ja? Jest przecież choćby Ecuyer. Próbowałem z Ecuyerem. Nie zauważa mnie. Jego percepcja nie jest lepsza niż robotów. Nie wie, że tu jestem, nawet nie widzi mojej poświaty. Decker widzi poświatę i mogę z nim rozmawiać, ale za to nie ma dostępu do sześcianów, a jego umysł jest dla mnie całkowicie niedostępny. Dlatego zostajesz tylko ty. No, może jeszcze jedna osoba.

Jeszcze jedna?

Ta, którą nazywasz MU.

Rozmawiałaś z Jill?

Nie, jeszcze nie. Ale wydaje mi się, że będę mógł. Również jej umysł stoi dla mnie otworem. Zostaw ją w spokoju, rzekł Tennyson. Na razie o niej zapomnij. Rozumiesz?

Rozumiem. Zapomnę o niej.

Chcesz przedostać się do mojego umysłu i oglądać ze mną sześcian. To wszystko? — upewnił się Tennyson. No... może nie wszystko, ale to na pewno jest najważniejsze. Wyjaśnij mi jeszcze, po co ci to? Dlaczego oglądanie sześcianów miałyby być takie istotne?

Pragnąłbym odzyskać moje dziedzictwo.

Zaraz, zaraz, przerwał mu Tennyson, co ma do tego twoje dziedzictwo? Bardzo dawno temu, tak dawno, że moje myśli giną już w mroku zapomnienia, byłem tylko małą częścią mojej chmurki. Byłem fragmentem innych Pyłkowców lub, jak wolisz, innych Szeptaczy. Mówię „mojej chmurki”, bo nie dałbym głowy, czy byłem całą tą chmurką, malutką cząstką większego bytu, czy też chmurka składała się z wielu drobnych, podobnych do mnie istot. I właśnie tamten obłoczek diamentowego pyłu posiadał własne dziedzictwo i własne przeznaczenie, można by nawet powiedzieć — zadanie do wykonania. Brzmiało ono: poznać cały kosmos.

Nie mów!

To prawda. Czy oszukiwałbym cię ryzykując, że kiedy dowiesz się o moim kłamstwie, nie pozwolisz mi już więcej ze sobą rozmawiać?

Może. Chyba rzeczywiście byś mnie nie okłamywał. Ale co się stało z tą chmurką?

Odeszła pozostawiając mnie samego, odparł Szeptacz. Me wiem dlaczego. Nie wiem również dokąd, ale jestem pewien, że

jej celem jest poznanie wszechświata. W chwilach rozpaczy siedzę i rozmyślam, dlaczego mnie zostawiła. Tak czy inaczej nie odebrała mi mojego dziedzictwa. Nadal, mimo moich skromnych możliwości, staram się poznać wszechświat.

No pewnie, rzucił Tennyson.

Drwiesz sobie ze mnie. Nie wierzysz w to, co mówię?

Ujmijmy to w ten sposób. Słuchając twojej opowieści jakoś nie padam na kolana. Jak dotąd powiedziałaś mi tylko, co chciałbyś zrobić i jakiej pomocy oczekujesz. Powiedz mi teraz, co ja będę z tego miał? Mam nadzieję, że coś więcej niż przyjemność przebywania w twoim towarzystwie?

Jesteś cynicznym człowiekiem, Tennyson.

Ale nie głupcem. Nie chcę, żebyś mnie wykorzystywał za darmo. Wyczuwam, że możemy ubić interes.

Interes? — powtórzył Szeptacz. Tak, oczywiście, dodał niepewnie.

Diabelski pakt.

A kto ma być diabłem? Jeśli dobrze rozumiem znaczenie tego słowa, to zdaje się, że nie pasuję do definicji. Ty też chyba nie.

No dobrze, tak mi się tylko powiedziało.

Kiedyś bez twojego pozwolenia przeniknąłem na chwilę twoje myśli. Przepraszam.

Wybaczam, ale mam nadzieję, że rzeczywiście była to tylko chwila.

Mówię prawdę. To było mgnienie oka. Odnalazłem tam dwa światy. Świat jesienny i świat równań. Który z nich chciałbyś odwiedzić? Do którego wołałbyś się wybrać? Który chciałbyś zobaczyć? To znaczy nie tyle zobaczyć, co znaleźć się w nim.

Mógłbyś mnie tam zabrać? Fizycznie?

Ze mną możesz się tam znaleźć. Możesz je również zrozumieć,



choć tego nie jestem pewien. Ale z pewnością będziesz w stanie zobaczyć te światy w rzeczywistości.

A Niebo?

Nieba nie widziałeś.

Rzeczywiście, przyznał Tennyson.

A więc?

Mam nadzieję, że proponujesz mi podróż w obie strony? Oczywiście, zaśmiał się Szeptacz. Nigdy nie wybralibyśmy się do miejsca, z którego nie ma odwrotu.

Czyli zabrałbyś mnie...

Nie rozumiesz, przerwał mu Szeptacz, poszlibyśmy tam razem. To przecież niemożliwe, pomyślał Tennyson. Niewykonalne. Albo śnię, albo ktoś próbuje nabić mnie w butelkę... To możliwe i wykonalne, rzekł Szeptacz. I nie nabijam cię w butelkę. Długo rozmyślałeś nad światem równań. Śniłeś o nim. Nie możesz tego przecież tak zostawić. Nigdy nie mogłem mu się dobrze przyjrzeć. Cały czas wydawał mi się jakby ukryty. Wiedziałem dobrze, że jest tam jeszcze wiele rzeczy, których nie mogę ujrzeć.

W takim razie chodź tam ze mną...

...a będę mógł zrozumieć?

Tego nie jestem pewien. Powiedziałem ci. Tym niemniej, będziemy myśleć nad tym razem.

Kusisz mnie, a nie wiem, czy powinienem ci zaufać.

Nie ma żadnego ryzyka, przyjacielu. Mogę nazywać się przyjacielem?

Nie, Szeptaczu. Raczej współnikiem. Wspólnicy również muszą sobie ufać i wierzyć. A jeśli mnie zawiedziesz...

Tak...?

Decker dowie się o tym. Stracisz swojego jedynego przyjaciela.

Jesteś dla mnie znacznie ważniejszy, współniku.

Może.

Ale rozumiem, że przyjmujesz moją propozycję.

Tak, potwierdził Tennyson wciąż jeszcze trochę się wahając.

W takim razie wybierzmy się do świata równań.

Będziemy musieli obejrzeć jeszcze raz sześcian.

Nie ma takiej potrzeby. Wszystko, czego potrzebujemy znajduje się w twoim umyśle.

Tak, powiedział doktor niepewnie. Ale przecież nigdy nie mogłem zobaczyć wszystkiego. Czegoś tam brakuje.

Niczego nie brakuje. Trzeba się tylko do tego dokopać. Ty i ja, razem jesteśmy w stanie tego dokonać.

To twoje „razem” zaczyna mi się nie podobać.

W takim razie myśl o tym jako o jedności. Nie nas dwoje, tylko my jako jedność. A teraz skup się nad światem równań. Przypomnij sobie wszystkie szczegóły. Spróbujemy się tam dostać.

## ROZDZIAŁ 33

Kardynał Enoch Theodosius wszedł do biblioteki i wgramolił się na swoje krzesło, przypominając raczej wystrojonego stracha na wróble niż osobę duchowną.

— Mam nadzieję — zwrócił się do Jill — że nie ma pani nic przeciwko wizytom pobrzękującego, starego robota, który nie ma wystarczająco dużo zajęć, żeby zapełnić swój czas.

— Eminencjo, uwielbiam pańskie wizyty — odparła Jill. — Zawsze czekam na nie z ogromną niecierpliwością.

— To dziwne — zauważył kardynał podciągając nogi, tak aby oprzeć je na dolnych szczebelkach krzesła; poprawił habit i wygładził go. — Mamy tak wiele spraw do omówienia. Wydaje mi się, że nasze rozmowy są czymś bardzo ważnym dla nas obojga, nieprawdaż?

— Tak, Wasza Eminencjo — zgodziła się Jill.

— Muszę przyznać, że nabrałem dla pani wielkiego szacunku — kontynuował kardynał. — Pracuje pani bez wytchnienia i z wielkim zaangażowaniem. Pani umysł jest jak pułapka na myszy, cokolwiek się tam dostanie, zostaje uwięzione na wieki. Przydzieleni pani asystenci zdają jak najlepsze relacje.

— Więc moi asystenci są szpiegami składającymi raporty o tym, co robię?

Kardynał pokręcił głową z dezaprobatą.

— Wie pani dobrze, że nie o to chodzi. Od czasu do czasu przypadkiem wpadam na któregoś z nich i rozmawiamy wtedy o pani. Wywarła pani na nich wielkie wrażenie. Myśli pani jak robot.

— Och, mam nadzieję, że to nieprawda.

— Cóż złego jest w myśleniu robota?

— Chyba nic. Ale nie powinnam myśleć jak robot, lecz jak człowiek.

— Ludzie to dziwna rasa — powiedział w zamyśleniu kardynał. — Do takiego wniosku doszedłem po wielu latach obserwacji. Może nie zauważyła pani tego jeszcze, ale roboty mają bzika na punkcie ludzi. Są oni podstawowym tematem naszych wielogodzinnych rozmów. Wydaje mi się, że możliwe jest nawiązanie trwałego kontaktu pomiędzy robotem a człowiekiem. Istnieją zresztą legendy opisujące takie zdarzenia. Mnie niestety nigdy nie udało się nawiązać takiego kontaktu z żadnym człowiekiem i podświadomie myślę, że wiele na tym straciłem. Będę szczery i powiem pani, że w czasie moich tutaj wizyt wykryłem możliwość wytworzenia takiej więzi. Mam nadzieję, że nie miałyby pani nic przeciwko temu.

— Oczywiście, że nie. Jestem zaszczyczona.

— Do momentu poznania pani nie miałem zbyt wielu okazji do bezpośredniego kontaktowania się z ludźmi — tłumaczył Theodsius. — Właściwie jedynym człowiekiem, z którym nawiązałem jakąś znajomość, jest Ecuyer.

— Poul Ecuyer to dobry człowiek — wtrąciła Jill.

— Tak, nie przeczę. Dobry, ale raczej monotematyczny. Żyje swoimi Słuchaczami.

— Taką ma pracę — odparła Jill. — I wykonuje ją dobrze.

— To wszystko prawda, ale czasami zapomina, dla kogo wykonuje tę pracę. Za bardzo się w to angażuje.

— Bierze na siebie zbyt dużą odpowiedzialność. Projekt, który prowadzi, jest przecież projektem watykańskim. A on zachowuje się czasami tak, jakby zupełnie o tym nie pamiętał.

Wasza Eminencjo, o co właściwie chodzi? Czyżby cała sprawa

z Niebem kompletnie zepsuła panu humor? Kardynał podniósł wzrok i długo przyglądał się dziennikarce. W końcu rzekł z powagą w głosie:

— Pani inteligencja w końcu doprowadzi panią do grobu.

— O to się nie obawiam — odparła Jill bez chwili zastanowienia.

— Martwię się opowieściami o świętych — kontynuował Theodosius, nie zwracając uwagi na słowa Jill. — Nie jestem pewien, czy rzeczywiście ich potrzebujemy. Święty mógłby ściągnąć na nasze głowy więcej problemów niż sobie wyobrażamy. Co pani o tym myśli?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Rzeczywiście, ostatnio słyszałam jakieś plotki, ale nie mam zdania na ten temat.

— Ecuyer nie spieszy się z oddaniem nam kostki zawierającej drugą podróż Słuchaczki Mary do Nieba. Mam przeczucie, że będzie chciał ją jeszcze przetrzymać. Nie mam pojęcia co się tam naprawdę wydarzyło. Zresztą tego chyba nikt nie wie. Wszędzie krążą tylko plotki.

— Niech się pan nie przejmuj. Zazwyczaj okazuje się, że są wyssane z palca.

— Wiem. Ale w takim razie dlaczego Ecuyer nie oddał nam sześcianu?

— Pewnie dlatego, że ostatnio jest bardzo zajęty — wyjaśniła Jill. — Czy zawsze natychmiast oddawał kostki Watykanowi?

— Nie, chyba nie. Oddaje nam przy najbliższej sposobności.

— Właśnie — Jill ucieszyła się, że jej teza znalazła jakieś uzasadnienie. — Nie było po prostu ostatnio żadnej sposobności.

— Otóż... nie wiem — wahał się kardynał. — Ecuyer jest bliskim przyjacielem Tennysona, a Tennyson zna Deckera.

— Wasza Eminencjo, brzmi to tak, jakby pan się bał, że chcą pana osaczyć. Co Tennyson i Decker mają z tym wspólnego? Nie musi się pan obawiać niczego z ich strony. Ecuyer i Tennyson należą do załogi Watykanu. A Decker nigdy nie wtrącał się do niczego.

— Mogłaby mi pani pomóc.

— Naprawdę? — zdziwiła się Jill. — W jaki sposób?

— Na pewno wie pani coś więcej. Sypia pani z Tennysonem.

— No wie pan, Eminencjo! Nigdy bym nie pomyślała, że roboty zwracają uwagę na takie rzeczy.

— Nie zwracamy, w każdym razie nie w tym sensie, o jakim pani myśli. Ale Tennyson musiał z panią o tym rozmawiać.

— Nie martwi się pan wcale tym, że ludzie chcą kanonizować Mary — zauważyła Jill. — Chodzi o Niebo, prawda? Jeśli tak się pan tym przejmuje, dlaczego nie wybierze się pan tam sam?

— Nie posiadamy współrzędnych. Nie wiemy nawet, gdzie go szukać.

— A ja myślę, że pan się boi — odparła przekornie Jill. — Wasza Eminencjo, nawet gdyby miał pan dokładne zamiary, to myślę, że i tak nie skorzystałby pan z okazji. Obawia się pan wyniku takiej konfrontacji.

— Chodzi o coś innego — zaprzeczył ze smutkiem kardynał. — Coś znacznie ważniejszego, a mianowicie obecny stan Watykanu. Przez wiele wieków wszystko układało się po naszej myśli. Mieliśmy swoje wzloty i upadki, różnice zdań, ale jak dotąd, nigdy nie wątpiłem w to, że nasza instytucja pozostanie na zawsze kamienną opoką. Ale w tej chwili wyczuwa się nastroje, jak by to powiedzieć... nastroje buntownicze, które mogą doprowadzić do zniszczenia naszej instytucji i jej podstaw. Nie wiem, skąd się one biorą, wiem jednak, że jest gdzieś bardzo

energicznie działająca osoba, która tym wszystkim kieruje. Już od dłuższego czasu byłem pewien, że ktoś lub coś węszy wokół naszych zasobów informacji. Na szczęście temu komuś nigdy nie udało się dotrzeć do czegokolwiek. Praca była zresztą iście syzyfowa, podobnie jak zjedzenie tony sera przez jedną, samotną myszkę. Nie jestem pewien, czy myszka i kierujący buntem to ta sama osoba. W każdym razie Watykanowi nie może się nic stać. Nic nie może mu przeszkodzić w kontynuacji dzieła. Mamy zbyt wiele do stracenia.

— Wasza Eminencjo, myślę, że martwi się pan niepotrzebnie — uspokoiła go Jill. — Watykan jest zbyt silny. Zbudowaliście go na mocnym gruncie. Nic nie może mu zagrozić.

— Nie chodzi o Watykan jako taki — odparł ze zniecierpliwieniem kardynał — ale o jego cel. Przybyliśmy tutaj wiele lat temu w poszukiwaniu lepszej i bardziej prawdziwej wiary. Co prawda niektórzy uważają, że porzuciliśmy już ten cel, że uganiamy się za wiedzą technologiczną i filozoficzną, która nie ma nic wspólnego z odkrywaniem wiary, ale nie mają racji. Religia ściśle związana jest z informacją, być może nawet informacją dotyczącą jednej konkretnej dziedziny, ale żeby osiągnąć taką wiedzę, aby uzyskać odpowiedź na to jedno pytanie, musimy wcześniej zadać niezliczoną ilość innych pytań. Czasami trafiamy w ślepe zaułki, ale nic nie dzieje się bez powodu. Nawet jeśli mamy takie podejrzenia, musimy sprawdzić, czy ta droga naprawdę prowadzi donikąd.

— Czyli zmieniliście punkt widzenia — zauważyła Jill. — Na początku najważniejsza była wiara, teraz wiedza.

— Tak to wygląda z zewnątrz. Ale trzeba pamiętać, że na początku nie zdawaliśmy sobie sprawy, że religia musi bazować na wiedzy, a nie na ślepej wierze, nie na ciągłym wmawianiu

kłamstw z nadzieją, że w ten sposób być może uda się je zmienić w prawdę. Nie możemy pozwolić sobie na kłamstwa. Po prostu musimy wiedzieć.

Na chwilę przerwał i wpatrywał się w dziennikarkę swoim bezpośrednim, denerwującym, martwym wzrokiem. Podniósł ramię i wyciągnął je wskazując niewidzialną przestrzeń. Jill zrozumiała, że pokazuje na wszechświat, całą czasoprzestrzeń znajdującą się poza pokojem, w którym siedzieli.

— Gdzieś tam — powiedział — istnieje ktoś lub coś, co zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Spośród nich moglibyśmy wyłowić tę jedną, której szukamy. Może się również stać tak, że będziemy potrzebować wszystkich odpowiedzi, aby wskazać na tę, która jest dla nas najważniejsza. To jest właśnie nasze zadanie. Nie możemy poddać się złudzeniu, że osiągnęliśmy już nasz cel, lecz musimy kontynuować pracę. Nieważne, jak dużo czasu nam to zajmie ani gdzie nas to doprowadzi.

— A Niebo mogło właśnie dawać złudzenie, o którym pan przed chwilą mówił — stwierdziła raczej niż spytała Jill.

— Nie możemy ryzykować — pokręcił głową Theodosius.

— Ale domyśla się pan chyba, że to nie jest Niebo.

— W każdym razie nie to chrześcijańskie, z fanfarami, złotymi ulicami i unoszącymi się aniołami.

Kiedy się nad tym zastanowić, jestem tego prawie pewien, ale co się stanie, jeśli nie mam racji?

— Wtedy znajdzie pan swoje odpowiedzi.

— Wątpię. Być może znajdziemy odpowiedź, ale nie wiadomo czy tę, której szukamy. Mimo to, zadowoleni ze znalezienia czegokolwiek, zapomnimy o właściwym celu naszej pracy.

— W takim razie niech pan się tam wybierze i udowodni, że to nie jest Niebo. Po powrocie będzie pan mógł kontynuować pracę



ze zdwojoną energią.

— Nie możemy ryzykować — powtórzył kardynał.

— Obawia się pan jednak, że to może być Niebo?

— Nie tylko tego. Ale w każdym wypadku Watykan straciłby na tym. Wy, ludzie, nazywacie to sytuacją patową. Jeśli nie jest to Niebo, będziemy musieli stawić czoło podnoszącym się zewsząd głosom, że na Słuchaczach nie można polegać. Czy nie rozumie pani, że jeśli okaże się iż Mary nie ma racji, natychmiast pojawią się plotki głoszące, iż nie można już ufać Słuchaczom, gdyż wielu z nich lub nawet większość z nich się myli. Program Poszukiwań Ecuyera jest naszym jedynym wielkim narzędziem odkrywczym. Dlatego właśnie nie możemy go narażać na szwank. Przecież doprowadzenie go do obecnego stanu zajęło nam wieki. Gdyby podważono wiarygodność wyników Programu, musielibyśmy spędzić kolejnych parę stuleci nad jego naprawą, jeśli w ogóle naprawa taka byłaby możliwa.

Jill rzekła wstrząśnięta:

— Nie może pan do tego dopuścić.

— Niech nas Pan Bóg strzeże! — odparł kardynał.

## ROZDZIAŁ 34

Kiedy był tam poprzednim razem, świat równań zdawał się drżeć, jakby oglądał go w upalny letni dzień, kiedy rozgrzane palącym słońcem powietrze nadaje przedmiotom wygląd trzęsącej się galaretki. Tym razem jednak wszystko było wyraźne i wydawało mu się, że stoi na twardej ziemi, a przynajmniej na twardej powierzchni. Wykresy zgrupowane były w przejrzystych tabelach rozrzuconych po całej, zupełnie płaskiej powierzchni, na której stał. Groszkowozielony, pokryty roślinnością horyzont, który widział daleko przed sobą, wznosił się znacznie wyżej niż którykolwiek z horyzontów, jakie oglądał w swoim życiu, i przechodził prawie niezauważalnie w blado lawendowe niebo.

Szeptaczu! — zawołał Tennyson.

Jednak Szeptacza nie było w okolicy. Był tylko on sam. Chociaż właściwie niezupełnie. Szeptacz również tam był, ale nie jako odrębna istota. Przecież znaleźli się w tym dziwnym świecie razem, tworząc jedność.

Tennyson stał bez ruchu zastanawiając się nad tym, skąd to wie. Wkrótce jednak doszedł do wniosku, że to nie on o tym wiedział, lecz właśnie znajdujący się w jego umyśle Szeptacz. Pomimo to Tennyson zupełnie nie odczuwał jego obecności i ciekawiło go, czy tamten również niczego nie czuje. Nie mógł jednak tego w żaden sposób sprawdzić.

Najciekawsze we wszystkim było to, że rzeczywiście miał wrażenie, jakby fizycznie znajdował się w świecie równań, a nie tak jak dotychczas, jedynie go oglądał. Wyraźnie wyczuwał pod stopami twarde gruntu i spokojnie oddychał powietrzem pachnącym tak samo jak na każdej innej planecie podobnej do

Ziemi. Zaczął szybko, pobieżnie obliczać prawdopodobieństwo znalezienia środowiska przyjaznego człowiekowi, o odpowiednim składzie powietrza, gęstości i ciśnieniu atmosferycznym, znośnej grawitacji i temperaturze, gdzie człowiek mógł żyć bez przeszkód. Wzdrygnął się, gdy stwierdził, jak małe jest takie prawdopodobieństwo. Poza tym musiało być ono jeszcze mniejsze, jeśli wzięto się pod uwagę, że warunki na planecie były nie tylko znośne, ale wręcz bardzo dobre.

Wykresy były co najmniej tak kolorowe jak wtedy, kiedy widział je w czasie projekcji sześcianu i w swoim śnie. Co prawda, wtedy barwy te były dosyć rozmyte, podczas gdy tutaj wydawały się jaskrawe i świecące. Kiedy się nad tym zastanowił, stwierdził, że jest ich jednak więcej niż w czasie projekcji kostki, a równania i wykresy są o wiele bardziej zróżnicowane i w jakiś dziwny sposób przerażające. Przyglądając się bliżej niektórym z nich zauważył, że nie ma dwóch podobnych kształtem ani kolorem. Każde różniło się czymś od reszty.

Od momentu przybycia stał nadal w tym samym miejscu, ogłuszony samym faktem znalezienia się tutaj. Jedna z jego części, być może Tennyson, powątpiewając nadal nie mogła uwierzyć w to, co widzi. W końcu jednak zdecydował się uczynić pierwszy krok, potem następny. Sprawdzał, czy uda mu się poruszyć, niepewny, czy w ogóle powinien się ruszać. Ale równania nie zmieniały swoich pozycji, więc ktoś musiał się ruszyć. To znaczy, ktoś musiał wykonać pierwszy ruch, żeby można było cokolwiek zrobić, być może nawiązać kontakt. Tennyson nie mógł w każdym razie pogodzić się z myślą, że przybył tutaj, żeby stojąc jak kołek zmarnować daną mu szansę. W taki sposób mógł przecież równie dobrze podróżować dzięki sześcianowi.

Powoli przeszedł parę kroków, aż zbliżył się wystarczająco do jednego z równań. Zauważył, że ma ono około dwóch i pół metra wysokości i pięć metrów długości. Z miejsca, w którym stał, nie mógł ocenić jego szerokości, ale przyglądając się innemu równaniu, znajdującemu się również w pobliżu, obliczył, że szerokość wynosiła jakieś trzy metry. W tym momencie zdał sobie sprawę, że przecież mogły one mieć różne wymiary, chociaż wszystkie, jakie dotychczas widział, wydawały się mieć taki sam kształt.

Grupa obliczeń, do której podszedł, posiadała ciemnofioletowe tło. Pojawiające się na nim równania i diagramy były najczęściej pomarańczowe, chociaż od czasu do czasu zauważało się również czerwień, zieleń i żółć. Starał się rozgryźć sens obliczeń (które wyglądały na bardzo długie i skomplikowane), lecz znaki i symbole niepodobne były do niczego, co kiedykolwiek widział.

Inny blok, ten dzięki któremu obliczył szerokość, krzyczał jasnopomarańczowym tłem z zielonymi znakami. Tuż za nim znajdował się następny koloru jasnoszarego, nakrapiany ciemnoczerwonymi cętkami, z jasnocytrynowymi równaniami i lawendowymi wykresami. Był zdecydowanie najciekawszy ze wszystkich znajdujących się w zasięgu wzroku.

Kiedy Tennyson podszedł do bloków, nie zauważył żadnej reakcji z ich strony. Teraz też wydawały się być zupełnie nieruchome.

Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że nie słyszy żadnych dźwięków. W okolicy nie dało się słyszeć ani jednego odgłosu. Umysłowił sobie, że przez całe swoje życie przyzwyczajony był do odbierania jakiegoś poziomego hałasu. Nawet w momentach ciszy zawsze pobrzmiwał w jego uszach jakiś daleki odgłos, skrzypiąca podłoga w domu, delikatnie szeleszczące na wietrze

liście, brzęczenie owadów. Tutaj jednak nie dochodził go żaden dźwięk. Zupełnie nic.

Podszedł jeszcze bliżej do bloku i ze zdziwieniem zauważył, że jego kroki są bezszelestne. Po chwili wahania wyciągnął rękę i dotknął bloku palcem wskazującym, gotów w każdej chwili cofnąć rękę. W przeciwieństwie do tego, czego oczekiwał, blok był miękki i nie wydawał się ani ciepły, ani zimny. Tennyson nie zauważył też żadnej reakcji na dotknięcie, więc tym razem położył na nim całą dłoń. Teraz zdawało mu się, że powierzchnia jest jeszcze bardziej miękka. Delikatnie nacisnął dłoń i poczuł pod palcami drzenie, coś jakby naciskał na wielki kawałek galaretki.

Coś na powierzchni poruszyło się i Tennyson zaskoczony zrobił krok wstecz. Równania i wykresy zaczęły zmieniać wygląd i zamieniać się miejscami. Na początku zmiany te były powolne, jakby rozważne, wkrótce jednak zdecydowanie zwiększyły tempo. Wszystko kręciło się jak w kalejdoskopie, zamieniając miejscami, kształtem, symbolami. Tennysonowi wydawało się, że blok stara się z nim porozumieć, nawiązać kontakt. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w grę kolorów i gdy wydawało mu się już, że zaczyna coś rozumieć, równania przybierały nową postać zacierając wszystko, co zdawało się przemawiać do jego wyobraźni.

Kątem oka spostrzegł jakiś ruch. Ponownie zrobił krok do tyłu, ale nie było już dokąd uciekać. Pozostałe bloki wyraźnie zaczęły go osaczać. Stworzyły już dość ciasny pierścień odcinając ewentualne drogi ucieczki. Na powierzchni wszystkich bloków równania i wykresy zmieniały swoje układy w szalonym tempie. Widok był dość przerażający. Mimo że w pobliżu nadal nie rozlegał się żaden dźwięk, Tennysonowi wydawało się, że słyszy

ich głośne pokrzykiwania.

Ze wszystkich stron nieprzerwanym strumieniem napływały kolejne bloki, tak że niektóre z nich musiały wspinać się na te otaczające Tennysona formując wokół niego coraz wyższą ścianę umacnianą niewidocznym cementem. Tworzyły wokół niego coraz ciaśniejszy okrąg, aż Tennyson poczuł, że od tego dzikiego zamętu zaczyna mu się kręcić w głowie. Miał wrażenie, że nie próbują już skomunikować się z nim, lecz z niejasnego powodu zebrały się tutaj, aby rozwiązać jakiś skomplikowany i ważki problem. Równania i wykresy nieustannie powiększały się do niewyobrażalnych wymiarów.

Nagle runęły na niego. Krzyknął przerażony, ale kiedy bloki zaczęły na niego spadać, przerażenie ustąpiło miejsca ogromnemu zdziwieniu. Nie zmiażdżyły go. Prawdę mówiąc, nie stało mu się nic oprócz tego, że znajdował się teraz w środku stosu zawalonych bloków. Stał nietknięty w samym centrum morza różnokolorowej galaretki i przez moment bał się, że albo utonie, albo się udusi, ponieważ w tej wielkiej galaretowatej masie z pewnością nie znajdzie ani odrobiny powietrza. Jego nozdrza, usta i gardło za chwilę wypełnią się galaretką, później przedostanie się do płuc...

Na szczęście nic takiego się nie stało. Uczucie nie było nawet tak bardzo nieprzyjemne. Przez chwilę starał się płynąć przez galaretowatą masę próbując dotrzeć do powierzchni, gdzie znajdzie trochę powietrza. Wkrótce jednak dał za wygraną, bo instynktownie zrozumiał, że nie potrzebuje powietrza i nie utonie. Bloki z równaniami nadal więziły go w swoim wnętrzu, ale wiedział, że jest tam bezpieczny. Nikt mu tego nie powiedział, jednak był o tym głęboko przekonany. Miał wrażenie, że informacja ta dotarła do niego na drodze jakiejś dziwnej osmozy.

Równania cały czas krążyły wokół niego, niektóre oplatały się wokół jego ciała, inne przechodziły przez niego lub wnikały do jego wnętrza i pozostawały tam. W pewnym momencie zaczęło mu się wydawać, że stał się jednym z nich. Czuł wyraźnie ich obecność wewnątrz i na zewnątrz ciała. Część wykresów połączyła się i uformowała dla niego mieszkanie o skomplikowanej strukturze. Wczołgał się do środka wciąż niepewny tego, kim lub czym się stał. Wiedział jednak, że taka egzystencja mu odpowiada.

## ROZDZIAŁ 35

W przerwie na kawę zebrała się grupka Słuchaczy.

— Co słyhać u Mary? — spytała Ann Guthrie.

— Tego nikt nie wie — odparł James Henry. — A przynajmniej nikt nie chce nam tego powiedzieć.

— Czy ktoś ją odwiedza? — zdziwiła się Ann.

— Ja u niej byłem — przyznał się Herb Quinn. — Wpadłem tylko na chwilę, ale akurat spała.

— Albo była pod wpływem środków uspokajających — dorzuciła Janet Smith.

— Możliwe — zgodził się Herb. — W każdym razie pielęgniarka zaraz mnie wyrzuciła. Wizyty u Mary nie są mile widziane.

— Czułabym się lepiej, gdyby zajmował się nią nasz stary doktor — powiedziała Ann. — Nie jestem pewna, czy temu młodemu można zaufać.

— Tennysonowi?

— Tak, Tennysonowi.

— Chyba nie masz racji — wtrącił James Henry. — Wygląda na równego gościa. Rozmawiałem z nim parę tygodni temu.

— Ale nie wiesz, czy jest dobrym lekarzem.

— Rzeczywiście, tego nie wiem.

— Jakiś czas temu bolało mnie gardło i poszłam do niego — powiedziała Marge Streeter. — Wyleczył mnie błyskawicznie. To miły człowiek. Przyjemnie się z nim rozmawia. A z tego, co pamiętam, nasz stary doktor od czasu do czasu bywał w złym humorze.

— To prawda — potwierdził Herb. — Nieźle mnie zawsze



objeżdżał za to, że nie dbam o siebie.

— Zupełnie mi się nie podobają niektóre z tych plotek, jakie słyszy się ostatnio o Mary — rzekła Ann.

— Nikomu się nie podobają — odparł Herb. — Ale po Watykanie zawsze krążyło mnóstwo wszelkiego rodzaju plotek. Nigdy nie należy dawać wiary niczemu, co się tam usłyszy.

— Coś musiało się stać — powiedziała Janet. — Coś straszniego. Każdy z nas przecież miewał wypadki. Takie XTQZTJ się zdarzają.

— Ale szybko się z tego otrząsamy — kontynuował Herb. — Wystarczy dzień, góra dwa.

— Mary się starzeje — zauważyła Ann. — Może jej praca nie jest już tak wydajna. Powinna chyba dać już sobie z tym spokój. Przecież jej klony już dorastają i mogłyby przejąć jej zadania.

— To całe klonowanie to jakiś pic na wodę — rzekła Marge. — Wiem, że to bardzo wygodna i ogólnie stosowana technika w większej części galaktyki zamieszkałej przez ludzi, ale mimo to jest w nim coś niepokojącego. Ci, którzy zajmują się klonowaniem, czują, że mają w ręku licencję na zabawę w Boga. Zresztą jest to typowy przykład łamania praw natury.

— Zabawa w Boga to dziś bardzo powszechne zajęcie — zauważył James. — Cała nasza historia, historia ludzi i obcych wprost usiana jest postaciami, które bawiły się w Boga. Najbardziej spektakularnym przykładem jest rasa, którą napotkał Ernie. Pamiętacie? To było parę lat temu.

— Tak — mruknął Herb. — Ta, która tworzy nowe światy i zaludnia je istotami stworzonymi według własnej wyobraźni.

— Zgadza się — potwierdził James. — Ale musisz przyznać, że światy te zorganizowane są w dość logiczny sposób. Nie składają się z paru kijków i kupy błota okraszonych magią tworzenia. Są

zawsze świetnie skonstruowane. Biorą pod uwagę wszystkie czynniki odgrywające rolę przy powstawaniu nowej planety. Wszystko jest bardzo realne. Wszystkie cząstki układanki pasują do siebie idealnie. A istoty, które pojawiają się w tych nowych światach, są przecież równie mądrze zbudowane i chociaż mogą nam się wydawać bardzo dziwnymi biologicznymi mechanizmami, to jednak funkcjonują poprawnie.

— Wiem, wiem — odparł Herb. — Ale co potejn? Każdy z tych światów staje się polem doświadczalnym, poligonem, żywym laboratorium z populacją poddawaną wszelkiego rodzaju testom, konfrontowaną z wszelkiego rodzaju problemami, które musi rozwiązać, jeśli chce przeżyć. Istot inteligentnych używa się jako królików doświadczalnych. Prawdopodobnie dzięki nim otrzymuje się ogromną ilość informacji głównie dotyczących skomplikowanych problemów socjologicznych, ale nie jest to chyba dla nich miłe. Zresztą nie przyświeca temu żaden cel.

— Skąd wiesz? — spytała zaczepnie Janet. — Nie chcę bronić takiego układu, ale skąd wiesz, że nie ma on żadnego celu? Może jedynie nie potrafimy go dostrzec...

— Nie byłabym tego taka pewna — wtrąciła się do dyskusji Ann. — Prawdę mówiąc szczerze w to wątpię. Przecież musi istnieć jakiś zbiór uniwersalnych zasad etycznych, których nie wolno łamać. Muszą być takie rzeczy, które wszędzie uznawane są za zło lub dobro. Nie wolno nam usprawiedliwiać sadystycznych eksperymentów wypaczonej rasy twierdząc, że nie zna ona po prostu dobra.

— Takiego argumentu można używać zawsze — poparł ją James.

— Czy Erniemu udało się wreszcie znaleźć współrzędne rasy bogów?

Obawiam się, że nie — odpowiedział Herb. — Wraciał tam jeszcze kilka razy, poczynił wiele obserwacji, w pewnym sensie zaczęło mu się tam nawet podobać, kiedy przyglądał się testom, którym poddawane były nowo ulepione światy. W końcu jednak zdecydował, że nie jest zbyt zainteresowany pogłębianiem tematu i porzucił dalsze podróże.

— Miał fart, że udało mu się wrócić — zauważył James. — Czasami przecież nasze doznania są tak fascynujące, że zaczynamy się w nie wciągać — tak jak Mary.

— A ja cały czas myślę o tym starym, zardzewiałym komputerze, do którego dostała się Betsy parę lat temu — rzekła w zamyśleniu Marge. — W jednym ze sferycznych gwiazdozbiorów znajdujących się prawie dokładnie nad centrum galaktyki. Komputer ten nadal steruje dość dużą grupą urządzeń zbudowanych w jakimś nieznanym nam celu. Niektóre z maszyn zaczynają powoli się psuć z powodu braku konserwacji. Niestety Betsy nie udało się dowiedzieć, do czego były przeznaczone wszystkie te urządzenia. Zresztą cała planeta jest jedną wielką tajemnicą. Kiedyś, dawno temu z całą pewnością istniała tam jakaś biologiczna cywilizacja, nie wiemy jednak, czy to ona właśnie zbudowała maszyny. Tak czy inaczej, teraz nie ma tam prawie żadnych organizmów żywych, a te, które w jakiś dziwny sposób przetrwały, pozostają w ukryciu.

— Betsy nadal pracuje nad tym światem — dorzuciła Ann.

— I będzie jeszcze długo nad nim pracować — pokiwał głową Herb. — Watykan bardzo interesuje się tym wiekowym komputerem. Chcą wiedzieć, jak i dlaczego osiągnął on taką długowieczność. Nikt nie mówi tego otwarcie, ale mają pewnie na względzie Jego Świątobliwość.

— Przecież Papież jest jeszcze stosunkowo młody — zdziwiła

się Marge.

— Rzeczywiście, na razie jest jeszcze młodzieniaszkiem — uśmiechnął się James. — Ale za milion lat... A Watykan, jak wiadomo, myśli długofalowo.

— Za milion lat Watykan już nie będzie istniał — rzekła pewnym głosem Ann.

— Założysz się? — spytał Herb. — Roboty to najbardziej uparte stworzenia w kosmosie. Nigdy nie poddają się i nie dają za wygraną. A roboty Watykańskie mają w dodatku swój świątły cel. Za milion lat będą miały całą galaktykę w garści.

## ROZDZIAŁ 36

Jill poszła do kliniki, żeby odwiedzić Mary. Pielęgniarka zatrzymała ją w drzwiach.

— Może pani zostać tylko na parę minut. I proszę nie starać się z nią rozmawiać.

Jill weszła do pokoju i stanęła spoglądając na wyglądającą słabowicie, bladą kobietę leżącą w łóżku. Ciało Mary było tak wychudłe i wątłe, że jej kształty ledwie zaznaczały się pod prześcieradłem. Siwe włosy rozrzucone były na poduszce, a cienkie jak patyki ręce leżały na prześcieradle, ze splecionymi na piersi palcami. Wąskie usta rozchyłały się lekko, a szczeka i kości policzkowe wystawały, przykryte jedynie cienką warstwą pergaminowej skóry.

Było w niej coś z zamorzonej głodem świętej, pomyślała Jill z pewnym przestraczeniem, przypominając sobie widziany kiedyś rysunek przedstawiający średniowiecznego, fanatycznego mnicha, który głodowaniem wysłużył sobie poczesne miejsce wśród patriarchów kościoła. Ten biedny wrak ludzki, ten szkielet kobiety zostanie ogłoszony świętą!

Nagle Mary powoli otworzyła oczy. Wyglądało to tak, jakby zmuszała ciężkie powieki do otworzenia, a one robiły wszystko, żeby utrudnić jej zadanie. Głowa chorej leżała na poduszce w taki sposób, że otwarte oczy spoczęły bezpośrednio na twarzy Jill.

Usta poruszyły się nieznacznie i wydobyło się z nich pytanie zadane słabym szeptem, przerywającym ciszę panującą w pokoju.

— Kim jesteś?

Jill odpowiedziała również szeptem:

— Jestem Jill. Wpadłam, żeby cię zobaczyć.

— Nie — rzekła Mary — ty nie jesteś Jill. Słyszałam o Jill, chociaż nigdy jej nie widziałam. A ciebie widziałam. Już cię gdzieś widziałam.

Jill powoli potaknęła skinieniem głowy nie chcąc denerwować chorej.

— Poznaję cię — ciągnęła Mary. — Kiedyś, dawno temu rozmawialiśmy, ale nie pamiętam, gdzie to było.

Pielęgniarka podeszła do Jill. Nagle zatrzymała się, kiedy Mary przemówiła ponownie.

— Podejdź bliżej — szepnęła Mary. — Żebym mogła cię lepiej widzieć. Moje oczy odmawiają mi dziś posłuszeństwa, więc będziesz musiała się pochylić.

Jill przysunęła się do łóżka i pochyliła.

Nieruchome dotąd wychudłe dłonie poruszyły się na prześcieradle. Jedna z nich podniosła się i pogładziła Jill po policzku.

— Tak, tak — powtórzyła. — Znam cię.

Ręka osunęła się bezsilnie na pościel. Powieki ciężko opadły na zmęczone oczy.

Pielęgniarka pociągnęła Jill do wyjścia.

— Powinna pani już iść.

— Niech pani mnie puści — zdenerwowała się Jill. — Sama pójdę.

Kiedy wyszła, odetchnęła głęboko. Nagle poczuła się wolna. W pokoju Mary wyraźnie odczuwało się nadchodzącą śmierć. Śmierć i jeszcze coś — coś, czego nie mogła zidentyfikować.

Słońce przesunęło się już ku zachodowi wisząc tuż nad fioletową ścianą gór, a ostatnie promienie słoneczne spowijały

ziemię w słodkim błogosławieństwie. Po raz pierwszy od momentu, gdy przybyła na Koniec Wszechświata (nie mogła sobie zresztą przypomnieć, ile to już czasu minęło od tamtej chwili, parę dni, tygodni czy miesięcy) widziała planetę nie jako obcy, nieprzyjazny świat z groteskową, niezrozumiałą instytucją, jaką był Watykan, ale miejsce, w którym żyje, otoczenie, w którym przebywa się z przyjemnością.

Watykan zadomowił się już na tej planecie, stał się właściwie jej częścią, tak jakby zapuścił w jej wnętrzu swoje długie korzenie. W procesie tym nie wyczuwało się jednak natręctwa, a raczej naturalną kolej rzeczy, zjawisko podobne do zapuszczania korzeni przez drzewo, które asymiluje się z pozostałą roślinnością planety. Na wschód i południe rozciągały się pola uprawne, ogrody i sady, idylliczne oazy otaczające zwaliste budowle tworzące Watykan. Na zachodzie nad krajobrazem królowały góry, fioletowa masa spowita barankami chmur, wiecznie rzucających ruchomy cień. W tej właśnie grze cieni od pierwszego wejrzenia zakochał się Jason Tennyson. Kiedy potem zwrócił uwagę Jill na pobliskie szczyty, nie zrobiły one na niej większego wrażenia. W tamtym momencie góry były dla niej tylko kawałkiem twardej skały. Teraz wiedziała już, że nie miała racji. Góry są przyjaciółmi, jeśli tylko człowiek otworzy przed nimi swoje serce. Ciepłe uczucia do wielkiego, niebieskiego masywu majacącego na tle nieba narastały w niej z każdym dniem. Dopiero teraz jednak zdała sobie sprawę, czym w jej życiu stały się te góry. Dobrym, czuwającym duchem, przyjazną osobą, do której zawsze mogła się zwrócić ze swoimi problemami. Tylko że do tej chwili nigdy jakoś nie miała czasu stanąć i przyjrzeć się im w skupieniu. Znowu się myliła, a Jason od początku miał rację.

Kiedy tak stała i myślała o nim i o górach, poczuła nagle nieodpartą chęć zobaczenia Jasona. Nie było go w klinice, więc zapewne nie wyszedł jeszcze z domu. Ostatnio przecież miał w zwyczaju wybierać się na długie spacery. Mógł też pójść odwiedzić Deckera.

Kiedy zapukała do drzwi Tennysona, nikt nie odpowiedział. Pomyślała, że mógł się zdrzemnąć, więc nacisnęła klamkę. Drzwi się otworzyły. Na Końcu Wszechświata nie zamykano drzwi na klucz. Tutaj nikt nie potrzebował zamków.

Mieszkanie było puste. Z kuchni nie dobiegał żaden dźwięk, więc zapewne Huberta też nie było. W kominku jaśniał mały płomień.

— Jason — szepnęła jeszcze bardziej miękkiem głosem, niż chciała, gdyż cisza panująca w pokoju nakazywała wręcz spokojne zachowanie. Zauważyła swoje odbicie w wielkim lustrze wiszącym nad kominkiem, zagubiona postać w opustoszałych czterech ścianach, blada plama twarzy naznaczona czerwienią zeszpeconego policzka.

— Jason — powiedziała już nieco głośniej.

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, więc weszła przez uchylone drzwi do sypialni. Łóżko było posłane i przykryte kolorową narzutą. Drzwi do łazienki stały otworem. Odwróciła się z powrotem w kierunku pokoju dziennego. Przed kominkiem stał oparty plecami o ciepłe obmurowanie Jason. Patrzył na pokój, ale w jego oczach od razu dostrzegało się tajemniczą pustkę oznaczającą prawdopodobnie, że nic nie widzi. Skąd on się tu wziął? — zastanawiała się Jill. — Jak to możliwe, że go nie zauważyłam? Nie słyszała przecież zamykania ani otwierania drzwi, a poza tym minęło zbyt mało czasu od momentu, gdy wyszła z pokoju, aby mógł wejść i przemierzając całe



pomieszczenie dotrzeć do kominka.

— Jason — powiedziała ostro — co się z tobą dzieje?

Tennyson powoli odwrócił głowę w jej stronę, ale jego twarz nie wyrażała żadnej reakcji na jej widok.

Jill podeszła bliżej, stanęła naprzeciw niego i potrząsnęła nim mocno.

— Jason, co ci jest?

Oczy doktora, do tej chwili zupełnie zamglone, nabrały teraz bardziej przytomnego wyrazu.

— Jill — powiedział rozczarowanym, łamiącym się głosem, jakby trudno mu się było pogodzić z faktem, że ją ujrzał. — Jill — powtórzył podnosząc dłonie i chwytając ją za ramiona. — Musiałem wyjść.

— Zauważyłam. Ale gdzie?

— Na zewnątrz — odparł nieprzytomnie.

— Jason, otrząśnij się! Gdzie na zewnątrz?

— Byłem w świecie równań.

— To ten świat, który pojawił się w twoich snach? A raczej koszmarach?

— Tak, ale tym razem to nie był sen. Byłem tam. Szedłem po jego powierzchni. Ja i Szeptacz...

— Szeptacz? Ten diamentowy pył, o którym mi opowiadałeś?

— Byliśmy tam razem — ciągnął Jason. — Jako jedna istota.

— Chodź no, siadaj tutaj — przerwała mu Jill. — Chcesz czegoś? Zrobić ci drinka?

— Nie, dziękuję. Po prostu zostań ze mną. Zdjął dłoń z jej ramienia i pogładził ją po policzku, po tym, który przecinała odrażająca blizna. Weszło mu to już w zwyczaj i było jakby podświadomym wyrazem miłości, na przekór jej szpetocie. Na początku odsuwała się, kiedy próbował ją głaskać w ten sposób.

Od momentu, gdy się poznali, Jason nigdy w żaden sposób nie dał jej do zrozumienia, że dostrzega ów defekt urody.

Był to jeden z powodów, dla których go kochała. Żaden inny mężczyzna, żadna inna osoba nie dawała jej nigdy takiego poczucia normalności. Dlatego teraz już nie unikała pieszczoty, zaczęła ją natomiast lubić, jakby był to rodzaj błogosławieństwa.

Dłoń Tennysona przesunęła się po jej policzku. Jill stała przodem do lustra i mogła bez problemów przyglądać się jego ruchom. Widziała w nich przede wszystkim wyraz miłości.

Kiedy jego dłoń opadła, Jill w osłupieniu wytrzeszczyła oczy. Nie, to tylko moja wyobraźnia, powiedziała sobie, nic innego. Muszę mieć jakieś omamy. Za chwilę wszystko wróci do normy, powtarzała sobie.

Stała jeszcze przez chwilę zupełnie nieruchomo. Zamknęła oczy i otworzyła je ponownie, ale wyobraźnia nadal panowała nad rzeczywistością.

— Jason! — powiedziała ochryple, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

— Jason! — powtórzyła nie wytrzymując już emocji.

Policzek był bez skazy. Blizna zniknęła.

## ROZDZIAŁ 37

Decker zatrzymał się na długo przed zachodem słońca, gdyż znalazł wyborne miejsce na obozowisko. Na wzgórzu było malutkie źródło dające początek łagodnemu strumykowi spływającemu ku dolinie. Na północ od źródła rosła kępa gęstych górskich krzewów, które osłaniały Deckera przed nocnym wiatrem, nadciągającym z widniejących nie opodal mglistych szczytów. Przy strumieniu leżało zwalone, oparte o grupę wielkich otoczków suche drzewo, mogące być świetnym drewnem opałowym.

Decker zaczął pracować metodycznie. Naniósł drewna i rozpałił ognisko. Następnie nazbierał jeszcze zapas gałęzi, które zamierzał zużyć nocą. Rozbił mały namiot, który miał go chronić przed ewentualnym deszczem, po czym rozłożył swój śpiwór. Przyniósł wiadro wody ze strumienia i nastawił jej część do zagotowania nad ogniskiem. Z podróżnej torby wyciągnął dwie ryby, które złowił wcześniej, owinął je w liście i położył na patelni. Zanim zaczął przygotowania do kolacji, upewnił się, że strzelba stoi w zasięgu ręki, oparta o kamień. Rzadko jej potrzebował, kiedy wybierał się na wycieczki w góry, tym niemniej nie wadziło zachować ostrożność.

Szeptacz, jak dotąd, nie dołączył do niego. Nie było to zbyt zaskakujące, gdyż nie wiedział on nic o planowanej wycieczce Deckera. Właściwie wyprawy tej Decker nawet nie planował. Wstał po prostu, zabrał swoje rzeczy i wyszedł. Nie było to jednak działanie pod wpływem impulsu, nie czuł też żadnej nagłej potrzeby zobaczenia gór czy opuszczenia swego domostwa. Pomysł wydawał mu się dość naturalny. Ogród został

porządnie wypielony, drewno narąbane i nie pozostało mu już nic więcej do zrobienia. Zdecydował więc, że wybierze się na wycieczkę, taką jak wszystkie inne, które odbywał do tej pory i w czasie których zbierał swoje kamienie, oczywiście jeśli tylko dopisywało mu szczęście. Przez moment myślał jeszcze, że mógłby wpaść do Watykanu, żeby spytać Tennysona, czy przypadkiem nie chce się z nim wybrać, ale wkrótce porzucił ten pomysł uzmysławiając sobie, że nie jest to odpowiedni moment dla doktora. Jako lekarz Watykanu prawdopodobnie miał on teraz mnóstwo roboty przy Mary.

Nie chodziło o to, że chce być sam, lubił Tennysona. Był on pierwszym człowiekiem, którego naprawdę polubił. Deckerowi wydawało się, że Tennyson jest bardzo do niego podobny. Nigdy dużo nie mówił, a przede wszystkim nie poruszał drażliwych tematów. Zadawał mało pytań, a te, które już zadał, nigdy nie były natrętne. Potrafił dyplomatycznie zachować się w każdej, nawet najbardziej kłopotliwej sytuacji. Rozmowa o Szeptaczu była na pewno śliskim tematem, a jednak mówił o tym zupełnie bezpośrednio i jakoś tak otwarcie, że zupełnie nie odczuwało się drażliwości sytuacji.

Kiedy Decker usiadł przy ogniu sprawdzając, czy ryba jest już usmażona, uświadomił sobie, jak bardzo chciałby, żeby Szeptacz był tutaj, koło niego. Gdyby wiedział, że Decker wybiera się na wycieczkę w góry, prawdopodobnie dołączyłby do niego. Zawsze lubił takie wyprawy. Mieli tak dużo tematów do rozmów i obydwaj świetnie się bawili przepłukując żwir z dna rzeki w poszukiwaniu cennych złazisk. Szeptacz był nieoceniony przy tych poszukiwaniach, chociaż nigdy nie chełpił się odnajdywaniem kamieni, których Decker nie zauważył.

Kiedy Tennyson po raz pierwszy opowiedział mu o swoim

spotkaniu z Szeptaczem, Decker zdał sobie sprawę, że może teraz rzadziej widywać swojego diamentowego przyjaciela. Czasami bywało to nawet pożyteczne, gdyż często zdarzały się takie sytuacje, kiedy Decker wolał być sam. Był jednak pewien, że stara przyjaźń nie zostanie zerwana, zbyt wiele czasu spędzili razem. Dlatego też nie miał wątpliwości, że chwilowa nieobecność druha nie oznacza wcale osłabienia więzi między nimi. Będąc Tennysonem Szeptacz prawdopodobnie rozszerzy swoje możliwości i zainteresowania. W tej chwili właśnie są zapewne gdzieś razem urzeczywistniając marzenia Szeptacza. Decker nie miał jednak żadnych wątpliwości co do tego, że jego stary przyjaciel wkrótce wróci do niego. Zapewne zresztą stanie się to jeszcze przed zakończeniem tej podróży.

Kociołek z wodą gotował się już pełną parą. Decker wyciągnął rękę, aby chwycić utrzymujący go nad płomieniem rozwidlony patyk i przesunąć gotujące się naczynie. W tym samym momencie kociołek wybuchnął mu prosto w twarz. Wiedziony jakąś niewidzialną ręką przeleciał i rozcinając powietrze, wylewając całą zawartość prosto na twarz i klatkę piersiową Deckera.

W instynktownym odruchu Decker rzucił się po strzelbę. Jego palce zacisnęły się na zimnej kolbie, ale w tej chwili rozległ się szcęk ładowania innej strzelby znajdującej się gdzieś niedaleko, na wzgórzu ponad Deckerem.

Wciąż trzymając broń Decker potoczył się za wielki kamień i ostrożnie wyjrzał zza niego. Dokładnie wtedy °d strony skalistego uskoku znajdującego się w połowie wysokości wzgórza padł strzał. Decker nie dojrzał jednak w tym miejscu nikogo.

— Strzelił za wcześnie, drań — powiedział głośno Decker. — Gdyby podszedł bliżej, miałby większą szansę trafić. Nie

wytrzymał.

Skręcony kociołek leżał parę metrów od niego. Ryby na patelni zaczęły dymić. Jeśli pozostawi je dłużej na ogniu z pewnością spalą się. Niech to szlag! A taki byłem głodny, pomyślał Decker.

Któż to mógł do niego strzelać? Kto chciał go zabić? Nie miał żadnych wątpliwości, że taki właśnie był zamiar strzelającego. Nie chodziło przecież o zniszczenie kociołka z wrzątkiem. Strzelano, by go zabić a nie przestraszyć.

Patrzył na wzgórze próbując odnaleźć najmniejszą choćby oznakę ruchu. Przez cały czas powtarzał sobie, że z pewnością nie przydarzyłoby mu się to, gdyby Szeptacz był w okolicy. Na wiele godzin wcześniej Szeptacz wykryłby podkradającego się do nich myśliwego. To musi być ktoś, kto wie, że Szeptacza nie ma ze mną, pomyślał Decker. Ale to niemożliwe, bo nikt na Końcu Wszechświata nie domyśla się jego istnienia — uświadomił sobie. Nigdy nie opowiadał o nim nikomu, a przecież nie było poza nim nikogo, kto mógłby zobaczyć jego starego przyjaciela, nikt zatem nie wiedział o jego istnieniu. Nikt oprócz Tennysona i prawdopodobnie Jill, gdyż nie mieli oni między sobą żadnych tajemnic. A może Tennyson opowiedział o tym Ecuyerowi? Nie, to chyba niemożliwe, odpowiedział sobie od razu. Tennyson i Ecuyer byli przyjaciółmi, ale Decker miał pewność, że doktor zatrzymałby tę informację dla siebie.

Wszystkie te rozważania były jednak bezproduktywne. Tak naprawdę mógł to być każdy. Miał po prostu pecha, że zdarzyło się to akurat w momencie, kiedy jego niewidzialny przyjaciel był nieobecny. W innym wypadku wszystkie okoliczności wskazywałyby na Tennysona, a doktor nie miał żadnego powodu, żeby zabijać Deckera. A nawet gdyby miał, zabijanie zdecydowanie nie było w jego stylu.

Na Końcu Wszechświata parę osób miało strzelby. Niektórzy myśliwi od czasu do czasu wybierali się na polowanie w poszukiwaniu zwierzyny. Najczęściej jednak posiadali broń mało kalibrową, a sądząc po dźwięku rozlegającym się przy wystrzale, strzelba, z której dziś do niego strzelano, niewątpliwie należała do większych.

Starał się odszukać w pamięci nazwiska osób, które mogły chcieć go zabić. Właściwie trudno mu było znaleźć kogoś takiego, w końcu jednak, po wielkim wysiłku wytypował kilka osób. Zastanawiając się potem nad każdą z osobna, odrzucił wszystkie. Nikt nie miał aż tak silnego motywu. Może kogoś czasami obraził tym, co powiedział lub zrobił, ale z pewnością, nie mogło stać się to powodem ugania się za nim ze strzelbą. Pomysł ten wydawał mu się wręcz śmieszny. A mimo to na wzgórzach z pewnością ktoś czyhał, oczekując na najmniejszy jego ruch i ujawnienie pozycji, gotów wpakować mu trochę ołowiu w czaszkę.

Coś z wielką szybkością uderzyło w głaz jakiś metr od miejsca, gdzie ukrywał się Decker. Odłamki skalne rozprysnęły się wokół a niektóre uderzyły Deckera w policzek i kark, wbijając się nieznacznie w skórę. Echo wystrzału odbiło się od wzgórz. Kula rykoszetem odskoczyła ze świstem.

Dopiero teraz Decker zauważył przez moment jakieś dziwne migotanie mniej więcej w połowie wzgórza, tam gdzie znajdowało się urwisko skalne. Spróbował bliżej mu się przyjrzeć, ale nie udało mu się to. Oparł strzelbę o głaz i wycelował dokładnie w miejsce, gdzie, jak podejrzewał, znajdował się jego przeciwnik.

Przez dłuższą chwilę nie działo się nic. Panował całkowity bezruch i cisza. Zabójca najwyraźniej czekał. Wtedy Decker

dojrzał wreszcie niewyraźny kształt ramienia, zarys klatki piersiowej i domniemane miejsce, w którym znajdowała się głowa.

Złożył się do strzału i wycelował. Najpierw odnalazł ramię, później niewyraźnie zarysowaną głowę znajdującą się w półcieniu. Wiedział jednak, że musi to być głowa. Przycisnął mocniej broń, wycelował, wstrzymał oddech i zaczął powoli naciskać na spust...



## ROZDZIAŁ 38

Tennyson obudził się tuż przed świtem. Jill leżała obok niego; spała oddychając lekko i regularnie. Oparł poduszkę u wezglowia i usiadł na łóżku. W pokoju panowała błoga cisza. Słabe światło dnia sączyło się przez nie zasłonięte okna pokoju dziennego. Jednak dzięki kotarom w sypialni panował mrok. W kuchni lodówka pomrukiwała cicho.

Rzucił okiem na Jill, żeby upewnić się, czy jej policzek jest nadal gładki, ale była obrócona tą stroną twarzy ku poduszce. Zresztą nawet gdyby tak nie było, z pewnością w ciemności nie dostrzegłby tego.

Myśląc o tym teraz, gdy minęło parę godzin od niezwykłego zdarzenia, nadal odczuwał niedowierzanie. A przecież widział wyraźnie, że szpecąca czerwona blizna zniknęła z jej policzka. Jeśli miałyby to być jedynie efekt przemijający, w ciągu tych kilku godzin skaza na pewno znów by się pojawiła.

Podniósł prawą dłoń, przysunął do twarzy i zaczął się jej przyglądać. W mroku wydawała się ona zaledwie cieniem, więc jedyne, co zauważył, to jej kształt. O ile w tych ciemnościach mógł cokolwiek zauważyć, to tylko tyle, że ręka wyglądała całkiem normalnie. W każdym razie nie świeci, pomyślał rozczarowany. Jest taka jak zwykle.

A jednak jej dotyk...

Mimo że noc była raczej ciepła, przeszył go zimny dreszcz. Usiłował przypomnieć sobie, co się stało wcześniej, przekopując pamięć i docierając do wspomnień dotyczących innych światów, a konkretnie świata równań, które osaczyły go i przeniknęły przez jego ciało. Niektóre, tego był pewien, wręcz zadomowiły się

w nim. Miał wrażenie, że sam zmniejszył się do wielkości jednego z nich. Zmniejszył czy zwiększył? Próbował sobie przypomnieć, jak wyglądało równanie, w które się przeistoczył. Z pewnością nie było to jedno z tych grubych, monstrualnych równań, przerażających samą złożonością, które widział, kiedy leżał zalany masą trzęsącej się galarety. Być może był jakimś zwykłym, prostym równaniem, będącym bezpośrednim odwzorowaniem jego istoty. Pamiętał, że kiedy równania zbudowały dla niego dom, szybko się w nim schronił i przykucnął, starając się ukryć. Nie wiedział, kim lub czym jest, ale czuł się wtedy dość przyjemnie. Proste zachowanie mogło oznaczać, że był prostym równaniem. Zastanawiał się tylko, czy zbudowały dla niego dom po to, by go chronić przed szalejącymi na zewnątrz w dzikiej ferii barw innymi równaniami?

Potem nagle, bez żadnego ostrzeżenia, został uwolniony z tamtego świata i stwierdził, że stoi w pokoju dziennym, oparty plecami o kominek. Wolny, ale nie do końca, bo przyniósł stamtąd ze sobą jakąś cechę, umiejętność, jakiej wcześniej nie posiadał. Pierwszy dowód jego nowych umiejętności leżał w łóżku tuż koło niego. Czy pojawią się następne? Czym jestem? — to pytanie zadawał sobie wciąż na nowo od chwili, gdy schronił się w domu zbudowanym dla niego przez równania.

Zastanawiał się: Czy nadal jestem człowiekiem? Jak wiele obcych cech może przyjąć człowiek, aby nadal nazywać siebie człowiekiem?

Czy istoty w świecie równań wyczuły, że jest lekarzem, uzdrowicielem? Czy dlatego właśnie obdarzyły go nowymi umiejętnościami, aby mógł jeszcze skuteczniej leczyć? A może miały również na względzie inne cele jego życia?

Im dłużej myślał w ten sposób, tym bardziej się bał. Wdał się

w coś, do czego nigdy nie powinien się nawet zbliżyć i dlatego został naznaczony. Zmieniono go; a on nie oczekiwał żadnych zmian ani nie miał na nie ochoty. Zmiany są przecież zawsze nieprzyjemne, a co dopiero zmiany osobowości.

Ale właściwie czego tak się obawiał? Zmiany, niezależnie od swojej natury, zakresu i następstw, jakie przyniosłyby w przyszłości, pozwoliły mu ofiarować Jill dar, który był, co prawda niezamierzony, ale tym niemniej cieszył i był prezentem jakiego nie mógłby jej dać żaden inny człowiek na świecie.

Właśnie, pomyślał. Nie mam się czego obawiać. Przecież przede wszystkim chodziło o Jill. Jeśli w przyszłości nie uda mu się dokonać już niczego tak spektakularnego, jeśli nawet miałyby w jakiś sposób ucierpieć z powodu uzdrowienia Jill, to na pewno było warto. Każda cena, jaką kazano by mu w przyszłości zapłacić za to, była godziwa. Od chwili, gdy położył rękę na jej policzku, jego życie nabrało większego sensu.

Kiedy tak myślał, poczuł nagle, że ogarnia go wewnętrzny spokój. Siedział na łóżku wpatrując się w szare cienie świtu. Myślał znowu o świecie równań zastanawiając się, w jaki sposób udało mu się tam dostać fizycznie, chociaż wiedział dobrze, że to nie on sam wybrał się w tę podróż, ale Szeptacz, który po prostu zabrał go ze sobą. Natomiast żeby zrozumieć, jak zrobił to Szeptacz, musiałby najpierw o wiele więcej wiedzieć o swoim nowym, półprzezroczystym znajomym.

Powoli odwracając głowę starał się obejrzeć pomieszczenie szukając dowodów obecności Szeptacza, połyskującej chmurki, unoszącej się w rogu pokoju lub srebrnego migotania w powietrzu. Ale niczego takiego nie zauważył. Poszukał więc Szeptacza wewnątrz swego umysłu, bo przecież nadal mogli być razem. Nie wyczuł jednak nic, co mogłoby wskazywać na jego

obecność. Tym niemniej wiedział dobrze, że nie jest to żaden dowód nieobecności druha, bo przecież w świecie równań także nie odczuwał jego bliskości.

W tym momencie rozległo się pukanie. Tennyson otrząsnął się z zamyślenia. Na chwilę zapadła cisza, po czym pukanie znowu zmąciło poranny spokój. Na początku Tennyson zupełnie nie mógł rozpoznać z jakiego kierunku dochodziły dźwięki, wkrótce jednak zorientował się, że ktoś puka do drzwi. Usiadł raptownie na brzegu łóżka szukając bosymi stopami kapci, które powinny znajdować się gdzieś niedaleko.

Jill obudziła się i pytająco mruknęła coś do niego.

— Wszystko w porządku — odparł. — Śpij spokojnie. Pójdę zobaczyć, kto to.

Nie udało mu się znaleźć kapci, więc wstał i bosy ruszył do pokoju dziennego. Zamknął za sobą drzwi do sypialni. Przez dłuższą chwilę nie słyszał pukania, lecz w tym momencie znów się rozległo.

Tennyson nie włączając światła przeszedł przez pokój dzienny potrącając krzesła i stoły. Kiedy otworzył drzwi, przez moment nie był w stanie rozpoznać stojącego w progu człowieka, dopiero później zorientował się, że był to Ecuyer.

— Przepraszam, Jason, wiem, że nie jest to najodpowiedniejsza pora...

— Nie ma sprawy — przerwał mu doktor. — Nie spałem już. Leżałem tylko i rozmyślałem. Za chwilę będę gotów.

— Mógłbyś mi dać coś do picia? Może masz trochę brandy?

— Pewnie — uśmiechnął się Tennyson. — Usiądź przed kominkiem, dorzucę jeszcze trochę do ognia.

Zamknął drzwi i uważnie przyjrzał się Ecuyerowi. Spozrzegł, że był on ubrany w luźne spodnie i sportową kurtkę.

— Wcześniej wstałeś — rzekł głośno. — A może wcale się nie kładłeś?

— Rzeczywiście, nie spałem dzisiaj — odpowiedział Ecuyer docierając wreszcie do kanapy przed kominkiem i siadając na niej ciężko.

Tennyson odnalazł brandy i nalał Ecuyerowi dużą porcję.

— Wyglądasz na zmęczonego.

— Bo jestem wykończony — westchnął Ecuyer. — Stało się coś strasznego. Coś, co nie przydarzyło nam się nigdy przedtem. W każdym razie ja o niczym takim nie słyszałem.

Tennyson dorzucił drewna do kominka, podszedł do kanapy i usiadł obok Ecuyera. Bose stopy oparł na stoliku do kawy. Poruszał palcami. Miłe ciepło ognia ogrzewało podeszwy.

Ecuyer wypił jeszcze jeden duży łyk brandy.

— A ty nie pijesz? — spytał. Tennyson pokiwał przecząco głową.

— Dla mnie za wcześnie.

— Rzeczywiście. Ale co tam, co siebie będę żałował, przecież w ogóle nie spałem... — znowu pociągnął z kieliszka.

— Ale chyba przyszedłeś po to, żeby mi o czymś powiedzieć, prawda? — spytał Tennyson. — Wyraźnie ci to nie idzie. Jeśli zmieniłeś zdanie, to nie ma sprawy...

— Nie, trudno mi tylko zebrać się w sobie, ale... musisz to wiedzieć. Chociaż to dosyć przykra sprawa.

— Tennyson nie odrzekł nic, oczekując na ciąg dalszy. Ecuyer rozpoczął opowieść upijając co chwila trochę brandy.

— Od dłuższego czasu odkładałem na później obejrzenie drugiej kostki z Nieba. Jak wiesz, ostatnio zdobyłem się wreszcie na zrobienie tego. Pytałeś mnie zresztą o to. Powiedz mi, Jason, czy obejrzałeś w końcu pierwszą kostkę z Nieba?

— Nie, jakoś nie mogłem się do tego zmusić. Może się bałem. Sama myśl o zrobieniu tego wywoływała we mnie dreszcz zgrozy. Ale powinienem był to zrobić. Być może odnalazłbym coś, co pomogłoby mi szybciej wyleczyć Mary.

— Tak samo właśnie czułem się przed obejrzeniem drugiej kostki — rzekł Ecuyer. — Ciągle odkładałem to na później znajdując coraz to nowsze powody uzasadniające zwłokę. Chyba po prostu bałem się tego, co tam ujrzę. Nie wiem zresztą. Staralem się przeanalizować moje postępowanie, ale nie doszedłem do żadnych konkretnych wniosków. I w końcu, wczoraj wieczorem zdecydowałem się.

— Więc widziałeś ją?

— Nie, Jason, nie widziałem.

— Czemu nie? Nie powiesz mi chyba, że stchórzyłeś w ostatnim momencie?

— Nie o to chodzi. Nie znalazłem kostki.

— Jak to — nie znalazłeś kostki?

— Po prostu. Nie ma jej. Nie ma jej tam, gdzie ją odłożyliśmy. O miejscu ukrycia wiedziałem tylko ja i stary Ezra. Znasz Ezrę, to robot obsługujący archiwa.

— Tak, znam.

— Postępował zgodnie z procedurą. Zawsze tak robił. Dotychczas nigdy niczego nie przeoczył. Zawsze wykonuje dokładnie to, czego się od niego wymaga.

— Przecież pracuję z nim od wielu lat i powierzyłbym mu własne życie.

Tu Ecuyer na chwilę przerwał opowieść. Jednak po krótkiej pauzie ciągnął dalej:

Kiedy otrzymujemy kostkę, przynoszę mu ją, a on wkłada ją do sejfu. Po obejrzeniu przeze mnie kostka może zostać przesłana

do Watykanu, a kiedy stamtąd wraca, zostaje umieszczona w jednej z szufladek archiwum. Dostyc często zdarza się, że kostka nie idzie od razu do Watykanu, albo nawet wcale tam nie trafia, jeśli stwierdzimy, że jej zawartość nie jest na tyle istotna. Tym niemniej jednak nawet w takim przypadku sześcian trafia do odpowiedniej szufladki. Ezra opracował już specjalny system. Nie wiem, jak to robi, może zwyczajnie przechowuje adresy w swojej pamięci, ale mimo że mamy tysiące kostek, jeśli spytasz go o jakąś od razu bez zająknięcia wskaże ci miejsce, gdzie jest przechowywana. Nigdy się nawet nie zawaha. Idzie prosto do właściwej szufladki i wyciąga potrzebny ci sześcian. Mimo że, o ile wiem, nie istnieje żaden specjalny sposób rejestrowania nadchodzących kostek, Ezra potrafi odnaleźć wszystko, czego zażadasz. Oczywiście, posiadamy zabezpieczenie chroniące nas przed niepowołanymi gośćmi.

Tennyson pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Ezra jest jedynym, który zna umiejscowienie kostek?

— Dokładnie. Jest co prawda parę kostek, które odnalazłbym bez pomocy Ezry, ale można je policzyć na palcach obu rąk.

— Ale mówisz, że do momentu, gdy obejrzysz nową kostkę, pozostaje ona w sejfie? Rozumiem przez to, że kostka z zapisem Nieba również znalazła się w sejfie, ale potem znikła, tak?

— Zgadza się, Jason. Ezra otworzył sejf, ale kostki tam nie było. Znalezliśmy tam trzy inne sześciany, ale nie ten, którego szukaliśmy. Żadnego z nich wcześniej nie oglądałem...

— Może po prostu ktoś przez pomyłkę źle ją podpisał?

— Nie, żaden z tych trzech sześcianów nie był tym, którego szukałem. Chciałem mieć pewność, więc obejrzałem natychmiast wszystkie trzy.

— Kto mógł otworzyć sejf?

— Nikt. Ani ja, ani nikt inny. Tylko Ezra.

— Cóż, w takim razie Ezra...

— To niemożliwe — natychmiast przerwał mu Ecuyer. — Wierzę mu bardziej niż sobie samemu. Ta praca to jego życie. Cała jego egzystencja skupia się wokół Programu Poszukiwań. Bez niego byłby nic nie wart. Jest przywiązany do programu jeszcze bardziej niż ja. Pracuje o wiele dłużej ode mnie. Zadanie to zostało mu przydzielone na samym początku, wiele wieków temu.

— A może ktoś z Watykanu...

— Bez szans. Nawet Papież. Ezra jest lojalny wobec programu, a nie wobec Watykanu.

— W takim razie ktoś musiał odnaleźć kombinację. Myślisz, że to możliwe?

— Chyba tak, chociaż szansa jest mała. Bardzo mała.

— Może jednak zapomnieliście włożyć ją do sejfu?

— Nie. Ezra zrobił to osobiście. Stałem zresztą obok i widziałem, jak wkłada ją do środka i zamyka sejf.

— W takim razie, co chcesz zrobić?

— Boże, Jason, nie wiem. Ktoś zwyczajnie ukradł kostkę.

— Bo nie chciał, żeby ją oglądano?

— Chyba tak. Pamiętaj, że na Watykanie istnieje głęboko religijna frakcja, która chętnie doprowadziłaby do kanonizacji Mary...

Ci sami, którzy czym prędzej chcieliby cię ośmieszyć i zakończyć Program Poszukiwań?

— Tego nie mogę być pewien — odparł Ecuyer — ale chyba masz rację. Gdyby tylko mieli taką szansę...

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Drewno, które Tennyson dorzucił do kominka, zajęło się teraz jasnym płomieniem i paląc



się głośno trzaskało. Poranny brzask spowił już cały pokój.

— Ale to jeszcze nie wszystko — rzekł nagle Ecuyer. — Nie powiedziałem ci jeszcze najważniejszego.

— Masz jeszcze jakieś dobre wiadomości?

— Pierwsza kostka z zapisem podróży Mary do Nieba również zniknęła.

## ROZDZIAŁ 39

Do Watykanu dotarła plotka krążąca już po całym Końcu Wszechświata: „Mary dokonała cudu. Usunęła szramę z twarzy Jill. Położyła rękę na jej policzku, a blizna zniknęła...”

Pielęgniarka twierdziła, że widziała cud na własne oczy. Mary poprosiła Jill, by się pochyliła, tak aby mogła jej dosięgnąć. Gdy tylko chora dotknęła policzka dziennikarki, straszna szrama znikła. Twarz nie była już oszpecona znamieniem.

Cud! Cud! Cud!

Nie ulegało wątpliwości. Ci, którzy widzieli Jill, rozpowiadali wszystkim, że informacje te są prawdziwe, gdyż na twarzy dziennikarki rzeczywiście nie ma już żadnej blizny.

Gdy Jill spostrzegła, że przechodnie przyglądają się jej badawczo, a potem na widok braku znamienia głośno oznajmiają cud, ukryła się w domu.

Grupka zdenerwowanych kardynałów przekazała informację Jego Świątobliwości, a Papież jakby zirytowany ich głupotą, cmoknął kilka razy, wydał z siebie inne, podobne odgłosy dezaprobaty i poradził kardynałom, aby przyjęli bardziej sceptyczną postawę do momentu, gdy poznają więcej faktów. Gdy jeden z kardynałów zaproponował, aby zwołać kościelną komisję sądową, mającą na celu stwierdzenie zasadności kanonizacji Mary. Papież odpowiedział, że jest jeszcze o wiele za wcześnie, aby podejmować takie decyzje. Widać było wyraźnie, że Jego Świątobliwość jest raczej niezadowolony z zaistniałej sytuacji i nie da się przekonać do podjęcia jakichś dalszych, bardziej stanowczych kroków.

Automatycznie, prawie instynktownie ogłoszono święto.

Robotnicy na fermach, w ogrodach i sadach porzucili swoje miejsca pracy i połączyli się w procesji kierującej się do Watykanu. Drwale przybiegli z lasu. Wielu mnichów i innych pracowników Watykanu nadchodziło ze wszystkich stron, żeby przyłączyć się do wesołego tłumu. Strażnicy Watykanu robili, co mogli, aby uchronić go przed zalewem wiwatującej gawiedzi. W obszernej bazylice ludzie i roboty walczyli o kawałek podłogi, na którym mogliby uklęknąć i pomodlić się. Dzwony kościelne na początku milczały, ale później zaczęły rozbrzmiewać gromko, aby zaskarbić sobie przychylność tłumu wykrzykującego hasła skierowane przeciw obojętności Watykanu na oczywisty cud.

Grupki ludzi zbierały się wokół kliniki śpiewając psalmy na cześć Maryi, tratując rosnące w ogrodzie krzewy i kwiaty. Strażnicy nie wpuszczali jednak rosnącego z minuty na minutę tłumu do środka kliniki.

Mary budząc się usłyszała krzyki: „Mary! Mary! Mary!”. Kiedy po chwili udało jej się z trudem usiąść na łóżku, zdziwiła się, czemu jej imię wykrzykiwane jest tak głośno. Pielęgniarki nie było w pokoju, gdyż przeszła do innego pomieszczenia, gdzie z okna lepiej mogła obserwować rozwój sytuacji.

Mary, zbierając wszystkie siły, wyslizgnęła się z łóżka i podpierając na stojącym obok krześle usiłowała przyjąć pozycję wyprostowaną. Na chwiejnych nogach podeszła do drzwi i opierając się o ścianę doszła korytarzem aż do wielkich drzwi wejściowych, które jak zwykle były otwarte, wpuszczając świeże powietrze i chłód poranka.

Tłum zauważył ją w momencie, gdy przechodziła przez próg trzymając się jedną ręką framugi i starając się nie upaść. Nagle zapadła cisza, wszystkie spojrzenia zwróciły się w jej stronę dostrzegając cierpienie i niekwestionowaną świętość w

wizerunku stojącej w drzwiach kobiety.

Staruszka podniosła zaciśniętą dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym i pogroziła wpatrzonym w nią twarzą. Jej głos był cienki, piskliwy i drżący. W zupełnej ciszy niósł się jednak daleko.

— Niegrzeczni! — skrzeczała nerwowo. — Niegrzeczni! Niegrzeczni!

## ROZDZIAŁ 40

Wygląda na to, że nikogo nie ma w domu — rzekł Tennyson do Ecuyera.

— Dlaczego?

— Nie widzę dymu z komina.

— To jeszcze nic nie znaczy.

— Może nie. Ale Decker zawsze rozpala w kominku. Czasami może to być mały ogień, ale tak czy inaczej pali się, dzięki czemu dorzucając trochę więcej drewna, Decker w każdej chwili może wzniecić płomień. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby z komina nie unosił się dym, kiedy jest w domu.

— Cóż, zaraz zobaczymy — westchnął Ecuyer. Kontynuowali wspinaczkę na wzgórze. Zdezelowany pojazd Deckera stał zaparkowany po drugiej stronie chaty. Pomiędzy dwoma drzewami służącymi za podpórki znajdował się starannie ułożony stos drewna na opał. Zaraz obok rozpoczynał się ogród z równymi, zazielenionymi już grządkami pełnymi warzyw oraz dość okazałą kępą różnokolorowych kwiatów posadzonych w rogu działki.

— Przyjemny widok — zauważył Ecuyer. — Nigdy tu jeszcze nie byłem.

— Nigdy nie poznałeś Toma?

— Nie. Niełatwo go spotkać. Jest niezbyt towarzyski. Myślisz, że będzie chciał z nami rozmawiać?

— Pewnie. Nie jest dzikusem ani gburem. To cywilizowany, wykształcony człowiek.

— Powiedz mi jeszcze raz dokładnie, co ci powiedział o Niebie?

— Tylko raz wyrwało mu się, że chyba wie, gdzie znajduje się Niebo. Później już nigdy nie powracał do tego, a ja nie chciałem go do tego zmuszać. Bałem się, że zamknie się w sobie i nie powie już nic więcej na ten temat. Chciałem dać mu trochę czasu.

— Może teraz wyjawi nam coś więcej. Będziemy musieli mu wytłumaczyć, jakie to dla nas ważne. Jeśli nie znajdziemy kostek, nie będzie już żadnej możliwości znalezienia potrzebnych nam współrzędnych. Być może nawet z kostkami nie mieliśmy wielkich szans, ale teraz nie mamy dosłownie żadnych. A tym razem zgadzam się z tobą w zupełności, że cholernie potrzebujemy tych współrzędnych. Ktoś musi wybrać się do Nieba.

— Mam nadzieję, że Tom naprawdę wiedział, co mówi — odezwał się Tennyson. — Chociaż nie dam za to głowy. Wcześniej byłem tego pewien, ale teraz, kiedy przyszło co do czego, zaczynam mieć wątpliwości. Opowiadał mi o tym, jak jego statek wpadł w jakieś tarapaty i musiał salwować się ucieczką w kapsule ratunkowej. W ten sposób przybył tutaj.

Doszli do chaty. Tennyson zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zapukał ponownie.

— Może śpi — powiedział do Ecuyera.

— Wątpię — odparł Ecuyer. Usłyszałby. Rozejrzyjmy się.

Obeszli całe podwórze wołając Deckera, ale znikąd nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Wrócili do chaty. Tym razem Ecuyer załomotał głośno do drzwi. Poczekali chwilę, po czym Ecuyer zapytał:

— Myślisz, że możemy wejść?

Tak. Decker nie miałby chyba nic przeciwko temu. On nie ma nic do ukrycia.

Ecuyer nacisnął na klamkę i drzwi się uchyliły. Weszli do

środku i przez chwilę przyzwyczajali wzrok do panującej tam ciemności.

Pokój był posprzątanym i czystym.

Tennyson rozejrzał się i rzekł:

— Nie ma strzelby. Zawsze wisiała tam, nad kominkiem. Torbę podróżną i śpiwór trzyma na półce nad stołem, ale ich też nie ma. Wygląda na to, że wyruszył na jedną ze swoich wypraw po kamienie.

— Na jak długo?

— Nie wiem. Pewnie zależy to od wielu rzeczy. Kiedyś zaprosił mnie na taką wycieczkę. Powiedział, że jeśli będę miał parę dni wolnego, mogę z nim iść. Wynika z tego, że pewnie zazwyczaj zajmuje mu to tylko kilka dni. Podejrzewam, że niedługo wróci.

— Jason, musimy zdobyć informacje najwcześniej, jak to tylko możliwe. Nie możemy pozwolić, żeby odłam teologiczny zyskał nad nami zbyt dużą przewagę. Gdybyśmy ogłosili, że zapewne niedługo wybierzemy się w podróż do Nieba, z pewnością zamknęłoby im to usta.

— Widzę, że naprawdę się ich boisz...

— Jeśli uda im się umocnić, doprowadzą do zakończenia Programu Poszukiwań. Zawsze tego chcieli. Wyeliminować nas albo przynajmniej dyktować, co mamy robić. Jest jeszcze gorsza możliwość. Mogą narzucić nam interpretację naszych odkryć. Zrozum, nie obawiam się o siebie. Nic mi nie zrobią. Mogę zostać i zająć się czym innym. Może nawet pozwoliliby mi kontynuować pracę nad programem, dając mi złudne poczucie, że robię coś ważnego. Ale tak czy inaczej, Program zostałby zniweczony. A ja nie mogę do tego dopuścić. To przecież dusza Watykanu. Jeśli chcą, niech się bawią swoimi teologicznymi zabawkami, ale prawdziwy cel może zostać osiągnięty tylko dzięki Programowi

Poszukiwać.

— Ale chyba i na Watykanie są tacy, którzy myślą podobnie jak ty.

— Chyba tak. Nie wiem, ilu ich jest, ale są wśród nich nawet kardynałowie. Znam zresztą jeszcze paru innych.

— A Jego Świątobliwość?

— Nie można na nim polegać. Jest zimnym, mechanistycznym umysłem. Nigdy nie wiadomo, co myśli naprawdę. Poza tym jest tak napakowany danymi zebranymi przez naszych Słuchaczy, że pomimo swoich ogromnych możliwości nie ma zbyt dużo czasu na rozmyślanie nad tym, co się dzieje w chwili obecnej. A tak nawiasem mówiąc, mam czasami wrażenie, że sam się w tym wszystkim gubi. Nie zapominajmy o tym, że jego zadaniem nie jest kierowanie Watykanem w chwili obecnej, lecz raczej w dalekiej przyszłości.

— Wydaje mi się, że Watykan nie może obejść się bez Słuchaczy — rzekł Tennyson. — Słyszałem już sporo opowieści o tym, jak wiele zyskał dzięki waszym obserwacjom. Na przykład statki napędzane siłą myśli. Co jeszcze?

— Nie wiem, czy znam wszystkie ich wynalazki. Na pewno jednak wiele osiągnęli. Słyszałeś już o klonowaniu. Ale jest jeszcze coś więcej. Nie potrzebują już komórek do klonowania. Wystarczy im drobna ranka, żeby zbudować łańcuch DNA i używać go później dla swoich potrzeb. Sztuczne życie. Inżynieria biologiczna w dowolnym zakresie. A poza tym potrafią podróżować w czasie. Zresztą do diabła z podróżami w czasie, mają coś o wiele lepszego. Zatrudniają do pracy neutrina, chociaż nie mają stuprocentowej pewności, czy rzeczywiście są to neutrina. Dzięki temu są już prawie gotowi do podróżowania w wielu wymiarach w czasie. Nie tylko w przyszłość i przeszłość,



ale również w innych kierunkach. Dziwisz się, że są jeszcze jakieś inne kierunki? Ja też się dziwiłem. Sam niezupełnie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. W każdym razie gdy tylko dopracują odpowiednie technologie, będą mogli uganiać się po przeszłości i przyszłości, a także innych punktach czasowych. Może nawet po światach równoległych. Nie wiem. To dla mnie zbyt skomplikowane, jestem jednak pewien, że to, co mają, jest kluczem do podróży w czasie, przestrzeni i prawdopodobnie innych zmiennych. Te dwa przykłady są chyba najlepszym dowodem, że wiedzą niemało.

— I mając to wszystko zrezygnowaliby z dalszych badań?

Nie wszyscy. Chociaż oczywiście frakcja teologiczna z pewnością tak. Niektórzy z jej zwolenników rzeczywiście uważają, że Watykan zapomniał już lub zdradził główny cel ich pracy. Pozostali natomiast, których jest zdecydowana większość, boją się. Wszechświat okazał się o wiele większy, niż podejrzewali. Znaleźć w nim można nieskończoną ilość wydarzeń i sytuacji, o których nawet się im nie śniło. Są zaskoczeni wagą tego, co znajdują Słuchacze. Wszechświat jest tak ogromny, a możliwości tak nieograniczone, że czują się malutcy. Szukają miejsca, żeby się ukryć.

— A może by tak zablefować? — podrzucił pomysł Tennyson. — Rozpowiemy, że znaleźliśmy sposób na dotarcie do Nieba. Przecież gdyby ktoś się tam wybrał i odkrył, że to wcale nie jest Niebo, stracilibyśmy grunt Pod stopami. Ich działania zostałyby przynajmniej opóźnione i mielibyśmy więcej czasu na zastanowienie się co robić dalej.

— Nie, nie możemy tego zrobić — odparł Ecuyer. — Gdyby odkryli, że to tylko bluff, jeszcze bardziej umocniliby się w swoich poglądach. Każde nasze posunięcie musi być dobrze

przemyślane. Nie możemy dać im do ręki kolejnych argumentów.

— Rzeczywiście — przyznał Tennyson. — Masz chyba rację.

— Jason, kiedy Decker powiedział ci, że jest pewien albo raczej że domyśla się, gdzie jest Niebo, miałeś wrażenie że ma na myśli jakąś dokumentację czy tylko swoje rozważania?

— Sądzisz, że to coś w rodzaju dziennika pokładowego?

— Tak, na przykład. Przecież statki zawsze posiadają czarną skrzynkę. Jego problemy ze statkiem miały miejsce gdzieś w odległym zakątku kosmosu. Może zanim uciekł kapsułą ratunkową, zabrał ze sobą czarną skrzynkę?

— Prawdę mówiąc, tak mi się właśnie wydawało — odparł Tennyson. — Pomyślałem, że musi posiadać dokumentację, na której można polegać w większym stopniu niż na ludzkiej pamięci. Ale nigdy nic takiego nie powiedział. Nie dał mi również powodów, żebym tak myślał, i nie potrafię ci powiedzieć, co mnie do tego skłoniło. Z całą pewnością miałem wtedy takie wrażenie, ale teraz nie jestem już tego pewien.

— Myślisz, że moglibyśmy... — Ecuyer nie skończył zdania, a Tennyson zawahał się, zanim odpowiedział.

— Nie potrafiłbym. Decker jest moim przyjacielem. Zaufał mi.

— Ale, Jason, my musimy wiedzieć! Ja muszę wiedzieć!

— Dobrze — odparł Tennyson z westchnieniem. — Może masz rację. Do roboty. Ale pamiętaj, wszystko zostaje na swoim miejscu. Nie możemy mu zostawić bałaganu.

Rozpoczęli poszukiwania. Tennyson zauważył, że na stole znajdującym się w rogu pokoju nie było już oszlifowanych przez Szeptacza kamieni. Później odnalazł je w pudełeczku na jednej z półek. Najwyraźniej Decker schował je tam przed wyjściem.

Nie znaleźli niczego, co zaspokoiłoby ich ciekawość.

— Może ukrył to gdzieś na zewnątrz — rzekł niepewnie Ecuyer.

— Jeśli w ogóle coś rzeczywiście ma — przypomniał mu Tennyson. — Jeżeli tak, niezależnie od tego, gdzie by to schował, z pewnością to znajdziemy.

Pomyślał, że miejsce ukrycia mogło być znane Szeptaczowi.

— Jest jeszcze jedna szansa — powiedział na głos.

— Jaka?

Tennyson ugryzł się w język.

— Nie. Chyba nie. Nieważne.

Nie opowiedział Ecuyerowi o Szeptaczu i nadal nie miał zamiaru tego robić. Na szczęście w porę ugryzł się w język.

Istniała poza tym jeszcze jedna ewentualność dotycząca Szeptacza. Niestety, w tej chwili w pobliżu nie było również i jego. Gdzieś głęboko w podświadomości wydawało mu się, że jeśli Szeptacz był w stanie zabrać go do świata równań, to dzięki niemu może również przedostać się do Nieba. Przypomniał sobie jednak, że nie jest to chyba możliwe, ponieważ on, Tennyson, nie obejrzał ani jednej z kostek z zapisem Nieba.

W zasadzie prócz niego i Deckera, Jill była jedyną osobą, która wiedziała o Szeptaczu, i Tennyson zdecydował, że tak musi zostać.

Tak więc wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że Decker jest ich ostatnią szansą. Będą musieli poczekać na jego powrót z wyprawy, a wtedy być może spróbuje im pomóc. Jeśli mu się nie uda, jeśli się okaże, że to, co wie, nie jest wystarczające, wtedy Watykan zostanie na lodzie. Program Poszukiwań zostanie przerwany albo w najlepszym przypadku znacznie ograniczony, a Watykan zajmie się tym, czym chciał się zajmować na samym początku, czyli błędzeniem po omacku w

poszukiwaniu ducha kosmosu.

Szeptacz prawdopodobnie był z Deckerem, musieli więc poczekać na ich powrót, aby się dowiedzieć, czy pozostała im jeszcze jakaś szansa.

Wyszli z chaty i zamknęli za sobą drzwi upewniając się, że zamek się zatrzasnął. Stanęli na szczycie wzgórza i patrzyli na Watykan. W świetle poranka białe budynki wyraźnie odcinały się od znajdującego się za nimi ciemnego lasu i wyrastających spoza niego szczytów górskich. Kiedy tak stali, spoglądając na zbitą grupę dalekich budynków, z oddali doszło ich bicie dzwonów.

— To dzwony kościelne — rzekł powoli Ecuyer. — Czemu biją w dzwony? Na pewno nie jest to odpowiednia pora na bicie w dzwony. Używa się ich tylko o określonych godzinach. A poza tym chyba biją wszystkie jednocześnie...

Mocniejszy podmuch wiatru przywiał jeszcze wyraźniejszy odgłos bicia wielkich dzwonów watykańskich.

— Teraz poznaję. To dzwony z bazyliki — powiedział Ecuyer.  
— Do diabła, co się tam dzieje?

Obydwaj w pośpiechu ruszyli w kierunku Watykanu.

## ROZDZIAŁ 41

Jeszcze nigdy w życiu tak jej nie ponizono. Nigdy dotąd nie była też równie wściekła. O co chodziło tym ludziom? Co odbiło tej głupiej pielęgniarce, żeby opowiadać takie bzdury?

Jill trzasnęła drzwiami zamykając je za sobą i szybkim krokiem przeszła przez pokój. Usiadła na kanapie przed kominkiem, ale nie mogła tam jakoś wytrzymać. Podniosła się i nerwowo zaczęła się przechadzać po pokoju.

Przecież to nie Mary dokonała cudu, niezależnie od tego, co mówiła pielęgniarka. Po pierwsze nie był to cud, a po drugie dokonał tego Jason. Gdyby tylko udało się kogoś do tego przekonać, to na pewno wkrótce zdołałaby znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie tego faktu. Ale, niestety, nic nie wskazywało na to, żeby ktoś chciał jej słuchać. Zresztą to nie ona powinna wyjaśnić całe zajście, tylko Jason, a była pewna, że on nie zechce tego uczynić. Nie próbowała więc nawet dyskutować z hasłami wykrzykiwanymi przez tłum na ulicy.

Zatrzymała się na chwilę, po czym usiadła na kanapie wpatrując się w mały płomyczek skaczący po prawie wypalonych kawałkach drewna w kominku. Za jakiś czas będzie musiała wyjść i stanąć twarzą w twarz z otaczającym ją światem. Mimo to każda cząstka jej własnego „ja” instynktownie sprzeciwiała się akceptacji rzeczywistości. Chciała tylko schować się tutaj liżąc rany powstałe na skutek publicznego poniżenia. Wiedziała jednak, że w końcu będzie musiała wyjść z ukrycia. Watykan jej nie pokona, nikt jej jeszcze nigdy nie pokonał. Zdarzało się przecież, że Jill Roberts musiała stawić czoło trudniejszym wyzwaniom.

I jeszcze coś: na pewno nie zdołają wyrzucić jej z Watykanu. Tkwiła po uszy w dokumentach i nie miała zamiaru teraz odchodzić. Nagle uzmysłowiła sobie, jak bardzo zmienił się jej punkt widzenia od momentu, gdy przybyła tutaj. Czuła wtedy wstręt i rozczarowanie. Złościły ją dyplomatyczne gierki, jakie prowadzili kardynałowie starając się zniechęcić ją do przyjeżdżania na Koniec Wszechświata i nie odpisując na jej listy. Dlatego gdy zaproponowano jej pracę, w pierwszym momencie odmówiła. Od tamtej pory jej punkt widzenia i priorytety się zmieniły. Zajęło jej trochę czasu, zanim się zorientowała w znaczeniu prac prowadzonych na Watykanie nie tylko dla robotów, ale również dla ludzi i to nie tylko dla tych, żyjących na Końcu Wszechświata, ale w dowolnym miejscu kosmosu. Wyraźnie wyczuwało się tutaj wielkość ludzkiej myśli i idei, do której nie mogła odwrócić się plecami. W pewien sposób stała się więc częścią programu i chciała nią pozostać, razem z Jasonem, który również był znaczącym elementem układanki. Tak czy inaczej, powtarzała sobie, nie opuści Końca Wszechświata, nawet gdyby chciała, bo Jason jest tutaj szczęśliwy i odnalazł w tej dziwnej społeczności taki styl życia, jaki mu odpowiadał. A od niego przecież nie odejdzie. Nie mogła nawet o tym myśleć. Szczególnie po tym, co stało się poprzedniej nocy, kiedy dotknął palcami jej twarzy i starł hańbę, którą nosiła dotąd na policzku. Z całą pewnością była to hańba, mogła to sobie teraz wyraźnie powiedzieć, chociaż przez cały czas starała się sobie wmówić, że tak nie jest. Traktowała bliznę z otwartością niepodobną kobiecie, pyszniąc się nią, skoro nie mogła jej ukryć, i oznajmując całemu światu, że wcale się nią nie przejmuje.

Ale nie tylko Jason zatrzymywał ją tutaj. Drugą osobą był stary kardynał Enoch, który przychodził do niej każdego dnia i

opadając ciężko na krzesło obok jej biurka rozmawiał z nią długimi godzinami, zupełnie jakby ona sama była zwykłym robotem albo jakby on był zwykłym człowiekiem. Przypominał trzęsącego się staruszka, ale nigdy nie odważyła się pomyśleć o nim jak o głupcu. Po prostu taki już był. Nigdy nie przypuszczała, że robot mógłby być miły, a Enoch nie dość, że był miły, troszczył się o nią bardziej niż powinien. Na samym początku tytułowała go „eminencją” zgodnie ze ścisłymi wskazówkami protokołu watykańskiego, ostatnio jednak często zapominała się i plotkowali jak dwoje niefrasobliwych nastolatków. Nie miał nic przeciwko temu. Może nawet uważał za przyjemność rozmowę z kimś, kto na pewien czas był w stanie zapomnieć, że zajmuje wysoką pozycję w hierarchii watykańskiej.

Jason opowiedział jej o świecie równań i teraz nagle zaczęła się zastanawiać, jak też mógł on wyglądać. Doktor opisał jej swoje przeżycia najlepiej, jak potrafił, starając się nie zapomnieć o niczym, co widział i czego doświadczył. Były to jednak miejsca i wydarzenia, które niełatwo przychodziło opisywać. To, co tam przeżył, z trudnością mieściło się w mózgu ludzkim, a już na pewno nie dawało się ubrać w słowa i przekazać innemu człowiekowi. „Nie potrafię ci tego powiedzieć, Jill” mówił do niej. „W każdym razie na pewno nie wszystko. Trudno mi znaleźć słowa, gdyż widziałem tam rzeczy, które nie zostały jeszcze przez nikogo nazwane.”

Krzyki i hałasy na ulicy nie ustawały. Może mnie szukają? — zastanawiała się. Zapewne sprawia im satysfakcję patrzenie na dowód wielkiego cudu, który odmieni ich życie. Co za idioci!

„Widziałem tam rzeczy, które nie zostały jeszcze nazwane.” Była to zapewne kultura tak stara i samowystarczalna, że bazowała na daleko rozwiniętym systemie logiki, którego żaden

człowiek nie był w stanie pojąć. Coś jak fuzja jąder atomowych w epoce kamienia łupanego z jej prymitywnymi narzędziami. Oczyma duszy widziała grupkę sześcianów siedzących na wielkiej, zielonej równinie i manipulującym symbolami i wykresami bawiącymi się w jakąś skomplikowaną grę lub rozwiązującymi problemy. A może symbole i wykresy były wizualnym obrazem myśli obcych, jakiegoś zespołu filozofów siedzących na nieformalnym seminarium, kłócących się i dzielących włos na czworo, marnujących swój cenny czas lub też formułujących nowe, uniwersalne prawdy. Być może istoty ze świata równań kiedyś w przeszłości spenetrowały cały czas i przestrzeń, a teraz cofnęły się do miejsca, z którego na początku wyruszyły, i starają się podsumować i przeanalizować wszystko, co widziały i odczuły?

Ależ musiały się zdziwić, gdy Jason tak brutalnie wtargnął do ich świata, pomyślała. Był on formą życia podobną do tych, które prawdopodobnie widziały wcześniej i o których zapomniały albo które w jakiś sposób pominęły w swoich badaniach. Nic dziwnego, że zachowały się tak, jak się zachowały. Po prostu szalały mieniąc się barwami i zmieniając równania i wykresy. Nic dziwnego, że zbudowały z równań dom, który miał ukryć Jasona przed ich wzrokiem. Mimo to jednak dały mu prezent, taki, jak daje się gościowi przychodzącemu z wizytą.

Usiadła wygodniej starając się uspokoić i zebrać myśli. W tym momencie w jednym z rogów zacienionego pokoju zauważyła migotanie. Mam jakieś majaki, pomyślała z przestraszaniem, tego jeszcze brakowało. Migotanie zamieniło się w mglistą kulę świecącego pyłu, malutkich, drobnych iskierek.

Szeptacz? — spytała instynktownie, podobnie jak Jason, który opowiadał jej jak się to robi.



Widzisz mnie, Jill?

Widzę, Szeptaczu.

I słyszysz?

Tak.

Zdrętwiała na moment zastanawiając się: Przecież to niemożliwe. Jason nigdy nie mówił, że Szeptacz może przyjść do mnie, a już z pewnością nie mogę go ani widzieć ani z nim rozmawiać.

Jason powiedział mi, żebym trzymał się od ciebie z daleka, rzekł Szeptacz. Powiedziałem mu, że mogę z tobą rozmawiać, ale zakazał mi tego. A ja nie mogę, Jill. Musiałem do ciebie przyjść.

W porządku, odparła.

Być może wszystko widzisz inaczej niż Jason. Może lepiej.

Co widzę lepiej?

Istoty ze świata równań.

O nie, rzekła stanowczo Jill. Co to, to nie!

Czemu? Boisz się?

Tak. Boję się. To straszne stworzenia.

Zawdzięczasz im swój nowy wygląd.

Tak wiem.

Jason otrzymał prezent. Ty też jakiś dostaniesz. A mają wiele do ofiarowania, zapewniam cię.

Dlaczego mieliby nam cokolwiek dawać?

Nie wiem, odparł Szeptacz. Z Jasonem dotarłem dość daleko, ale nie do końca.

Jason nic mi o tym nie mówił.

Bo nie był w stanie zobaczyć wszystkiego, co widziałem ja. Nie dostrzegął cudów, które jawiły się moim oczom. Nie zabrał też wszystkiego, co znalazł. Nasze umysły jednak bardzo się różnią.

A ja? Przecież ze mną będzie to samo.

Może nie. Jason widzi to, co jest niewidzialne dla ciebie i na odwrót.

Szeptaczu, nie pójdę do świata równań. Nie widziałam przecież sześcianu z jego zapisem.

Ale ja tam byłem, odparł nie zniechęcony Szeptacz. To wystarczy. Mamy wszystko, czego nam potrzeba. Odnajdę właściwą drogę.

Nie wiem, Szeptaczu... Nie, nie mogę!

Nie masz się czego obawiać. Przecież Jason wrócił. Nic mu się nie stało.

Skąd wiesz, że nic mu nie groziło? Może miał po prostu szczęście.

MU, proszę. To ważne.

Będę musiała to przemyśleć.

Jason kazał mi się trzymać od ciebie z daleka. Mówił, żebym cię do tego nie wciągał. A ja cię wciągnąłem.

Już ci mówiłam, nie ma sprawy.

Nie będę cię już męczył. Jeśli powiesz nie, to nie.

Nie mogę, pomyślała Jill. Musiałabym zwariować. Przecież Jason tam był i nie ma powodów, żebym ja również musiała się tam wybierać. A mimo to...

Nigdy w życiu nie zaprzepaściłam pojawiającej się szansy nowych doświadczeń, powiedziała do Szeptacza. Nie cofnęłam się nawet przed podróżą na Koniec Wszechświata. Kiedy tylko nadarza się okazja zobaczenia czegoś nowego, z pewnością ją wykorzystywałam.

I była to prawda. Jako dobra dziennikarka zawsze podążała tropem interesujących odkryć. Czasami drżała ze strachu, przerażona myślą co odkryje lub co może się jej przydarzyć, ale nigdy nie unikała konfrontacji. Zaciskała zęby i podejmowała

ryzyko. Wracala zazwyczaj notatnikiem pełnym pospiesznie kreślonych słów, rolkami zdjęć, zszarganymi nerwami i mózgiem pełnym nowych pomysłów.

Jak dobrze, rzekła. Pójdę. Jesteś pewien, że możesz mnie ze sobą zabrać, Szeptaczu? Nawet jeśli nie widziałam kostki?

Tak, ale najpierw muszę wniknąć w twój umysł. Musimy stać się jednością. Zawahała się, gdyż podświadomie sprzeciwiała się temu, by ktoś obcy miał znaleźć się we wnętrzu jej mózgu. Szczególnie że miał to być ktoś, kogo nie znała, ktoś zupełnie inny od wszelkich istot, jakie widziała wcześniej.

A mimo to ta dziwna istota zdążyła już przeniknąć do umysłu Jasona. „Nie wiedziałem nawet, że jest ze mną” opowiadał Jason. „Mimo to byłem pewien, że mnie nie opuścił. Czasami słabo go wyczuwałem, chociaż nigdy nie byłem świadom jego obecności. Wydawało mi się, że moje »ja« zostało zmienione, lecz nie mogłem dojść, na czym polegały te zmiany. Odczuwałem tylko wielką siłę, głęboki sens rozumowania”.

Dobrze, powiedziała wreszcie do Szeptacza.

I tak znalazła się w świecie równań. Bez żadnych przygotowań, wstępów czy zaczerpnięcia głębokiego oddechu. Dokładnie tak, jak opisał to Jason, zobaczyła wielką zieloną równinę wtapiającą się na horyzoncie w miękkie, lawendowe niebo. Na zazielenionej płaszczyźnie posadowione były bloki z równaniami, połyskujące różnorodnymi kolorami i dzięki ciągle zmieniającym się wykresom oraz powoli przepływającym przez nie ciągom nieznanym znaków, przypominające żywe istoty.

Do diabła, pomyślała. Powinnam była wziąć ze sobą aparat fotograficzny. Mogła przecież powiesić go sobie na szyi i zabrać w tę wyprawę. Ubranie było wciąż na niej, nie przyszła tu nago, więc z pewnością mogła zabrać również aparat. Dlaczego była

taka głupia i nie pomyślała o tym wcześniej!

— Szeptaczu — rzekła na głos, chcąc spytać swojego nowego przyjaciela, czy wie, w jaki sposób znaleźli się tutaj. Nie otrzymała jednak odpowiedzi, a w jej umyśle nie było śladu jego obecności. Przypomniała sobie, że nie ma się czemu dziwić. Jason opowiedział jej, co czuł w czasie swojej wyprawy. On również wołał Szeptacza, ale diamentowy pyłek nie ukazał mu się, ponieważ nie przybyli tu oddzielnie, lecz jako jedna istota. Tak więc Szeptacz był gdzieś wewnątrz Jasona, a jego rozproszone atomy najprawdopodobniej zmieszały się z atomami umysłu doktora. Tak było i w jej przypadku.

Szeptaczu, powtórzyła. Cholera jasna, odpowiedz mi. Daj mi jakiś znak, żebym wiedziała, że jesteś ze mną.

Szeptacz nie odpowiedział.

Czy to możliwe, pytała siebie, żeby ten mały, szczwany lis wrzucił ją do tego świata, a sam pozostał na Watykanie? Rozważała taką możliwość, ale w końcu stwierdziła, że było to mało prawdopodobne. Szeptacz za bardzo chciał wiedzieć, poznawać wszystkie zakątki wszechświata. Ale żeby to zrobić, najwyraźniej musiał mieć przewodnika, który pokazałby mu, dokąd ma iść. Kiedy już raz pokazano mu drogę, mógł udać się w dane miejsce sam lub z kimś, tak jak to było w przypadku Jill. Dobrze, stwierdziła Jill. Chowaj się. Mam nadzieję, że bawisz się świetnie. Poradzę sobie i bez ciebie.

Po cóż ja tu przyszedłam? — myślała. Czy dlatego, że jestem dobrą dziennikarką, która nie przepuści żadnej nie sprawdzonej informacji? Dlatego, że chciałam dotknąć stopami ziemi, na której stał wcześniej Jason, żeby znaleźć kolejną nitkę wiążącą nas ze sobą jeszcze mocniej? Bóg jeden wie, odpowiedziała sobie. Może po prostu połknęłam haczyk rzucony przez Szeptacza

mówiącego, że zobaczę rzeczy, których nie widział Jason, i w ten sposób dowiem się więcej o świecie równań?

Potrząsnęła głową. To nie miało żadnego sensu, ale najważniejsze, że znalazła się w tym świecie i jeśli miała zamiar porozmawiać z jego mieszkańcami, powinna zacząć się do tego zabierać. Rozmawiać z nimi? — powtórzyła w myślach. Pomysł wydawał się raczej śmieszny. Nie widziała żadnej możliwości kontaktu. Zacznie do nich coś trąkotać a oni odpowiedzą bełkotem równań. W ten sposób żadne z nich nie będzie miało najmniejszego pojęcia, o co drugiemu chodzi.

Tak czy inaczej, podeszła do stojącego najbliżej niej różowoczerwonego bloku noszącego na swej powierzchni jakieś śliwkowofioletowe równania i dziwacznie pokręcony wykres świecący jasną żółcią.

— Jestem Jill Roberts — powiedziała głośno. — Przyszłam porozmawiać z wami.

Jej słowa przerwały ciszę otulającą cały świat niczym miękkiej welon. Różowoczerwony blok zaczął się kurczyć i blaknąć do koloru wypłowiałego rózu. W końcu powoli zaczął oddalać się od niej, tak jakby chciał uciec, chociaż wiedział, że nie jest to rozwiązanie dyplomatyczne.

Co za bezsens, pomyślała. Wiedziała, że to cichy świat, Jason powiedział mi, że tu jest spokojnie, a ja wpadam sobie i zaczynam stawiać jakieś pytania. Poza tym mogłam zacząć w jakiś inny sposób. Po cholere mówiałam, że jestem Jill Roberts. Nawet jeśli mnie słyszeli, nie mają najmniejszego pojęcia, co to jest „jill-roberts”. Jeśli w ogóle chcę się z nimi skomunikować, muszę rozmawiać z nimi w taki sposób jak z Szeptaczem. Jeśli mam zamiar Powiedzieć im, kim jestem... nie, to nie ma sensu. Powinnam im powiedzieć, czym, a nie kim jestem. Jak to zrobić,

do diabła? W jaki sposób człowiek lub inna forma życia może opowiedzieć innej formie życia, czym jest?

Może powinnam zacząć od tego, że jestem istotą organiczną. Ale czy one wiedzą co znaczy „organiczny”? Nawet jeśli mnie słyszą i rozumieją?

Wszystko wskazywało na to, że prawdopodobnie w ogóle nie mają pojęcia, co znaczy słowo „organiczny”. Jeśli chciała z nimi porozmawiać, musiała zacząć od czegoś prostszego. Musiała opowiedzieć, co znaczy „organiczny”. Być może, kiedy przekaze im to pojęcie, zrozumieją, gdyż było możliwe (możliwe, a nie prawdopodobne), że spotkali się już z życiem organicznym. Zastanawiała się, skąd naszła ją myśl (choć nie była absolutnie pewna, że była to jej myśl), że istoty z tego świata nie są bytami organicznymi, lecz czymś zupełnie innym, czymś bardzo dziwnym.

Jeśli chciała sprowadzić życie organiczne do najbardziej podstawowych koncepcji, to jak miała wyglądać jej opowieść? Co to w ogóle jest życie organiczne? Sama chciałabym wiedzieć, westchnęła. Gdyby Jason był tu ze mną, to na pewno mógłby mi pomóc. Jest przecież lekarzem, musi wiedzieć, co znaczą takie wyrażenia. W jej pamięci majaczyło coś mgliście na temat atomów węgla, nie mogła jednak przypomnieć sobie, o co dokładnie chodziło. Zastanawiała się, czy w ogóle kiedykolwiek wiedziała dokładnie, co to jest życie organiczne.

Niech to szlag! — zaklęła. — Wyznaczyłam sobie za punkt honoru wiedzieć jak najwięcej i proszę, w takim momencie, kiedy przychodzi co do czego, nie potrafi? wytłumaczyć tak podstawowej sprawy.

Jako dziennikarka zawsze gruntownie zgłębiała każdy temat, jakim się kiedykolwiek zajmowała. W czasie wywiadów musiała

wiedzieć jak najwięcej o życiu, zainteresowaniach i pracy osoby, z którą rozmawiała,

dzięki czemu mogła ograniczyć do minimum ilość głunich pytań. Teraz jednak, nawet gdyby miała wystarczająco dużo czasu, w żaden sposób nie mogłaby się dowiedzieć niczego o istotach ze świata równań, gdyż nie istniały odpowiednie źródła informacji. W każdym razie nie w świecie ludzi.

Najbardziej irytujące było to, że musiała załatwić wszystko na własną rękę. Szeptacz był przecież tutaj razem z nią i powinien wziąć udział w przedstawieniu. Mały chytrus ukrył się jednak i nie pomagał jej ani trochę.

Różowoczerwony blok zaniechał na chwilę ucieczki i stał teraz w pewnej odległości, niedaleko Jill. Inne bloki zaczynały gromadzić się za nim formując lity mur. Zaczynają mnie okrążać, tak jak Jasona, pomyślała Jill.

Zrobiła ostrożnie kilka kroków w kierunku różowoczerwonego bloku. W tym momencie z jego powierzchni zniknęły obliczenia i koślawy wykres, w wyniku czego ściana znajdująca się na wprost niej stała się czystą, różowoczerwoną płaszczyzną.

Jill zbliżyła się do bloku. Teraz, żeby widzieć jego górną krawędź, musiała podnieść głowę. Znajdująca się przed nią powierzchnia nadal była czysta, a inne bloki, stojące za najbliższym, pozostały nieruchome z równaniami i wykresami zamrożonymi na ścianach.

Teraz, powoli i z wahaniem, różowoczerwony blok zaczął formować na swojej ścianie nowy wykres złotego koloru. Praca postępowała powoli, tak jakby nie był Pewien, czy powinien to robić, jakby po prostu czuł, że tak trzeba.

Najpierw, na samej górze powstał odwrócony do 8°ry nogami

trójkąt z wierzchołkiem zwróconym ku dołowi. Następnie pojawił się kolejny, większy trójkąt stykający się sterczącym w górę wierzchołkiem z małym trójkątem. Później, po krótkiej przerwie pojawiły się jeszcze dwie równoległe, pionowe kreski wychodzące z podstawy dużego trójkąta.

Jill patrzyła na to widowisko nic nie rozumiejąc. W końcu wzięła głęboki oddech i powiedziała głośno, ale bardzo spokojnie:

— Cóż, wygląda na to, że to ja. Górny trójkąt to moja głowa, a dolny to moje ciało ubrane w sukienkę. No tak, a te dwa patyczki to nogi!

Następnie, z boku rysunku, który miał przedstawiać Jill, nakreślona została falista linia z pięcioma punktami.

— To znak zapytania — powiedziała. — To na pewno znak zapytania. Pytają mnie, kim jestem.

Zgadza się, odezwał się gdzieś z głębi jej mózgu Szeptacz. Udało ci się ich zrozumieć. Ale teraz, pozwól, proszę, że przejmę inicjatywę.



## ROZDZIAŁ 42

Pomimo palących się świec pokój był dość mroczny. Czarne cienie mebli ścieliły się po pokoju jak gotujące się do skoku wielkie bestie. Przy drzwiach, na szeroko rozstawionych nogach stał strażnik. Kardynał Theodosius, jak zwykle mocno opatulony w swoje szaty, siedział w obszernym fotelu z wysokim zagłówkiem.

— Doktorze Tennyson — rzekł — w czasie całego pańskiego pobytu tutaj po raz pierwszy uczynił mi pan honor bycia moim gościem.

— Wiedziałem, jak bardzo jest pan zajęty, Wasza Eminencjo — odparł Tennyson. — Poza tym nie było takiej potrzeby.

— A teraz jest?

— Tak mi się wydaje.

— Przychodzi pan do mnie w ciężkiej chwili. Nieczęsto zdarzały nam się takie chwile na Watykanie. Teraz jednak mamy prawdziwe problemy. Wszystko przez tych nicponi.

— Dlatego właśnie przyszedłem do pana. Jill...

— Można się było spodziewać takich zająć ze strony ludzi. Wy, ludzie, jesteście bardzo kapryśni. Dobrzy, ale strasznie emocjonalni. Czasami wydaje mi się, że nie można z wami pracować. Tak czy inaczej, zupełnie nie spodziewałem się czegoś podobnego po robotach. Jesteśmy męzną rasą, choć czasami wydajemy się flegmatyczni. Nigdy bym nie pomyślał, że roboty mogą wpaść w taką histerię. Czy wspomniał pan coś o Jill?

— Zgadza się — przytaknął Tennyson.

— Jest jednym z najlepszych pracowników, z jakimi miałem kiedykolwiek do czynienia. Identyfikuje się z nami i Watykanem.

Wie pan, jak ciężko pracuje.

— Wiem.

— Kiedy przyszła do nas po raz pierwszy — ciągnął kardynał jakby nie zauważając zdenerwowania Tennysona — nie była zachwycona. Chciała o nas napisać, ale my nie mogliśmy do tego dopuścić. Przez pewien czas myślałem, że kiedy przyleci następny statek, zabierze się razem z nim. Nie chciałem jednak, żeby tak się stało, ponieważ wiedziałem, że jest to osoba zdolna spisać naszą historię i że jej właśnie potrzebujemy. Niech mi pan powie, doktorze, dlaczego istoty tak proste jak my, czują tak nieodpartą potrzebę posiadania własnej historii. Nie dla innych, ale dla nas samych. Jill z chęcią napisałaby naszą historię dla innych, ale nie dopuścilibyśmy do tego. Na szczęście robi to na nasz użytek.

— Nie jestem psychologiem — wtrącił Tennyson — więc nie mogę być pewien, ale wydaje mi się, że po prostu chcecie mieć historię czegoś, z czego jesteście bardzo dumni.

— To prawda — odparł kardynał. — I mamy ku temu powody.

— Oraz dlatego, że chcecie utrwalić swoją obecność w taki sposób, aby nigdy nie została zapomniana. Dzięki temu być może za milion lat inne formy życia dowiedzą się, że byliście tutaj lub że nadal tutaj jesteście, naturalnie jeśli przetrwacie jeszcze milion lat.

— Przetrwamy — rzekł z pewnością w głosie Theodosius. — Jeśli nie ja, jeśli nie moi koledzy, to przynajmniej Watykan. Wy, ludzie, stworzyliście na Ziemi korporacje ekonomiczne, które zyskały własną osobowość i pozostały aktywne przez tysiące lat. Ci, którzy założyli i prowadzili te korporacje, zmarli, ale one zostały — Kontynuowały swoją pracę, gdyż były ideą wyrażoną w sposób materialny. Watykan nie jest korporacją, ale jest do

niej podobny. To również idea wyrażona w sposób materialny. Przetrwa. Może zmieni się, może będzie miał swoje wzloty i upadki, może zostanie zmuszony do ewolucji, może przejdzie wiele kryzysów, ale idea nie umrze. Niełatwo jest zniszczyć ideę, doktorze Tennyson.

— To wszystko pięknie brzmi, Wasza Eminencjo — przerwał ponownie Tennyson — i nie mam zamiaru polemizować z pańskimi poglądami. Przyszedłem tu jednak, żeby porozmawiać z panem o Jill. Chciałem panu powiedzieć...

— A tak, Jill — przypomniał sobie kardynał. — To naprawdę pech. Została wmieszana w sam środek całej tej afery ze świętymi. Z pewnością jest to dla niej krępujące. Wszyscy krzyczą na jej widok, głosząc cud. Nie mogą wytrzymać mając przed oczami dowód cudownego ozdrowienia. Jest pan lekarzem, może mi pan wytłumaczyć, jak to się stało? Cała ta sprawa z Mary, która miała uzdrowić Jill to oczywiście stek bzdur i nie uwierzę...

— Wasza Eminencjo — przerwał niegrzecznie Tennyson. — Przyszedłem powiedzieć panu, że Jill znikła. Wszędzie jej szukałem. Myślałem, że może pan...

— Biedna dziewczyna — westchnął kardynał. — Niewątpliwie ukryła się przed tymi fanatykami krążącymi po ulicach.

— Ale dokąd mogła pójść? Znała zaledwie parę miejsc na Końcu Wszechświata. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się to możliwe.

— Niech mi pan powie szczerze, doktorze, w jaki sposób wydarzył się ten tak zwany cud? Co usunęło znamię? Na pewno nie była to Mary, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. To musiało być coś innego. Jest pan lekarzem, ma pan pewnie jakiś pogląd na to, co się stało. Uważa pan, że to spontaniczna emisja,

samouleczenie?

— Cholera jasna. Wasza Eminencjo, nie mam zielonego pojęcia. Przyszedłem tutaj, bo uważałem, że jest pan w stanie mi pomóc. Chcę wiedzieć wszystko, co mogłoby pomóc mi ją odnaleźć.

— Szukał pan w bibliotece?

— Tak, szukałem w bibliotece. Szukałem wszędzie.

— W małym ogródku przy klinice?

— Tak. Mówiłem już. Szukałem wszędzie. Dużo pan z nią rozmawia, często pan do niej chodzi do biblioteki. Czy kiedykolwiek wspominała...

W tym momencie rozległo się głośnie walenie do drzwi. Tennyson poszedł zobaczyć, co się dzieje.

Zaskoczony strażnik uchylił nieco drzwi, żeby zobaczyć, kto się tak dobija. W tej samej chwili osoba stojąca po drugiej stronie pchnęła mocno drzwi usuwając go z drogi. Do pokoju wpadł robot ubrany w habit mnicha.

— Nestor! — wrzasnął. — Wasza Eminencjo, Nestor!

Kardynał podniósł się ze swego fotela.

— Nestor! — zagrzemiał. — Co, Nestor? Przestań już ujadać i powiedz wreszcie, o co chodzi.

— Nestor nadchodzi! — krzyknął zdenerwowany mnich. — Idzie główną aleją!

— Skąd wiesz, że to Nestor? Widziałeś kiedyś Nestora?

— Nie, Wasza Eminencjo, ale ludzie mówią, że to Nestor. Wszyscy uciekają w popłochu i kryją się, gdzie mogą. Boją się.

— Jeśli to rzeczywiście Nestor, mają całkowitą słuszność.

Przez otwarte drzwi dobiegł ich odgłos dalekich krzyków.

— Idzie główną aleją? — spytał Tennyson. — Do Bazyliki?

— Tak, doktorze — odparł nieco spokojniej mnich. Tennyson

zwrócił się do kardynała:

— Nie uważa pan, że powinniśmy wyjść i zobaczyć, czego on chce?

— Nic z tego nie rozumiem — rzekł zdezorientowany kardynał. — Żaden z Nestorów nie przyszedł nigdy do Watykanu. Na samym początku, gdy tylko tu przybyliśmy, od czasu do czasu z daleka widywaliśmy któregoś z nich. Nie staraliśmy się jednak zbliżać za bardzo. Nie prowadziliśmy też z nimi żadnego handlu. Nigdy nie sprawialiśmy im żadnych problemów i oni też trzymali się od nas z daleka. Dopiero później, kiedy zaczęły już krążyć pierwsze mity, słyszało się jakieś straszne opowieści o nich.

— Niewątpliwie jednak zabili mojego poprzednika, młodego lekarza i dwóch ludzi, którzy wybrali się z nim.

— To prawda, ale ci idioci wybrali się na polowanie. A na Nestora nie można zapolować. Po prostu nie można. To był pierwszy i jak dotąd jedyny przypadek, kiedy Nestor skrzywdził któregoś z nas.

— W takim razie są powody by twierdzić, że ten, który przychodzi dzisiaj, nie chce nam zrobić nic złego.

— Wątpię, żeby przyszedł nam coś zrobić — rzekł kardynał — ale kto może za niego ręczyć? Ludzie mają Prawo bać się Nestorów. Znają ich przecież jedynie z opowieści. Takie mają o nich wyobrażenie.

Idzie pan ze mną czy nie?

Chce pan konfrontacji z Nestorem?

— Nie konfrontacji. Spotkania.

— Cóż, w takim razie chyba pójdę z panem — odparł Theodosius. — Ale ostrzegam, nie będzie tam nikogo oprócz nas dwóch.

— To wystarczy — odrzekł Tennyson. — Czy potraficie się z

nim komunikować?

— Stare legendy mówią, że z Nestorami można rozmawiać.

Tennyson ruszył do drzwi. Za nim szedł Theodosius, strażnik i mnich trzymający się jednak w dość dużej i prawdopodobnie bezpiecznej odległości.

Kiedy tak szli korytarzami prowadzącymi do wyjścia z pałacu papieskiego, Tennyson usiłował przypomnieć sobie, co opowiadano mu o Nestorach. Wyglądało jednak na to, że nie było tego wiele. Nestorowie byli tutaj, na Końcu Wszechświata, od momentu, gdy przybyły roboty. Pomędzy Nestorami i mieszkańcami Watykanu zdarzały się jedynie przypadkowe kontakty wzrokowe. Przez lata opowieści o Nestorach jako o żarłocznych zabójcach urosły do rangi mitu, opowiadanego ciemną nocą przy kominku. Tennyson nie miał jednak najmniejszego pojęcia, czy w historiach tych było choćby ziarno prawdy. Szczerze powiedziawszy, w czasie całego swojego pobytu na Końcu Wszechświata bardzo mało dowiedział się na temat Nestorów.

Wyszli z pałacu. Niedaleko, po ich prawej stronie stała masywna bazylika, do której wiodła szeroka, kamienna aleja biegnąca ze wschodu. W alei nie widać było ani jednego człowieka czy robota, Tennyson nigdy jeszcze nie widział takiego obrazka. Na najwyższych piętrach budynków po obu stronach alei wychylały się ciekawskie głowy ludzi i robotów wypatrujących Nestora. Wkoło panowała martwa cisza, przerywana tylko od czasu do czasu dalekimi krzykami i zawodzeniem.

Wtem na końcu alei pojawiła się przysadzista postać, równie szeroka, co wysoka. Z miejsca, w którym stali, nie wydawała się ona zbyt wielka, jednak Tennyson uzmysłowił sobie, że jeśli

wynurzyła się w ten sposób w takiej odległości, to musiała być rzeczywiście ogromna.

Pospieszył w dół po schodach prowadzących do alei w kierunku bazyliki. Kardynał z ledwością za nim nadązał, a strażnik i mnich dawno już pozostali w tyle.

Weszli po szerokich kamiennych schodach znajdujących się u stóp bazyliki i stanęli w oczekiwaniu na Nestora.

— Doktorze — rzekł kardynał ze zdziwieniem — to coś obraca się dookoła własnej osi.

Miał rzeczywiście rację. Tennyson ocenił, że jest to ogromnej wielkości kula unosząca się w powietrzu na wysokości jakichś sześciu metrów. Obracała się wokół własnej osi i jednocześnie poruszała do przodu. Powierzchnia kuli pozostawała czarna i gładka, od czasu do czasu można było jednak zauważyć w niej jakieś wcięcia. Obiekt pozostawał zawieszony około pół metra nad powierzchnią drogi.

— Dziwne — powiedział wolno kardynał. — Bardzo dziwne — powtórzył. — Widział pan kiedyś coś podobnego, doktorze?

— Nie, nigdy — odparł Tennyson. — Wygląda pan na zaskoczonego, czyżby pan też nigdy nie widział Nestora?

— Jak już panu powiedziałem, widzieliśmy je dawno temu, kiedy po raz pierwszy tu przybyliśmy. Opowieści głoszą, że mają kulisty kształt, ale jak wiadomo takim opowieściom nigdy nie należy dawać wiary. Ja osobiście nie widziałem jeszcze Nestora.

Nestor obniżył się, dotknął kamiennego bruku i stanął, obracając się nadal w kółko, u stóp schodów.

— Te wgłębienia na jego powierzchni to pewnie receptory czuciowe — powiedział cicho Tennyson. — Wzrok, słuch, węch i Bóg wie co jeszcze.

Kardynał nie odpowiedział. Stał wyprostowany jak żołnierz na

służbie, nie kryjąc się w fałdach szat, jak to miał w zwyczaju.

Nestor wysunął ramię po swojej prawej stronie. Wyrosło ono po prostu z jego boku i wydłużyło się. Na samym końcu widniało coś, co można było w pewnym przybliżeniu nazwać przerośniętą dłonią. Włożył ją do kieszeni, która do tej pory pozostawała niewidoczna, wyciągnął coś zaciskając to w pięści, po czym położył przedmiot na bruku. Przedmiotem tym było ciało ludzkie. Powoli palce wielkiej dłoni wyprostowały bezwładne ciało i obróciły je na plecy.

— Mój Boże — krzyknął Tennyson. — To Decker!

Zszedł parę stopni w dół i zatrzymał się. Dłoń Nestora ponownie zanurzyła się w kieszeni i wyciągnęła przedmioty przyniesione razem z Deckerem — strzelbę, zwinięty śpiwór, torbę podróżną, siekierę i zniszczony kociołek na kawę.

Po lewej stronie Nestora wyrosło drugie ramię, które sięgnęło do innej kieszeni. Wydobyło stamtąd inny obiekt i położyło go na chodniku, obok ciała Deckera. Był to robot z urwaną górną częścią metalowej czaszki. Razem z nim na bruku pojawiła się kolejna strzelba.

Nestor wciągnął ramiona do wewnątrz swego ciała i znów przybrał kształt kuli.

Zaczął wydawać z siebie warkot przypominający odgłos wibrującego bębna. Warkot ten wkrótce wypełnił powietrze i wydawało się, że to ono z kolei wibruje teraz samo z siebie. W hałasie tym dały się słyszeć ludzkie słowa, wypowiedane powoli, niskim głosem.

— Jesteśmy strażnikami — powiedział. — Pilnujemy tej planety. Nie dopuszczamy tutaj zabijania.

Możemy jeszcze zgodzić się na zabijanie dla zdobycia pożywienia i utrzymania się przy życiu, ponieważ dla niektórych



jest to nieodzowna część życia. Tym niemniej nie tolerujemy żadnych motywów zabijania.

Po tych słowach warkot ucichł.

Zaraz jednak hałas znów przybrał na sile i Nestor kontynuował:

— Żyliśmy z wami w pokoju. Chcemy tak żyć dalej. Nie pozwólcie, aby zdarzyło się to jeszcze kiedykolwiek.

— Ależ, Sir — krzyknął Tennyson — dopiero co zabiliście trzech ludzi.

Warkot nasilił się.

— Przyszli, żeby na nas zapolować. Myśleli tylko o tym, a my nie mogliśmy na to pozwolić. Nikt nie może nas zabić. Zrobiliśmy to w obronie własnego życia. Zabiliśmy, ponieważ ludzie ci byli na tej planecie osobami niepożądanymi.

Hałas ucichł, a Nestor zawirował w powietrzu. Zaraz po tym zaczął oddalać się alejką.

Tennyson rzucił się na dół po schodach i przykląkł przy Deckerze z nadzieją, że być może tli się w nim jeszcze resztką życia. Decker był jednak martwy i to od wielu godzin.

Tennyson spojrział w górę na kardynała Theodosiusa, który powoli, w zamyśleniu schodził po schodach. Za sobą usłyszał stukot szybko zbiegających stóp. Kiedy spojrział w tamtą stronę, zauważył Ecuyera.

— Jill wróciła — krzyknął do niego Ecuyer. Pracodawca Tennysona zatrzymał się zdyszany przy Deckerze.

— Mówi, że była w świecie równań. Mówi... — Przerwał i spojrział w przerażeniu na to, co leżało na bruku. — Co to? — spytał nieprzytomnie.

— Decker nie żyje. Nestor go przyniósł.

— A więc to był Nestor — rzekł Ecuyer. — Opowiadają o nich

tyle historii. Ale co się stało?

Tennyson wskazał głową na drugie ciało leżące na bruku.

— Nestor przyniósł również tego tutaj. To robot z odstrzelonym czubkiem głowy.

Ecuyer podszedł do robota, zatrzymał się i przyjrzał się mu dokładnie.

— Jason — rzekł z wahaniem — czy wiesz, kto to jest?

— Po prostu robot. Nie wiem...

— To przecież nasz Hubert — odpowiedział sam sobie Ecuyer.

— Ten, który przygotowywał ci posiłki i sprzątał mieszkanie, który cały czas się tobą opiekował.

## ROZDZIAŁ 43

Wiemy już, co się zdarzyło — rzekł Tennyson. — Decker został trafiony w górną część klatki piersiowej. Uszkodzone zostało jedno płuco. Zmarł zapewne chwilę potem. Ale zanim zmarł, udało mu się oddać jeszcze jeden celny strzał w kierunku Huberta. Kula trafiła robota w oko i rozerwała górną część czaszki. Mózg został zniszczony. Została z niego tylko płatanina kabli i obwodów. Prawdopodobnie zginął w tym samym momencie.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego do siebie strzelali — rzekł Ecuyer. — Hubert? Dlaczego Hubert? To prawda, był małym, denerwującym indywiduum. Miał swoje wady jako sługa, ale robił wszystko, co należało do jego obowiązków. Byłem z niego bardzo zadowolony. Zresztą pracował u mnie od lat. A Decker, do diabła, przecież on chyba nawet nigdy wcześniej na oczy nie widział Deckera. Oczywiście wiedział, kto to jest. Każdy na Końcu Wszechświata wie, kim jest Decker.

— Strzelba użyta przez Huberta, była tą samą, którą wziął doktor w czasie swojego polowania na Nestora. Ciekawe, skąd i w jaki sposób Hubertowi udało się wydobyć tę strzelbę.

— To akurat nie był żaden problem — odparł Ecuyer. — Roboty prawdopodobnie gdzieś ją upchnęły P° tym, jak przyniesiono ją razem z ciałami doktora i jego towarzyszy. Nikt nie zwracał większej uwagi na strzelbę. Przecież roboty nie używają broni palnej.

— Jeden z nich właśnie to zrobił — przerwał mu z goryczą w głosie Tennyson. — Cholerny pech, Decker był dobrym człowiekiem. Lubilem go. Był moim przyjacielem. Jedyłą jego

wadą było to, że wiedział, gdzie jest Niebo.

— Co do tego się zgadzam — rzekł Ecuyer. — Nie wierzę jednak, by Hubert wdał się w jakieś konszachty z teologami. Nie mam pojęcia, co myślał o całej tej sprawie, nigdy z nim na ten temat nie rozmawiałem, ale nie był on typem robota, który...

— Może słyszał, jak rozmawialiśmy — wtrąciła Jill. — Zawsze przecież chował się gdzieś za rogiem podsłuchując. Może usłyszał, jak jedno z nas mówiło, że istnieje szansa na to, by Decker wyjawiał nam, gdzie jest Niebo.

— Tak, to prawda — potwierdził Ecuyer. — Zawsze podsłuchiwał. Wchłaniał w siebie po prostu wszelkiego rodzaju informacje. Miał świra na punkcie plotek, a Watykan to przecież jedna wielka fabryka plotek. Tym niemniej był ze mną przez wiele lat, zanim pożyczyłem go tobie, Jason, i przysięgłbym, że nie skrzywdziłby nawet muchy.

— Więc pomyliłbyś się — zauważyła Jill. — Chociaż nie była to mucha.

— Musicie spojrzeć na to w ten sposób — rzekł Tennyson. — Oba sześciany zniknęły, co według mnie oznacza, że zostały skradzione. Decker został zamordowany, a kiedy przeszukiwaliśmy jego mieszkanie, nie znaleźliśmy nic, co wskazywałoby na to, że wie, gdzie ukryte jest Niebo. Ktoś, może Hubert, może ktoś inny, przeszukał chatę przed nami i prawdopodobnie znalazł dowody, że Decker posiada ważne informacje. Jeśli jednak nie udało się temu komuś odnaleźć takich dowodów, oznaczałoby to, że Decker ukrył je gdzieś. Natomiast jeżeli złodziejasek odnalazł je, z całą pewnością możemy stwierdzić, że nasze szansę na dotarcie do nich są więcej niż nikłe. Podejrzewam, że zostały one zniszczone razem z obydwoma sześcianami. W takiej sytuacji, kiedy pozbawiono nas

obu sześcianów, materiałów posiadanych przez Deckera i wreszcie jego samego, nie mamy praktycznie żadnych szans dotarcia do Nieba.

— Może Mary... — wtrąciła niepewnie Jill.

— Wątpię — odparł Tennyson. — Jest nieprzytomna. Być może nie dożyje rana. Szok wywołany wyjściem na spotkanie bandzie fanatyków spowodował, że upadła i musiano z powrotem zanieść ją do łóżka.

— W takim razie jesteśmy w kropce — podsumowała Jill.

— Teologowie za to mają pole do popisu — dodał Ecuyer. — Jeśli Mary umrze, będzie im jeszcze łatwiej przekonać wszystkich do jej kanonizacji. Przecież nie było jeszcze dotąd żywych świętych. Kiedy jednak umrze, doprowadzą sprawę do szczęśliwego dla nich końca. Watykan będzie wreszcie miał swojego pierwszego świętego, nikt nie będzie zgłaszał wątpliwości co do istnienia Nieba i...

— Ale kardynałowie mogą stanąć na przeszkodzie temu planowi, prawda? — spytała Jill. — Jestem pewna, że wielu z nich jest przeciwko takiemu rozwojowi sytuacji. W każdym razie na pewno Theodosius.

— Wątpię, żeby udało się im zapobiec czemukolwiek — rzekł Ecuyer. — Nie będą chcieli ryzykować buntu na dużą skalę. Mogą się oczywiście sprzeciwić i uniemożliwić kanonizację, ale doprowadziłoby to do rozruchów na Watykanie. A jak wiesz, Watykan musi zawsze być miejscem idealnego spokoju, świętym zakątkiem. Niezależnie od tego, co się przydarzy, kardynałowie muszą przede wszystkim stać na straży takiego wizerunku.

— Jeśli teologowie zwyciężą, a wszystko wskazuje na to, że właśnie tak się stanie — rzekł Tennyson — Program Poszukiwań zostanie zakończony, a bez niego...

Ecuyer przerwał mu:

— W obliczu takich zmian, kardynałowie podejmą działania zgodne z planowaniem dalekosiężnym. Zgodzą się na chwilową przerwę w pracy po to, aby w czasie nadchodzących wieków doprowadzić Watykan do sytuacji sprzed całego tego zamętu. Roboty nie zwracają w ogóle uwagi na czas. Mają go dosyć.

— Musisz pamiętać, że kardynałowie, którzy z przychylnością patrzą na Program Poszukiwań, mogą nigdy nie zdołać uruchomić go ponownie — zauważył Tennyson. — W każdym razie nie za twojego życia. Albo zrobisz coś teraz, albo przegrasz z kretesem.

— Wiem — odparł smutno Ecuyer. — Myślę... — Odwrócił się do Jill: — Jason wspominał coś o istocie zwanej Szeptaczem i o tym, w jaki sposób udało im się dostać do świata równań. Jak słyszałem, ty też tam byłaś i to dokładnie wtedy, gdy cię szukaliśmy.

— Myślę, że możemy mu o tym powiedzieć — rzekł Tennyson do Jill. — Decker nie żyje i nie musimy dłużej trzymać tego w tajemnicy.

— Chyba tak, zresztą co to za tajemnica — odparła Jill.

— Myślę, że Decker miał wiele tajemnic — rzekł Ecuyer. — Był bardzo zamkniętym w sobie człowiekiem. Jednak od momentu, gdy Jason opowiedział mi o waszych przygodach, zastanawiałem się...

— ... czy Szeptacz mógłby nas zabrać do Nieba — dokończyła Jill. — Wątpię. Zabrał Jasona do świata równań, bo Jason widział sześcian. Ja go nie widziałam,

— ale Szeptacz mógł mnie tam wziąć, bo on z kolei znał ni drogę. Jason pokazał mu, jak tam dotrzeć, a on to zapamiętał.

Nie potrzebuje jednak współrzędnych.

Rzeczywiście, nie potrzebuje. Dla świata równań nie mieliśmy współrzędnych, kiedy jednak obejrzał wspomnienia Jasona, wiedział już, jak tam trafić. Musi używać czegoś innego niż my w charakterze współrzędnych.

— Dlaczego w takim razie nie możecie iść do Nieba?

— Bo Szeptacz musi znaleźć się w mózgu osoby, która oglądała sześcian zawierający zapis danego miejsca — wyjaśnił Tennyson.

— W mózgu? Naprawdę?

— Zgadza się.

— Dlaczego w takim razie nie miałyby się dostać do mózgu Mary? Nawet jeśli jest nieprzytomna.

— Bo jest nieprzytomną, a więc nie posiada żadnych wspomnień. Jej mózg nie funkcjonuje. A nawet gdyby nie była nieprzytomna i czuła się dobrze, prawdopodobnie i tak nie mógłby przeniknąć do jej mózgu.

— To znaczy...

— Słuchaj Paul — westchnął Tennyson zmęczony tłumaczeniem — Szeptacz nie mógł przedostać się do mózgu Deckera, mimo że byli sobie przecież bardzo bliscy.

— Ale udaje mu się dostać do umysłu twojego i Jill. Dlaczego?

— Nie wiem. Sam długo się nad tym zastanawiałem. Większość ludzi nie może nawet dostrzec Szeptacza. Na przykład ty. Szeptacz próbował się z tobą zapoznać, ale nie udało mu się. Pokazał ci się, ale nawet 8° nie zauważyłeś.

— Skąd wiesz?

— Mówił mi. Wydaje mi się, że próbował już z wieloma ludźmi na Końcu Wszechświata, z tym samym rezultatem. Nigdy nie próbował z robotami. Mówi, że mają inny rodzaj umysłu, może nawet inny rodzaj postrzegania świata zewnętrznego. Już od dawna wędruje wokół Watykanu, starając się zebrać jakieś

informacje. Ma kota na punkcie informacji. Jego życiowym celem jest zrozumienie zasad funkcjonowania wszechświata. Udało mu się zdobyć jakieś strzępki danych z Watykanu. Ciężko na to pracuje.

— Watykan już od dawna świadom jest, że ktoś wokół niego węszy — rzekła Jill. — „Jak myszka podgryzająca ważący tonę kawałek sera.” Tak to określili Theodosius. Nigdy jednak nie udało mi się dowiedzieć, kto lub co to jest. Bardzo się tego obawiają. Wygląda na to, że na razie błędzą po omacku.

— W takim razie nie mamy żadnych szans — zauważył Ecuyer.

— Nie ma co do tego wątpliwości — potwierdził Tennyson.

— Tylko sięść i płakać — rzekł smutno Ecuyer. — Boże, kiedy pomyślę o wszystkim, czego mogliśmy dokonać. Krążyliśmy po całym wszechświecie. Teraz to wszystko zostanie wyrzucone na śmietnik z powodu idiotycznego poszukiwania prawdziwej religii.

Tennyson poruszył się niespokojnie na krześle.

— Chciałbym ci jakoś pomóc. Jill chyba też. Mam wrażenie, że cię zawiodłem.

— Nie — zaprzeczył szybko Ecuyer. — To nie wasz problem.

— Właśnie że również nasz — nie zgodził się Tennyson. — To równie dobrze problem ludzi, co Watykanu. Chyba każdy na tym ucierpi. Nie wiem. Wszelkie formy życia zyskałyby, gdyby udało nam się uzyskać jakieś odpowiedzi.

— Może wymyślimy jeszcze jakiś sposób kontynuowania programu — rzekła Jill z zapałem. — Nie powinniśmy się poddawać. Mogę porozmawiać z moim znajomym kardynałem, który na pewno mnie posłucha.

— To na pewno wszystko załatwi — zaszydził Ecuyer. — Zbyje



cię byle czym. Powie: „Wszystko się jakoś ułoży, nie martw się, dziecko. W dalszej perspektywie wszystko wróci do normy”.

Tennyson podniósł się.

— Powinienem zobaczyć, co dzieje się u Mary.

— Pójdę z tobą — rzekł Ecuyer. Zwrócił się do Jill: — Idziesz?

Jill ocknęła się z zamyślenia.

— Nie, chyba nie. Przygotuję coś na obiad. Wpadniesz do nas Paul?

— Nie, dziękuję. Bardzo bym chciał, ale mam mnóstwo pracy.

Kiedy wyszli na zewnątrz odezwał się do Tennysona:

— Nie chciałem przy niej pytać, co z jej twarzą? Co się zdarzyło tak naprawdę?

— Kiedyś opowiem ci całą tę historię — przyrzekł Tennyson.

## ROZDZIAŁ 44

— Naprawdę bardzo chciałbym ci to wszystko opowiedzieć — rzekła Jill do Tennysona — ale kiedy tylko o tym myślę, brakuje mi słów. Takie dziwne rzeczy się tam działy. Tak jak ci mówiłam, patrzyłam na ten dziwny rysunek z zygzakiem po jednej stronie i wiedziałam, że to ja, a zygzak to znak zapytania. Pytał się mnie czym jestem, a ja usiłowałam wymyślić jakąś odpowiedź. Wtedy, z głębi mego umysłu przemówił Szeptacz. Powiedział, że od tej chwili on będzie prowadził konwersację.

— I zrobił to?

— Tak. Był wewnątrz mego mózgu, właściwie mieliśmy jeden mózg, więc wiedziałam dokładnie, co się dzieje, chociaż nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Tysiące lat temu było urządzenie zwane telegrafem, dzięki któremu ludzie rozmawiali ze sobą za pośrednictwem kliknięć przesyłanych po kablach. Mogłeś stać, słuchać tego tykania i nie mieć zielonego pojęcia, o czym rozmawiają, ponieważ nie znałeś odpowiedniego kodu. To coś takiego jak rozmowa dwóch obcych, słyszysz słowa, wszystkie te mlaskania i inne dziwne odgłosy, jakich używają do komunikacji między sobą, lecz nie wiesz, o czym mówią, bo nie znasz języka.

— Telegraf? Rzeczywiście słyszałaś jakieś klikanie?

— Chyba tak, ale słyszałam też mnóstwo innych odgłosów, które wydawałam ja sama, nie wiedząc nawet jak i kiedy. Różne śmieszne myśli przelatywały przez mój mózg, tak jakby to były moje własne myśli, chociaż z pewnością należały do Szeptacza. Od czasu do czasu wydawało mi się, że zaczynam rozumieć treść dyskusji, szybko jednak gubiłam się w tym wszystkim i sytuacja

wracała do normy. Gdybym nie wiedziała, że w moim mózgu jest Szeptacz, zwariowałabym zastanawiając się, w jaką też dziwną istotę się przeistoczyłam. Na szczęście tak się nie stało. Nie byłam nieprzytomna, mój mózg wydawał się pracować zupełnie normalnie, chociaż niewątpliwie byłam trochę oszołomiona. Czasami zdawało mi się, że jestem kimś zupełnie innym, a czasami znowu czułam się, jakbym stała z boku i przyglądała się wszystkim tym śmiesznym rzeczom, które robiło moje drugie „ja”. Przez cały ten czas blok razem z innymi zgrupowanymi za nim wyświetlał powoli na swojej powierzchni różne bardzo proste, rzekłabym nawet podstawowe równania i rysunki, co sprawiało wrażenie, jakby mówił do dziecka. Pomyślałam sobie: no proszę, jest równie zdezorientowany jak ja. Wie dokładnie tyle, co ja”. Najwyraźniej klikanie, chrząkania i stukania, jakie z siebie wydawałam, nie wydawały mu się jakimś sensownym językiem komunikacji, podobnie jak dla mnie jego wykresy i równania.

— Szeptacz pewnie coś z tego rozumiał — rzekł Tennyson. — To przecież on wtedy kontrolował sytuację. — Był czymś w rodzaju podwójnego tłumacza.

— Według mnie jako tłumacz nie wypadł najlepiej — odparła Jill. — Chociaż chyba masz rację. Pracował na obie strony. Podeszliśmy blisko, to znaczy ja podeszłam blisko do bloku i przyglądałam się z bliska wyświetlanym obrazom. Od czasu do czasu wskazywałam Palcem na równanie czy rysunek, tak jakbym pytała, co to jest. W takich momentach, blok zaczynał wyświetlać wszystko od początku, cierpliwie starając się wyjaśnić nam, o co mu chodzi. Czasami musiał powtarzać operację parokrotnie, zanim Szeptacz zrozumiał.

— Ale ty nic z tego nie rozumiałaś?

— Wydaje mi się, że troszeczkę. Powiedziałabym, że momentami łapałam, o co chodzi. Większość jednak od razu zapomniałam, bo nie był to rodzaj informacji, które umysł ludzki chwyta za pierwszym razem. Część była zupełnie bezsensowna, przynajmniej według ludzkich zasad myślenia. Nie można było znaleźć w tym ani odrobiny logiki. Wiesz, co myślę, Jason?

— Nie, co?

— Myślę, że świat równań funkcjonuje na zasadzie zmiennej konstrukcji logicznej. Jakieś zdanie może być logiczne w jednym kontekście, ale zupełnie bezsensowne w innym. To strasznie denerwujące. Kiedy złapałam za ogon jakiś kawałek informacji, pojawiała się coś, co sprawiało, że znowu gubiłam się w domysłach. Nie wiem. Naprawdę nie wiem, czy to ma jakiś sens. Wtedy była pewna, że rozumiem niektóre wypowiedzi, ale akurat teraz zupełnie ich nie pamiętam. Szeptacz powiedział, że chce, abym z nim poszła, bo mój punkt widzenia może być różny od twojego i chyba rzeczywiście tak było. Przecież nic takiego ci się nie przydarzyło, prawda?

— Nie. Nie miałem zielonego pojęcia, co się wokół mnie dzieje.

— Właściwie różnica nie musiała polegać na tym, że jesteśmy tak bardzo inni — zastanowiła się Jill. — Chodziło raczej o Szeptacza. Był tam już dwa razy. Prawdopodobnie już za pierwszym razem zaczął coś rozumieć. Być może, gdyby poszedł tam z tobą drugi raz, ty także mogłabyś nawiązać kontakt z blokami. — pewnie zastanawiał się nad tym od momentu, gdy wróciliście.

— Jill, przykro mi, że musiałaś przez to przechodzić. Nie było żadnego powodu, żeby cię w to wciągać, powiedziałem przecież Szeptaczowi, żeby trzymał się od ciebie z daleka. Mówił mi, że z tobą poszłoby mu prawdopodobnie równie dobrze jak ze mną,

ale wydałem mu wyraźne polecenie...

— Tak, wiem. Mówił mi o tym.

— Nie wiesz, gdzie jest teraz?

— Nie wiem. Wróciłam w momencie, gdy najmniej się tego spodziewałam. Znalazłam się w moim mieszkaniu. Tam zaczęliśmy wyprawę. Szeptacza nie było ze mną. Nie było go ani w pokoju, ani w moim umyśle. Nie wiem, dlaczego byłam tego taka pewna, ale po prostu go tam nie było.

— Ciekaw jestem, czy wie, że Decker nie żyje. To chyba będzie dla niego bolesne. Byli starymi kumplami. Decker udawał, że nie zależy mu na tej przyjaźni, ale wcale tak nie było. Często myślał o Szeptaczu.

Jill podniosła dzbanek z kawą i napełniła filiżankę Tennysona.

— Zrobiłam ciasto — powiedziała — chcesz spróbować?

— Później — odparł. — Trochę później. Ta pieczeń, którą przyrządziłaś...

— Dobra była, co?

— Przepyszna, wspaniała.

— Jason, myślisz, że to teologowie zabili Deckera?

— Na to by wyglądało. Sześciocy zniknęły, Decker nie żyje. Wzięli sprawy w swoje ręce. Gdybyśmy tylko mieli kostki, to Szeptacz mógłby zabrać nas do Nieba. Nie potrzebujemy współrzędnych. Jest w stanie odnaleźć drogę mając bardzo niewiele informacji o miejscu docelowym. Jest jak pies gończy. Jeśli był w stanie zabrać nas do świata równań, to na pewno mógłby też zaprowadzić nas do Nieba. Jest jeszcze tak wiele miejsc, do których może nas przenieść.

— Jason, a może nie mamy racji? Ty, ja, Paul? Może to teologowie watykańscy ją mają? Może znalezienie prawdziwej religii jest ważniejsze od znajomości wszechświata?

— Myślę, że najpierw trzeba by ocenić, co jest bardziej przydatne. Watykan podjął decyzję dawno temu, a teraz ktoś stara się zmienić bieg wydarzeń. Decyzja brzmiała: najpierw trzeba osiąść wiedzę, aby można było szukać prawdziwej religii. Być może nie była to trafna ocena, nie wiem, według mnie jednak tak właśnie trzeba postępować.

— Może już nigdy się nie dowiemy.

— Ty i ja na pewno. Ale ktoś kiedyś odkryje prawdę.

— A co teraz?

— Nie ma możliwości rozstrzygnięcia tej kwestii.

— Jason, coś sobie przypomniałam. Coś ze świata równań.

— Może z czasem przypomnisz sobie wszystko.

— Czułam się zmęczona, chciałam odpocząć. Mówi ci to coś?

— Niewiele — odparł Tennyson. — Ale spokojnie. Twój nad wyraz ludzki umysł stara się przetłumaczyć obce koncepcje na terminy używane przez ludzi.

— Jest jeszcze coś. Coś o grach i zadowoleniu z pojawienia się nowej zabawy.

— Prawdopodobnie chodziło o coś zupełnie innego, ale i tak udało nam się czegoś dokonać. Zdziałałaś o wiele więcej niż ja. Może Szeptacz, kiedy się wreszcie pojawi, będzie mógł ci pomóc w wyjaśnieniu wspomnień.

— Może. Musiał przecież zrozumieć o wiele więcej niż ja.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy Tennyson otworzył je, zauważył, że na zewnątrz stoi Theodosius.

— Jak miło, że pan zechciał nas odwiedzić — rzekł Tennyson. — Proszę wejść, jesteśmy zaszczyceni.

Kardynał wszedł, a Tennyson zamknął za nim drzwi.

— Rozniecę ogień — powiedział. — Proszę, niech pan usiądzie, właśnie rozmawialiśmy.

— Chętnie bym się przyłączył do dyskusji, ale obawiam się, że nie mamy czasu. Jego Świątobliwość wzywa was na audiencję.

Jill podeszła do stołu.

— Nie rozumiem.

— Jego Świątobliwość pragnie z wami porozmawiać.

— Ale pan pójdzie razem z nami — spytał Tennyson.

— Zaprowadzę was tam, ale nie zostanę na audiencji. Powiedział wyraźnie, że chce rozmawiać z wami. Tylko z wami.

## ROZDZIAŁ 45

Szeptacz aż podskakiwał ze szczęścia. Cały świat kręcił się w ekstazie. Ześlizgnął się po spiralnym moście strumienia magnetycznego i tańczył z radości w samym środku rozbryzganej chmury jonów. Przebył trudną drogę wiodącą przez samo jądro eksplodującej galaktyki. Udało mu się umknąć promieniowaniu, które emitowała supernowa. Przekoziółkował przez pole pulsarów.

Kiedy dokonał już tego wszystkiego, ukrył się przed czerwonym karłem i wyciągnął wyimaginowane ręce, aby ogrzać je przy gwiazdnym płomieniu. Co ciekawe, czerwony karzeł był jedynym źródłem światła w polu widzenia. Poza nim wszystko było czarne, chociaż gdzieś, w bardzo dużej odległości można było dostrzec połyskiwanie bardzo intensywnego światła, tak jakby poza odległym horyzontem dalekiego kosmosu rozgrywały się jakieś ważne wydarzenia. Otoczony był pustką i nicością. Wyraźnie odczuwał również samotność, która jest nierozłączną przyjaciółką nicości, było to jednak dziwne, gdyż jako wytwór czasoprzestrzeni, w której nie ma miejsca na samotność, nie powinien był jej odczuwać.

Nie wiedział, gdzie jest, i zupełnie się nad tym nie zastanawiał, bo niezależnie od tego, gdzie naprawdę się znajdował, wszędzie czuł się jak w domu. Mógł pójść gdziekolwiek chciał, a i tak czułby się jak u siebie.

Przycupnął przy czerwono-czarnej gwiazdzie i usłyszał pieśń wieczności pulsującą w pustce tego zakątka wszechświata. Poczł lekki zapach odległych istot i pomyślał o osiągnięciach, jakich te istoty dokonały. Każde z nich przypisane było



odpowiedniej formie życia, lecz wszystkie razem, dokonane przez niezliczoną rzeszę najróżniejszych form życia kumulowały się w poszukiwaniu odpowiedzi na najbardziej podstawowe pytania, jakie musiały zostać zadane, aby można było w końcu zadać to ostatnie, najważniejsze pytanie.

Takie było jego dziedzictwo, pomyślał. Spadek oraz cel, do którego dążyło wielu jego pobratymców, a być może i innych istot, które w samotności, ciemności i niewiedzy mozolnie pełzły w stronę światła.

Nagle gwiazda i ciemność znikły i Szeptacz ponownie znalazł się w środku koła utworzonego przez bloki ze świata równań. Odnalazł różowoczerwony blok, za którym stały wszystkie inne. Ściany bloku świeciły pustką, ale kiedy tak się im przyglądał, na jednej z nich pojawiło się równanie, na początku ledwo widoczne, niewyraźne, później jednak coraz bardziej odcinające się od tła. Zaczął usilnie myśleć, starając się zgłębić sens równania, i w końcu zrozumiał je. W tym momencie różowoczerwona tablica oczyściła się i powoli, jakby niepewnie pojawiły się na niej kolejne symbole. Tym razem jednak równanie, które zostało wyświetlone, było jego własnym dziełem transmitowanym do różowo-czerwonego osobnika, dzięki czemu mogło zostać zauważone przez wszystkich innych.

Rozmawiam z nimi, powiedział do siebie Szeptacz i poczuł falę dumy rozpierającą jego umysł. Rozmawiam z nimi w ich własnym języku i na ich własny sposób.

Na powierzchni wszystkich okolicznych osobników pojawiło się to samo równanie. Poczuł wyraźnie ich zaciekawienie i zadowolenie z faktu, że w końcu przybył tu ktoś, kto potrafi porozumieć się z nimi. Prawdopodobnie nigdy nie spodziewali się czegoś podobnego. Tkwili w tym małym zakątku

czasoprzestrzeni, spokojni w swojej samotności, odizolowani od wszystkich innych istot i miejsc, nie oczekiwali odwiedzin, nie podejrzewali, że kiedykolwiek nawiążą kontakt z jakąś inną formą życia. Samowystarczalna społeczność, przygotowana w sercu i duszy na wieczną samotność.

Sporządzone przez niego równanie zostało starte z tablicy, która po chwili zajaśniała kolejnym, pojawiającym się już zdecydowanie, bez wcześniejszego wahania.

Różowoczerwony osobnik odpowiadał mu.

Szeptacz usadowił się wygodniej przed długą rozmową z nowo poznanymi przyjaciółmi.

## ROZDZIAŁ 46

Malutki pokój był zupełnie pusty, posiadał cztery ściany wykute w skale i metalową płytę wmurowaną w ścianę, naprzeciw której stały krzesła. Na płycie powoli ukazała się twarz. Przez chwilę milczała, potem rzekła:

— Miło mi, że przyjęliście moje zaproszenie.

— Ależ to nam jest bardzo miło spotkać się z Waszą Świątobliwością — odparła uprzejmie Jill.

— Mam wielu doradców — kontynuował Papież — którzy czasami dają mi dość sprzeczne rady. Dlatego zdarza się, że jestem dość zakłopotany i nie wiem, jaką podjąć decyzję. Jeśli pozwolicie, chciałbym zasięgnąć waszej opinii. Jak zapewne wiecie, moimi doradcami są roboty. W czasie wielu stuleci mego istnienia pojawiło się również kilku ludzi, lecz nie było ich zbyt wielu i nigdy nie chcieli zbyt otwarcie wyrażać swoich osobistych przemyśleń. Mam teraz oczywiście Ecuyera, ale mimo iż jest on o wiele bardziej cenny niż tuzin innych ludzi, ma tendencję, by patrzeć na wszystko z jednego tylko punktu widzenia. Jest tak zaangażowany w Program Poszukiwań...

— Jest oddanym sługą Waszej Świątobliwości — wtrącił Tennyson.

— Tak, oczywiście. Ale czy mogę was o coś spytać?

Czy jako ludzie, macie coś przeciwko temu, że nazwaliśmy to miejsce Watykanem?

— Ani trochę — odpowiedziała Jill.

— Czy jesteście chrześcijanami?

— To pytanie, które często sami sobie zadajemy — powiedziała wzdychając Jill. — Nie mamy pewności, kim jesteśmy. Tak się

składa, że nasi przodkowie byli chrześcijanami, ale to przecież nic nie znaczy. Równie dobrze mogli być wyznawcami judaizmu, mahometanizmu czy innej wiary praktykowanej na Ziemi.

— Nie jesteście oczywiście tamtym Watykanem — rzekł Papież. — Nie jesteście nawet drugim Watykanem. Określamy się jako Watykan-17, chociaż bardzo rzadko dodajemy tę cyfrę opowiadając o naszym mieście. Podejrzewam, że w czasie gdy budowano naszą osadę istniało jeszcze szesnaście innych Watykanów, rozsianych po wielu systemach gwiazdnych zamieszkałych przez ludzi. Wydaje mi się również, że Watykan na Starej Ziemi jest nadal pierwszoplanowym Watykanem, natomiast wszystkie pozostałe są jedynie jego filiami, jeśli można się tak wyrazić. Filie niewątpliwie mają prawo używać tej nazwy. My natomiast nie prosimy o pozwolenie. Jeśli mielibyśmy zakładać nasze miasto dzisiaj, to wątpię, czy zostalibyśmy przy tej nazwie. Jeśli ja zostałbym dziś zbudowany, to na pewno nie określano by mnie mianem papieża. Kiedy zbudowano Watykan i mnie, roboty dopiero co przybyły z Ziemi, nadal mając w pamięci wielką religię królującą tam. Olśnione były szczególnie majestatem i tradycją wiary katolickiej. Dlatego właśnie miejscu temu nadano nazwę Watykan, a ja zostałem papieżem. Wielu wyższych urzędników kościelnych sprzeciwiłoby się moim słowom, ponieważ nadal są wśród nich tacy, którzy uważają to miejsce za święte. Nazewnictwo zostało zapożyczone ze względu na wielki szacunek i prawdopodobnie nawet umiłowanie do Starego Ziemskiego Chrześcijaństwa. Pomimo że naszym założycielom odmówiono prawa pozostania komunikantami, zachowali oni przywiązanie do starej wiary.

— Rozumiemy — przerwał mu Tennyson. — W pełni zgadzamy się z argumentami robotów dla zapożyczenia

chrześcijańskiej terminologii.

— Jako papież — rzekł Jego Świątobliwość — powinien być najwyższą instancją. Powiniennem znać wszystkie odpowiedzi. Cała nasza społeczność oczekuje ode mnie wskazania drogi dalszej wędrówki. Jako wyspecjalizowany komputer, zaprogramowany zostałem na opracowywanie długofalowych odpowiedzi. Przy zadaniach obliczonych na natychmiastowe wyniki najczęściej gubię się. Zadajcie mi pytanie, które ludzie zadawać sobie będą nawet za dziesięć tysięcy lat, a jeśli dacie mi trochę czasu, z pewnością podam wam z dość dobrym przybliżeniem właściwą odpowiedź. Zapytajcie mnie o decyzję, którą trzeba podjąć jutro, a będę bezradny jak dziecko. Rozumiecie, w czym leży mój problem?

— Tak Wasza Świątobliwość — odpowiedziała Jill.

— Kwestią, która najbardziej mnie dezorientuje, jest wiara. W całej galaktyce, a z pewnością i w całym wszechświecie, wiele różnych form życia opracowało setki religii bazujących na wszelkiego rodzaju koncepcjach i wyznających wszelkiego rodzaju bóstwa. Nie dziwi was, że słyszycie to od papieża?

— Słuchamy z uwagą — odparł wymijająco Tennyson.

— Jak już mówiłem, w całym wszechświecie jest mnóstwo różnych wyznań — ciągnął Papież. — Ze Względu jednak na ich różnorodność żadna chyba znana mi planeta nie dorównuje Ziemi. Jak wam się wydaje się ile oddzielnych wyznań istnieje na Ziemi?

— Nigdy nie liczyłam — rzekła Jill — ale nawet, gdybym to zrobiła, prawdopodobnie zdołałabym zaledwie przypomnieć sobie małą ich część. Tak czy inaczej jest ich dość dużo.

— I żadna z wiar nie zgadza się z inną. Wyznawcy każdej z nich wysuwają swoje koncepcje i gotowi są walczyć na śmierć i

życie oto, że ich wiara jest jedyną prawdziwą religią. Były talie czasy w historii Ziemi, że zwolennicy różnych religii ffycinali w pień swoich oponentów, aby udowodnić swoją rację. Wiara bazująca na przelewie krwi. Wydaje wam się to słuszne? Jak byście to wytłumaczyli?

— Szaleństwem ludzkości — odparł Tennyson. — Istnieje wiele dowodów na to, że jesteśmy rasą krwiożerczą.

— A mimo to roboty kochają was. Wasi ludzie stworzyli moich ludzi. Nasza rasa powstała dzięki waszym umysłom i umiejętnościom. Jesteśmy waszymi potomkami. Dlatego właśnie uważam, że istnieje w was wiele dobrego. Musi w Mas istnieć ogromna dawka szlachetności i miłości.

— Nasi filozofowie przez lata zadawali sobie pytania które Wasza Świątobliwość stawia w tej chwili — odparł Tennyson. — Nie stajemy przed nimi po raz pierwszy.

— Co w takim razie możecie poradzić mi w związku z obecnymi wydarzeniami? Znacie problem, przed którym stanął Watykan. Pytam was jako istota stworzona przez roboty, które z kolei powstały dzięki ludziom. Nie obiecuję, że przyjmę waszą radę. Jest wiele czynników, nad którymi muszę się zastanowić, ale chcę wiedzieć, co o tym myślicie. Dlatego właśnie zaprosiłem tutaj was samych, bez żadnych dodatkowych osób. Odpowiedzcie mi. Mówcie wszystko, co przyjdzie wam na myśl. Pytam was, jako cennych przyjaciół.

— Na początku nie uważaliście nas za przyjaciół — zauważył Tennyson. — Jill znalazła się tutaj jako dziennikarka szukająca historii, którą mogłaby opowiedzieć całej galaktyce, a wy wydawaliście się jej wyjątkowo dobrym tematem. Ja z kolei przybyłem tu jako potępieniec uciekający przed sprawiedliwością i, mimo że udzielono mi schronienia, to jednak

tylko dlatego, że potrzebowaliście lekarza, ponieważ wasz poprzedni doktor został zamordowany.

— Od tamtej chwili jednak obydwoje udowodniliście już wielokrotnie, że jesteście naszymi przyjaciółmi — odparł Papież.

— Identyfikujecie się z Watykanem. Były czasy, kiedy obawialiście się, że nie pozwolimy wam odejść, teraz trudno by was było stąd wyrzucić. Cóż takiego odnaleźliście na Watykanie, co zmieniło wasz punkt widzenia?

— Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć Waszej Świątobliwości — rzekł Tennyson. Może jednak potrafię, pomyślał. Chociaż w jaki sposób mogę to wszystko wytłumaczyć?

— Spokój — odparła Jill. — Spokojne życie i poświęcenie wykonywanej pracy. Chociaż akurat teraz wydaje mi się, że poświęcenie pracy zaczyna zanikać. Poza tym wystarczy popatrzeć na ogród przy klinice, pola zbóż, góry...

— Miałem wrażenie, że nie podobają ci się góry — powiedział do niej Tennyson.

— Już mi się podobają. Oglądałam je parę dni temu i widziałam je takimi, jakimi ty je widzisz.

— W okresie średniowiecza na Ziemi było wiele klasztorów — rzekł Tennyson do Papieża. — Zbierali się w nich mężczyźni, którzy chcieli przeżyć całe swoje życie zgodnie z zasadami chrześcijaństwa. Gdyby spytał pan ich o przyczynę, odpowiedzieliby, że robią to z miłości do Chrystusa, albo że jest to ich sposób służenia Mu. Ale tak naprawdę, jestem przekonany, iż klasztory te były dla nich jedynie schronieniem przed potwornymi wydarzeniami. Odnajdowali tam spokój i ciszę. Nie mówię, że byli niewierzący, lecz po prostu nie zdawali sobie sprawy, że ich pobyt tam miał mniej wspólnego z oddaniem Bogu, niż im się wydawało. Myślę, że dokładnie w takiej samej

sytuacji przybyłem na Watykan, odnalazłem schronienie przed burzliwymi wydarzeniami ciągle walczącej galaktyki.

— I takim właśnie schronieniem chcielibyśmy pozostać — dodał Papież. — Cichym miejscem, w którym będziemy mogli bez przeszkód kontynuować naszą pracę. Tylko pytanie: nad czym powinniśmy pracować?

— Jeśli Wasza Świątobliwość pyta mnie, czy powinniście szukać wiary czy wiedzy, moja odpowiedź brzmi: wiedzy, ponieważ uważam, że wiarę można stworzyć dopiero posiadając ogromny zasób wiedzy, natomiast mając wiarę, w żaden sposób nie można osiągnąć wiedzy. Jest to jednakże moje osobiste zdanie. Jeśli spyta pan dziesięciu, stu innych ludzi, nie wyłączając indoktrynowanych ludzi na Końcu Wszechświata, to na pewno odpowiedzi będą różne. Może zresztą właściwa odpowiedź jest taka, że nie ma prawdziwej odpowiedzi, tak samo jak nie ma prawdziwej wiary.

— A prawdziwa wiedza?

— Myślę, że musi gdzieś być. Ja na pewno nigdy się tego nie dowiem i nie wiem, czy wam się to uda.

— Może nasze dobre roboty popełniły błąd przy mojej konstrukcji — rzekł Jego Świątobliwość. — Może nie udało im się wpoić mi pobożności, którą same odczuwały. Tak czy inaczej myślę, że ma pan rację. Jeśli jednak podejmę taką decyzję, Watykan zostanie rozszarpany na strzępy przez wewnętrzne zamieszki. Przez lata ciągnąć się będzie nieustanna dyskusja i z pewnością nie wszyscy członkowie naszej społeczności pójdą za moją radą, co nie wpłynie najlepiej na wizerunek Papieża. A nie wiem, czy pan wie, że wizerunek Papieża jest bardzo ważny dla każdego z nas.

Na chwilę zapadła cisza.



Wy, ludzie, odczuwacie zarówno miłość, jak i nienawiść — ciągnął Papież. — Ja nie znam żadnego z tych uczuć. Myślę, że to zaleta moja i moich kolegów robotów. Wy macie swoje marzenia, ja mam swoje, lecz nigdy się one nie pokrywają. Wy macie muzykę, malarstwo, literaturę, a ja, mimo że wiem, co to jest, wiem, jakim funkcjom służy, i znam przyjemność, jakiej dostarcza, nie potrafię na nie odpowiednio reagować.

— Wiara sama w sobie może być sztuką, Wasza Świątobliwość — wtrąciła Jill.

— Nie wątpię — odparł Papież. — Zresztą poruszyła pani ciekawą kwestię. W każdym razie trudno powiedzieć, by roboty nie były gorliwymi wyznawcami wiary. Przecież właśnie dzięki swemu oddaniu zbudowały Watykan i od tysięcy lat szukają prawdziwej wiary. Czy to możliwe, że istnieje wiele prawdziwych i niepodważalnych religii?

— Może tak to właśnie wygląda — odpowiedział Tennyson — ale myślę, że kiedy przyjdzie co do czego, okaże się, że jest tylko jedna wiara, którą zaakceptować mogą wszystkie istoty rozumne. Istnieć będzie tylko jedna prawdziwa wiara, podobnie jak jedna prawda, wiara ostateczna i prawda ostateczna. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że są one tym samym.

— I dlatego uważa pan, że powinniśmy szukać prawdy, że będzie to lepsza i łatwiejsza droga do wiary, niż gdybyśmy szukali jej samej?

— Tak mi się wydaje — potwierdził Tennyson. — Szukając prawdy, otrzymacie wskazówki, których będziecie bardzo potrzebować opracowując wiarę.

— Przechowuję w moim mózgu tak wielkie zapasy wiedzy dostarczonej przez Słuchaczy przez te wszystkie wieki, że czasami zaczynam się już w tym wszystkim gubić — żalił się

Papież. — Muszę przekopywać się przez zwały informacji za każdym razem, gdy chcę dotrzeć do jakiejkolwiek podpowiedzi służącej mi do rozwiązania zagadki, nad którą aktualnie pracuję. Jak wiecie, zagadek jest ogromna ilość i dlatego równolegle przerzucam wiele fragmentów informacji, które mogą nadać kształt i znaczenie moim układankom. Nawet kiedy to robię, nachodzi mnie jednak myśl, że być może poszukiwane kawałki informacji nie zostały jeszcze odnalezione przez Słuchaczy. W swoich poszukiwaniach dochodzą oni daleko, a mimo to dane dostarczone przez Program są kroplą w morzu wiedzy całego wszechświata.

— Co oznacza, że musi pan kontynuować prace Programu Poszukiwań — rzucił szybko Tennyson. — Być może jutro któryś z nich znajdzie jeden z» elementów informacji, jakiego pan potrzebuje. Lecz nawet jeśli na znalezienie go potrzeba będzie stu czy tysiąca lat, jeśli Słuchacze zaprzestaną swoich wypraw, nigdy nie uda wam się ułożyć układanki.

— Wiem — odparł Papież. — Wiem. A mimo to są tacy, którzy robią mądre miny mówiąc, że ja przecież nie żyję w świecie rzeczywistym, ponieważ z powodu mojej izolacji, uwięzienia w kamieniu tych gór nie mam żadnego kontaktu z rzeczywistością. Nie wydaje mi się, żeby to była prawda, ale nie potrafię ich przekonać. Myślę, że świat rzeczywisty, o którym mówią, jest światem marginalnym, ograniczonym przestrzeniami, jakie znają i szczególnymi warunkami panującymi tam. Świat rzeczywisty na Końcu Wszechświata i na Watykanie nie jest tym samym rzeczywistym światem na planecie po drugiej stronie galaktyki lub nawet na planecie leżącej najbliżej nas. Nasze ograniczone zmysły, będące wyznacznikiem naszego pojmowania świata, odgradzają nas od rzeczywistości

wszechświata. Dlatego myślę, że to właśnie ja, a nie oni, trwam w świecie o wiele bardziej realnym. Przerosłem ich. Ale tego przecież chcieli. Kiedy budowali mnie, mieli na względzie moją mądrość, która miała dorównywać, czy nawet przewyższać mądrość Papieża na Ziemi. Przerosłem ich jednak i teraz są rozczarowani. Mądrość na izolowanej planecie i w całym wszechświecie to dwie różne rzeczy.

## ROZDZIAŁ 47

— O co mu właściwie chodziło — spytała Jill.

— Watykan się rozpada — odparł Tennyson — i Papież zdaje sobie z tego sprawę.

— Dużo mu nie pomogliśmy.

— W ogóle mu nie pomogliśmy. Zawiedliśmy go. Roboty nadal mają dziecinne wyobrażenie, że ludzie są wielkimi magami, że jeśli tylko chcą, to potrafią udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania, że kiedy oni utkną w jakimś punkcie, pomożemy im się z tego wykaraskac. Mają utrwalony obraz ojca, Starego Człowieka, który może dokonać cudów. Papież jest taki sam. Może nawet wiedział, że nie będziemy mogli nic dla niego zrobić, a mimo to miał taką nadzieję. A teraz jest rozczarowany.

Tennyson podniósł się i dorzucił parę drew do ognia. Potem wrócił i usiadł obok Jill.

— Tylko Program Poszukiwań trzyma jeszcze Watykan — kontynuował. — Kiedy przylecieliśmy tu, Ecuyer powiedział mi, że Watykan to tylko dobry pretekst, aby kontynuować Program Poszukiwań. Myślałem, że tylko się przechwala, stara się zaimponować mi swoją pozycją. Teraz jednak widzę, że było w tym wiele prawdy. Mając Program Poszukiwań, Watykan jest dynamicznie działającą instytucją, gdy go utraci, stanie się nikłą pozostałością po czymś, czego nikt nie rozumiał.

Rozpoczną się nieskończone spory i rozprawy filozoficzne, a herezje z powodzeniem zaczną zwalczać autorytet kościoła. Bez Słuchaczy Watykan w swej obecnej formie nie przetrwa więcej niż tysiąc lat. A nawet jeśli przetrwa, będzie instytucją bez żadnego znaczenia.

— Ale Jego Świątobliwość powiedział nam, że posiada ogromne zapasy wiedzy zgromadzonej przez Słuchaczy — przypomniała Jill. — Wygląda na to, że ma już tego dość. Może będzie chciał kontynuować pracę z tym, co zgromadził do tej pory? Posiadając wszystkie te informacje...

— Nie rozumiesz? — przerwał jej Tennyson. — W końcu znalazłby się w kropce. Większość z informacji, które posiada, nigdy nie zostanie wykorzystana. Może kontynuować przekopywanie się przez nie w nieskończoność, a i tak nie znajdzie zastosowania dla dużej części danych. Jeśli chce, aby jego praca miała jakikolwiek sens, aby posuwała się naprzód, jego zasoby wiedzy muszą stale się powiększać. To jak dorzucanie drewna do ognia. Jednakże jeśli teologom uda się przejąć władzę, za kilka lat Słuchacze zostaną wyeliminowani. Obecnie pracujący umrą, a jeśli nie będzie się zatrudniać nowych na ich miejsce i szkolić ich klonów, Program Poszukiwań umrze razem z nimi. Taki będzie finał.

— A w takim wypadku nie będzie go można już nigdy ponownie uruchomić.

— Właśnie — przytaknął Tennyson. — Siedzimy tu sobie i rozmawiamy o śmierci jednego z najbardziej ambitnych programów badań, jakie kiedykolwiek ujrzały światło dzienne. Bóg jeden wie, jak wiele pracy zostanie zaprzepaszczone. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jaki będzie tego wpływ na życie robotów i ludzi. Bo trzeba zauważyć, że to, co zebrały roboty, należy również do ludzi. Myślimy o robotach i ludziach jako o dwóch różnych rasach, ale tak nie jest. Posiadamy wspólnych przodków, roboty są częścią nas samych. Należą do nas, a my należymy do nich.

— Jason, musimy coś zrobić. Ty i ja. Jesteśmy przecież

jedynymi, którzy mogą coś na to poradzić.

— Jest jeszcze Ecuyer.

— Tak, jest jeszcze Ecuyer, ale on za bardzo związany jest z Watykanem.

— Chyba masz rację. Jest w mniejszym stopniu skażony filozofią Watykanu niż inni ludzie na Końcu Wszechświata, ale na pewno i on poddał się indoktrynacji. Jest człowiekiem Watykanu.

— Jason, musimy coś zrobić — powtórzyła Jill.

— Kochanie, naprawdę nie wiem, co moglibyśmy zrobić. W tej chwili jestem zupełnie wypruty z jakichkolwiek pomysłów. Chociaż, gdybyśmy dostali się do Nieba...

— I przynieśli dowód. Musielibyśmy przynieść dowód.

— Tak, oczywiście. Bez niego nikt by nam nie uwierzył. Ale nie musimy się o to martwić, bo i tak się tam nie dostaniemy.

— Właśnie wpadłam na pomysł.

— Tak, jaki?

— A może to naprawdę było Niebo? Może Mary miała rację?

— Niebo to nie miejsce. To stan świadomości.

— Nie, Jason, skończ już z tym. Cały czas deklamujesz to samo zdanie. To tylko twoje podejrzenia. Mówiłam ci już o ludziach ze świata równań. Mówiłam, że wydaje mi się, iż funkcjonują na zasadzie zmiennej konstrukcji logicznej. Może cały nasz wszechświat funkcjonuje na zasadzie zmiennej konstrukcji logicznej? Przecież wtedy wszystkie nasze ludzkie koncepcje wzięłyby w łeb. Myślisz, że to możliwe?

— Jeśli chcesz mi powiedzieć, że istnieje Niebo...

— Nie o to chodzi. Pytam, co byś zrobił, gdyby rzeczywiście istniało?

— To znaczy, czy zaakceptowałbym je?

— Właśnie. Gdybyś niechcący znalazł Niebo...

— Trochę bym chyba pomarudził...

— Ale potem byś je zaakceptował?

— A miałbym inne wyjście? Ale skąd miałbym wiedzieć, że to rzeczywiście jest Niebo? Po złotych schodach, aniołkach...

— Ani jedno, ani drugie. To tylko takie opowieści, które miały sprawić, że ludzie w dawnych czasach postrzegali Niebo jako miejsce, za którym zawsze tęsknili, w którym zawsze chcieli żyć. Sielankowy piknik. Ale myślę, że wiedziałbyś, gdybyś znalazł się tam naprawdę.

— Strumień pełen ryb, piękne ścieżki do spacerów w lesie, góry do oglądania — drwił Tennyson. — Dobre restauracje, gdzie kelnerzy byliby twoimi przyjaciółmi, znajomi, z którymi można by sobie uciąć pogawędkę, dobre książki do czytania i rozmyślenia i ty...

— Tak według ciebie powinno wyglądać Niebo?

— To tylko niektóre jego atrybuty. Daj mi jeszcze trochę czasu, a dorzucę parę kolejnych.

— Nie wiem — rzekła Jill kiwając smutno głową. — Jestem zupełnie zdezorientowana. Watykan, świat równań i cała ta reszta. Zaczynam w to wszystko wierzyć, chociaż czasami jestem za to na siebie bardzo zła. Jego Świątobliwość mówił o rzeczywistości. Życie tutaj z pewnością jest realne, ale kiedy tak się nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że nie żyjemy w świecie rzeczywistym, w takim, który mogłabym kiedykolwiek wymyślić, zanim go jeszcze zobaczyłam.

Tennyson objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Ogień na kominku cicho gaworzył w wieczornej ciszy. %li sami, bezpieczni w otchłani świata.

— Jason, jestem szczęśliwa.

— Ja też. I zrobimy wszystko, żeby tak zostało.

— Przybyłeś tu uciekając z Gutshot. Ja też uciekałam. Nie była to ucieczka przed czymś realnym, nawet przede mną samą. Po prostu uciekałam. Przez całe moje życie.

— Ale teraz to już skończone.

— Tak. Opowiadałeś Jego Świątobliwości o starych, średniowiecznych klasztorach. Watykan to właśnie nasz klasztor: mamy dobrą pracę, kryjówkę przed burzliwymi losami galaktyki, szczęście i pewność jutra. Może nie jest to miejsce dla mnie, bo przecież w tamtych klasztorach nie przyjmowano kobiet, prawda?

— Cóż, od czasu do czasu. Kiedy mnichom udawało się przemycić je do środka.

Światło z kominka zaiskrzyło się nad czymś, co unosiło się w powietrzu przed paleniskiem. Tennyson nagle usiadł wyprostowany.

— Jill — powiedział poważnie — Szeptacz jest tutaj.

Decker, powiedział Szeptacz. Decker. Decker. Decker. Właśnie się dowiedziałem, dodał.

Chodź do mnie, odparła Jill. Razem łatwiej będzie nam przez to przejść.

Chodź do nas, poprawił ją Tennyson.

Szeptacz wniknął w ich umysły i wspólnie zasmucili się śmiercią przyjaciela.



## ROZDZIAŁ 48

Kardynał Enoch Theodosius przechadzał się po ogrodzie szpitalnym. Wokół niego było pusto. Nie mógł nawet dostrzec starego ogrodnika Johna. Parę znajdujących się daleko od siebie gwiazd usiłowało rozświetlić ciemność nocy. Od czasu do czasu dawało się spostrzec słabe migotanie odległych galaktyk przypominających o niezliczonej ilości innych światów. Nad horyzontem, na wschodzie jaśniał zimny szlak Drogi Mlecznej, galaktyki macierzystej oraz kilka jasnych punktów będących wiszącymi nad galaktyką planetami.

Wysypana ceglastym żwirem ścieżka chrzęściła pod stopami kardynała, kiedy powoli przemierzał zakamarki parku z założonymi rękami i zwieszoną nisko w zamyśleniu głową.

Być może mylimy się, myślał. Myliliśmy się co do Nestorów i równie dobrze możemy mylić się co do innych rzeczy. Wydaje nam się, że coś znamy, a jednak okazuje się, że tak nie jest. Przez lata uważaliśmy, że Nestorowie są dzikimi mięsożercami. Braliśmy ich za żądne krwi potwory mieszkające w lesie. Spotkanie z jednym z nich oznaczało dla nas śmierć. Zazdrośni o swoje losy i świat Przyglądali się nam badawczo i nie pozwalali się zbliżyć. A tu proszę, jeden z nich przyniósł dziś Deckera i Huberta. Zwrócił ich nam, położył na kamieniu przed bazyliką i wyprostował ich ciała, kiedy leżeli martwi na bruku, żeby nadać im bardziej dostojny wygląd. A potem przemówił. Powiedział, że Nestorowie są strażnikami i nie dopuszczą do bezsensownego zabijania. Strażnikami? Obrońcami tego świata? Przez te wszystkie lata przyglądali się nam i nie wchodzili w drogę prawdopodobnie dlatego, że udawało nam się pozostawać w

zgodzie z regułami ich świata.

Patrzyli na nas, studiowali nasze zachowanie o wiele dogłębniej, niż nam się wydawało, ponieważ znają nasz język. Potrafią rozmawiać, ale nigdy przedtem tego nie próbowali, być może dlatego, że aż do tej chwili nie widzieli powodu, dla którego mielibyśmy rozmawiać. Porozumiewają się z nami z pewnym wysiłkiem, prawdopodobnie inaczej niż między sobą. Przystosowują się do nas, ponieważ wiedzą, że my nie potrafimy przystosować się do nich.

Żyliśmy przez tysiąc lat na Końcu Wszechświata zupełnie nie zwracając na nich uwagi. Pozwolili nam postępować zgodnie z własną wolą i nie zrobili niczego, co mogłoby nas dotknąć pomijając zabicie tych ludzi opętanych wizją Nestorów jako dzikich bestii. Zrobili to w obronie własnej, to zupełnie jasne. Przecież ani ludzie, ani roboty również nie zawahaliby się zabić kogoś, kto jako jedyny cel wybrał sobie ich śmierć.

Opowiadano kiedyś historie o tym, że Nestorowie potrafią mówić ludzkim głosem, lecz był to zwyczajnie jeszcze jeden mit zbudowany wokół tych istot. Czy jakiś człowiek albo robot kiedykolwiek rozmawiał z nimi? Nie, odpowiedział sam sobie na to pytanie kręcąc w zamyśleniu głową. To tylko legendy opowiadane przy kominku. Chociaż wiadomo przecież, że w każdej legendzie znajduje się załączek prawdy.

Co za strata. Przez cały czas mieliśmy ich u boku. Potencjalnych przyjaciół, którzy mogli mieć duży wpływ na nasze życie. Kiedy zaczyna się życie na nowej planecie, należy zapoznać się z jej strażnikami. Tak niewiele planet ma swoich strażników, może nawet żadna inna. W tym sensie Koniec Wszechświata jest wyjątkowy i powinniśmy byli o tym wiedzieć. Na pewno miałyby to duże znaczenie dla naszej egzystencji tutaj.

Nestor przyniósł nam Deckera i Huberta. Dlaczego właściwie Hubert to zrobił? Dlaczego zabił Deckera? Wyglądało na to, że Tennyson nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że to właśnie Hubert był winien przestępstwa. Bardzo możliwe, że działał z polecenia teologów, chociaż jakoś nie mogę w to uwierzyć. To dziwne, nietrudno mi uwierzyć w fakt, że teologowie ukradli kostki z zapisem Nieba, ale przecież kradzież i zabójstwo to dwie różne rzeczy. Jak robot mógł zabić człowieka? — zastanawiał się. Może jeden robot, któremu zupełnie poprzewracało się w głowie, mógł zrobić coś takiego, ale w przypadku morderstwa Deckera, jeśli Hubert rzeczywiście działał na polecenie teologów, zamieszanych w to było mnóstwo robotów, trudno nawet określić ile.

Myśl ta wstrząsnęła nim. Wyglądało na to, że spora grupa zdesperowanych robotów przedsięwzięła ostateczne środki w celu doprowadzenia do zwycięstwa ich idei. Poczł nagle złość i strach, walczące ze sobą w jego wnętrzu.

Tennyson powiedział mu krótko, bez wdawania się w szczegóły, iż istniało prawdopodobieństwo, że Decker mógł wiedzieć coś na temat umiejscowienia Nieba i że prawdopodobnie z tego właśnie powodu został zamordowany. Ale Decker był nowy na Końcu Wszechświata i mimo całego szacunku dla zdania Tennysona, kardynałowi nie przychodziło łatwo uwierzyć w jego teorię. Przecież Tennyson również przybył tu niedawno, stał się przyjacielem Deckera, prawdopodobnie zresztą jedynym przyjacielem tego trzymającego się na uboczu człowieka. Decker prawdopodobnie powiedział mu lub zasugerował, że wie coś na temat Nieba, ale czy można w to wierzyć? Ten samotnik dla wszystkich był jedną wielką zagadką. Pojawił się tutaj znikąd, nie przyleciał na

Wędrowniku — tego Watykan był pewien już od dłuższego czasu. W takim razie jak się tu dostał? Nigdy nie dowiedzieli się tego, a on nie chciał wyjawić swojej tajemnicy. Do czasu przybycia Tennysona nie miał żadnych przyjaciół. W ogóle rzadko z kimś rozmawiał, a w żadnej z rozmów nie odkrył nigdy swojej tajemnicy. W tym człowieku było coś dziwnego.

Ale przecież myliliśmy się co do Nestorów. Może co do Deckera też się mylimy? — zastanowił się kardynał. — Ile to już razy popełnialiśmy błędy?

Przybyliśmy tutaj wiele wieków temu, aby odnaleźć to, czego teologowie chcą teraz jeszcze usilniej szukać, wielkiej i prawdziwej wiary. Taki był nasz pierwotny cel. Dlatego właśnie opuściliśmy Ziemię. A teraz stoimy na rozstajnych drogach i nie wiemy, dokąd dalej iść. Czyżbyśmy tak daleko odeszli od tamtej koncepcji? Czyżbyśmy zbrukali się materialistyczną etyką ludzi, którzy zaprojektowali nas na swoje podobieństwo nie tylko fizyczne ale również psychiczne? Tych, którzy potem wykorzystywali nas bez litości? Tak, kontynuował, wykorzystywali nas bez litości, ale robili to zawsze z wrodzoną sobie uprzejmością. Robili to, ponieważ głęboko w swoich umysłach wiedzieli równie dobrze jak my, że jesteśmy braćmi, ni mniej, ni więcej tylko dwiema rasami nie mogącymi funkcjonować bez siebie. Patrząc na nas widzieli siebie, my też patrząc na nich widzimy siebie. Właściwie jesteśmy jedną rasą. Wszystko, co osiągniemy pracując tutaj, przekażemy im, jeśli tylko tego zażądatają. Zadaliśmy sobie wiele trudu, aby odizolować się od całej galaktyki, ale nie od ludzi żyjących w tej galaktyce. Oddamy im z chęcią wszystko, co osiągnęliśmy, a oni, mimo że rozsiani po całym kosmosie, podzielą się z nami tym, co mają. Nic dziwnego, że przeniknął nas ich materializm, który sam w

sobie nie jest złą rzeczą, gdyż gdyby nie było materializmu, gdyby ludzie nie robili wszystkiego, żeby ułatwić sobie życie, do tej pory powstałyby jedynie nowe gatunki ssaków żyjących na swojej rodzinnej planecie. Nie byłoby robotów i Watykanu.

Jeśli mam rację, to nasz materializm nie jest grzechem, chociaż teologowie są przeciwnego zdania, chyba że grzech pierworodny, o którym tyle słyszymy, zrodził się z takiego właśnie materializmu. Ale to przecież niemożliwe, bo gdyby nasi bracia, ludzie, nie próbowali polepszyć swojego bytu, nigdy nie osiągnęliby sprawności umysłowej pozwalającej im odnaleźć tę wspaniałą religię, którą tak cenimy. Nadal wielbiliby jakieś bezsensowne duchy uosabiane przez dziwaczne postaci ulepione z gliny, patyków i kości i chowałiby się w swoich jaskiniach przed ciemnymi marami nocy.

Nasi bracia wiele razy popełniali błędy, niepewnie i ze strachem stąpając po mającej już trzy miliony lat drodze. My też się mylimy, jesteśmy równie niepewni swoich wyborów chociaż istniejemy zaledwie tysiąc lat. Jeśli na tych rozstajach wybierzemy niewłaściwą ścieżkę, popełnimy wielki błąd, ale będzie to zaledwie powtórzenie jednego z ich błędów, które popełniali już wiele razy. Tym niemniej, podobnie jak oni, uporamy się z tym i znajdziemy w końcu właściwe rozwiązanie.

Zadaniem, jakie przed nami stoi, dla którego musimy wyżyć wszystkie nasze siły, jest upewnienie się, że Watykan przetrwa, że struktura, jaką zbudowaliśmy, zostanie nienaruszona, tak abyśmy, nawet w przypadku potknięcia i upadku, mogli się podnieść i kontynuować naszą pracę.

Jestem świadom, że wielu ludzi — i na Watykanie, i na całym Końcu Wszechświata — niepewnie przygląda się naszej skłonności do robienia wszystkiego z perspektywy

długofalowych efektów, traktowania wieku czy nawet tysiąclecia jak krótkiej chwili, na którą zatrzymamy się, żeby potem dalej prowadzić nasze zadanie.

Kardynał przystanął na wybrukowanej czerwoną cegłą ścieżce i spojrzał na wschód, skąd dochodziło słabe lśnienie Drogi Mlecznej tak odległej, a jednak tak mu bliskiej. Połyskującego na niebie domu Człowieka.

Słyszał kiedyś, że podobno tam, na wschodzie, pośród wysokich wzgórz, ponad chatą Deckera mieszka Nestor. Może nawet ten sam, który przyniósł jego ciało do Watykanu. Ten, który czuwał nad Deckerem. Ale dlaczego właściwie jakiś Nestor miałby czuwać właśnie nad Deckerem?

Być może wypadałoby komuś z Watykanu pójść porozmawiać z Nestorem Deckera. Zwyczajna kurtuazyjna wizyta z podziękowaniami.

## ROZDZIAŁ 49

Przez cały ten czas byłeś w świecie równani — spytała Jill Szeptacza. Tak. Wysłałem cię z powrotem, ale sam zostałem, żeby z nim porozmawiać. Umiesz z nimi rozmawiać? Kiedy tam byłam, zauważyłam...

Umiem, przerwał jej Szeptacz.

Możesz nam opowiedzieć o nich coś więcej?

Są starymi filozofami.

Skąd ja to znam, zauważył zgryźliwie Tennyson. Ziemia była i chyba nadal jest pełna wszelkiego rodzaju filozofów i zawsze mi się wydawało, że większość z nich jest w podeszłym wieku. Wolno mówiący, celebrujący słowa starcy świadomi swojej mądrości i nie pozwalający ci o niej zapomnieć.

Są zużytymi filozofami, dodał Szeptacz.

Zużytymi?!

Zbyt starymi, żeby mogli się jeszcze na coś przydać. Prawdopodobnie dokonali już w życiu wszystkiego, czego byli w stanie dokonać. Teraz tylko mamroczą coś w swoje brody. Oddzielono ich od przyjaciół i zamknięto w tym Małym, odludnym miejscu. Spędzają całe dni na różnych grach. Jak każdy stary dziwak na Ziemi, grają pewnie w warcaby i rzucają podkowami... Nie, to zupełnie coś innego. Formułują problemy i znajdują dla nich rozwiązanie. Czasami spędzają nad tym mnóstwo czasu, bo zadania są strasznie ciężkie.

Problemy? — powtórzyła Jill. Powiedziałaś przecież, że są zupełnie odcięci od swego poprzedniego świata. Skąd biorą te problemy?

Sami je wymyślają. Sytuacje hipotetyczne. Rzeczy, na które

nikt inny nie zechciałby tracić ani minuty. Czasami wyszukują jakieś problemy natury etycznej, moralnej, może jeszcze inne. Nie wiem. Próbowali mi to wytłumaczyć, ale...

To znaczy, że te wszystkie wykresy i równania to zapis problemów, a nie bezsensowne migotanie kolorów?

Tak, potwierdził Szeptacz. Od czasu do czasu mówią też o czymś innym, ale w zdecydowanej większości przypadków omawiają rozwiązania zadań. Właściwie nie potrzebują rozmawiać o niczym innym. Żyją razem już od tylu lat, że znają się na wylot.

Poczekaj, przerwał mu Tennyson. Czyżby te istoty były na czymś w rodzaju emerytury? Mam nadzieję, że wiesz co to jest emerytura?

Nie jestem pewien.

Kiedy człowiek przepracowuje większą część swego życia, zostaje przeniesiony na emeryturę. Nie musi już pracować. Ma czas dla siebie. Może robić wszystko, czego dusza zapagnie.

Tak, to coś w tym rodzaju, potwierdził Szeptacz.

Więc znaleźliśmy dom spokojnej starości, zaśmiał się Tennyson. Ze zgrają starców marnujących swój czas. Nie. Oni nie marnują czasu. Nadal uważają, że mają zadanie do wykonania. Dlatego właśnie pracują tak ciężko. Największym ich zmartwieniem jest to, że problemy, nad którymi pracują, nie są problemami palącymi, rozmazanie ich nie przynosi nikomu korzyści. Chcieliby rozwiązać prawdziwe zadanie, ale nie wolno im się tego podejmować. Gdzie są pozostali członkowie tej społeczności? Ci, którzy nie przeszli na emeryturę?

Gdzieś indziej. Blisko albo daleko, nie wiem. Pracują w każdym razie nad prawdziwymi rozwiązaniami. Ale starcy, o których mówisz, również potrafią rozwiązywać prawdziwe



problemy, prawda? Są jeszcze w stanie to robić? Wysłali mnie gdzieś, odparł Szeptacz jakby nie zauważając pytania. Nie wiem gdzie. Nie znają geografii. Nie podali mi współrzędnych. Ślizgałem się po polu magnetycznym, tańczyłem z jonami, ogrzewałem dłonie przy ciepłe czerwonego karła. Naprawdę cię wysłali? Może po prostu pokazali ci kierunek? Jesteś pewien, że fizycznie wysłali twoje atomy?

Tak.

Dlaczego? — spytała Jill.

Bo wiedzieli, że tego chcę. Zobaczyli w moim umyśle, o czym marzę. Może zresztą zrobili to tylko po to, żeby pokazać mi swoje możliwości. Nie, chyba nie, bo wcześniej powiedzieli, że chcą dla mnie coś zrobić. Wyświadczyć mi przysługę. Wiedzieli przecież, że tego oczekuję. Rozmawiałem z nimi o Niebie.

O Niebie?

Przecież chcecie dostać się do Nieba, prawda? A może się mylę? Nie, nie, szybko zaprzeczył Tennyson. Ale nie mamy przecież ani współrzędnych, ani żadnych danych... Jeszcze o tym porozmawiamy. Musicie odsłonić mi wasze umysły. Powiedzieć wszystko, co wiecie o Niebie.

I co wtedy?

Spróbuję się z nimi porozumieć jeszcze raz.

— Projekt „Papież” jak bardzo chcielibyście się tam znaleźć. Jak bardzo zasługujecie na to. Pomogą wam, jestem tego pewien. To przecie byłoby dla nich prawdziwe wyzwanie a nie kolejna gierka. Będą zadowoleni. Zobaczycie, zajaśnieją równaniami, zaczną konstruować nowe wykresy i rozpoczną przeszukiwanie swoich zasobów wiedzy i pamięci.

Ale nawet jeśli znajdą Niebo, jeśli je zlokalizują, myślisz, że będą mogli nas tam zabrać? Mnie przecież wysłali, odparł

Szeptacz. I to do wielu miejsc.

## ROZDZIAŁ 50

Mary zmarła o poranku. Wątpiła, stara kobieta po śmierci wyglądała jeszcze gorzej niż za życia, tak jakby śmierć odebrała jej jakąś część wymiaru fizycznego, który posiadała jako istota żywa. Tennyson przyglądał się jej stojąc przy łóżku. Przykryte prześcieradłem ciało tworzyło zaledwie mały pagórek na łóżku. Znowu, podobnie jak za każdym razem, kiedy umierał jego pacjent, ogarniało go nieuzasadnione poczucie winy i zadawał sobie pytanie, czy mógł uczynić coś, co uchroniłoby zmarłego przed odejściem z tego świata. Za pierwszym razem uratował jej życie, tego był pewien. Powiew śmierci odbił się od złotych schodów Nieba, kiedy ciemna postać przegoniła Mary ze schodów grożąc jej palcem. Po tym wydarzeniu nie chciała już żyć, nie walczyła już o przetrwanie i dobrowolnie poddała się śmierci.

Pielęgniarka niepewnie dotknęła jego ramienia.

— Przykro mi, doktorze — powiedziała cicho.

— Mnie też — odparł Tennyson. — Podziwiam ją.

— Nie mógł pan zrobić nic więcej — zapewniała go Pielęgniarka. — Nikt nie mógł nic już zrobić. — Odwróciła się i wyszła.

— W chwilę później również Tennyson opuścił pokój Mary. Ecuyer, siedzący dotąd w szpitalnej poczekalni, podniósł się z krzesła na widok doktora. Tennyson pokręcił smutno głową.

— To koniec.

Ecuyer podszedł do niego i przez moment stali twarzą w twarz w milczeniu.

— Była najlepszym Słuchaczem — rzekł Ecuyer. —

Najlepszym, jakiego w ogóle znałem. Przed kliniką czeka cały tłum, będę musiał wyjść i powiedzieć im o tym.

— Pójdę z tobą — powiedział cicho Tennyson.

— To dziwne — zauważył Ecuyer. — Nie tylko była dobrym Słuchaczem, ale również oddanym. Głęboko wierzyła w program. Był całym jej życiem. I to właśnie ona doprowadziła do jego zakończenia.

— Doszły cię już jakieś słuchy? Ecuyer potrząsnął głową.

— To na pewno nie wydarzy się w ten sposób. Wszystko odbędzie się cicho i bezboleśnie. Bez żadnych sensacji. Po prostu ciągle ograniczanie programu. Nowe prawa ukradkiem wprowadzane do procedury. Generalne zaszczucie programu. Pewnego dnia, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że to już się stało, zorientujemy się, iż zostaliśmy gdzieś na uboczu, a nasza praca wyrzucona jest na śmietnik.

— Co zrobisz, Paul?

— Zostanę tutaj. Nie mam przecież dokąd iść. Na pewno się mną zaopiekują, Watykan dopilnuje tego. Przynajmniej to są mi winni. Również Słuchacze dostaną nowe zajęcia. Spokojnie dokonamy tu naszego żywota, a kiedy odejdą już ostatni z nas, nastąpi ostateczny koniec.

— Na twoim miejscu nie byłbym taki pewien — rzekł Tennyson. Przez moment wahał się, czy ma powiedzieć Ecuyerowi o tym, co usłyszał od Szeptacza. Co mogło dać im ostatnią szansę ratunku.

— Chcesz mi coś powiedzieć? — zapytał Ecuyer widząc wahanie Tennysona.

— Nie, chyba nie.

Mówienie mu o tym nie miałoby najmniejszego sensu. Szansę były naprawdę niewielkie, właściwie prawie żadne. To, co

zapropował Szeptacz, wydawało się zupełnie niemożliwe do wykonania.

Tak, to bez sensu, rzekł w duchu Tennyson. Nie wierzę, żeby ludzie ze świata równań nie posiadając żadnych danych potrafili odnaleźć miejsce, które Mary nazwała Niebem. Przecież to może być dosłownie wszędzie. Na przykład w jakiejś odległej galaktyce albo nawet innym wszechświecie. Chociaż z drugiej strony, mogło to równie dobrze być gdzieś zupełnie blisko. Przecież Decker uważał, że wie, gdzie to jest. Co oznacza, że prawdopodobnie był tam albo znajdował się przynajmniej gdzieś w okolicy. Ale właściwie nie jesteśmy pewni, czy Decker mówił prawdę. Zresztą nigdy się już tego nie dowiemy.

Ecuyer stał przy drzwiach. Powoli otworzył je i wyjrzał na zewnątrz. Mały placyk przed kliniką był szczelnie wypełniony tłumem oczekującym na wieści o Mary. Kiedy Tennyson szedł do kliniki, zbiorowisko było dość pokaźne, teraz jeszcze się zwiększyło. Wszyscy jednak stali cicho, nie odzywając się nawet słowem, co było dziwne w przypadku tak ogromnego skupiska ludzi.

Ecuyer postąpił parę kroków do przodu, a tłum przyglądał mu się uważnie. Wiedzą już, co Ecuyer chce im powiedzieć, ale czekają, pomyślał Tennyson. Roboty i ludzie czekają w ciszy na ogłoszenie śmierci Mary. Nareszcie będą mieli swoją świętą.

Ecuyer mówił cicho, nie podnosząc głosu:

— Mary odeszła na spoczynek. Przed chwilą. Zmarła po cichu, z uśmiechem na ustach. Nie mogliśmy zrobić nic więcej.

Tłum zaszemrał. Odgłos przypominał nabieranie powietrza do ogromnych płuc. Oddech ulgi? — pomyślał Tennyson. Koniec oczekiwania.

Nagle ktoś o donośnym głosie, raczej człowiek niż robot,

zaintonował modlitwę. Inne głosy natychmiast przyłączyły się do niego i już po chwili echo modlitwy wypowiedanej przez setki ust odbiło się od murów Watykanu. Niedługo potem dzwony bazyliki zaczęły głośnie bić.

Ecuyer wrócił do Tennysona i razem wyszli z kliniki.

— Nie powinienes przyłączyć się do nich? — spytał Tennyson.  
— Nie przejmuj się mną.

— Nie przejmuję się... — zaczął Ecuyer, ale nie dokończył swej myśli. Zamiast tego rzekł: — Gdyby tylko Mary mogła to wszystko widzieć, na pewno roześmiałaby się. Była dewotką. Chodziła regularnie na mszę, spędzała długie godziny modląc się na klęczkach. Nie robiła tego bynajmniej na pokaz ani z chęci przypochlebiania się, po prostu religia była dla niej wszystkim.

No i doczekała się. Znalazła Niebo, pomyślał Tennyson, ale nie powiedział tego na głos. Przez pewien czas szli w milczeniu. Potem Ecuyer spytał:

— Co czujesz?

— Smutek — odparł Tennyson.

— Nie jesteś temu winien. Pamiętaj, nie mogłeś nic na to poradzić.

— Cóż, lekarz zawsze ma poczucie winy. To kara, jaką ponosi się za wybranie tego zawodu, cena, jaką się płaci za przywilej bycia uzdrowicielem. Ale z czasem zapomnę o tym.

— Muszę cię na razie pożegnać. Mam parę spraw do załatwienia. Dasz sobie radę?

— Pójdę na spacer — odparł Tennyson. — To na pewno poprawi mi humor.

Jill poszła do biblioteki mówiąc, że praca pozwoli jej oderwać się na chwilę od rzeczywistości. Tennyson nie chciał wracać do mieszkania, bo bez Jill cały dom wydawał mu się zbyt pusty. Nie

miał więc innego wyboru. Zresztą, tak jak powiedział Ecuyerowi, spacer na pewno dobrze mu zrobi.

Wycieczka nie była jednak na tyle ekscytująca, aby mógł zapomnieć o ostatnich wydarzeniach. Nadal odczuwał jakiś dziwny niepokój i wyraźnie słyszał monotonne bicie dzwonów bazyliki.

Spacerował już dobry kwadrans, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że znajduje się na ścieżce prowadzącej do chaty Deckera. Zatrzymał się i zaczął wracać. Nie mógł iść do chaty przyjaciela, po prostu nie mógł. Pomyślał, że minie pewnie jeszcze trochę czasu, zanim odważy się to zrobić.

Skręcił na szlak prowadzący na szczyt górski, który często odwiedzał. Siadał tam i godzinami obserwował wieczny spektakl poruszających się cieni dalekich gór. Wspinając się na szczyt, jeszcze wyraźniej słyszał bicie dzwonów bazyliki.

Usiadł na płaskim głazie, tym samym co zazwyczaj, i zapatrzył się na góry. Słońce stało już prawie w zenicie, dzięki czemu stoki przybrały bladoniebieski kolor z ciemniejszymi plamami porastających je lasów. Ośnieżone szczyty jaśniały odbitym światłem słonecznym.

Jak zawsze zmieniają kolory i przesuwają się, pomyślał Tennyson. Już za godzinę będą wyglądać zupełnie inaczej niż w tej chwili. Zmieniają się, a mimo to trwają wiecznie, przynajmniej dla nas. Kiedyś jednak już ich tu nie będzie. Zostaną zrównane do poziomu planety, a pozostałe formy życia będą zamieszkiwać te równiny nie mając nawet zielonego pojęcia, że kiedyś były tu góry. Nic nie jest wieczne.

Gonimy za wiedzą, kurczowo łapiemy się każdego fragmentu informacji, jaki uda nam się uzyskać. Pracujemy bez końca, chcąc otrzymać najważniejszą odpowiedź albo właściwie wiele

najważniejszych odpowiedzi, które nie okażą się zapewne odpowiedziami ostatecznymi, ale doprowadzą nas do odkrycia nowych faktów lub czynników. A mimo to próbujemy, nie poddajemy się, ponieważ naszym zadaniem, jako istot inteligentnych, jest kontynuowanie poznawania.

Rozłożył przed sobą dłonie i spojrzał na nie inaczej, niż robił to dotychczas — tak jakby były częścią jego ciała, której nigdy przedtem nie widział. Jeden dotyk tych palców, przyjazny dotyk czułości potrafił usunąć znamię z twarzy Jill. Nie ma co do tego wątpliwości, wielka, czerwona blizna znikła, gdy pieszczotliwie pogłaskał Jill po policzku. Może było to spontaniczne samowyleczenie? Nie, na pewno nie. Jako lekarz wiedział dobrze, że proces taki wymaga czasu, a to, czego dokonał swoim dotknięciem, trwało nie dłużej niż parę sekund. Otrzymał dar od ludzi ze świata równań, dar jednego świata dla drugiego.

Wciąż przyglądał się swoim dłoniom, wyglądały zupełnie zwyczajnie. Nawet po głębokim namyśle nie mógł znaleźć na nich żadnych istotnych zmian, które stanowiły dowód cudownych możliwości.

Czy to możliwe, że przez tysiąclecia ukryte talenty albo raczej talenty ewolucyjne rozwijały się u członków rasy ludzkiej, po to, aby któregoś dnia mogły zostać odkryte i wykorzystane? Na wszystkich etapach historii ludzkości pojawiają się opowieści o uzdrowicielach, leczących przez nałożenie dłoni. Do posiadania takich właściwości przyznawało się wiele osób, ale nigdy nie zdołano udowodnić, czy rzeczywiście były one w stanie leczyć w ten prosty sposób.

Ponadto była jeszcze kwestia Szeptacza. Zanim Decker przybył na Koniec Wszechświata, nikt nie był w stanie dojrzeć diamentowej chmurki, pod której postacią ukrywał się jego



przyjaciel. Decker jednak nie tylko potrafił go zobaczyć, ale również rozmawiać z nim. Mimo to nie udało mu się zjednoczyć z umysłem Szeptacza. Udało się to dopiero Tennysonowi i Jill. Na czym w takim razie polegała różnica między nimi? Czyżby należało to przypisać ukrytym dotąd możliwościom drzemiącym w doktorze i dziennikarce?

Tak czy inaczej, w przypadku usunięcia znamienia Jill w grę wchodziły na pewno zupełnie inne powody. Przecież już wiele razy przykładął dłoń do policzka ukochanej a pieśczoła poczyniła cudowne zmiany dopiero po tym, jak powrócił ze świata równań. Jego szczególne umiejętności, magia czy też cokolwiek by to było, z całą pewnością pojawiły się dopiero ostatnio i znał tylko jedno miejsce, skąd mogły wziąć swój początek.

Ponownie spojrzął na dłonie i stwierdził, że są to te same dłonie, którymi posługiwał się przez całe swoje życie. Nie sposób było zauważyć jakichkolwiek śladów magii ani nowo nabytych uzdolnień.

Wstał z kamienia i szybko wepchnął ręce do kieszeni kurtki. Nie chciał już więcej na nie patrzeć. Dzwony bazyliki nadal głośno zawodziły. Mógł kontynuować spacer, ale nie wiedzieć czemu nie miał już na to ochoty. Nie miał pojęcia, co z sobą zrobić.

Wreszcie postanowił, że wróci do mieszkania. Jill z pewnością jeszcze nie wróciła z pracy i bez wątpienia będzie czuł się bardzo samotny, ale może uda mu się zabić czas przygotowując obiad. Wiedział już, co ugotuje, jakieś wytworne danie, które będzie wymagało nie tylko mnóstwa czasu, ale i zaangażowania, a i tak w końcu okaże się zapewne zupełnie niejadalne.

Nie, pomyślał, to chyba nie jest najlepszy pomysł.

Wolał zaskoczyć Jill przygotowując jej dobry obiad niż przyrządzając wykwintne danie, którego nie da się nawet spróbować. Uświadomił sobie teraz, że właściwie dotychczas jeszcze nie gotował, zajmowali się tym zawsze Hubert i Jill, która od czasu do czasu pomagała robotowi w kuchni.

Szedł ścieżką prowadzącą do Watykanu, kiedy nagle zatrzymał się i przyjrzał zbliżającej się z naprzeciwka sylwetce. Wyraźnie dojrzał fioletową szatę przepasaną w talii, z podniesionymi połami, które zapewne w ten sposób chciano uchronić przed wybrudzeniem w przydrożnym pyłe. Wkrótce Tennyson zorientował się, że nadchodzącą osobą był przybrany jak zwykle w szkarłatną piuskę kardynał Theodosius.

Tennyson poczekał, aż kardynał się zbliży na odpowiednią odległość, i rzekł:

— Nie wiedziałem, że Wasza Eminencja lubi piesze wycieczki.

— Ja też dotąd tego nie wiedziałem — odparł kardynał — chociaż pan podobno za nimi przepada.

— Zgadza się. Może kiedyś wybralibyśmy się gdzieś razem? Będzie to dla mnie bardzo przyjemne doświadczenie. Myślę, że Waszej Eminencji również się to spodoba. Jest tu tak dużo do zobaczenia i poznania.

— Piękno? — spytał kardynał. — Mówi pan o pięknie przyrody?.

— Zgadza się. Daleko przed nami góry, a tu, przy drodze rozkwitłe różnokolorowe kwiaty.

— Tylko pan widzi to jako piękno — odparł Theodosius. — Kiedy wasi ludzie tworzyli roboty, nie wyposażyli nas w niektóre swoje cechy. Jedną z nich jest właśnie docenianie piękna, takiego, jakim wy je widzicie. Są dla mnie jednakże inne rodzaje piękna. Piękno logiki, skomplikowanej abstrakcji, nad którą można

dumać godzinami.

— Szkoda. Tak wiele tracicie nie posiadając naszego wyczucia piękna.

— Wy też, nie widząc go, tak jak my.

— Przepraszam, nie chciałem urazić Waszej Eminencji.

— Nic nie szkodzi — odparł przyjaźnie robot. — Nie wziąłem tego do siebie. Prawdę mówiąc, jestem zbyt szczęśliwy, by obrażać się na kogokolwiek. Ten spacer to dla mnie wielka przygoda. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wybrał się tak daleko od Watykanu. Ale mogę pana zapewnić, że nie jest to wycieczka dla czystej przyjemności. Szukam Nestora.

— Nestora? Czemu?

— Bo wygląda na to, że są oni naszymi dobrymi sąsiadami, których zbyt długo zaniedbywaliśmy i których oczernialiśmy w naszych opowieściach. Jak słyszałem, jeden z nich żyje na wzgórzach ponad chatą Deckera. Słyszał pan coś o tym?

— Decker nigdy mi o tym nie wspominał — odparł nieco zaskoczony Tennyson. — Jest pan pewien?

— Tak powiadają. Już od wielu lat. Jeden z Nestorów przygląda się nam podobno ze wzgórz nad chatą Deckera.

— Jeśli rzeczywiście Nestorowie przyglądają się wam przez cały czas, to muszą dużo o was wiedzieć. o was i o Watykanie.

— Więcej, niż moglibyśmy przypuszczać. No, ale muszę już ruszać w drogę. Nie wiem, czy uda mi się go tak łatwo znaleźć. Niech pan do mnie kiedyś wpadnie, to porozmawiamy.

je, jakieś wytworne danie, które będzie wymagało nie tylko mnóstwa czasu, ale i zaangażowania, a i tak w końcu okaże się zapewne zupełnie niejadalne.

Me, pomyślał, to chyba nie jest najlepszy pomysł.

Wolał zaskoczyć Jill przygotowując jej dobry obiad niż

przyrządzając wykwintne danie, którego nie da się nawet spróbować. Uświadomił sobie teraz, że właściwie dotychczas jeszcze nie gotował, zajmowali się tym zawsze Hubert i Jill, która od czasu do czasu pomagała robotowi w kuchni.

Szedł ścieżką prowadzącą do Watykanu, kiedy nagle zatrzymał się i przyjrzał zbliżającej się z naprzeciwka sylwetce. Wyraźnie dojrzał fioletową szatę przepasaną w talii, z podniesionymi połami, które zapewne w ten sposób chciano uchronić przed wybrudzeniem w przydrożnym pyłe. Wkrótce Tennyson zorientował się, że nadchodzącą osobą był przybrany jak zwykle w szkarłatną piuskę kardynał Theodosius.

Tennyson poczekał, aż kardynał się zbliży na odpowiednią odległość, i rzekł:

— Nie wiedziałem, że Wasza Eminencja lubi piesze wycieczki.

— Ja też dotąd tego nie wiedziałem — odparł kardynał — chociaż pan podobno za nimi przepada.

— Zgadza się. Może kiedyś wybralibyśmy się gdzieś razem? Będzie to dla mnie bardzo przyjemne doświadczenie. Myślę, że Waszej Eminencji również się to spodoba. Jest tu tak dużo do zobaczenia i poznania.

— Piękno? — spytał kardynał. — Mówi pan o pięknie przyrody?.

— Zgadza się. Daleko przed nami góry, a tu, przy drodze rozkwitłe różnokolorowe kwiaty.

— Tylko pan widzi to jako piękno — odparł Theodosius. — Kiedy wasi ludzie tworzyli roboty, nie wyposażyli nas w niektóre swoje cechy. Jedną z nich jest właśnie docenianie piękna, takiego, jakim wy je widzicie. Są dla mnie jednakże inne rodzaje piękna. Piękno logiki, skomplikowanej abstrakcji, nad którą można dumać godzinami.

— Szkoda. Tak wiele tracie nie posiadając naszego wyczucia piękna.

— Wy też, nie widząc go, tak jak my.

— Przepraszam, nie chciałem urazić Waszej Eminencji.

— Nic nie szkodzi — odparł przyjaźnie robot. — Nie wziąłem tego do siebie. Prawdę mówiąc, jestem zbyt szczęśliwy, by obrażać się na kogokolwiek. Ten spacer to dla mnie wielka przygoda. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wybrał się tak daleko od Watykanu. Ale mogę pana zapewnić, że nie jest to wycieczka dla czystej przyjemności. Szukam Nestora.

— Nestora? Czemu?

— Bo wygląda na to, że są oni naszymi dobrymi sąsiadami, których zbyt długo zaniedbywaliśmy i których oczernialiśmy w naszych opowieściach. Jak słyszałem, jeden z nich żyje na wzgórzach ponad chatą Deckera. Słyszał pan coś o tym?

— Decker nigdy mi o tym nie wspominał — odparł nieco zaskoczony Tennyson. — Jest pan pewien?

— Tak powiadają. Już od wielu lat. Jeden z Nestorów przygląda się nam podobno ze wzgórz nad chatą Deckera.

— Jeśli rzeczywiście Nestorowie przyglądają się wam przez cały czas, to muszą dużo o was wiedzieć. o was i o Watykanie.

— Więcej, niż moglibyśmy przypuszczać. No, ale muszę już ruszać w drogę. Nie wiem, czy uda mi się go łatwo znaleźć. Niech pan do mnie kiedyś wpadnie, to Porozmawiamy.

— Dziękuję za zaproszenie — skinął głową Tennyson. — Nie omieszkać skorzystać.

Stał jeszcze przez chwilę na ścieżce przyglądając się znikającej za wzniesieniem sylwetce kardynała. Potem odwrócił się i ruszył dalej w kierunku Watykanu.

Kiedy doszedł wreszcie do swojego mieszkania i położył dłoń

na klamce, ogarnęły go wątpliwości. Przypomniawszy sobie, że wewnątrz czeka go tylko pustka i samotność. Stał przez chwilę nieruchomo, irytując się na siebie za brak zdecydowania, w końcu jednak zebrał się w sobie, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Wewnątrz nie znalazł pustki ani samotności. W kominku buzował ogień, a Jill podnosiła się właśnie, żeby go przywitać. Tennyson nie wytrzymał, przebiegł przez pokój, porwał ją w ramiona i mocno przytulił.

— Tak się cieszę, że tu jesteś — powiedział cicho. — Bałem się samotności.

Jill łagodnie wyswobodziła się z uścisku.

— Nie tylko ja tu jestem. Szeptacz wrócił. Tennyson szybko rozejrzał się po pokoju, lecz nigdzie nie zauważył śladu Szeptacza.

— Nie widzę.

— Jest w moim umyśle, ale chciałby również przeniknąć do twojego. Przyszedł, żeby ponownie zabrać nas do świata równań.

— Niebo!

— Tak, Jason. Istoty ze świata równań odnalazły drogę do Nieba. Mogą nas tam doprowadzić.

## ROZDZIAŁ 51

Jeszcze tego samego dnia Theodosius odnalazł Nestora. Podszedł do niego blisko i czekał, by ten go zauważył. Po chwili, kiedy nie widząc by Nestor czynił jakikolwiek gest powitania, Theodosius odezwał się:

— Przyszedłem z wizytą.

Nestor zaczął wydawać wibrujący odgłos przypominający bicie werbli, na tle którego z czasem dało się wyróżnić słowa.

— Witam. Wydaje mi się, że cię znam. Stałeś na schodach, kiedy przyniosłem Deckera, prawda?

— Tak. Nazywam się kardynał Theodosius.

— Ach, to ty jesteś tym kardynałem. Słyszałem już o tobie. W takim razie być może ta istota organiczna, która stała na stopniach obok ciebie, to Tennyson?

— Tak, to Tennyson. Był przyjacielem Deckera.

— Wiem — odparł Nestor.

— Powiedziałaś, że słyszałeś już o mnie. Czy znasz wielu z nas? Albo czy słyszałeś już o wielu z nas?

— Nie znam nikogo — odpowiedział Nestor. — Ja tylko obserwuję.

Na początku wydawało się, że mówienie sprawia mu trudność, ale Theodosius spostrzegł, że po wypowiedzeniu paru zdań Nestor mówił z większą łatwością i płynnością.

— Obawiam się, że nie byliśmy zbyt dobrymi sąsiadami — zaczął kardynał. — Chciałem cię za to przeprosić. Ta wizyta powinna była mieć miejsce wiele wieków wcześniej.

— Baliście się nas — stwierdził Nestor. — Baliście się jak ognia, a my nie chcieliśmy wyprowadzać was z błędu, gdyż było nam to

obojętne. Zależy nam jedynie na planecie, a wy jesteście tylko tymczasowymi mieszkańcami zajmującymi część jej powierzchni. Obchodzi nas tylko to, w jaki sposób traktujecie planetę.

— Wydaje mi się, że traktujemy ją dosyć dobrze — rzekł niepewnie kardynał.

— Tak, masz rację, i za to wam dziękujemy. Być może jesteście wam nawet winni coś więcej niż podziękowanie. Dlatego chętnie ofiarujemy wam pomoc. Czy znasz Pyłkowca?

— Pyłkowca?

— Decker nazywał go Szeptaczem. Może słyszałeś kiedyś tę nazwę.

— Nie, nigdy — odparł zdumiony kardynał.

— Kiedyś było ich wielu na naszej planecie, ale potem odeszli. Zostawili tylko jednego. Karła.

— I tym karłem jest właśnie Szeptacz? Szeptacz Deckera?

— Dokładnie. W tej chwili karzeł, którego w takiej pogardzie zostawili jego pobratymcy, wydaje się istotą dosyć obiecującą. Zaczynamy być z niego dumni.

— Chciałbym go kiedyś spotkać — rzekł kardynał. — Ciekawe, dlaczego dotąd nie udało mi się go dostrzec. Nigdy też nie słyszałem, żeby ktokolwiek o nim wspominał.

— Nie możesz się z nim teraz spotkać. Odszedł. Odszedł z Jill i Tennysonem. Szukają razem Nieba.

— Theodosius podskoczył zaskoczony.

— Nieba! Powiedziałaś Nieba?

— O Niebie chyba słyszałeś. Wiesz, co to jest?

— Wiem. Możesz mi powiedzieć, co wiesz na ten temat?

— Mogę ci tylko powiedzieć, że cała trójka wybrała się na poszukiwanie Nieba. Pomagają im w tym istoty ze świata



równań. Słuchacze odnaleźli je już wiele lat temu.

— Zaskakujesz mnie swoją wiedzą na nasz temat.

— Nasza troska o planetę nakazywała nam kontrolować przynajmniej pobieżnie wasze poczynania.

— Niebo! — powtórzył Theodosius wciąż nie mogąc uwierzyć.

— Tak jest, Niebo — przytaknął Nestor. Kardynał czuł, że powinien już odejść. Obrócił się więc na pięcie i pomaszerował w dół wzgórza, przedzierał się przez niskie zarośla nie zważając na to, że gałązki drą mu szatę.

U stóp wzgórza dotarł do płytkiego potoku, na którego dnie leżały wielkie, płaskie głazy, które przez wieki staczały się tu ze wzgórz. Po kamieniach cicho szemrząc przepływała woda.

Tutaj kardynał Enoch Theodosius padł na kolana. Splótł palce składając ręce do modlitwy i przycisnął je do piersi. Potem opuścił głowę i czołem dotknął złożonych dłoni.

— Wszechmogący Boże — modlił się — pozwól, aby wszystko zakończyło się po naszej myśli! Proszę!

## ROZDZIAŁ 52

Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to zapamiętał. Zielona, groszkowa równina pokrywała powierzchnię planety docierając do samego horyzontu, gdzie stykała się z lawendowym niebem. Bloki stały wokół, tak jak zwykle...

A mimo to coś było inaczej. Różnica jednak nie tkwiła w tym, gdzie on się znajdował, ani gdzie znajdowały się bloki. Była w nim samym. Nie był już sobą, w każdym razie nie tylko sobą. Był kimś jeszcze.

W czasie pierwszej wizyty w świecie równań bardzo słabo wyczuwał obecność Szeptacza. Przez większą część czasu nie czuł go właściwie w ogóle. Być może za bardzo się bał, żeby dokładnie szukać w sobie śladów jego bytności. Teraz jednak wyraźnie czuł, że Szeptacz jest w środku, przenikał go jego delikatny, jakby czarodziejski dotyk. Jeszcze wyraźniej jednak czuł obecność kogoś innego.

Jason, odezwała się Jill, przemawiająca z wnętrza jego mózgu, tak jakby ich umysły tworzyły teraz jedno, a ciała przenikały się wzajemnie. — Jason, jestem tutaj.

Podobnie czuł się ubiegłej nocy, kiedy obydwoje otworzyli swoje umysły dla Szeptacza, tak aby mógł przyłączyć się do nich i wspólnie z nimi opłakiwać śmierć przyjaciela. Wtedy również wydawało mu się, że ich umysły stają się jednym, ale uczucie to było stłumione i osłabione przez żywe wciąż wspomnienia o Deckerze. W tej chwili jednak odczuwał wszystko bardzo wyraźnie. On i Jill byli blisko siebie jak nigdy dotąd, nawet bliżej niż w momencie, gdy ich ciała zespalał miłosny uścisk.

Kocham cię Jason, powiedziała Jill. Chociaż teraz właściwie nie

muszę już mówić ci jak bardzo, sam to wiesz. I miała rację, tak jak zawsze. Ani on, ani ona nie musieli nic mówić. Byli jednością i chcąc nie chcąc wiedzieli, co się dzieje w mózgu drugiego. Nie opodal nich stało pięć bloków. Inne bloki otoczyły ich kołem, jakby przyglądając się spotkaniu. To ci, którzy zgodzili się być naszymi przewodnikami, wyjaśnił Szeptacz.

Wśród pięciu bloków Tennyson zauważył swojego starego znajomego, ciemnofioletowego z krzykliwymi pomarańczowymi równaniami i wykresami. Był tam też różowy blok z zielonymi symbolami oraz szary z rudymi plamami i jasnocytrynowymi wykresami. Czwarty był różowoczerwony. Miał na sobie fioletowe symbole i żółte wykresy. Ten jest mój, powiedziała Jill na jego widok. Piąty miał kolor zgniłej zieleni i opatrzony był brązowo-żółtymi równaniami i rysunkami.

Skąd oni wiedzą, gdzie jest Niebo? — spytał niepewnie Szeptacza Tennyson.

Nie wiedzą, że miejsce to nazywa się Niebo. Mają dla niego inną nazwę. W odległym zakątku galaktyki leży Pewne bardzo znane miejsce. My go oczywiście nie znamy, ale oni tak. I to właśnie jest Niebo?

Tak. Są tego prawie pewni, odparł Szeptacz. Mają tam świecące wieże, cały ten zgiełk, który nazywacie muzyką i strome schody prowadzące aż do samych wież.

Szli w kierunku pięciu bloków. W tym samym czasie bloki przesunęły się tak, że kiedy wreszcie znaleźli się blisko siebie, otoczyły ich tworząc koło.

Najbliżej nich znajdował się blok różowo-czerwony, który teraz, kiedy zbliżyli się na wystarczającą odległość, zmienił konfigurację symboli wyświetlanych na swojej powierzchni. Nowy zapis pojawił się bardzo powoli, aby nawet osoba nie

zaznajomiona z takim sposobem komunikacji mogła łatwo go odczytać.

Witamy, głosił napis. Czy jesteście gotowi?

Szeptaczu, rzekł Tennyson. Szeptaczu!

Nie usłyszał odpowiedzi. Zdał sobie sprawę, że to przecież nie on odczytał znaczenie pojawiających się symboli, ale właśnie Szeptacz przenikający ich umysły. Nie musicie nic robić, ciągnął blok. Stójcie tam, gdzie teraz. Nie ruszajcie się. Dobrze?

Tak, odparł Szeptacz, a kiedy to mówił, na powierzchni różowoczerwonego rozmówcy pojawiło się krótkie, proste równanie, dzięki czemu również inne bloki mogły odczytać odpowiedź.

Zaledwie Tennyson zdążył pomyśleć, że to wszystko nie ma chyba sensu, kiedy jego umysł zaroił się myślami Jill i Szeptacza, tak że nie był już w stanie zapanować nad nim i zapomniał o cynizmie i zwątpieniu, jakie go ogarnęły.

W tej samej chwili na różowoczerwonej powierzchni powoli ukazały się kolejne symbole i Tennyson zdążył tylko uchwycić sens pierwszych słów przetłumaczonych przez Szeptacza. Mówiły one, że są już w Niebie.

Stali na placu centralnym, a wokół nich wznosiły się strzeliste wieże. Powietrze przepęłniała niebiańska muzyka dochodząca z wież, tak wszechobecna, że wydawało się, iż cały świat jest muzyką. Plac wybrukowany był złotem, albo przynajmniej substancją złotego koloru, a wieże jaśniały bielą tak nieskazitelną, że wydawały się rozświetlone znajdującym się wewnątrz nich, tajemniczym światłem. Wyczuwali świętość lub przynajmniej coś, co ją przypominało.

Tennyson pokręcił głową. Coś było nie tak. Stali na samym środku placu, w powietrzu rozbrzmiewała muzyka, wieże były

śnieżnobiałe, ale nikogo tutaj nie było. Za nimi stało tylko pięć istot ze świata równań i Szeptacz, mała chmurka połyskującego pyłu unosząca się tuż nad nimi. Wszystko wskazywało na to, że Niebo jest nie zamieszkane. Stali tak przez chwilę, po czym Jill odezwała się.

— O co tu chodzi?

Wyszła z Tennysona i rozejrzała się po placu.

— Coś jest nie tak, prawda? — spytała. — Po pierwsze, dlaczego tu nikogo nie ma?

— A po drugie, gdzie tu są jakieś drzwi? — dorzucił Tennyson. — Spójrz, w tych budowlach są tylko dziury, okrągłe, jakby mysie dziury, jakieś dwa i pół metra nad powierzchnią ziemi.

Rzeczywiście, wieże nie posiadały ani drzwi, ani okien.

— Nie ma okien — powtórzyła Jill. — A przecież chyba powinny być.

Chłodny wiatr powiał nad placem i Tennyson zadrżał z zimna. Pomiedzy wieżyczkami znajdowały się wąskie uliczki. Prawdopodobnie stali w środku miasta, jeśli było to miasto. Tennyson spojrział w górę na wznoszące się wokół nich budowle i zdał sobie sprawę, że są o wiele wyższe niż mu się na początku wydawało. Wznosiły się wysoko ku błękitnemu niebu, tak wysoko, że właściwie nie było dostrzec ich końca. Początkowo wydawało mu się również, że pod każdą wieżyczką znajduje się tam świecące wieże, cały ten zgiełk, który nazywacie muzyką i strome schody prowadzące aż do samych wież.

Szli w kierunku pięciu bloków. W tym samym czasie bloki przesunęły się tak, że kiedy wreszcie znaleźli się blisko siebie, otoczyły ich tworząc koło.

Najbliżej nich znajdował się blok różowo-czerwony, który teraz, kiedy zbliżyli się na wystarczającą odległość, zmienił

konfigurację symboli wyświetlanych na swojej powierzchni. Nowy zapis pojawił się bardzo powoli, aby nawet osoba nie zaznajomiona z takim sposobem komunikacji mogła łatwo go odczytać.

Witamy, głosił napis. Czy jesteście gotowi?

Szeptaczu, rzekł Tennyson. Szeptaczu!

Nie usłyszał odpowiedzi. Zdał sobie sprawę, że to przecież nie on odczytał znaczenie pojawiających się symboli, ale właśnie Szeptacz przenikający ich umysły. Nie musicie nic robić, ciągnął blok. Stójcie tam, gdzie teraz. Nie ruszajcie się. Dobrze?

Tak, odparł Szeptacz, a kiedy to mówił, na powierzchni różowoczerwonego rozmówcy pojawiło się krótkie, proste równanie, dzięki czemu również inne bloki mogły odczytać odpowiedź.

Zaledwie Tennyson zdążył pomyśleć, że to wszystko nie ma chyba sensu, kiedy jego umysł zaroił się myślami Jill i Szeptacza, tak że nie był już w stanie zapanować nad nim i zapomniał o cynizmie i zwątpieniu, jakie go ogarnęły.

W tej samej chwili na różowoczerwonej powierzchni powoli ukazały się kolejne symbole i Tennyson zdążył tylko uchwycić sens pierwszych słów przetłumaczonych przez Szeptacza. Mówiły one, że są już w Niebie.

Stali na placu centralnym, a wokół nich wznosiły się strzeliste wieże. Powietrze przepęłniała niebiańska muzyka dochodząca z wież, tak wszechobecna, że wydawało się, iż cały świat jest muzyką. Plac wybrukowany był złotem, albo przynajmniej substancją złotego koloru, a wieże jaśniały bielą tak nieskazitelną, że wydawały się rozświetlone znajdującym się wewnątrz nich, tajemniczym światłem. Wyczuwali świętość lub przynajmniej coś, co ją przypominało.

Tennyson pokręcił głową. Coś było nie tak. Stali na samym środku placu, w powietrzu rozbrzmiewała muzyka, wieże były śnieżnobiałe, ale nikogo tutaj nie było. Za nimi stało tylko pięć istot ze świata równań i Szeptacz, mała chmurka połyskującego pyłu unosząca się tuż nad nimi. Wszystko wskazywało na to, że Niebo jest nie zamieszkane. Stali tak przez chwilę, po czym Jill odezwała się.

— O co tu chodzi?

Wyszła z Tennysona i rozejrzała się po placu.

— Coś jest nie tak, prawda? — spytała. — Po pierwsze, dlaczego tu nikogo nie ma?

— A po drugie, gdzie tu są jakieś drzwi? — dorzucił Tennyson. — Spójrz, w tych budowlach są tylko dziury, okrągłe, jakby mysie dziury, jakieś dwa i pół metra nad powierzchnią ziemi.

Rzeczywiście, wieże nie posiadały ani drzwi, ani okien.

— Nie ma okien — powtórzyła Jill. — A przecież chyba powinny być.

Chłodny wiatr powiał nad placem i Tennyson zadrżał z zimna. Pomiędzy wieżyczkami znajdowały się wąskie uliczki. Prawdopodobnie stali w środku miasta, jeśli było to miasto Tennyson spojrział w górę na wznoszące się wokół nich budowle i zdał sobie sprawę, że są o wiele wyższe niż mu się na początku wydawało. Wznosiły się wysoko ku błękitnemu niebu, tak wysoko, że właściwie nie można było dostrzec ich końca. Początkowo wydawało mu się również, że pod każdą wieżyczką znajduje się budowla stanowiąca jej fundament, teraz jednak skłaniał się ku opinii, że wszystkie te budowle stanowią całość, jedną wielką konstrukcją, na której, w określonych odległościach osadzone są wieżyczki. To, co wydawało się wąskimi uliczkami, oddzielającymi poszczególne budynki, było zapewne tunelami

przecinającymi masywną budowlę na poziomie ziemi.

Budowla (lub budowle) była nieskazitelnie biała i nie wyglądała na zbudowaną z kamienia. Budulec przypominał raczej lód powstały z zamrożonej, najczystszej wody. Nie widać w nim było żadnych bąbelków powietrza ani żadnych innych zanieczyszczeń. Nie, to niemożliwe, rzekł do siebie Tennyson. Nawet jeśli nie był to kamień, to na pewno nie był to również lód.

Przez cały czas przejmująca, trudna do opisanja muzyka spływała na nich z wież. Kiedy jej słuchali, wydawało im się, że jest to właściwie coś więcej niż muzyka, albo w każdym razie muzyka tak podniosła i piękna, że żaden kompozytor nie byłby w stanie jej stworzyć.

W tej chwili przemówił Szeptacz:

To miejsce nie jest tak puste, jakby się mogło wydawać. Mieszka tu wiele istot. Całe to miejsce tętni życiem.

I rzeczywiście, jakby na zawołanie pojawiło się życie.

Z jednej z wąskich uliczek (a może tuneli?) wyjrzała wielka głowa. Głowa czerwia. Jego czoło było spłaszczone i potężnie opancerzone. Gruba i ciężka skorupa przykrywała całą przednią część głowy. Za skorupą, po obu stronach można było dojrzeć wielkie, podzielone na tysiące małych segmentów oczy. Na czubku głowy sterczał długi czulek. Tennyson, któremu zrobiło się niedobrze z obrzydzenia, zauważył, że głowa znajduje się dobre dwa metry nad ziemią.

Czerw się poruszył. Zaczął powoli wychodzić z uliczki. Za głową ukazało się długie, złożone z segmentów ciało. Kiedy wysunął się na odpowiednią długość, uniósł lekko korpus i wyprostował przykurczone dotąd odnóża. Kiedy na nich stanął, zrobił się wyższy o pół metra.

Podczas gdy z uliczki wyłaniała się coraz większa jego część,



skierował się na stojących pośrodku placu przybyszów. Tennyson i Jill powoli cofali się, aż wreszcie stanęli, gdyż drogę tarasowało im pięć bloków. Ich powierzchnie jaśniały krzyzącymi kolorami, a pojawiające się symbole przemykały błyskawicznie ustępując wciąż miejsca nowym.

Czerw w całości wydostał się z tunelu. Miał przynajmniej dziewięć metrów długości i stał pewnie na rozstawionych odnóżach.

Po chwili ponownie zmienił kierunek skręcając w stronę śnieżnobiałej budowli. Wyglądało na to, że zauważył przybyszów, chociaż nie okazał im większego zainteresowania.

Podpełzł do jednej z najbliższych dziur w wieżyczce i podniósł odwłok. Przednie odnóża uchwyciły brzeg dziury i uniosły ciało na odpowiednią wysokość, dzięki czemu mógł zacząć do niej wpełzać. Chwilę jeszcze patrzyli, jak robał znika w dziurze.

Tennyson odetchnął z ulgą.

— Chodźmy się rozejrzeć — rzekł. — Zobaczymy, czy jest tu coś ciekawego.

Nie odkryli jednak żadnych rewelacji. Wąskie uliczki rzeczywiście okazały się tunelami przecinającymi ogromną budowlę w określonych odstępach. Tunele te byty jednak zamknięte. Wewnątrz, jakieś dziesięć metrów od wejścia do tunelu znajdowały się niebieskie drzwi. Parze przyjaciół w żaden sposób nie udało się ich otworzyć. Wspólnie usiłowali napierać na nie z całej siły, ale drzwi nie poddawały się ani odrobinę. Po pewnym czasie wspólnych usiłowań drzwi drgnęły, ale było to wszystko, czego Tennyson i Jill mogli dokonać.

— Jestem pewien, że trzeba je otwierać siłą — rzekł zasapany Tennyson. — Gdybyśmy tylko mieli wystarczająco dużo siły, dam głowę, że można by je otworzyć.

— Czerw przez nie przeszedł — zauważyła Jill.

— Bo jest o wiele silniejszy niż my. Zresztą są to pewnie drzwi zbudowane specjalnie dla tych robali. Prawdopodobnie są jedynymi istotami, które mają wystarczająco dużo krzepy, żeby je otworzyć.

— Tak czy inaczej, myślę, że nie ma wątpliwości, iż to nie jest Niebo. Ale przydałby się jakiś dowód. Nie możemy tak po prostu wrócić i stwierdzić, że to nie jest Niebo. Gdybym miała swój aparat...

— Musimy podróżować z jak najmniejszym balastem. Nigdy nie wiadomo, co znajdziemy u kresu wędrówki, więc trzeba być przygotowanym na szybki i sprawny odwrót.

— Co myślą o tym nasi przyjaciele ze świata równani — spytał Tennyson.

— Są bardzo zdziwieni.

— To tak jak my — dorzuciła Jill.

— Same zdjęcia nie byłyby wystarczającym dowodem — ciągnął Tennyson. — Można je zrobić gdziekolwiek, a my musimy mieć coś lepszego niż całą taśmę filmową.

Przeszli dookoła placu centralnego, ale nie znaleźli nic, co by wzbudziło ich zainteresowanie.

— Jesteśmy uwięzieni — rzekła w końcu zmęczona Jill. — Mamy tylko jedną drogę wyjścia, przez dziury, w których znikają robale. Może Szeptacz przeleciałby się po kanale ciągnącym się za taką dziurą i zobaczył, co jest na drugim końcu? Przecież tam musi chyba być drugi koniec, prawda?

— Ludzie ze świata równań też mogliby to zrobić, bo przecież potrafią unosić się w powietrzu, ale nie chciałbym, żebyśmy teraz rozbijali naszą grupę. Mam przeczucie, że powinniśmy trzymać się razem.

Daleko po drugiej stronie placu inny czerw wysunął się z tunelu i skierował się wprost na nich. W końcu jednak skręcił przechodząc obok grupki przybyszów i niknąc w jednej z dziur w wieżyczkach.

— Nie jestem pewna, czy mogłabym wejść do takiej dziury — rzekła Jill ze wstrętem. — Chyba tylko czerwie ich używają.

— Ale jak na razie nie widać, żeby się nami interesowały.

— Bo stoimy daleko od nich. Poczekaj — tylko, aż wejdziemy do dziury.

— Zastanawiam się — zaczął Tennyson nie zwracając uwagi na słowa Jill — czy Szeptacz mógłby poprosić jednego z naszych matematycznych przyjaciół, żeby ten podszedł bliżej i pozwolił mi wdrapać się na jego szczyt. Dzięki temu mógłbym dostać się do dziury.

— Jeśli ty tam wejdiesz, to ja też — odparła zdecydowanym tonem Jill. — Nie mam zamiaru zostać tu sama.

Każdy z nich chętnie ci pomoże, odpowiedział Szeptacz. Do której dziury chcesz wejść? Bez różnicy. Naprawdę nie prosiłbym ich o to, ale bez pomocy w żaden sposób nie dosięgnę krawędzi, tłumaczył się Tennyson.

W takim razie wdrap się na tego stojącego za tobą.

W porządku.

— Mam wrażenie, że zupełnie nam odbiło — zauważyła Jill.

Różowoczerwony blok podsunął się do ściany wieżyczki, tuż pod wskazaną dziurę. Blok zaczął się rozpląszczać, dzięki czemu stawał się coraz niższy i parze przyjaciół łatwiej było wdrapać się na jego grzbiet.

— Podsadzę cię — powiedział Tennyson do Jill.

— Dobra — westchnęła. — Tylko mam nadzieję, że nie będzie to takie straszne, jak mi się wydaje.

Tennyson podniósł dziennikarkę, która wgramoliła się na grzbiet bloku.

— Co za ohyda, czuję się jak na stosie galarety. Zaraz chyba zapadnę się po kolana. A ślisko tu jak cholera — narzekała dziewczyna.

Tennyson wziął rozbieg, podskoczył i jego dłonie znalazły się obok niej, na galaretowatej powierzchni. Jill złapała go za rękę i pomogła wdrapać się na samą górę. Siedzieli przez chwilę trzymając się mocno razem i próbując uchwycić równowagę. Po pewnym czasie bok przestał się tak trząść i wydawało się że nawet lekko zgęstniał, dzięki czemu czuli się bardziej stabilnie. Powoli zaczął się podnosić, a właściwie nie tyle podnosić, co zwyczajnie wyprostowywać do normalnego kształtu.

Dziura w wieżyczce znajdowała się tuż przed nimi. Tennyson podszedł do niej chwiejnym krokiem i ostrożnie wszedł do środka. Chciał podać Jill rękę i pomóc jej przedostać się do otworu, ale dziennikarka zręcznie przesuwając się po galarecie dotarła już do niego. Rozejrzeli się wokół. Dziura była wejściem do kolejnego tunelu, krótszego jednak i nie posiadającego drzwi.

Na samym jego końcu jarzyło się mocne światło. Grunt pod stopami był już solidny więc szybko posuwali się w kierunku światła. Patrząc za siebie zauważyli, że ludzie ze świata równań także znaleźli się w tunelu. Nad pierwszym z nich unosił się Szeptacz.

Kiedy doszli do drugiego końca tunelu spostrzegli, że podłoże tunelu przechodzi w szeroką, białą drogę najwyraźniej ułożoną z tego samego materiału, co mury i wieże. Prowadziła ona w dal ginąc w promienistej poświacie. Zawieszona była w powietrzu, nad widniejącymi w dole budowlami.

Budowle te były ogromne, chociaż ich ogrom skutecznie

maskowały strzeliste, niewyobrażalnie wysokie kolumny dosięgające białej drogi. Tak jak większość konstrukcji, i one zbudowane były z białego materiału, którego prawie nie można było dostrzec z powodu oślepiających światel bijących od nich. Różnokolorowe światła nie układały się w żaden logiczny schemat, a ich migotanie nie wykazywało żadnej synchronizacji.

Wyglądało to wszystko jak wielki karnawał, pomyślał Tennyson, gra światel i coś na kształt miliona wspaniale udekorowanych choinek z lampkami.

— Patrz — powiedziała Jill wskazując jakiś poruszający się obiekt. — Tam jest jeden z naszych ukochanych czerwii.

— Gdzie?

— Tam. Na jednej z kolumn. Patrz, gdzie pokazuję. Zrobił, co powiedziała, ale dopiero po chwili dojrzał czerwia przyczepionego do kolumny i wspinającego się po niej. Nie wszystkie jego odnóża przywierały do kolumny. Część z nich była najwyraźniej zajęta manipulowaniem przy przewodach wiszących na kolumnie światel.

— Obsługa techniczna — rzekła Jill. — Czerwie obsługi technicznej. Najwyraźniej właśnie one dbają o prawidłowe funkcjonowanie tego miejsca.

— Możliwe — odparł Tennyson.

— Chodźmy stąd. Zaczynam mieć tego wszystkiego serdecznie dość.

Pospieszyli w dół białą drogą, która teraz zdawała się jarzyć wszystkimi kolorami otaczających ją światel.

Daleko przed sobą zauważyli wejście do kolejnego tunelu. Kiedy tam dotarli, czekały już na nich cztery istoty. Były to czarne stożki. Zupełnie ciemne, bez jakichkolwiek jaśniejszych punktów na swojej powierzchni, co sprawiało wrażenie, że czerń

wysysała wszystkie okoliczne kolory. Posiadały szerokie podstawy i wysokość około półtora metra. Poruszały się bezszelestnie, tak że trudno było stwierdzić, w jaki sposób to robią. U samego wejścia do tunelu stała umieszczona na kółkach platforma, również cała czarna.

Trzy stożki stały obok platformy. Kiedy Jill, Tennyson i mieszkańcy świata równań podeszli do tunelu, stożki skutecznie wprowadziły ich na platformę nie wydając z siebie żadnego odgłosu ani nie dając żadnych sygnałów lecz po prostu popychając ich w stronę podestu. Gdy tylko Jill podeszła do krawędzi platformy i chciała z niej zejść z powrotem na ścieżkę, czwarty stożek zablokował jej drogę.

— Chyba chcą, żebyśmy tu zostali — powiedziała do Tennysona.

Kiedy wszyscy znaleźli się już na podeście stożki ustawiły się w jego narożnikach i platforma zaczęła opuszczać się w dół tunelu.

Po chwili wylecieli z tunelu i znaleźli się w ogromnej pustej przestrzeni, tym razem bez kolumn. Trójwymiarowy system dróg oplatał krajobraz prowadząc we wszystkich możliwych kierunkach, płącząc się i wijąc w zasięgu wzroku. Niektóre drogi przeznaczone były jedynie dla środków lokomocji takich jak ten, na którym się właśnie znajdowali. Od czasu do czasu pojawiały się jednak i inne pojazdy, jedne w kształcie owalnych żuków, inne przypominające wysmukłe strzały. Pozostałe drogi najwyraźniej przeznaczone były tylko dla pieszych. Chodziły po nich, skakały, wiły się i czołgały wszystkie możliwe formy życia. Patrząc na nie Tennyson przypomniał sobie kapitana Wędrownika i jego obrzydzenie do załogi składającej się z różnego rodzaju obcych. Spoglądając teraz na pieszych Tennyson

zrozumiał wreszcie, o co chodziło kapitanowi. W swoim czasie widział wiele różnych obcych form życia, ale nigdy nie przybierały one tak przerażających kształtów jak te, które widział w tej chwili.

Pomiędzy drogami stały budynki o wszelkich możliwych kształtach i rozmiarach, z małymi ogródkami na zapleczu. Nie były one zbudowane z tego samego materiału co spotkane wcześniej większe budowle. Przede wszystkim były wielobarwne. Wyglądało to tak, jakby ktoś nagle pomieszał makiety architektonicznie różnych projektów, dzięki czemu na jednej powierzchni znalazły się budynki z zupełnie różnych światów.

Platforma zaczęła nagle skręcać zrzucając ich prawie ze swojej powierzchni. Przeskakiwała z drogi na drogę i prawie natychmiast zanurzyła się w kolejny tunel. Kiedy wylecieli z tunelu, znaleźli się w czymś, co wyglądało na wnętrze jednej z większych budowli, które widzieli wcześniej. Platforma powoli opadła na ziemię pomiędzy wieloma innymi pojazdami w miejscu przypominającym parking.

Jill i Tennyson zeszli z podestu, a czworo mieszkańców świata równań podążyło za nimi. Stożki nadal otaczały ich kierując ścieżką pomiędzy pojazdami.

Weszli do jakiegoś pomieszczenia. Na jego przeciwległym końcu, na specjalnym podium rozciągającym się od ściany do ściany siedziała wielka bańka mydlana. Wokół podium w małych grupkach zgromadziły się stożki, a przy bańce usadowił się mały stóg siana z wychylającymi niewyraźnie na tle siana oczami. Podobna do ośmiornicy istota skakała w przód i tył przed bańką. Za każdym razem, kiedy lądowała na ziemi, wydawała z siebie odgłos mlaśnięcia podobny do rzuconej na twardą powierzchnię

wielkiej, świeżej wątroby. Stożki popchnęły ich do przodu, aż stanęli przed bańką mydlaną. Wtedy dopiero zostawiły ich w spokoju.

Bańka była czymś więcej niż tylko wydmuchniętą przez dziecko bańką mydlaną. Z przodu miała małe wgłębienie, w którym widniało coś na kształt twarzy. Twarzy, której istnienia można się było jedynie domyślać. Momentami widać ją było dość wyraźnie, częściej jednak przypominała obłoczek dymu.

Jill patrzyła zaskoczona:

— Jason, pamiętasz tę notatkę, którą napisał Theodosius? Tę, którą znalazłam w koszu na śmieci w sekretnym schowku?

— O Boże, tak! — odparł olśniony Tennyson. — Opisywała właśnie tę bańkę. „Twarz jak unoszący się obłoczek dymu”.

Z obłoczka dymu dobiegł jakiś zgrzytliwy, chropowaty odgłos. Brzmiał jeszcze przez dłuższą chwilę, przybysze zrozumieli, że jest to próba nawiązania z nimi kontaktu.

— Nic z tego nie rozumiem — zauważyła Jill. Próbuje się z nami skomunikować, rzekł Szeptacz. To jasne. Ale ja też nic z tego nie rozumiem.

Brzmi trochę tak, jakby krzyczał na nas. Szeptaczu, myślisz że jest na nas zły?

Wątpię, odparł Szeptacz. Nie wyczuwam w nim żadnej złości.

Jeden ze stożków podleciał i stanął przed bańką. Bańka zaskrzeczała coś do niego, po czym stożek oddalił się. Zapadła cisza. Czuli, że obcy wciąż na nich patrzy, nawet w momentach, gdy dym zasłaniał twarz i nie mogą dostrzec jej wyrazu.

Wydaje mi się, że chociaż nie jestem tego pewien, że posłał po kogoś, kto być może będzie w stanie przetłumaczyć jego słowa, powiedział Szeptacz.

Bańka nic więcej na razie nie mówiła. Również stożki



zachowywały milczenie, chociaż nie wiadomo było, czy w ogóle potrafiły wydawać jakieś dźwięki. Jedynym rozlegającym się w pomieszczeniu odgłosem były młaśnięcia wydawane przez podobną do ośmiornicy istotę skaczącą w przód i tył. Oczy na stogu siana przyglądały im się z zaciekawieniem.

W końcu usłyszeli jeszcze inny odgłos. Odgłos absolutnie nie do pomylenia z innymi. Był to dźwięk stawianych przez człowieka kroków.

Tennyson obrócił się.

Na końcu pomieszczenia, przy wejściu stał Thomas Decker.

## ROZDZIAŁ 53

— Ecuyer, tym razem musi pan być ze mną szczery — przekonywał kardynał Theodosius.

— Wasza Eminencjo, zawsze byłem z panem szczery — oburzył się Ecuyer.

— Jeśli chce pan przez to powiedzieć, że nigdy pan nie kłamał, to być może ma pan rację — kiwnął głową kardynał. — Chodzi jednak o to, że nie zawsze mówił mi pan wszystko. Ukrywał pan przede mną niektóre fakty. Na przykład dlaczego nigdy nie powiedział mi pan o Szeptaczu Deckera?

— Ponieważ ten temat nigdy nie pojawił się w moich rozmowach z panem — tłumaczył Ecuyer. — Poza tym ja sam usłyszałem o nim zaledwie parę dni temu.

— Ale Tennyson wiedział o nim już od dawna. O wiele dłużej niż pan.

— To prawda. Był przyjacielem Deckera.

— W jaki sposób poznał Szeptacza?

— Powiedział mi, że po prostu Szeptacz kiedyś go odwiedził.

— Ale powiedział panu o tym dużo później?

— Tak. Wydawało mu się, że jest to winien Deckerowi. Że nie powinien o tym nikomu opowiadać, ani mnie, ani nikomu innemu. Powiedział mi to dopiero po śmierci Deckera.

— Pomijając sprawę Szeptacza, pan i Tennyson byliście w bliskich stosunkach. Rozumiem przez to, że opowiadał panu o wszystkim.

— Tak mi się wydaje.

— Czy przypadkiem nie opowiadał panu, że wybiera się do Nieba?

Ecuyer aż podskoczył w krześle. Przez chwilę patrzył zaskoczony na kardynała starając się odczytać jego myśli, ale nikomu jeszcze nie udało się odczytać myśli robota z jego twarzy.

— Nie — odpowiedział. — Nic takiego mi nie mówił. Nie miałem o tym zielonego pojęcia.

— Cóż, tak się składa, że właśnie się tam wybrał. Być może jest jeszcze w drodze, chociaż powinien już tam dotrzeć.

— Eminencjo — rzekł zaskoczony Ecuyer. — Skąd pan wie o tym wszystkim?

— Nestor mi opowiedział — odparł Theodosius. — Wszystko przemyślałem przed pańskim przyjściem. Musimy poczynić pewne przygotowania.

— Zaraz, zaraz — przerwał mu Ecuyer. — Nestor panu opowiedział? Gdzie pan spotkał Nestora?

— Poszedłem do niego z wizytą. Na wzgórza roztaczające się nad chatą Deckera.

— I powiedział panu, że Tennyson właśnie się wybiera do Nieba?

— Właściwie powiedział, że są już w drodze. Tennyson i Jill. Szeptacz znalazł sposób na zabranie ich tam.

— Rozmawialiśmy o tym...

— Rozmawialiście o tym? A mimo to nic pan mi nie przekazał?

— To nie miało sensu. Nasze zamiary wydawały się zupełnie niemożliwe do wykonania.

— Najwyraźniej jednak myliliście się.

— To prawda, że od dwóch dni Tennysona nie można nigdzie znaleźć, ale to jeszcze nie znaczy...

— Jill też zniknęła. Gdzie indziej mogli się wybrać jeśli nie do Nieba? Na Końcu Wszechświata nie ma ani jednej kryjówki, w której mogliby się schować.

— Nie wiem — odparł w zamyśleniu Ecuyer. — W każdym razie wydaje mi się zupełnie niemożliwe, żeby dostali się do Nieba. Przede wszystkim nikt nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie go szukać. Może gdybyśmy odnaleźli sześciany z zapisem podróży Mary...

— Nestor powiedział, że pomogli im ludzie ze świata równań.

— Cóż, to możliwe. Tennyson i Jill byli w świecie równań.

— No proszę, znowu coś, o czym dowiaduję się po raz pierwszy — zachnął się Theodosius. — Nie pomyślał pan nigdy, że być może jestem zainteresowany tym, co się tutaj dzieje?

— Skąd pan może wiedzieć, że to, co mówi Nestor, jest prawdą? — spytał Ecuyer nie zważając na słowa kardynała. — Dlaczego w ogóle poszedł pan odwiedzić Nestora i...

— Ecuyer, przez wszystkie te lata myliliśmy się co do nich. Nie są zatrważającymi poczwarami, o których opowiadają legendy. Dlatego tak nie lubię legend, rzadko jest w nich ukryta jakaś prawda. Nestor, z którym rozmawiałem, to ten sam, który przyniósł Deckera i Huberta. Rozmawiał z nami przed bazyliką. Jesteśmy im winni przeprosiny za wszystkie te krzywdzące ich opowieści. Już dawno temu powinniśmy byli zostać przyjaciółmi. Na pewno wiele byśmy na tym skorzystali.

— Rozumiem, że wierzy pan w jego słowa?

— W zupełności — odparł Theodosius. — Nestor nie miał żadnych wątpliwości, a ja mu ufam. Wziąłem jego słowa za dowód przyjaźni.

— Chryste, to przecież niemożliwe — nie mógł wciąż uwierzyć Ecuyer. — Chociaż jeśli komuś miało się to udać, na pewno tylko Tennysonowi.

— Kiedy Tennyson i Jill wrócą, musimy być przygotowani na sensację.

— Myśli pan, że wrócą?

— Jestem tego pewien. Robią to dla Watykanu. Mimo krótkiego pobytu u nas, stali się naszymi przyjaciółmi. Tennyson powiedział kiedyś Jego Świątobliwości coś, co ten następnie powtórzył mi. Był tym dość mile połaskotany. Coś o klasztorach na Starej Ziemi...

— I co pan zamierza? — przerwał mu Ecuyer. — Jeśli dotrą do Nieba, jeśli je rzeczywiście znajdą i wrócą...

— Przede wszystkim chciałem panu powiedzieć, że wiem, kto stoi za całym tym teologicznym bezsensiem. John, opiekun ogrodu klinicznego. Już od dość dawna wiem, że pracuje dla Papieża, jest jego tajnym wysłannikiem. Nie mam zresztą pojęcia, dlaczego Papież chciał mieć szpiega w Watykanie. Nieważne. Mam zamiar dopilnować, żeby nasz ogrodnik stał się raz na zawsze pracującym jak mróweczka mnichem. Są co prawda jeszcze pozostali...

— Nie ma pan przecież żadnego zaplecza.

— Jeszcze nie, ale będę miał. Kiedy porozmawiam z Jego Świątobliwością i opowiem mu, co odkryłem. Kiedy powiem mu, że wiem wszystko o jego tajnym pracowniku, o tym że Tennyson i Jill wrócą niedługo z Nieba. Gdyby Niebo nie zostało zdemaskowane, Papież zapewne wahałby się przed poczynieniem jakichkolwiek kroków. Kiedy jednak dowie się prawdy...

— A co będzie, jeśli się okaże, że to wszystko nieprawda? Jeśli...

— W takim przypadku jestem spalony — odparł Theodosius.  
— Pan zresztą też. Ale jeśli nic nie zrobimy, spotka nas ten sam los. Nie mamy nic do stracenia.

— Tu się z panem w zupełności zgadzam — poparł go Ecuyer.

— Ma pan całkowitą rację.

— Więc pójdzie pan ze mną porozmawiać z Papieżem?

— Tak — odpowiedział Ecuyer wstając z krzesła. — Myślę, że rzeczywiście powinniśmy z nim porozmawiać.

Kardynał również wstał.

Ecuyer zawahał się, ale wreszcie wydusił z siebie gnębiące go pytanie:

— Powiedział pan, że Niebo zostanie zdemaskowane. Skąd pan wie, że tak właśnie się stanie?

— Cóż — uśmiechnął się kardynał. — Tego nie jestem pewien. Zawsze istnieje możliwość, że okaże się ono prawdziwym Niebem. Jeśli jestem w błędzie, prawdopodobnie to ja zostanę pracującym jak mroweczka mnichem.

— Chce pan zaryzykować?

— W rzeczy samej — odparł Theodosius.

## ROZDZIAŁ 54

— Do pewnego momentu pamiętam wszystko — powiedział Decker. — Pamiętam, jak przykleiłem się do kadłuba statku, starając się wczepić palcami w metalową ścianę, patrzyłem przez okno i widziałem centralną budowlę wzbijającą się w niebo wprost w moim kierunku i drogi rozchodzące się od tego miejsca jak szprychy koła. Nie pamiętam, jak dostałem się do kapsuły ratunkowej, bo to nie ja, Decker II, który siedzi tu i rozmawia z wami, chciałem się w niej skryć, tylko prawdziwy, oryginalny Decker, który był moim wzorcem.

— Wszystko się zgadza z tym, co prawdziwy Decker, jak go nazywasz, mi opowiedział — zauważył Tennyson. — Nie było tego jednak wiele. Nie grzeszył zbyt otwartością.

— Ja nie — odparł Decker II — ale szok i, że się tak wyrażę, przyjemność ze spotkania z ludźmi, sprawiają, że mam ochotę z wami porozmawiać.

Siedzieli w przytulnym pokoiku znajdującym się wysoko na jednej z wieżyczek. Podłogi wyściełane były grubymi dywanami, a na ścianach wisiały obrazy. Oprócz tego pokój wyposażony był w eleganckie meble.

— Cieszę się, że udało ci się znaleźć nam takie miłe mieszkanko — rzekła Jill. — W tym obcym świecie naprawdę wydaje się ono przypomnieniem stron rodzinnych.

— Zajęło mi to trochę czasu, ale Bąbel upierał się przy tym, żeby znaleźć dla was odpowiednie miejsce — wytłumaczył Decker. — Ma fioła na punkcie gościnności.

— Bąbel?

— Ta bańka mydlana ze śmieszoną twarzą — wyjaśnił

Decker. — Jest tylko jednym z wielu mieszkających tutaj Bąbli. Oczywiście nazywają siebie zupełnie inaczej, ale nie można tego wymówić w ludzki sposób, a dosłowne tłumaczenie brzmi śmiesznie. Bąbel, którego spotkaliście, jest kimś w rodzaju mojego przyjaciela, może nawet więcej niż przyjaciela. To trudno wyjaśnić. Mówię do niego Dymek, z powodu jego śmiesznej twarzy, chociaż oni wszyscy mają takie same twarze. Nie wie, co oznacza słowo „Dymek”. Wydaje mu się, że to jakieś pieszczotliwe zdrobnienie nadawane bliskiej osobie. Gdyby kiedyś dowiedział się, jakie jest właściwe znaczenie tego słowa, pewnie by się na mnie obraził. Widzieliście Stóg Siana, który tam z nim był?

— Tak, zauważyłem — odparł Tennyson. — Przyglądał się nam.

— To najlepszy przyjaciel Dymka. Znają się już od bardzo dawna. Ja jestem jego drugim najlepszym przyjacielem, bo nie mieszkam tu jeszcze zbyt długo. Tworzymy triadę. Żaden Bąbel nigdy nie jest sam. Zawsze otaczają go dwa inne. To taki rodzaj braterstwa, braterstwa krwi czy czegoś w tym rodzaju. W każdym razie jestem z nimi bardzo blisko zaprzyjaźniony. Ale wracając do Stogu Siana, ciekawa z niego istota, co?

— Z całą pewnością — zgodziła się Jill.

— To miły gość — kontynuował Decker. — Kiedy się go pozna lepiej, można go nawet polubić. Przede wszystkim nie jest taką obrzydliwą poczwarą jak większość spotykanych tu istot.

— Tu masz całkowitą rację — znowu przytaknęła Jill.

— Nie narzekam — ciągnął Decker. — Traktują mnie nieźle. Na początku zastanawiałem się nad swoją pozycją. Czy jestem pojmanym, uciekinierem, czy może eksponatem? Nadal tego nie wiem, ale już się tym nie zamartwiam. Bąble potrafią dobrze



zadbać o człowieka.

— Kiedy byłeś na statku, Bąble zrobiły twoją matrycę. Właściwie nie twoją, tylko tamtego, prawdziwego Deckera — rzekł Tennyson. — Użyły jej do stworzenia swojego własnego Deckera, czyli ciebie. Z takiej odległości, kiedy byłeś schowany za powłoką statku...

— Pamiętaj, że chodzi tu o coś znacznie więcej niż tylko matrycę postaci cielesnej — przypominał Decker. — Nie wiem, na czym polega ta technika, ale znam jej podstawowe zasady. Spróbuję wam to wyjaśnić. Jest urządzenie podobne do skanera ciała wynalezione dawno temu na Ziemi. Na początku nazwano go skanerem mózgu, bo używano go głównie do skanowania tej części ciała w poszukiwaniu nowotworów. Później jednak wykorzystano je jako skaner do całego ciała. Rejestrował kolejne przekroje poprzeczne ciała. Przecinał tkankę robiąc zdjęcia rentgenowskie przy różnych przekrojach. Właściwie termin „zdjęcia” nie oddaje istoty rzeczy. Dane przesyłane były do komputera, który następnie łączył je w całość tworząc obraz przestrzenny. Mniej więcej w ten sposób działa wynalazek Bąbli. Różnica polega jednak na tym, że odległość, w jakiej może działać, jest znacznie większa. Otrzymane dane mogą być użyte do rekonstrukcji każdego rodzaju materii. Powiedziano mi, że w moim przypadku oprócz danych dotyczących mojego ciała zebrano również informacje o statku. Wykorzystali jednak tylko dane o moim organizmie. Z tego, co wiem, dane statku nadal są gdzieś przechowywane i jeśli kiedyś znajdzie taka potrzeba, będzie go można odtworzyć.

— Ale Decker, ten oryginalny był jakiś dwieście lat poza swoim czasem — rzekł Tennyson. — Tak mi przynajmniej powiedział. Spędzili dużo czasu w kapsule ratunkowej szukając planety o

warunkach biologicznych dających mu szansę przeżycia. Właśnie to poszukiwanie trwało jakieś dwieście lat. Jak w takim razie możliwe, że jesteś tu zaledwie od stu lat?

— Prawdopodobnie Bąble poczekały sto lat, zanim dokonały rekonstrukcji mego ciała. Mają tu mnóstwo roboty. Czasami muszą wybierać, kogo zrekonstruować, a i tak niektóre ich dane są tu już od setek lat i nigdy nie zostały wykorzystane. I pewnie już nie zostaną.

— Poczekaj. Mieszkasz tu od stu lat. Ile lat miałeś, kiedy zostałeś zrekonstruowany? Czterdzieści? Nie wyglądasz mi jakoś na stuczterdziestoletniego dziadka. Nie różnisz się ani trochę od Deckera, którego znałem.

— Cóż, chodzi o to, że Bąble udoskonalają otrzymane dane — wyjaśnił Decker. — Kiedy wybierają jakiś organizm najpierw starają się skreślić jego słabe punkty. Na przykład wydaje mi się, że kiedy ja byłem zrekonstruowany, w moim zapisie istniał ten zupełnie zbędny ludzki organ, nazywany wyrostkiem robaczkowym. Ponieważ Bąble uznały go za niepotrzebny, nie poddały go rekonstrukcji w czasie odbudowy mego ciała. Dlatego nie mam wyrostka. Naprawili mi też słabą i zniekształconą zastawkę serca. Dodali brakujący ząb, wymienili spróchniały. W przypadku chorej nerki i podejrzanej długości jelita...

— Brzmi to tak, jakbyś był nieśmiertelny.

— Nieśmiertelny to może za dużo powiedziane, ale na pewno pożyję jeszcze troszkę. Gdyby przytrafiło mi się coś złego, a Bąble widziałyby jakiś sens w ratowaniu mnie, to z pewnością coś by na to poradziły, wymieniły serce, wątrobę, płuco. Tak się tu toczy życie. Jestem jedynym człowiekiem, jakiego posiadają i nie mieli pojęcia, w jaki sposób należy się mną opiekować. Ale kiedy tylko nauczyłem się ich języka i wytłumaczyłem im wszystko,

dostarczyli mi to, czego potrzebowałem. Dywany, obrazy, meble, pożywienie, jakie mogłem zjeść. Postarali się nawet o parę dodatków od siebie. Tutaj tak już jest. Daj im opis tego, co potrzebujesz, a one już się o to postarają. Mają konwertery materii, czy coś w tym rodzaju. Nie są to urządzenia, do których wrzuca się parę łopat piasku, a po chwili otrzymuje bukiety kwiatów, lody na patyku czy cokolwiek sobie zażyczysz, ale najprawdziwsze wysokowydajne maszyny.

— Ale nie ma tu innych ludzi? — upewniała się Jill.

— Parę istot człekokształtnych, ale nie są to ludzie. Mają dwie nogi, dwie ręce, dwoje oczu, dwoje uszu, usta i nos, ale nie są ludźmi. Nie chcę przez to powiedzieć, że są to istoty mało inteligentne. Niektóre z nich stoją w hierarchii wysoko ponad człowiekiem. Znam je wszystkie i jakoś się dogadujemy. Prawdę mówiąc mamy trochę wspólnego. Wolimy w każdym razie trzymać się razem, z dala od najmądrzejszych nawet pajaków i pulsujących inteligencją galaret.

— Ale czemu to wszystko ma służyć? — spytała Jill. — Wygląda to prawdę mówiąc jak jakieś galaktyczne zoo.

— Bo to rzeczywiście jest zoo. Ale oprócz tego jest to jeszcze coś więcej. Najlepsze tłumaczenie nazwy tego miejsca, jakie przychodzi mi na myśl, a na pewno jest ono dalekie od oryginału, to Centrum Badań Galaktyki. Podstawowe zadanie tego miejsca jest identyczne z zadaniem waszego Watykanu, chociaż z tego, co mówicie, wynika, że nasze podejście i motywy są zdecydowanie różne. Bąble rozpoczęły całe to przedsięwzięcie już jakiś milion lat temu, a teraz są jedynie jego częścią. Nadal pozostają najważniejsi, ale po drodze zyskali sprzymierzeńców z innych kultur również zorientowanych na badania naukowe. Kiedy spojrzysz na to wszystko, widać wyraźnie, jak wielkie jest to

przedsięwzięcie. Idea zasadza się na podróżach w galaktykę, podróżach fizycznych, i gromadzeniu informacji. Kiedy dane zostaną zebrane, można dokonywać rekonstrukcji i badań nad różnymi formami życia. Dane nie dotyczą jednak tylko samych form życia, ale również artefaktów pozostałych po innych kulturach, maszyn, budowli, pojazdów, zabawek, pożywienia, upraw i wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić. Z tego względu wydaje się, że metoda ta jest lepsza od stosowanej przez Watykan. Informacje są pełniejsze, chociaż zakres działania ogranicza się do galaktyki. W czasie ostatniego wieku podnosiły się jednak głosy sugerujące, że trzeba zacząć pracować nad techniką umożliwiającą dalsze podróże, być może do okolicznych galaktyk.

— A co z bezpieczeństwem? — spytał Tennyson. — Przecież takie miejsce to składnica skarbów dla kogoś poszukującego informacji. Gdy tylko jakaś rasa zwierzy, co tutaj robicie, natychmiast was napadnie. Watykan broni się oddaleniem od wszelkiego rodzaju osad i zamknięciem wypływu informacji. A wy jakoś nic sobie z tego nie robicie.

— Moja załoga albo raczej załoga oryginalnego Deckera została wystraszona bronią psychologiczną — odparł Decker. — W najbliższej okolicy emitowane jest poczucie strachu i nie potrafię wam wytłumaczyć, w jaki sposób odstrasżający głos, którego i tak nie mogli zrozumieć, powiedział im, że muszą się stąd wynosić. Załoga była tak przerażona, że nikt nie mógł się ruszyć. W końcu zaczęli uciekać jak szczury starając się znaleźć sposób jak najszybszego wydostania się. Statek rozbił się pięćdziesiąt mil stąd. Nawet wasza Słuchaczka, Mary, została skutecznie odstraszona. Nic zresztą o tym nie wiedziałem aż do chwili, kiedy mi o tym opowiedzieliście, ale to dość oczywiste.

Została wykryta, mimo że nie znalazła się tutaj w postaci cielesnej. Gdzieś w naszych archiwach znajdują się dane jej dotyczące, chociaż zdaje się, że dotąd nie rozpoczęto rekonstrukcji. Najwyraźniej nie była zbyt interesująca.

— To właśnie z jej powodu tutaj jesteśmy — rzekła cicho Jill.

— Wiem. Co chcecie opowiedzieć Bąblom?

— Wystarczy chyba, że tobie opowiedzieliśmy wszystko.

— Cóż, rzeczywiście. Przekażę to Dymkowi. Czy chcecie, abym coś pominął w mojej opowieści?

— Nie. Nie mamy żadnych tajemnic — odparł Tennyson.

— To właśnie chciałem wam radzić — powiedział Decker. Bąble będą zaintrygowane całą tą historią i rozpoczną przeszukiwanie zbiorów. Nie musicie się ich obawiać, to naprawdę miłe stworzenia, nawet według ludzkich standardów. To naturalnie obcy i czasami cholernie trudno zrozumieć ich logikę, ale z całą pewnością nie są krwiożerczymi potworami. Byliście pierwszymi w historii, którym udało się przeniknąć do tego miejsca. Już sam ten fakt wystarczy, żeby bliżej się wami zainteresować. Swoją drogą, chyba nie udałoby się wam dokonać tego bez tych galaretowatych stworów.

— Ludzi ze świata równań? Są dobrzy w tym, co robią.

— Z zainteresowania, jakim Dymek ich obdarzył, domyślam się, że Bąble nie widziały ich nigdy wcześniej. Nie wiecie przypadkiem, w którym miejscu galaktyki mieszkają?

— Nie mamy zielonego pojęcia — odparł Tennyson.

— I nie wiedząc gdzie są, potrafiliście się z nimi skontaktować?

— Dokładnie.

— Ale jak?

— Słuchaj, Decker, powiedzieliśmy ci prawie wszystko. Zostaw nam jakiś argument przetargowy, co?

— W porządku. Po prostu wydawało mi się, że widziałem z wami Pyłkowca. Ale pewnie wydawało mi się.

— Pyłkowca?

— Pyłkowca. No wiecie, taki obłoczek migoczącego dymu.

— Rzeczywiście jeden z nich przyszedł z nami, ale gdzieś zniknął — przyznała Jill.

— Czy to dzięki niemu skontaktowaliście się z tymi galaretami?

— Decker, powiedziałem ci, to nasza tajemnica — powtórzył Tennyson.

— Przepraszam, już nie będę.

— Ale wracając do ludzi ze świata równań — przerwała mu Jill. — Nie wiesz przypadkiem gdzie są teraz?

— Zostali na parkingu Dymka — odparł Decker. — Zbili się w jedną grupę, a na ich powierzchni co chwila migają różnokolorowe symbole. Ale właściwie muszę już wam powiedzieć dobranoc. Pewnie chcielibyście odpocząć. Zresztą ja też idę jutro do pracy.

— Masz tutaj pracę?

— Pewnie. Prawie każdy ma. Masz prawo wybrać rodzaj pracy, o ile oczywiście masz odpowiednie kwalifikacje. Moją specjalnością są tłumaczenia. Ku mojemu zdziwieniu odkryłem kiedyś, że mam zdolności do nauki języków obcych. Znam ich już parę. Poza tym nadzoruję klasyfikację wszystkich informacji docierających do nas ze wszystkich zakątków kosmosu.

— Wiesz chyba, że nie chcemy tu zostawać na długo? — upewniła się Jill.

— Protokół wymaga, żebyście porozmawiali z Dymkiem i być może z paroma innymi Bąblami — odpowiedział jej Decker. — Z pewnością bardzo by ich uraziło, gdybyście tak po prostu odeszli.

Z tego, co wiem, bardzo się wami interesują. Pójdę zresztą z wami jako tłumacz.

## ROZDZIAŁ 55

Pluskacz nadal skakał we wszystkie strony wydając z siebie radosne mlaśnięcia rozlegające się echem po pomieszczeniu.

— Nie mógłby dać sobie na chwilę spokoju — rzekł znużony Stóg Siana. — Może by tak przestał i odpoczął? Po jaką cholere tak się rzuca?

— Zostaw go — odparł Dymek. — Zawsze się na niego wściekasz. Tylko byś krytykował.

— Bo mnie denerwuje — powiedział ze złością Stóg Siana.

— Deckerowi nie przeszkadza — zauważył Bąbel. — Decker nigdy nie narzeka.

— Bo nie musi tu siedzieć cały czas — przypomniał mu Stóg Siana. — Decker nie jest tak bliską ci osobą jak ja. Zawsze ci towarzyszę. Jestem na każde twoje zawołanie. A Decker ciągle gdzieś gania. Gdyby, tak jak ja musiał przez cały czas być z Pluskaczem...

Mlaśnięcia nie traciły na sile.

— Kurczę blade, ani na chwilę nie przestanie. Dzień czy noc, cały czas skacze — złościł się Stóg Siana. — Albo mi się wydaje, albo powinniśmy tworzyć triadę, nie? To po co nam ten bałwan? Wszyscy inni tworzą triady, dlaczego my jesteśmy we czwórkę?

— Jesteśmy triadą — sprzeciwił się Dymek. — I nie próbuj mnie zdenerwować. Nie mów rzeczy, które nie są prawdą, myśląc, że uda ci się zmusić mnie do kłamstwa. Wiesz przecież, że Pluskacz nie jest jednym z nas. Jest tylko zwierzątkiem domowym. Może gdybyś cały czas nie zrzędził, a Decker przestałby uganiać się nie wiadomo za czym, nie potrzebowalibyśmy zwierzątka. Ale w tej sytuacji mam je i



przyznaję, że bardzo je lubię.

Stóg Siana odburknął coś pod nosem.

— Co mówisz? Mów głośniej.

— Mówię, że nie tylko je lubisz, ale wręcz kochasz, skoro potrafisz wytrzymać to mlaskanie. Ja i Decker mamy go w każdym razie po dziurki w nosie. To właśnie dlatego Decker ugania się gdzieś całymi dniami. Nie może wytrzymać mlaskania. Mlask, mlask, mlask... Ile można? Ani chwili spokoju.

— Przyniesie nam szczęście — rzekł z dumą Dymek. — To nie tylko zwierzątko domowe. Jest talizmanem i przynosi szczęście...

— Nie potrzebujemy szczęścia — przerwał mu Stóg Siana. — Zawsze ci mówiłem, że powinniśmy go wyrzucić. Wszyscy się na ciebie obrazili. W całym Centrum nie masz ani jednego przyjaciela. Powtarzam ci, żebyś wziął na wstrzymanie, ale ty nic. Powiedz, co zrobisz, kiedy wreszcie osiągniesz panowanie nad Centrum?

— Tu nie chodzi tylko o Centrum. To coś znacznie więcej. Ty i Decker trzymacie ze mną, więc...

— Znowu to samo — westchnął Stóg Siana. — Nie wiem zupełnie, jak ja z tobą wytrzymuję. Sam szukasz kłopotów. Te twoje nieziszczalne marzenia. Gdyby Decker nie poszedł z tobą...

— Decker potrafi mnie zrozumieć — odparł Dymek. — Bez problemu czyta w moich myślach. A ty...

— Może i potrafi cię zrozumieć, ale to ja jestem realistą. Wiem, co możliwe, a co nie. Decker natomiast buja w obłokach.

Pluskacz mlaskał bez chwili opamiętania.

— Nikt dotąd nie odważył się przejąć Centrum — ciągnął Stóg. — Oczywiście, starasz się działać ostrożnie, zmylić przeciwnika. Wydaje ci się, że jesteś taki mądry. Ale inni wiedzą o wszystkim. Czekają tylko, aż popełnisz jakiś drobny błąd, a wtedy cię

dopadną. Zmiażdżą cię jak robaka bez żadnej litości.

— Kiedy trzy istoty tworzą triadę, co jest logiczną implikacją naszego trybu życia i co, jak dowiodły obserwacje, jest najlepszym modelem koegzystencji, to są one lojalne w stosunku do siebie. Nie wadzą się, nie...

— Przecież jestem lojalny — przerwał znowu Stóg. — Pomagam ci najlepiej jak tylko potrafię. Robię, co mogę, żeby uniknąć kłopotów. Dlaczego nigdy mnie nie słuchasz?

— Słucham cię. I to bez przerwy.

— Słuchasz, ale nie zwracasz uwagi. Zupełnie opętał cię twój sen o chwale. Doszedłeś do stanu, w którym nie trafiają do ciebie żadne argumenty. Nawet w tej chwili knujesz już, w jaki sposób wykorzystać tych przybyszów do swoich celów. Nie mów tylko, że tak nie jest.

— Ich rekonstrukcja zajmie tyle czasu — narzekał Dymek. — Dlaczego nie wynaleziono jeszcze jakiejś szybszej metody?

— Procedura jest długa, ponieważ zależy od wielu czynników, które muszą być wzięte pod uwagę i przemyślane. Nie wolno popełnić błędu. A poza tym w prawie każdym egzemplarzu dokonywane są poprawki.

— Dlatego pomyślałem o wykorzystaniu oryginału, nie czekając na rekonstrukcję. Ale to może być niebezpieczne. Nie wiem, jak te galarety, ale ludzie z całą pewnością są bardzo delikatnymi i niezrozumiałymi istotami. To dziwne, że po tak długim czasie, kiedy mieliśmy tylko Deckera, pojawiła się jeszcze para ludzi. Strasznie mnie kuszą...

— Liczysz na to, że będą identyczni jak Decker? Wątpię. Zbyt małe prawdopodobieństwo. Poszczególne osobniki, nawet w zakresie tego samego gatunku, mogą być bardzo różne. Poza tym w Deckerze dokonano poprawek.

— Więc radzisz mi ostrożność?

— Tak jest.

— Zawsze radzisz mi ostrożność. Mam już po dziurki w nosie twojej ciągłej ostrożności.

— Nawet jeśli będziesz miał jeszcze dwoje ludzi — ciągnął niezrażony Stóg — nie możesz być pewien, czy będą się nadawać. Akurat tak się zdarzyło, że Decker okazał się osobnikiem, z którym możesz pracować. Co do nowych nie możesz mieć tej pewności.

— Poczekamy, zobaczymy — odparł Dymek. Mlaskanie nie ustawało.

## ROZDZIAŁ 56

— Widzisz sama, nie wiem... — zaczęła Jill. — Ten nowy Decker...

Tennyson szybko przyłożył palec do jej ust. Jill rozejrzała się po pokoju, ale nie zauważyła niczego podejrzanego. Decker już wyszedł i byli teraz sami.

— Zastanawiam się, gdzie jest Szeptacz — Tennyson zmarszczył brwi w zadumie. — To do niego nie podobne, że nas zostawił.

— Może spotkał jakichś starych znajomych — odrzuciła Jill. — Decker przecież powiedział, że są tutaj jakieś Pyłkowce. Może sobie rozmawiają.

— Wolałbym, żeby już wrócił. Chyba powinniśmy z nim porozmawiać.

— Widzę, że myślimy o tym samym?

— Chyba tak.

Siedzieli obok siebie na sofie rozglądając się po pokoju. Meble wyglądały jakoś znajomo. Dywan był całkiem ładny. Również obrazy wiszące na ścianach coś im przypominały. Cały ten pokój mógłby zostać przeniesiony na Watykan i z pewnością nie wyróżniałby się od pozostałych wnętrz. Mimo to w powietrzu wyczuwało się jakąś przerażającą obcość.

Tennyson podał rękę Jill. Siedzieli przytuleni trzymając się za ręce, sztywni i napięci jak dwoje dzieci niepewnych swojego losu i gotowych do ucieczki.

Jill zaczęła coś mówić, ale Tennyson zacisnął dłoń na jej ręce i dziennikarka ucichła.

Po chwili jednak nie wytrzymała:

— Jason, Szeptacz wrócił.

Szeptaczu? — spytał Tennyson.

Tu jestem, odparł Szeptacz. Przepraszam, że was opuściłem, ale spotkałem Pyłkowców. Wiecie, że są tu inne Pyłkowce? Słuchaj, powinniśmy porozmawiać, chodź do nas, odparła Jill, nie zwracając uwagi na zachwyty Szeptacza. Szeptacz wniknął w ich mózgi. Wyraźnie wyczuli jego obecność.

Wydaje nam się, że coś tu nie gra. Coś z Deckerem.

Nie byłem pewny, czy to zauważysz, podjął Tennyson. To ja przecież przyjaźniłem się z Deckerem na Watykanie. I mogę wam powiedzieć, że to nie jest mój Decker. A co ty o tym myślisz Szeptaczu?

To Decker, ale z całą pewnością nie ten, którego znałem, potwierdził Szeptacz. Okłamał nas, rzekła Jill. Powiedział, że nic nie wiedział o Mary do momentu, gdy mu o niej nie opowiedzieliśmy. A to przecież bez sensu. To miejsce, Centrum, jest szczególnie uwrażliwione na względy bezpieczeństwa. Mary dwukrotnie próbowała przedostać się tutaj. Mogli nie zauważyć tego za pierwszym razem, ale nie za drugim, bo przecież wykorzystali wtedy swój system broni psychologicznej, który skutecznie ją odstraszył. Nie wiedzieli, kim jest, bo przecież Mary nie trzeba się było obawiać.

Pewnie zebrali trochę danych na jej temat, ale nie za wiele. W każdym razie zbyt mało, bo przecież mieli do czynienia nie z istotą fizyczną, lecz z tym, czym jest Słuchacz, kiedy wybiera się na rozpoznanie. Ale masz rację, Jill, Wiedzieli o niej i jestem pewien, że mają jakieś dane jej dotyczące. Na pewno jednak nie wiedzą, z której strony je ugryźć i z tego co widzę po zachowaniu Deckera, nasz nowy znajomy świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Nie powiedzieliśmy mu za dużo, Jason? W każdym razie więcej

niż powinniśmy?

Może. Nie wiem. Musieliśmy mu przecież coś powiedzieć. Może rzeczywiście za dużo jak na pierwszy raz. Ale minęło trochę czasu, zanim wyczułem, że coś tu nie gra. Słowo „wyczułem” idealnie tu pasuje, bo nie potrafiłbym tego uzasadnić. Niby wszystko było w porządku, a jednak wyczuwałem coś dziwnego. Coś zupełnie niepodobnego do starego Deckera. Pamiętasz wszystko, co mu powiedzieliśmy?

Łatwiej zapamiętać, czego mu nie powiedzieliśmy. Nie wspomnieliśmy nic o robotach. Według niego, Watykan to pewnie instytucja prowadzona przez ludzi. Nie wspomnieliśmy też nic o religii. Nie powiedzieliśmy, dlaczego użyto nazwy Watykan. Nie powiedzieliśmy, że Mary wydawało się, iż odnalazła Niebo. Wie tylko, że Watykan to centrum badawcze, takie jak to.

A mimo to, wtrącił Szeptacz, był poruszony. Chyba całe Centrum jest poruszone. To musiał być dla nich szok, kiedy się dowiedzieli, że w galaktyce jest jeszcze jedno Centrum.

Nie wiesz przypadkiem, czy rzeczywiście udało nam się znaleźć tutaj bez ich wiedzy? To znaczy, nie wiedzieli o nas nic aż do momentu, gdy pojawiliśmy się tutaj?

Jestem tego pewien, odparł Szeptacz.

Na pewno odkryli nas, gdy tylko znaleźliśmy się na planecie, zauważyła Jill. Założę się, że mają mnóstwo czujników nastawionych na wykrywanie wszelkich form życia. Chociaż wtedy czerw pierwszy musiałby się nami zainteresować.

To mnie właśnie najbardziej martwi, odparł Tennyson. Nie mam wątpliwości, że zrobili nam zdjęcia, czy jak to tam sobie nazywają. Mają dane dotyczące każdego z nas, może nawet Szeptacza. Możliwe, że dokonali już rekonstrukcji nowej Jill,

Jasona i ludzi ze świata równań. Może nie powinniśmy o tym głośno mówić, przestraszyła się Jill. Może nas podsłuchują.

Raczej nie, odparł Szeptacz.

Ale przecież są tutaj Pyłkówce. Mogą nas słuchać.

Jest ich tu zaledwie paru, wyjaśnił Szeptacz. Czasami nawet ani jednego. Moi ludzie nie są częścią Centrum. Pojawiają się i znikają. Od czasu do czasu sprawdzają po prostu, co nowego odkryto w Centrum i czy jest to dla nich interesujące. A co do rekonstrukcji któregoś z nas, to wątpię, czy mogą to zrobić. Jesteśmy, jakby nie było, czymś więcej niż masą molekuł i atomów.

Poczekaj, chcesz przez to powiedzieć, że Pyłkowce korzystają z tego miejsca tylko jako ze źródła informacji?

Tak, tak by to można ująć. Nie współpracują w każdym razie z mieszkańcami, jeśli o to ci chodzi. Za bardzo wierzyłem temu Deckerowi, pluł sobie w brodę Tennyson. Tak bardzo się ucieszyłem na jego widok. To tak jak spotkanie dawno nie widzianego, starego przyjaciela w jakimś zupełnie niebywałym miejscu. Zaślepiła mnie pamięć o pierwszym Deckerze. Byłem zbyt szczery. Za dużo mu powiedziałem. Kiedy zorientowałem się, że coś jest nie tak, było już za późno, żeby cofnąć słowa. Nowy Decker jest zupełnie inny. Bardziej spokojny, nie tak jak stary. Drugi Decker skłamał kilka razy, jestem tego pewien. Na przykład o tym, że nigdy wcześniej nie słyszał o Mary. Kłamał też, że jego dane leżały niewykorzystane przez sto lat, zanim został zrekonstruowany. Daję głowę, że Bąble natychmiast dokonały rekonstrukcji, żeby się dowiedzieć, co za dziwna istota spadła im prosto z nieba.

Łatwo zrozumieć zmiany, jakie w nim zaszły, tłumaczyła Jill. Przez sto lat, a prawdopodobnie nawet przez dwieście narażony

był na wpływ istot z tego świata. Zaczął się z nimi identyfikować. Patrzy na wszystko z ich punktu widzenia i bezkrytycznie przyjmuje ich filozofię, jeśli w ogóle mają jakąś filozofię, a nie wątpię, że tak. Wydaje mu się, że znalazł wreszcie miejsce dla siebie. Jest częścią, jak oni to nazywają, triady? Razem z Bąblem, którego nazywa Dymkiem. No i ze Stogiem Siana. Drugi Decker nie jest już tym samym człowiekiem. Zmienił się. Pewnie musiał się zmienić, żeby przetrwać. Nie można go o to winić. Zrobił, co musiał zrobić. Ale teraz jest już kimś innym, nie tym znanym nam Deckerem, którego mi opisywałeś, Jasonie. Twój Decker nigdy nie zgadzał się na ustępstwa, nawet nie próbował zmieniać swoich zwyczajów po przybyciu na Koniec Wszechświata. Nic go nie obchodziło. Żył na swój własny sposób, tak jak mu się podobało, nie zwracając uwagi na to, co robią inni.

Tworzą triady? — spytał Szeptacz. To znaczy są we trójkę, prawda?

Tak.

Jest ich więcej niż troje, zauważył Szeptacz. Jest ich czworo.

Czworo?

Jest jeszcze Pluskacz.

Pluskacz? Chodzi ci o to coś, co przez cały czas skakało?

Właśnie. On również jest częścią ich grupy.

Niech cię szlag, zaklął Tennyson. Skąd ty wiesz takie rzeczy?

Wiem. Nie mam pojęcia skąd. Tak czy inaczej, Bąbel i Pluskacz są ze sobą bardzo blisko związani.

Poczekajcie, spróbujmy to podsumować, zaproponował Tennyson. Znaleźliśmy się tutaj i stwierdziliśmy, że nie jest to Niebo. Powinniśmy wracać na Watykan, żeby oznajmić im nasze odkrycie. Ale jak udowodnimy, że to nie jest Niebo? Przecież nie uwierzą nam na słowo. A nie mamy zbyt dużo czasu na szukanie



dowodów.

Właściwie powinniśmy już się stąd wynosić, dorzuciła Jill. Szeptaczu, czy możesz nas zabrać z powrotem?

Mogę.

A co z ludźmi ze świata równań?

Nie musicie się o nich martwić. Bez problemu znajdą drogę powrotną. Jeśli oczywiście będą chcieli wracać.

Myślisz, że mogą nie chcieć? A tak, rozumiem, o co ci chodzi. Odstawiono ich do domu spokojnej starości, a teraz się stamtąd wydostali...

Więc musimy troszczyć się tylko o siebie, stwierdził rzeczowo Tennyson. Martwi mnie tylko to, że nie wiem, ile czasu zajmie nam znalezienie odpowiedniego dowodu i w jakie tarapaty przy tym wpadniemy. Kiedy Bąble zrekonstruują nową Jill i nowego mnie, będą mogły się nas pozbyć. Wykorzystają nasze duplikaty starając się przedostać do Watykanu.

Właściwie dlaczego jesteśmy takimi pesymistami? — spytała Jill. Oskarżamy Bąble o najgorsze, a nie wiemy, czy jest w tym choć odrobina prawdy. Przecież Centrum i Watykan prowadzą taką samą działalność. Może będą chcieli nawiązać współpracę. Może będą chcieli połączyć się z Watykanem...

I tego właśnie Watykan chciałby najmniej.

Nic na to nie poradzę, westchnęła Jill, ale chyba masz rację. Chyba rzeczywiście nie obejdzie się tu bez konfliktu. Ale nie możemy być tego pewni.

Przede wszystkim zauważ, że Decker wykazał zbyt duże zainteresowanie Słuchaczami, przypomniał jej Tennyson. Zadawał tyle pytań. Wiedząc, że Watykan jest daleko poza ich zasięgiem, z chęcią położyliby łąpska na Słuchaczach.

Ale przecież wiedzieli już o Watykanie od dawna.

Pamiętasz notatkę Theodosiusa? Wyprawa Bąbli odwiedziła już kiedyś Koniec Wszechświata.

Tak, pamiętam. Właśnie się nad tym zastanawiam. Zwróć uwagę na to, co Decker powiedział o piętrzących się, nie wykorzystanych informacjach. Tamta wyprawa zapewne trwała wieki i odwiedziła wiele planet. Wrócili uginając się pod stosami informacji. Dlatego musieli wybierać, co było najbardziej interesujące. Przejrzeli tylko to, co wydało im się najważniejsze. Może informacje na temat Watykanu nadal tkwią gdzieś w ich archiwach. Na pierwszy rzut oka Watykan nie wygląda efektownie. Może nie wywarł na nich większego wrażenia. Może Bąble nie spotkały nigdy wcześniej robotów i nie znają zupełnie ich możliwości. Z tego, co mi wiadomo, roboty stworzone przez ludzi, są jedynymi w galaktyce. Bąblom roboty mogą wydawać się tylko złomem, kupą metalowych części, maszynami. Dlatego pozostali na Watykanie tylko przez parę minut. Pamiętasz, co było napisane w tej notatce? Istota, którą zobaczył Theodosius, spoglądała na niego z wielką pogardą.

Takie odniósł wrażenie. Nie był pewien.

Ja też nie jestem pewien, ale kardynał-robot może być całkiem spostrzegawczy. Może i tak, westchnęła Jill. Mam nadzieję, że masz rację.

Chcecie wracać? — spytał Szeptacz. Jestem gotów zabrać was z powrotem. Zresztą ja też nie miałbym nic przeciw temu, żeby już opuścić to miejsce.

Nie możemy, odpowiedział Tennyson. Musimy mieć dowód. W przeciwnym razie cała ta podróż będzie nic nie warta. Musimy mieć dowód, który wybiję im z ręki wszystkie atuty.

Jesteście w niebezpieczeństwie, oznajmił Szeptacz. Jestem tego pewien. Tak bym chciał, żeby udało nam się rozgryźć właściwe

znaczenie tego miejsca, rzekł Tennyson. Decker mówi, że jest to centrum naukowe i chyba mówi prawdę. Ale właściwie czego tu szukają. Większość centrów naukowych, ludzkich centrów naukowych, poszukuje wiedzy dla samego faktu jej posiadania. Na Watykanie poszukiwanie wiedzy ma na celu znalezienie religii, gdyż badacze wierzą, że wiara wypłynie z wiedzy. Kolejnym powodem może być władza, jaką daje informacja. Obawiam się, że to właśnie może być tutejszy cel zdobywania informacji. Decker mówił, że wkrótce mają rozszerzyć badania centrum na sąsiednie galaktyki. Być może sięgają po władzę nad owymi terytoriami, a nie wiedzę tam zawartą?

To, co mówisz brzmi rozsądnie, odparła Jill. Ale władza musi mieć odpowiednie zaplecze polityczne. Myślisz, że funkcjonują tutaj również politycy?

Skąd miałbym to wiedzieć, zachnął się Tennyson. Nie mamy zresztą czasu, żeby się o tym przekonać. A to wymagałoby czasu.

Wiem, powiedziała nagle Jill. Wiem, co moglibyśmy zabrać jako dowód. Jednego z czerwi. Jeśli zabierzemy czerwia, teologowie będą musieli się zgodzić, że nie jest to Niebo. W Niebie chyba nie spodziewają się takich roboli. Bo niby skąd?

Przykro mi, ale muszę was zmartwić, wtrącił się Szeptacz, ale nie mogę przetransportować czerwia. Za duża masa. Nie mam wystarczającej energii.

Kiedy wiemy już, gdzie jest Niebo, może moglibyśmy wysłać tu jakichś Słuchaczy? — podrzuciła Jill. Będą mieli dowód zapisany na sześcianie.

To bez sensu, Tennyson nie zastanawiał się nad jej propozycją. Za pierwszym razem Bąble nie spostrzegły Mary. Kiedy tu dotarła i zobaczyła Niebo była tak zachwycona widokiem, że musiała tu wrócić ponownie. Za pierwszym razem zdążyła więc

tylko rzucić okiem na te wszystkie wspaniałości. Później, kiedy ponownie starała się dotrzeć do Nieba, prawdopodobnie chcąc przywieźć ze sobą jakiś dowód jego istnienia, wiedzieli już, że jest tutaj i wystraszyli ją. Wiedzą już o Słuchaczach i nie ma żadnych szans na przedostanie się tutaj kolejnej osoby.

Gdybyśmy tylko mogli zabrać ze sobą sześcian, powiedziała Jill. Nie możemy, sprowadził ją na ziemię Tennyson, nie jesteśmy Słuchaczami. Dlaczego oni nas wpuścili... Przecież mogli nas zatrzymać albo odstraszyć, tak jak Mary, zastanowiła się Jill.

Mylisz się, rzekł Szeptacz. Ludzie ze świata równań podróżują zupełnie inaczej niż Słuchacze. Sprowadzili nas tutaj nie wszczynając alarmu w Centrum. Znaleźliśmy się tu, zanim w ogóle się zorientowali, że ktoś próbuje się tu dostać. Nie wiem jednak, czy za drugim razem, gdybyśmy ponownie starali się przeniknąć do Centrum, udałoby się dokonać tego niepostrzeżenie. Tutejsi ludzie, świadomi nieszczelności w swoim systemie obrony, zrobią teraz wszystko, żeby poprawić jego funkcjonowanie.

Cóż, wygląda na to, że nie mamy szans wrócić tutaj następnym razem, powiedział Tennyson. Nie możemy też zabrać nic, co stanowiłoby dowód naszej tutaj obecności. Mamy tylko słowa, a wątpię, żeby teologowie traktowali je poważnie. Zresztą niezależnie od tego, co byśmy stąd zabrali, zawsze mogliby powiedzieć, że zgarnęliśmy coś po drodze z Nieba do Watykanu.

Czy chcesz przez to powiedzieć, że odbyliśmy całą tę podróż na próżno? — spytała Jill.

Nie wiem, pomyślał Tennyson. Czy ich historia da Theodosiusowi i jego poplecznikom szansę na przedłużenie walki? Czy ich słowa sprawią, że teologowie zaprzestaną choćby na jakiś czas ataków na Watykan i Program Poszukiwań? Szansę

były raczej niewielkie.

Co najwyżej mogli zyskać moment oddechu i chwilowe osłabienie tempa walki. Czemu nie przewidział takiej sytuacji? Rozmawiali przecież o tym, że będą musieli zabrać stąd jakiś dowód. Nie przemyślał jednak kwestii, co mogłoby stanowić taki dowód. Czemu z góry nie założyli niemożliwości zdobycia niekwestionowanego dowodu?

Gdyby tylko mieli więcej czasu, na pewno coś by wymyślili. Wyglądało jednak na to, że los im nie sprzyja. Mieli nadzwyczaj mało czasu. Istniało tu jakieś zagrożenie, niebezpieczeństwo, którego Tennyson nie mógł zdefiniować, ale które wyczuwał każdą cząstką swej osobowości. Szeptacz to potwierdził.

I znów porażka, pomyślał. Osiągnęli cel misji, a mimo to ponieśli klęskę. Co jeszcze mogli zrobić? Wiedział, czego na pewno nie mogli uczynić. Nie mogli podwinąć ogona i uciec jak najdalej stąd. Przynajmniej na razie. Gdybyśmy tylko mogli przekazać informację Theodosiusowi, przerwała ciszę Jill. Informację, że jesteśmy tutaj i że z całą pewnością nie jest to Niebo.

Mógłbym zanieść taką informację, odparł Szeptacz.

Ale komu ją przekażesz? Na Końcu Wszechświata nie ma nikogo, z kim mógłbyś porozmawiać. Przecież ani Theodosius, ani Ecuyer... Są Nestorowie, przypomniał jej Szeptacz. Mogę im to powiedzieć. Nestor mieszkający na wzgórzach nad chatą Deckera może potem przekazać wiadomość Theodosiusowi.

Ale potrzebujemy cię tutaj.

To zajmie tylko chwilę.

Nie, zdecydował Tennyson, nie chcemy, żebyś nas tu zostawiał, nawet na chwilę. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziemy cię potrzebować. W takim razie mogę wysłać innego Pyłkowca.

Jeden z moich braci mógłby to dla mnie zrobić. Mówiłem wam chyba, że są tu inne Pyłkowce, prawda?

Tak, mówiłeś, potwierdziła Jill.

Więc nie martwcie się, uspokajał ich Szeptacz. Poproszę jednego z nich.

## ROZDZIAŁ 57

Kiedy mnich przyniósł wiadomość, że do esplanady zbliża się Nestor, kardynał Theodosius wyszedł mu na spotkanie.

Nestor powoli podpłynął do schodów, przestał obracać się w kółko i osiadł na chodniku. W chwilę później zaczął swoje wibracje i pobrząkiwania, aż wreszcie wydobył z siebie następujące słowa:

— Przeszedłem z wizytą — powiedział.

— Dziękuję za przyjęcie zaproszenia — odparł Theodosius. — To bardzo miłe z twojej strony. Chyba powinniśmy częściej się spotykać.

— Przynoszę ci również wiadomość — ciągnął Nestor. — Dostałem informację przyniesioną mi dla ciebie przez Pyłkowca.

— Szeptacza? Pyłkowca Deckera?

— Nie, innego. Jednego z naszych dawnych braci, który szczęśliwie wrócił na planetę. Kiedyś, dawno temu, było ich tu całe mrowie, później odeszli. Wątpiliśmy już, czy kiedykolwiek jeszcze jakiegoś zobaczymy. Myślmy o nich jak o naszych dzieciach. Teraz jeden wrócił i mamy nadzieję, że w jego ślady pójda inne.

— Cieszę się razem z wami — rzekł Theodosius. — Ale powiedziałaś, że Pyłkowiec przyniósł wiadomość?

— Wiadomość dla ciebie, kardynale. Tennyson i Jill dotarli do Nieba, ale to nie jest Niebo.

— Dzięki ci, Boże!

— Nie chciałeś, żeby to było Niebo?

— Niektórym z nas wydawało się, że tak jest — odparł wymijająco Theodosius.

— Poza tym — kontynuował Nestor — Jill i Tennyson wracają.

— Kiedy?

— Pyłkowiec powiedział, że wkrótce.

— Świetnie. Będę na nich czekać.

— Sugerowałem, że kiedy wrócą, powinni przyjść pod te schody — dodał Nestor.

— Myślisz, że twoja informacja zostanie im przekazana?

— Pyłkowiec wrócił do tego nie-Nieba i ma im ją przekazać. Pomyślałem, że możemy tu razem na nich poczekać.

— Nie wiadomo, ile czasu im to zajmie.

— Jestem cierpliwy, ty chyba też.

— Świetnie — powtórzył kardynał. — Obydwaj jesteście cierpliwi, a mamy wiele do omówienia. Moglibyśmy rozmawiać godzinami.

— Przepraszam cię — przerwał mu Nestor — ale mówienie w wasz sposób jest dla mnie męczące. Nie mogę tego robić długo.

— W takim razie milczmy obydwaj. Być może okaże się, że nie musimy rozmawiać. Może uda nam się nawzajem zrozumieć nasze myśli.

— To ciekawy pomysł — zauważył Nestor. — Spróbujmy.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, przyniosę sobie jakiś stołek. Wiem, to głupie, że robot potrzebuje stołka, ale tak się przyzwyczaiłem, że nie mogę bez niego myśleć. Kiedy odwiedzam Jill w bibliotece, zawsze siadam na krześle. Wiem, że to dość śmieszny zwyczaj, ale...

— Poczekam na ciebie. Idź — zgodził się Nestor.

Czekał przy schodach do bazyliki, podczas gdy kardynał pospiesznie udał się po coś do siedzenia.



## ROZDZIAŁ 58

Stóg Siana znowu spał. Spał zresztą przez większość czasu, a w każdym razie tak się wydawało, bo zamykał oczy i to wszystkie trzynaście par naraz. Stóg nie zmieniał zbyt często pozycji, a kiedy miał zamknięte oczy, nie można było stwierdzić z całą pewnością, czy śpi, czy tylko odgradza się od świata. Najprawdopodobniej nudziło mu się, myślał Bąbel, którego Decker nazywał Dymkiem. Czasami Dymkowi wydawało się, że powinien pozbyć się Stogu Siana, ale po dłuższych rozważaniach zawsze jednak się decydował pozostawić go przy sobie. Pomimo swego lenistwa Stóg Siana miewał dobre pomysły. Znalezienie kogoś podobnego do niego byłoby dość trudne, a nawet wręcz niemożliwe. Poza tym kiedy już raz wybrało się kogoś na partnera do triady, ciężko było zdecydować się na rozpad układu. Zbudowanie gładko funkcjonującej triady zajmowało wiele czasu, a Stóg Siana był w nim dłużej, niż sięgał pamięcią. Można by pomyśleć, że po całym tym czasie powinni być nierozłączni. No i rzeczywiście, jesteście nierozłączni, pomyślał Dymek, ale bynajmniej nie z powodu wielkiej przyjaźni, a dlatego, że Stóg Siana nie pozwolił mi siebie odprawić. Istniał jakiś czynnik psychologiczny, który sprawiał, że Stóg Siana, pomimo całej swojej mądrości był bardzo bojaźliwy. Musiał mieć kogoś, na kim mógłby się oprzeć, kogoś, kto ochroniłby go przed całym światem. Mógł narzekać i wybuchać złością, kiedy Pluskacz nie przestawał ani na chwilę skakać, mógł nawet grozić, że odejdzie, że rozbije triadę, ale nigdy by tego nie zrobił, bo wiedział, że bezpieczeństwo i ochronę może zapewnić mu jedynie triada.

Mlask, mlask, mlask, ciągnął Pluskacz.

Stóg Siana spał, a Deckera nie było w okolicy. Deckera często nie ma, mruknął do siebie Dymek. Czasami bywał wesołą i śmieszoną istotą, a poza tym miał bujną wyobraźnię i, co ważne, był lojalny, chociaż czasami Dymek wątpił w jego oddanie triadzie. Decker był oportunistą, chociaż bardzo przydatnym oportunistą. Tak długo, póki nie pojawi się przed nim lepsza szansa, Decker zostanie z nimi, a dotychczas, tu Dymek dumnie się wyprężył, nie było dla niego żadnej lepszej możliwości egzystencji niż ta triada. W całym Centrum nie było innego Bąbla, który miałyby podobną siłę, a siłę tę zawdzięczał właśnie mądrości Stogu Siana i odwadze Deckera. Wiedział, że zbudował swoją triadę w dobrze przemyślany sposób. Dlaczego w takim razie od czasu do czasu odczuwał irytację i odrazę w stosunku do swoich dwóch partnerów? Czy kiedy zakończy się rekonstrukcja dwojga nowo przybyłych ludzi, uda mu się przyłączyć ich do triady i zamienić ją w kwintet? Czy w ogóle odważy się to zrobić? Czy pozwoli mu na to? Już dawno odrzucił konwenanse i konserwatywne myślenie. Dobrze wiedział, że w takim wypadku ataki na niego nasilą się jeszcze bardziej. Jeśli jednak miałyby one polegać jedynie na krytykowaniu jego postępowania, to bez problemu mógł sobie z tym poradzić. Czy będzie to jednak mądre posunięcie? Trójka Deckerów zdecydowanie zmieniłaby ten układ, ale ci tak zwani ludzie posiadali w sobie jakąś siłę. Z mądrością Stogu Siana i oportunistycznym trojga ludzi...

Zdecydował, że musi się nad tym zastanowić i to bardzo dokładnie. Mlask, mlask, mlask, ciągnął niestrudzenie Pluskacz.

Chociaż właściwie czemu nie? Prawdę mówiąc, już w tej chwili tworzyli kwartet, chociaż nikt nie był tego świadom, a w każdym razie miał nadzieję, że nikt nie jest tego świadom. Ukrywał to

(przynajmniej do tej pory) twierdząc, że Pluskacz jest tylko zwierzątkiem domowym. Gdyby jednak miał wybierać, wolałby wyrzucić tych dwoje, żeby tylko móc zatrzymać Pluskacza. Był jego cichym sprzymierzeńcem, nikt nawet nie podejrzewał, co robi naprawdę.

Dlaczego właściwie tak mu zależało na Pluskaczu? Pluskacz nie był mędrcom, jak Stóg Siana, nie miał takiej odwagi i wyobraźni jak Decker, ale dawał mu wielkie moralne oparcie i spokój, które były czymś zupełnie niezwykłym wśród członków jego rasy.

Stóg Siana spał, a Decker nadal nie wracał. Stożki odleciały, więc siedział sam, prawie sam, jedyną istotą wykazującą objawy życia był skaczący Pluskacz. Głupie galarety, które przybyły tu z dwójgiem ludzi i Pyłkowcem (nie widział go, ale Decker twierdził, że był z nimi) zostały na parkingu. Staraly się tam znaleźć dla siebie miejsce i porozumieć się, krzycząc na siebie nawzajem przebiegającymi po ich powierzchni błyskającymi symbolami.

Zastanawiał się nad różnorodnością galaktyki, zmiennością form życia i koncepcji, jakimi się kierowała. Zresztą niektóre spośród nich nie miały najmniejszego sensu, inne z kolei aż tętniły interesującymi możliwościami. We wszystkich jednak istniała pewna logika i gdyby udało się ją znaleźć, z całą pewnością pojawiłyby się ogromne możliwości wykorzystania takiego potencjału. Centrum było właśnie miejscem, gdzie taka logika mogła zostać wychwycona. Taki był przecież cel jego istnienia. Kiedy jednak obce koncepcje zostaną już zrozumiane, należało poczynić jeszcze jeden krok, wykorzystać je we właściwy sposób. Cel, być może mógł się okazać dość egoistyczny, ale takie właśnie wykorzystanie było lepsze niż żadne. Spośród

wszystkich żyjących tu istot jedynie on posiadał wystarczające umiejętności i wiedzę, aby właściwie wykorzystać zebrane informacje. Z pomocą Stogu Siana i Deckera oraz przy bliskiej współpracy Pluskacza, który zawsze powtarzał mu, że idzie właściwą drogą, mógł właściwie (choć egoistycznie) wykorzystać wszystkie idee i całą wiedzę zbieraną przez tysiąclecia. Inni, którym wydawało się, że to właśnie oni tego dokonają, bardzo się rozczarują. On i tylko on potrafił skorzystać z szansy. Wyobrażał już sobie wyraz zaskoczonych na ich śmiesznych twarzach, kiedy w końcu dowiedzą się, co zrobił.

Najpierw galaktyka, potem wszechświat, pomyślał, po czym powtórzył: Najpierw galaktyka, potem wszechświat.

Wszyscy inni, którzy siedzą cicho na swoich ograniczonych orbitach i którym wydaje się, że są bezpieczni w swoich triadach, stracili szansę. Stracili ją z powodu swojej arogancji i bezgranicznego zadowolenia z siebie, z powodu niemożności rozpoznania prostej prawdy mówiącej, że nie mają racji.

W ciągu tysiącleci Centrum natknęło się na setki, może nawet tysiące systemów wiary. Chociaż ciężko było je przebadać, dokonano tego w końcu i okazało się, że żaden z nich nie zdał egzaminu; wszystkie okazały się zupełnie bezwartościowe. Nie tylko stwierdzono, że wszyscy bogowie są fałszywi, ale także dokonano wnikliwej oceny, z której wynikało, że bogowie w ogóle nie istnieją, silni czy słabi, prawdziwi czy fałszywi. Wiara okazała się tylko samookłamywaniem się przez słabe istoty, zmuszone wznosić swoje domostwa w gorzkiej prawdzie egzystencji, na przekór wszechogarniającym ich dowodom, że nikt w całym wszechświecie nie interesuje się ich istnieniem.

Pluskacz wylądował wprost przed nim i teraz, zamiast odskoczyć znowu w jakimś kierunku, zaczął szybko podskakiwać

w miejscu. Mlask, mlask, mlask.

Patrząc na niego, na wpół zahipnotyzowany rytmicznym pluskaniem, Dymek poczuł, że pojawia się w nim odwieczne pytanie; czuł w sobie pobożność, energię i władzę. Wszystkie trzy stanowiły jedność. Żadna nie istniała bez drugiej i żadna nie była ważniejsza od innej. Pomyślał, że tak właśnie powinno być. Szczególnie zależało mu na władzy. Byli co prawda tacy, którzy twierdzili, że władza jest zła i że jej używanie jest złem samym w sobie. Ale nie była to prawda, mylili się. Podobnie jak mylili się twierdząc, że nie ma bogów. Mylili się, bo on odkrył swego własnego boga, boga jego, Stogu Siana i Deckera. Z czasem dostarczy mu on odpowiedniej siły do przeprowadzenia ich planu. Kiedy nadejdzie czas, otrzymają władzę.

Chwal mnie — powiedział bóg.

Więc go chwalił, bo taki zawarł z nim układ.

Mlask, mlask, mlask, ciągnął Pluskacz.

## ROZDZIAŁ 59

Dymek siedział na swoim podium. Tennyson przyglądając mu się uważnie stwierdził, że była to dość ciekawa istota. Dopiero teraz, kiedy przełamane zostały pierwsze lody, zauważył urodę swego rozmówcy. Bąbel był raczej owalny niż kulisty, a jego zewnętrzna osłona, jeśli to była osłona, błyszczała perłowo, połyskując iskierkami. Wnętrze owalu było wypełnione czymś w rodzaju dymu, jakby szarych wełnianych chmur. Nawet gdy dym się rozwiewał, aby ukazać twarz Bąbla, twarz przypominającą rysunek, pierwsze próby dziecka zabawiającego się kredkami, we wnętrzu pozostawała przejrzysta chmurka.

Po jednej stronie Dymek rozsiadł się Stóg Siana, wyglądający bardziej jak zwyczajny stóg siana niż jak żywa istota, mrugający od czasu do czasu oczyma wystającymi spod źdźbeł. Po drugiej stronie Bąbla stał drugi Decker. Patrząc na niego po raz kolejny Tennyson spróbował dostrzec jakąś zewnętrzną cechę, która pozwoliłaby mu odróżnić go od prawdziwego Deckera. Nie udało mu się to jednak. Rekonstrukcja była idealna. Przed Dymkiem skakał Pluskacz nie zajmując wiele miejsca.

Poza tym w pomieszczeniu stały stożki, mroczne cienie ubrane w czerń. Pewnie są czymś w rodzaju służby, a może strażnikami, zastanawiał się Tennyson. Nie, to chyba niemożliwe, przeciwko mnie i Mł nie potrzebują ochrony.

W pewnej chwili odezwał się Szeptacz:

Nie rozglądaj się. Właśnie przybyli ludzie ze świata równań. Możesz mi wyjaśnić, co tu się dzieje? — spytała zdezorientowana Jill.

Nie mogę. Nie wiem, odparł Szeptacz. Z całą pewnością

jesteśmy na audiencji, ale nie wiem, jaki jest jej cel. Ten Bąbel coś kombinuje i nie jest to na pewno nic dobrego. Uważajcie też na Pluskacza.

Pluskacza?

Pluskacz jest tu najważniejszy.

Decker w końcu przemówił do Tennysona:

— Dymek pozdrawia was i pyta, czy byliście dobrze traktowani. Czy jest coś, co możemy dla was zrobić?

— Byliśmy dobrze traktowani — odpowiedział mu Tennyson. — I nie potrzebujemy niczego.

Bąbel powiedział coś swoim skrzeczącym, gardłowym głosem.

Decker przetłumaczył:

— Dymek mówi, że Pyłkowiec musi odejść. Nie lubi Pyłkowców. Nie znosi ich obecności wokół siebie.

— Powiedz Bablowi, że Pyłkowiec zostanie — odparł Tennyson.

— Ostrzegam cię, przyjacielu, że jest to bardzo niemądre z twojej strony — poradził mu Decker.

— Mimo to proszę, powiedz mu, że Pyłkowiec zostanie. Jest jednym z nas.

Decker rzekł coś do Bąbla, a ten odpowiedział mu patrząc na Tennysona pojawiającymi się w obłoczku dymu oczyma.

— To niezgodne z jego wolą — kontynuował Decker. — Zupełnie niezgodne z jego wolą, ale w nadziei na osiągnięcie harmonii i owocnej konwersacji, przyjmuje wasz punkt widzenia.

Jeden zero dla nas, ucieszyła się Jill. Nie taki z niego twardziel.

Nie oszukuj się, sprowadził ją na ziemię Szeptacz.

— Dziękuję — powiedział głośno Tennyson. — Powiedz Bablowi, że jestem mu wdzięczny.

Bąbel znów coś zaskrzeczał, a Decker przetłumaczył:

— Cieszymy się, że przybyliście do nas. Zawsze jest nam miło powitać nowych przyjaciół. Celem naszego Centrum jest współpraca z innymi formami życia w galaktyce.

— Cała przyjemność po naszej stronie — krótko odpowiedział Tennyson.

Bąbel mówił, a Decker tłumaczył:

— Chcielibyśmy, abyście teraz przekazali nam swoje listy uwierzytelniające stwierdzające cel waszego przybycia do nas.

— Nie posiadamy żadnych listów uwierzytelniających — odpowiedział Tennyson. — Nikogo nie reprezentujemy. Przyszliśmy jako wolni członkowie populacji galaktycznej. Przybyliśmy jako zwykli turyści.

— W takim razie powiedzcie nam, proszę, skąd wiedzieliście o istnieniu naszego Centrum.

— To proste. Cała galaktyka wie o istnieniu wielkiego Centrum.

— Nabija się z nas — rzekł ze złością Dymek do Deckera. — Chce nas zrobić w konia.

— Wątpię — uspokoił go Decker. — Taki ma sposób wyrażania się. To zwykły ciemniak.

Bąbel zwrócił się do Tennysona:

— W takim razie jaki jest cel waszej wizyty?

— Po prostu chcieliśmy zobaczyć, jak tu wygląda. Jesteśmy tylko ciekawskimi turystami.

Chyba trochę przesadzasz, zauważyła Jill. Lepiej się uspokój. On za wszelką cenę chce się czegoś o nas dowiedzieć. A ja nie mam zamiaru mu nic mówić. Najwyraźniej nie wie, kim jesteśmy ani skąd przybyliśmy i lepiej, żeby tak zostało.

— Przyjacielu — rzekł Decker. — Chyba czegoś nie rozumiesz.



Kurtuazja nakazuje, abyś odpowiedział nam na nasze pytania.

Nie skończyli jeszcze waszej rekonstrukcji, domyślił się Szeptacz. Gdyby już ją zakończyli, nikt by was o nic nie pytał. Otrzymaliby wszystkie odpowiedzi od zrekonstruowanych kopii. Wygląda jednak na to, że im się spieszy. Nie chcą czekać tak długo.

— Muszę zaznaczyć, że udzielam odpowiedzi jak najbardziej wyczerpujących i prawdziwych — rzekł Tennyson do Deckera. — Jeśli jednak twój przyjaciel chciałby wiedzieć, gdzie znajduje się nasza macierzysta planeta, powiedz mu, że będzie musiał sam jej poszukać, gdyż nie mam zamiaru mu tego powiedzieć. Jeśli chce wiedzieć, jak się tu dostaliśmy i po co w ogóle przyszliśmy, dowie się tego później od naszych kopii, my jednak niczego nie zdradzimy. Może jeszcze porozmawiać z sześcianami. Może one będą bardziej rozmowne.

— Świadomie utrudniasz naszą rozmowę — zauważył Decker. — Wiesz dobrze, że nie potrafimy rozmawiać z sześcianami.

— O co mu chodzi? — zaskrzeczał Dymek. — Powiedz mi, Decker, co tu się dzieje?

— To tylko kwestia semantyki — tłumaczył Decker. — Daj mi trochę czasu, a wyciągnę z nich wszystko.

Pluskacz nadal skakał niestrudzenie.

— Zupełnie mi się to nie podoba — odezwał się z kolei Stóg Siana. — Cholera, Decker, przecież tu się coś dzieje. Powiedz, o co chodzi?

— Uspokój się — uciszył go Decker. — Zamknij swoją tłustą jadaczkę.

— Mówię do niego, a on jak zwykle w ogóle nie zwraca na mnie uwagi — lamentował Stóg. — Decker, obydwaj jesteśmy przecież rozsądni. Dajmy sobie trochę czasu na porozumienie.

Zostawmy teraz tę kwestię, później do niej wrócimy.

— Nie mam zamiaru zostawić tej kwestii — wrzasnął Dymek.  
— Potrzebuję odpowiedzi i to w tej chwili. Mamy swoje sposoby, żeby zmusić ich do mówienia.

Niezupełnie rozumiem, o co im chodzi, rzekł Szeptacz, ale według mojej oceny sytuacja staje się co najmniej niezręczna.

Trudno, odparł beczelnie Tennyson.

Mogę was w każdym razie zabrać stąd, kiedy będziecie chcieli. Jeszcze nie w tej chwili, zaproponował Tennyson. Zobaczmy, co się będzie dalej działo. Pluskacz znalazł się na wprost Dymka i bardzo szybko podskakiwał w miejscu.

Mlask, mlask, mlask, mlask, mlask, mlask...

Nadal nie mamy żadnego dowodu, przypomniała sobie Jill. Jeśli odejdziemy teraz, nie będziemy mieli żadnego dowodu.

— Powiem ci jak mężczyzna mężczyźnie, jak człowiek człowiekowi coś, co musisz zrozumieć — powiedział Tennyson do Deckera. — Tylko ty możesz to zrozumieć, bo jesteś człowiekiem. Widzisz, założyliśmy się. Chodzi o to, że musieliśmy się tu znaleźć i przynieść dowód, że tu dotarliśmy. Dajcie nam taki dowód, którego nikt nie zakwestionuje, i pozwólcie odejść. Jeśli spełnicie naszą prośbę, wrócimy, daję ci na to moje słowo, i odpowiemy na wszystkie wasze pytania.

— Chyba zwariowałeś! — wrzasnął Decker. — Uważasz mnie za głupka, który uwierzy w taką bajeczkę? Nie możesz się targować...

— Decker — krzyknął Dymek. — Mów natychmiast, co się dzieje. Rozkazuję ci tłumaczyć tę rozmowę.

— Nie chcę udzielić odpowiedzi w tej chwili — wyjaśnił Decker. — Zaproponowali układ.

— Układ! Chcą się ze mną targować?

— Czemu nie mielibyśmy się targować — wtrącił Stóg Siana. — Jako istoty inteligentne...

— Dłużej tego nie zniosę! — zirytował się Dymek. — Nie dam się zwodzić jakimś tępakom.

— Lepiej by było, gdybyś jednak zgodził się na pewne ustępstwa — doradził Decker. — Znam ludzi, bo sam jestem człowiekiem, i wiem, że nie uda ci się ich zakrzyczeć i...

Podskoki Pluskacza stały się tak gwałtowne i głośne, że ich prawie ciągły hałas zagłuszał słowa Deckera. Pluskacz latał w górę i w dół przed Dymkiem. W tej chwili Dymek również zaczął podskakiwać, nie tak wysoko ani energicznie jak jego przyjaciel, ale w dość szybkim tempie.

Wydaje mi się, że czas już się stąd wynosić, rzekł Szeptacz. Musimy mieć jakiś dowód, przypomniał mu Tennyson. Nie możemy wrócić z pustymi rękami. Nie dostaniesz żadnego dowodu od tych maniaków. Za to za chwilę eksplodują prosto w nasze twarze tego możesz być pewien.

— Dymku! — krzyknął Decker starając się mówić dostatecznie głośno, aby jego słowa mogły być usłyszane w ogólnym hałasie spowodowanym skakaniem Pluskacza. — Dymku, weź się w garść. Jesteś...

— Klątwa! — darł się Dymek. — Klątwa! Rzucam na was klątwę!

Teraz, rzekł szybko Szeptacz, zanim Tennyson zdążył zaprotestować. Ale nim obraz pomieszczenia zniknął z jego oczu, zauważył jeszcze jak Pluskacz eksploduje mu prosto w twarz. Ujrzał światło i płomień, który nie był gorący, lecz przerażająco zimny...

## ROZDZIAŁ 60

Po Watykanie szybko rozeszła się plotka, że coś się dzieje. Coś się dzieje lub za chwilę się zdarzy. Kardynał Theodosius i Nestor znajdowali się u stóp schodów do bazyliki czekając na coś, co właśnie miało się wydarzyć. Najnowsze plotki głosiły, że Tennyson i Jill są właśnie w Niebie i wkrótce mają stamtąd wrócić. Dokładnie tak jak Mary. Przyniosą Dobre Słowo. Dowiodą, że Niebo naprawdę istnieje. Powiedzą, że Mary miała rację.

Takie przynajmniej krążyły plotki. Według niektórych sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Wiara w możliwość podróżowania do Nieba w postaci cielesnej jest zaprzeczeniem dogmatów Watykanu, mówili. Niebo jest zagadką, nie znajduje się na tym świecie, ale na innej, lepszej płaszczyźnie. Jeszcze inni nie zgadzali się również z teorią podróży do nieba twierdząc, że Jill i Tennyson są kreacjami Theodosiusa i innych kardynałów, którzy nie wierzą w znalezienie Nieba lub którzy nie chcą w to wierzyć, bo gdyby się okazało, że Mary istotnie zawędrowała do Nieba, musieliby zaprzestać poszukiwania wiedzy, która okazałaby się w tym momencie niepotrzebna. Gdyby znaleziono Niebo, wiedza okazałaby się bezużyteczna, gdyż wszystkim, czego potrzebuje jednostka, jest wiara. Ogrodnik John zszedł po schodach bazyliki na spotkanie Theodosiusa.

— Rozumiem, Wasza Eminencjo, że widział się pan z Jego Świątobliwością.

— Tak jest. Czy masz coś przeciw temu?

— Oraz że podczas pańskiej rozmowy z nim, oskarżył mnie pan o zdradę Watykanu?

— Oskarżyłem cię o wtrącanie się do spraw, które nie należą do twoich kompetencji — odparł Theodosius.

— Zachowanie wiary leży w interesie nas wszystkich — zauważył ogrodnik.

— Ale zamordowanie szanowanego człowieka i kradzież sześcianów Słuchaczy chyba nie — odpowiedział bez osłonek Theodosius.

— Czy również o to mnie pan oskarża?

— Czyżbyś zaprzeczał, że jesteś twórcą i liderem ruchu teologicznego? Czyżbyś zaprzeczał, że to ty podrzuciłeś tłumowi ten bezsensowny pomysł kanonizacji Mary?

— To nie był bezsensowny pomysł, a jedynie próba sprowadzenia Watykanu na drogę, którą powinien był iść przez te wszystkie lata. Kościół potrzebował świętego, więc mu go dostarczyłem.

— Dla mnie był to bezsensowny pomysł. Więcej nawet, pomysł krzyżujący szyki Kościołowi. Do swych niecnych zamiarów wykorzystasteś wprowadzoną w błąd kobietę.

— Wykorzystałbym wszystkie możliwości, żeby przywołać Watykan do porządku. — Obrócił się na pięcie i zaczął wchodzić z powrotem na górę. Po chwili jednak zatrzymał się, odwrócił się i dodał: — Zażądał pan również od Jego Świątobliwości, żeby zdegradował mnie do rangi szarego mnicha, jeśli okaże się, że Niebo nie istnieje.

— Tak jest — potwierdził Theodosius. — I mam zamiar tego dopilnować.

— Najpierw będzie pan musiał udowodnić, że to nie jest Niebo. Jeśli nie uda się to panu, to pana czeka los szarego mnicha.

— Chyba wszystko ci się pomieszało. To na tobie ciąży obowiązek udowodnienia swojej racji. Nie ja muszę dowieść, że

to nie jest Niebo, ale ty, że jest.

— Dlaczego, Eminencjo, jest pan tak wrogo nastawiony do Nieba?

— Nie jestem wrogo nastawiony — zachnął się Theodosius. — Bardzo chciałbym wierzyć, że Niebo rzeczywiście istnieje. Ale nie takie Niebo, jakie ty wymyśliłeś.

John odwrócił się i tym razem wszedł po schodach nie odzywając się więcej ani słówkiem.

Plotki nadal krążyły po całej osadzie.

Głowiono się nad tym, dlaczego Theodosius siedzi na stołku. Żaden robot przed nim nie siedział tak długo na stołku. Ktoś powiedział, że jest to kara wymierzona mu przez Jego Świątobliwość.

A Nestor? Po co przyszedł Nestor? Nie ma tu przecież nic do roboty. Dlaczego on i kardynał trzymają się razem? Jakby byli dobrymi starymi przyjaciółmi. Po co kardynał z Watykanu miałby się zaprzyjaźnić z taką dziką bestią jak Nestor? Plotki głosiły, że tkwi w tym jakiś głębszy sens.

Odzywały się jednak głosy twierdzące, że ten sam Nestor nie może być taką dziką bestią, bo przecież przyniósł martwego Deckera i Huberta do Watykanu, co wskazywałoby na jego współczucie i przyjaźń.

Zaraz jednak odezwały się głosy, że to i tak więcej, niż można by od niego oczekiwać, gdyż prawdopodobnie to on właśnie zabił Deckera i Huberta.

Watykan aż kipiał od wszelkiego rodzaju wieści.

Nikt już nie pracował. Tłum zbierał się po obu stronach schodów do bazyliki zostawiając pośrodku pustą przestrzeń, gdyż ludzie podświadomie uważali, że niezależnie od tego, co się miało zdarzyć, z całą pewnością wydarzy się to właśnie na

samym środku placu. Na schodach bazyliki kłębiły się tłumy przypatrujących się z zainteresowaniem robotów. Drwale, żniwiarze, hodowcy krów, górnicy, operatorzy silników, wszyscy porzucili swoje zajęcia i przyszli popatrzeć. Ludzie mieszkający na Końcu Wszechświata porzucili swoje domostwa i zmierzali w kierunku bazyliki. Ktoś zaczął walić w dzwony, więc Theodosius rzucił się po schodach na górę i wyrzucił nadgorliwca z dzwonnicy. Nawet niektórzy Słuchacze, rzadko interesujący się gośćmi przybywającymi do Watykanu, wyszli zobaczyć, co się dzieje. Naprędce zwołana grupa techników bez niczyjego zezwolenia zainstalowała na fasadzie bazyliki ogromny ekran wideo i podłączyła go do jednego z terminali audiencyjnych Papieża. Już wkrótce na ekranie pojawiła się twarz Jego Świątobliwości z uwagą przyglądająca się zajściom.

Nic się jednak nie działo. Godziny mijały, a środek placu nadal świecił pustką.

Tłum, który wcześniej głośno hałasował, cichł wraz z obniżającym się na zachodzie słońcem. Napięcie rosło.

— Czyżbyś się pomylił? — spytał Theodosius Nestora. — Czyżby informacja była nieprawdziwa?

— Informacja głosiła dokładnie to, co ci przekazałem — odparł Nestor.

— W takim razie coś poszło nie tak — stwierdził Theodosius. — Coś musiało się stać.

Za bardzo liczył na to, że wszystko pójdzie po jego myśli. Za bardzo wierzył w to, że dwoje ludzi wróci przynosząc wieści, które przywrócą porządek sprzed rebelii i skończą przedwczesne, dziecinne marzenia o Niebie i świętych.

Starał się pocieszać. Jeśli nawet wszystko poszło źle, to na pewno obecna sytuacja nie będzie trwała wiecznie. On i inni

mieszkańcy Watykanu, choć może niezbyt wielu, nadal będą mieć nadzieję na przywrócenie dawnego porządku. Watykan na pewno nie stoczy się w ciemność. Na pewno nie zapomni o swej dawnej świetności. Kiedyś, zapewne wiele wieków później ludzie będą mieli dość sterylnej świętości i znowu zapragną pogoni za wiedzą, która z czasem doprowadzi ich do prawdziwej wiary. A jeśli kiedyś, w odległej przyszłości, okaże się, że prawdziwa wiara po prostu nie istnieje, że istnieje tylko nieczuły na nic wszechświat, to lepiej będzie przyjąć to z godnością, niż udawać, że tak nie jest.

Rozmyślając w ten sposób opuścił głowę, jakby gotował się do modlitwy, kiedy nagle usłyszał za sobą okrzyki zdziwienia. Podniósłszy szybko wzrok, zobaczył, co przykuło uwagę tłumu.

Na schodach, jakieś trzysta metrów od niego stali Jill i Tennyson. Tuż nad nimi zauważył migotanie diamentowego obłoczka, coś na kształt świecącej chmurki drobniutkich kryształków. Pomyślał, że to zapewne Szeptacz.

Zaczął podnosić się ze stołka, po czym usiadł znowu, gdyż kolana ugięły się pod nim na myśl, że coś poszło nie tak. Tuż przed Jill i Tennysonem podskakiwało dziwne monstrum. Wyglądało jak ośmiornica stojąca na głowie, i podskakując, wydawało z siebie głośny odgłos pluskania.

Stojący na schodach Tennyson rzekł do Szeptacza:

Co tu się do cholery dzieje? Sprowadziłeś Pluskacza?

W ostatniej sekundzie zdołałem go rozgryźć, tłumaczył się Szeptacz. Kiedy wybuchał nam w twarz, udało mi się wreszcie przedostać do wnętrza jego mózgu. Prawdę mówiąc nie chciałem go tu sprowadzić, ale tak jakoś wyszło. Ostatnio, kiedy go widziałem, był wielki i strasznie nerwowy, zauważyła Jill. Cóż, wygląda na to, że już mu przeszło, odparł Szeptacz.



Wiesz przynajmniej, co to jest? — spytał Tennyson.

Nie jestem tak do końca pewien. Dymkowi wydaje się, że jest bogiem, którego może wykorzystać do swoich celów. Chwaląc go i wykorzystując, płacąc za jego pomoc uwielbieniem, które przecież wy, ludzie, również składacie swoim bogom, chociaż w trochę inny sposób. Być może nie tak cynicznie jak Dymek.

Więc jest... bogiem?

A kto to może wiedzieć? Dymkowi wydaje się, że tak. Myśli, że położył łapę na czymś, czego nie mają inne Bąble. Na czymś, czego może użyć, żeby osiągnąć swój cel. Wiecie jak to jest, jeśli się ma właściwego boga, można dokonać wszystkiego. Z tego, co rozumiem, Pluskaczowi również wydaje się, że jest bogiem. Czyli mamy już dwóch, którzy tak uważają, ale co nam to daje? Ile osób musi sądzić, że ktoś jest bogiem, żeby uznać, że tak rzeczywiście jest?

Mlask, mlask, mlask rozległo się na placu.

Theodosius podniósł się ze stołka i podszedł do przybyłych. Nestor, wirując powoli sunął za nim. Za ich plecami tłoczyli się ludzie i roboty. Zajmowali już całą powierzchnię schodów prowadzących do bazyliki, stali na okolicznych dachach, gromadzili się na całym placu. Z fasady bazyliki pokratkowana twarz Papieża spoglądała na nich z zaciekawieniem.

Theodosius wyciągnął rękę do powracających jakby z zaświatów dwojga przyjaciół, podając dłoń najpierw Jill, a potem Tennysonowi.

— Witamy w domu. Z całego serca dziękujemy za podróż, której odważyliście się dokonać dla nas.

Pluskacz podskakując w szaleńczym tempie tańczył swoje fandango wokół Theodosiusa i Nestora.

— Zna pan już Nestora Deckera — powiedział Theodosius do

Tennysona — ale Jill chyba jeszcze nie.

— Miło mi poznać pana — powiedziała Jill. Nestor zaświschczał, zabrzączał i w końcu odezwał się:

— To ja witam was na Końcu Wszechświata. Cała przyjemność po mojej stronie.

Tłum zaczął zacieśniać się wokół ich czworga czy pięciorga, jeśli liczyć Pluskacza.

— Przede wszystkim, powiedzcie mi, proszę, czym jest to skaczące monstrum, które przywieźliście ze sobą? — spytał Theodosius. — Czy jest to ktoś ważny?

— Śmiem wątpić, Wasza Eminencjo — odparł Tennyson.

— Czemu w takim razie jest z wami?

— Można powiedzieć, że to coś niechcący dostało się w wir wydarzeń.

— Z tego, co wiem, udało się wam dotrzeć do Nieba Mary.

— Zgadza się — potwierdził Tennyson — ale to nie jest Niebo. To centrum badawcze podobne do Watykanu. Nie mieliśmy jednak okazji dokładnie go obejrzyć, ponieważ tak się złożyło, że wplątaliśmy się w lokalne spory polityczne.

Jakiś robot przecisnął się przez tłum i stanął obok Theodosiusa. Tennyson zauważył, że jest to John, ogrodnik.

— Doktorze Tennyson — spytał John — jak może pan udowodnić, że to nie jest Niebo.

— Nie mogę tego udowodnić — odrzekł Tennyson. — Nie mam żadnych dowodów. Nie wierzcie mi na słowo? Myślałem, że słowo człowieka wam wystarczy.

— W sytuacji takiej jak ta, niczyje słowo nie poparte dowodami nie jest wystarczająco dobre — uśmiechnął się John. — Nawet słowo człowieka. Wydaje mi się, że wy, ludzie...

— John — przerwał mu Theodosius — gdzie się podział twój

szacunek?

— Wasza Eminencjo, szacunek nie ma tu nic do rzeczy. Sprawa dotyczy w równej mierze nas wszystkich.

— Tennyson mówi prawdę — powiedział Nestor. — Czuję to.

— Być może wydawało się panu — ciągnął John ignorując słowa Nestora — że ta skacząca bestia, którą przywieźliście ze sobą, pomoże wam przekonać nas do waszej historyjki. Spytacie zaraz, czy takie bydlę mogłoby mieszkać w Niebie.

— Nic takiego nie chciałem zrobić — odparł wzburzony Tennyson. — Gdybym tak powiedział, natychmiast spytalibyście, jak mogę udowodnić, że to coś pochodzi z Nieba, a nie z jakiejś dziury w galaktyce.

— O to właśnie bym spytał.

Nagle w tłumie podniosły się okrzyki przerażenia i zdziwienia.

— Na miłość boską — krzyknął Theodosius prostując się nagle i nieruchomiejąc.

Tennyson obrócił się na pięcie i jego oczom ukazał się następujący widok: Dymek, Stóg Siana i drugi Decker szli w rządzie eskortowani przez ludzi ze świata równań.

Ludzie ze świata równań musieli zrozumieć, co się tam dzieje, wyjaśnił Szeptacz. Ale nie podejrzewam, że uda im się w końcu tego dokonać. Myślicie, że będzie to wystarczający dowód?

Drugi Decker schodził po schodach w ich kierunku.

— No proszę, przecież to Decker — rzekł cicho kardynał. — To przecież niemożliwe. Decker nie żyje. Odprawiałem mszę w jego intencji...

— Wyjaśnię to panu później, Wasza Eminencjo — rzekł szybko Tennyson. — To inny Decker. Wiem, że to dziwne.

Stali i czekali na Deckera. Tennyson zrobił kilka kroków w jego kierunku.

— Domyślałam się, że to jest Watykan.

— Tak jest — odparł Tennyson. — Miło mi cię widzieć.

— Chciałem ci powiedzieć, że robiło się strasznie gorąco. O mało nas nie zabiłeś.

— Prawie...

— Miałeś do czynienia z maniakiem — nie dał mu dokończyć Decker. — Obcym maniakiem. Obcy sami w sobie są czymś nie do zniesienia, a tu...

— Ale jakoś nie przeszkodziło ci to w skumaniu się z nim. Zdaje się, że byłeś jego człowiekiem. Uczestniczyłeś w tej, jak to się nazywa, triadzie?

— Przyjacielu — odparł Decker — będąc w gnieździe szerszeni myśli się przede wszystkim o przeżyciu. A żeby przeżyć, robisz, czego od ciebie wymagają. Musisz być szybki i uważny w swoich poczynaniach. Nie możesz dać się zaskoczyć.

— Rozumiem.

— Ale teraz muszę porozmawiać z kimś, kto tu dowodzi — rzekł Decker. — To chyba nie ty, co?

— Nie — przyznał Tennyson. — Najważniejszą osobą jest Jego Świątobliwość, tam, na ścianie. Ale myślę, że lepiej będzie, jeśli porozmawiasz z kardynałem Theodosiusem. Na pewno lepiej się z nim porozumiesz niż z Jego Świątobliwością. Pamiętaj tylko, żeby zwracać się do niego „Wasza Eminencjo”. Co prawda, nie jest to konieczne, ale on to lubi.

Wziął Deckera pod ramię i podszedł z nim do Theodosiusa.

— Wasza Eminencjo — powiedział — przedstawiam panu Thomasa Deckera II. Chciałby z panem porozmawiać.

— Drugi Decker — powtórzył zdziwiony kardynał. — Wpada do nas bez uprzedzenia, ale cóż, chętnie z panem rozmawiam.

— Mówię w imieniu istoty obcej, która uciekła ze swojej

rodzinnej planety, Wasza Eminencjo — zaczął Decker. — Chodzi o tę jajowatą bańkę mydlaną, którą nazywam Dymkiem, chociaż posiada ona inne imię.

— Wydaje mi się, że widziałem już kiedyś, wiele lat temu tego Dymka lub któregoś z jemu podobnych — rzekł w zamyśleniu Theodosius. — Ale proszę, nie owijaj w bawełnę i mów, o co wam chodzi.

— Dymek domaga się łaski, Wasza Eminencjo — ciągnął Decker. — Prosi o udzielenie mu azylu. Nie może wrócić do Centrum, ponieważ odebrano by mu tam życie. Jest więc bezdomną istotą, która dostała srogą nauczkę. Teraz jest już pokorny.

— Chyba musi być w kiepskim stanie — zauważył Theodosius.

— Jest, Wasza Eminencjo. Dlatego prosi...

— Wystarczy — przerwał Theodosius. — A teraz powiedz mi, czy miejsce, z którego uciekł nazywane jest Niebem?

— Nic o tym nie wiem. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś je tak nazywał.

— Czy słyszałeś, że jeden z naszych Słuchaczy starał się dotrzeć do waszego Centrum, tak chyba nazywacie to miejsce, prawda?

— Tak, Wasza Eminencjo, taką nosi nazwę, Centrum Badań Galaktyki. Wiemy też, że ktoś lub coś pasujące do opisu Słuchacza podanego mi przez Tennysona starało się przedostać do Centrum, ale udało nam się to coś odstraszyć.

Tennyson spojrział ponad jego ramieniem i zauważył, że ludzie ze świata równań rozeszli się nieco, dzięki czemu Dymek i Stóg Siana stali się teraz stosunkowo lepiej widoczni. Podskakujący przed nimi Pluskacz powoli poruszał się w kierunku Bąbla.

Dotarł do miejsca bezpośrednio przed Dymkiem i zaczął

bardzo szybko podskakiwać w miejscu.

— O mój Boże — krzyknął Tennyson. — Znowu to samo! — Wyminął rozmawiających i rzucił się w kierunku Pluskacza. Za sobą słyszał tupot czyichś nóg i krzyk Deckera:

— Z drogi, głupcze! Uciekaj!

Tennyson biegł dalej. Decker dogonił go jednak i mocno odepchnął z drogi. Tennyson jeszcze przez chwilę starał się utrzymać równowagę, w końcu jednak runął na schody i sturlał się po paru stopniach tłukąc sobie jedno ramię.

Decker krzyknął na Dymka w jego własnym języku:

— Nie, Dymku! Nie rób tego. Jeszcze ci mało? Nie masz żadnych szans. Wszystko skończone.

Również Stóg Siana wrzeszczał na Bąbla:

— Ty i ten twój cholerny zwierzak! Wykończycie nas! — Potem, zwracając się do Deckera krzyknął: — Uciekaj! On to zrobi.

Decker rzucił się w przeciwnym kierunku.

Pluskacz wybuchł, zmieniając się w kulę jasnego płomienia, który był jednak zupełnie zimny. Tennyson leżąc w sporej odległości od miejsca eksplozji Pluskacza poczuł zimny powiew.

Zaraz po tym zapadła straszna cisza, tłum umilkł — Cisza i ciemność. Leżąc na plecach i patrząc w kierunku bazyliki Tennyson zauważył szary cień wyłaniający się z panelu wizyjnego zainstalowanego dla Jego Świątobliwości. Kiedy cień rozpostarł się nad całym placem, zapadła najczarniejsza noc. Chwilę później jasność Pluskacza zgasła, a razem z nią znikła również ciemność. Pluskacz nie emanował już światłem. Leżał nieruchomo rozciągnięty na chodniku. U jego boku spoczywał Stóg Siana, a zaraz obok Dymek. Tennyson patrzył, jak Bąbel powoli zaczął czołgać się aleją z trudem pokonując kolejne

metry. Theodosius i Nestor stali czekając, aż Dymek dotrze do nich. Decker pokuśtykał przez chodnik i podniósł Stóg Siana, stawiając go na nogach. Pluskacz zaczął nieznacznie się poruszać, więc Decker podszedł do niego, podniósł go za jedną mackę i ruszył alejką ciągnąc go za sobą.

Tennyson zerwał się na równe nogi. Ramię, na które upadł, strasznie go bolało. Zataczając się podszedł do Deckera i Stogu Siana.

— Nie wiedział, kiedy powiedzieć „dość” — tłumaczył Decker wskazując skinieniem głowy na Dymka. — Jest jednym z tych fanatyków, którzy nie znają umiaru. Nawet gdy dostał już jedną nauczkę i wiedział, że nic z tego nie będzie musiał spróbować. Wiesz jak brzmi jego motto? „Najpierw galaktyka, potem wszechświat”.

— Wariat — podsumował Tennyson.

— Z pewnością — przyświadczył Decker.

— Ale zostałeś z nim.

— Tak jak ci powiedziałem, przyjacielu. Walka przeżycie.

Dymek doczołgał się już do miejsca, w którym stał Theodosius. Zatrzymał się i został tak zwrócony twarzą w kierunku chodnika.

Decker rzucił coś do niego, a Dymek odpowiedział tłumionym głosem.

— Powiedziałem przed chwilą, że jest już pokorny — zaczął Decker. — Wygląda na to, że się pomyliłem. Ale teraz ma już dość. Teraz jest już naprawdę pokorny. Niech pan go weźmie i zwiąże tak silnie, jak tylko się da. Ale najlepiej będzie po prostu go wykończyć.

— My nie zabijamy nikogo — odparł urażony Theodosius. — U nas wszystkie formy życia są święte Ale mamy dla niego miejsce. A co z tym skaczącym stworem?

— Jego też niech pan weźmie razem z Dymkiem. Wątpię, żeby przeżył swój ostatni wyczyn.

— A ten trzeci?

— Chodzi panu o Stóg Siana, Eminencjo?

— Tak. Chyba tak.

— Stóg Siana jest w porządku. Nie skrzywdziłby nawet muchy. Powiedziałbym nawet, że jest całkiem przyzwoity. Ręczę za niego.

— W takim razie wszystko w porządku. Zajmiemy się tymi dwoma. Aha, i proszę przyjąć wyrazy wdzięczności.

— Wyrazy wdzięczności?

— Za potwierdzenie, że jeden z naszych Słuchaczy został wystraszony, gdy próbował wkraść się do Centrum.

Tłum znowu zaczął szemrać, zbierając się do wybuchu.

W tym momencie jednak nad głowami rozległ się donośny głos.

Mówił Jego Świątobliwość.

— To koniec na dziś. W odpowiednim czasie wszystkie fakty zostaną rozważone, a rezultaty oznajmione publicznie.



## ROZDZIAŁ 61

Zebrali się w mieszkaniu Tennysona, przed kominkiem, w którym płonął ogień. Tennyson wstał, żeby napełnić szklaneczkę Ecuyera i rzekł do Theodosiusa:

— Wasza Eminencjo, cały czas mam wrażenie, że jestem niegościnnie, nie mogąc zaproponować panu nic do zjedzenia, podczas gdy reszta nas wcina kanapki i pije tak smakowite trunki.

Kardynał wygodniej rozsiadł się na krześle, które Jill przyniosła z kuchni.

— Wystarczy mi, że jestem tu pośród przyjaciół i ogrzewam się przy kominku. Pamięta pan noc, kiedy przyszedłem do pana, a pan zaprosił mnie do środka?

— Pamiętam — odparł Tennyson. — Nie mógł pan wejść, bo przyszedł pan z wieściami od Jego Świątobliwości.

— Właśnie. Od tamtej pory czekałem tylko na pana zaproszenie.

— Nie trzeba było czekać — wtrąciła Jill. — Niech pan wpada, kiedy tylko będzie pan miał ochotę. Zawsze jest pan tu mile widziany.

— Wygląda na to, że wszystko dobrze się skończyło zauważył Ecuyer. — Możemy chyba kontynuować pracę przerwana przez zamieszki. Wkrótce Słuchacze wznowią swe wyprawy.

— Jego Świątobliwość powiedział, że ogłosi wyniki swoich przemyśleń w terminie późniejszym — przypomniała Jill. — Myślicie, że mógłby...

— Nie — nie dał jej dokończyć Theodosius. — Po wysłuchaniu wszystkiego, co drugi Decker miał nam do powiedzenia,

szczególnie o Centrum i wizytach Mary, wątpię, żeby miał się nad czym zastanawiać. Prawdę mówiąc, Jego Świątobliwość przyjąłby o wiele słabsze dowody. Kiedy usłyszał o całym tym zamieszaniu z Niebem i propozycji kanonizacji Słuchacza, poczuł się gorzej, niż nam się wydaje. Musicie pamiętać, że jest komputerem, chociaż prawie doskonałym. Nie ma wątpliwości, po której stoi stronie.

— Gdyby jednak przyszło co do czego, stanąłby przeciwko nam — zauważył Ecuyer.

— Najpierw zrobiłby wszystko, żeby umożliwić kontynuację prac Watykanu. Tak jak zresztą większość z nas.

— Jest jeszcze jedna rzecz, która spędza mi sen z powiek. Parę wieków temu Bąble odwiedziły naszą planetę.

— Nie musi pan się tym przejmować — uspokoił go Theodosius. — Decker zapewniał mnie, że duża część raportów z każdej wyprawy nadal leży w archiwach, a wzięwszy pod uwagę, że codziennie spływa do nich ogromna ilość nowych informacji, prawdopodobieństwo, że ktoś będzie chciał kopać w zbiorach i szukać danych dotyczących akurat tej wyprawy, jest minimalne. Nie pamiętają nawet, że kiedyś już tu byli.

— Istnieją jednak rekonstrukcje Jason II i Jill II, które mogą im przypomnieć, że nasze dane znajdują się już w ich archiwach. Mogą też od razu im powiedzieć, kim jesteśmy.

— Rzeczywiście, istnieje takie niebezpieczeństwo — przyznał Theodosius. — Ale trudno. Musimy się z tym pogodzić. Chociaż to, swoją drogą dziwne, że nikt jeszcze nas nie wywachał. Poza tym nie jesteśmy tak zupełnie bezbronni. Nie mówimy o tym, ale widział pan, co Jego Świątobliwość zrobił, żeby ochronić nas przed wybuchem Pluskacza. Efekt tłumienia. Broń wymyślona przez ludzi. Tłumi wszystko, co znajduje się na jego drodze. A

mamy też inne...

— Nic o tym nie wiedziałem — odparł zdziwiony Ecuyer.

— Nie jest ich znowu tak wiele — ciągnął Theodosius. — Poza tym użylibyśmy ich tylko w razie rzeczywistego niebezpieczeństwa. Z tego, co mówi Decker, wynika, że Bąble są dość krwiożerczą rasą. Każdy z nich jest malutkim państwem czekającym tylko na szansę zdobycia pola przeciwnika.

— Dymek planował przejęcie galaktyki, a potem całego wszechświata — rzekł Tennyson. — Oczywiście był kompletnie stuknięty. Znalazł tego słabiutkiego, małego bożka, którego chciał użyć jako tajnej broni.

— Tylko że skorzystał z niej zbyt szybko — dodała Jill. — Jasonie, to ty go do tego popchnąłeś. Domyślałeś się, co może się stać?

— Nie, po prostu robiłem, co mogłem, żeby nie wyciągnął z nas żadnych informacji na temat naszego pochodzenia. Ale, jak widać, chyba przeholowałem.

— Nie przesadzaj, ocaliłeś nas wszystkich — uśmiechnął się Ecuyer.

— Mówicie, że znalazł małego bożka — powtórzył Theodosius. — Nie ma małych bożków. Jest tylko jeden Bóg lub jedna Zasada niezależnie od tego, jak się to nazwie. Jestem tego pewien. Trzeba wystrzegać się małych bożków, bo one po prostu nie istnieją.

— Nie możemy tylko zrozumieć, dlaczego Dymkowi wydawało się, że znalazł tak wielkiego boga. Przypisywał mu znacznie większą siłę, niż powinien. Centrum już dawno stwierdziło w toku swoich badań, że nie istnieją żadne wartości duchowe, że wszystkie religie i cała wiara nie mają żadnych podstaw istnienia.

— To prawda — rzekł w zamyśleniu Theodosius. — To

prawda. Zawsze są tacy, którzy tak myślą. Stoją nadzy przed całym wszechświatem i w swojej nagości doszukują się chwały. Nawet kiedy znajdziemy prawdziwą wiarę, której szukamy, jeśli w ogóle ją znajdziemy zawsze trafią się niedowiarki. Są to ludzie nie umiejący poddać się dyscyplinie ani wstrzemięźliwości.

— A Decker II? — spytał Ecuyer. — Co z nim dalej będzie?

— On i Stóg Siana siedzą na razie w areszcie domowym — wyjaśnił Theodosius. — Są chyba nieszkodliwi, ale musimy nabrać pewności. Tak czy inaczej, w tej chwili na głowie mamy tylko Dymka, chociaż z miejsca, w którym przebywa, na pewno nie ucieknie.

— Nawet gdyby mógł, nie miałby dokąd uciec — dorzucił Tennyson. — Inne Bąble wiedzą już, co planował, więc nie odważyłby się wrócić do Centrum. To był naprawdę przebłysk geniuszu ze strony Szeptacza, kiedy schwycił Pluskacza i sprowadził go na Koniec Wszechświata. Nawet gdyby ludzie ze świata równań nie przyprowadzili nam pozostałej trójki, Dymek prawdopodobnie próbowałby odnaleźć Pluskacza. Chociaż nie jestem pewny. Kiedy się nad tym wszystkim zastanawiam, wszystko strasznie mi się komplikuje. Szeptacz być może coś z tego pojmuje, ale ja na pewno nie. W każdym razie jeszcze nie teraz. Szeptacz twierdzi, że nie sprowadził Pluskacza umyślnie, ale nie wiem, czy mówi prawdę. Zrozumienie sposobu myślenia Szeptacza, wybiega czasami poza moje możliwości.

— Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło — powtórzył Ecuyer. — Że galarety przyprowadziły nam pozostałą trójkę. Jak myślicie, dlaczego to zrobiły?

— A kto to może wiedzieć? — westchnęła Jill. — Ludzie ze świata równań myślą znacznie szybciej niż my. Odnoszę wrażenie... że... To znaczy, wydaje mi się...

— Wyduś to wreszcie z siebie — ponaglił ją Ecuyer.

— Cóż, mam wrażenie, że potrafią przewidywać przyszłość. Że widzą to, co się wydarzy.

— Też tak myślę — poparł ją Tennyson. — Ciekawe, czy gdzieś tu jeszcze są. Zupełnie straciłem ich z oczu.

— Już odeszli — odparła Jill. — Nie wiem dokąd. Ale jestem pewna, że jeśli kiedykolwiek będziemy ich potrzebować, Szeptaczowi uda się ich wywęszyć.

— To chyba znowu jesteśmy na starym Watykanie — rzekł Theodosius. — Możemy wrócić do porzuconych zajęć i kontynuować pracę. Jason, mógłbyś mi nalać drinka, chciałbym wznieść toast.

— Ależ, Wasza Eminencjo...

— Udając, że piję wyleję go sobie na brodę — wyjaśnił Theodosius.

Tennyson poszedł i po chwili wrócił z dużą porcją szkockiej.

Theodosius wstał z miejsca unosząc szklankę wysoko w górę.

— Za tych, którzy naprawdę wierzyli. Pozostali wypili toast.

Theodosius przechylił głowę i uroczyście wylał sobie trunek na brodę.